

# WTFYCZKA

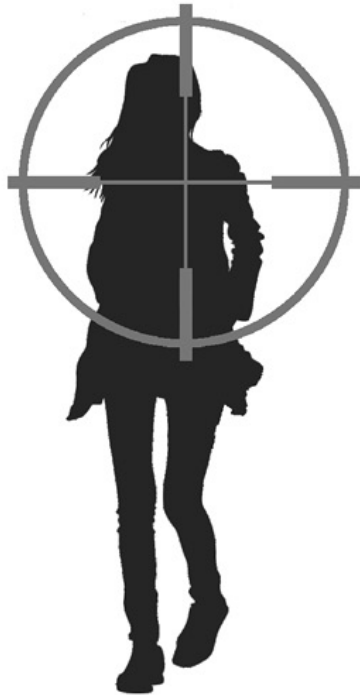


każdy student  
szuka pracy dorywczej,  
ona tropi przestępców

# DUANE SWIERCZYNSKI



# WTYCZKA



**DUANE  
SWIERCZYNSKI**

**PRZEŁOŻYŁ: RAFAŁ LISOWSKI**



## SPIS TREŚCI

Czuję, że się zbliżają

Policja siedzi mi na karku

Joanna Nark

Dil

Przestępstwo

Dziewczyny

Kto donosi, ten się o szwy prosi

Powracający obywatel

Morfina

Łoś i wiewiórka

Jeszcze mnie nie pokonali

Lot kanarka

Całkiem inny świat

*Dla Parkera i Sarah*

# Czuję, że się zbliżają

## **27 LISTOPADA**

Cześć, Mamo. Wczoraj wieczorem mnie aresztowali. (Tak jakby).

Piszę to, żeby poukładać sobie w głowie szczegóły, jak uczył mnie tata. Zawsze mówił, że sprawy jakoś tak dziwnie nabierają sensu, kiedy się je spisze. Notuję na kartce papieru (a nie na laptopie) z paru powodów:

1. Dzisiaj trzeba założyć, że wszystko, co napisze się na komputerze albo w komórce, może przeczytać pierwszy lepszy geek gdziekolwiek na świecie.
2. Nikt nie może zobaczyć tego, co piszę, a nie chcę, żeby jakiś geek szukający nagrań do pornozemsty zajmował mi to z kompa.
3. Papier się pali.

Adresuję to wszystko do Ciebie, bo zawsze powtarzałaś, że mogę Ci powiedzieć wszystko, nawet okropne rzeczy. W ten oto sposób wracam do tego mojego (tak jakby) aresztowania...

No więc wyobraź sobie wczorajszy wieczór: jestem niedaleko kampusu na imprezie. Odchodzi ostre chłanie, bo dla wszystkich to ostatnia okazja, żeby nawalić się przed wyjazdem do domu na długi weekend. Czyli dokładnie taka impreza, przed jakimi mnie ostrzegałaś. Ale nie martw się, żadnych orgii, żadnego dzielenia się strzykawkami, żadnego czczenia Szatana. Po prostu banda wzorowych studentów z pierwszego roku rozluźnia się przed koszmarem dwóch tygodni pisania referatów na zaliczenie (za tydzień) i zdawania egzaminów (za dwa). Piwo, szoty, głośny rap, tego typu sprawy. Ale ja nie

mogę się rozluźnić, bo rano o nieludzkiej godzinie muszę jechać po tatę.

Na szczęście umiem długo pić jedno piwo. Byłabyś ze mnie dumna. Przez ostatnie dwa miesiące studenckiego życia udoskonaliłam technikę. Po prostu trzeba:

1. Pić bardzo małymi łykami.
2. Zamiast butelek, przez które wszystko widać, wybierać puszkę.
3. Co jakiś czas w łazience dopełniać puszkę wodą z kranu.

Nikt mi nigdy nie dosrywa, że jestem mięczak. Przecież zawsze mam w ręku (prawie) pełną puszkę piwa!

W każdym razie siedzę ściśnięta z kupą ludzi na kanapie, kiedy po imprezie zaczyna krążyć szklane bongo. Rama kanapy jest pęknięta, a poduszki tak się zapadły, że gdybym porządnie kichnęła, strzeliłabym sobie z kolana w głowę. Koleś obok bierze bongo w swoje hamburgerowate łapki, zaciąga się, a potem od razu szarmancko podaje mnie. Bardzo nalega: bierz, bierz, bierz. Wesoły, zbakany pijak chce tylko jednego – żeby wszyscy wokół niego też byli weseli, zbakani i pijani. Jeśli chodzi o marihunaen, to ja nic nie mam naprzeciwno, politycznie, osobiście, medycznie. Wiesz, że tata zawsze mówi: jak chcesz czegoś spróbować, to przynieś do domu, spróbujemy razem. (Akurat, już to widzę). Nie, po prostu nie lubię tracić od 20 do 30 punktów IQ od jednego macha. Zioło to nie dla mnie, i nie mówię tak tylko ze względu na Ciebie.

Na szczęście na trawę też mam metody:

1. Wessać policzki, udając, że się zaciągasz.

2. W tym samym momencie zamknąć krtań.
3. Kasłać, kasłać, kasłać jak totalny nowicjusz, a do tego trochę wybałuszyć oczy, tak żeby wszyscy widzieli, że robisz to dobrze/źle i jesteś na dobrej drodze do zjarlandii.

Ale potem dzieje się coś bardzo dziwnego. Kiedy bongo łąduje w moich rękach, a wszyscy się na mnie gapią, w głowie słyszę głos. Mówi mi, że taka jestem spięta, że jeszcze trochę, a mózg wystrzeli mi przez uszy. Powinnam imprezować, a co robię? Udaję, że się dobrze bawię. Kurde, nawet nie powinnam być tu, w Filadelfii. Udawać jaramie powinnam teraz w Kalifornii. Więc łapię za cybuch i kiedy się zaciągam, to na serio.

Oczywiście i tak kaszlę jak nowicjusz, to mam opanowane. Kole-dzy z zajęć, którzy normalnie nie zwracają na mnie uwagi, teraz zdziwnieni i roześmiani klepią mnie po plecach i ramionach. Prawie słyszę, jak w poniedziałek będą plotkować: staaary, ale się nastuka-ła. I wiesz co, Mamo? Chyba rzeczywiście się nastukałam, tak tro-szczkę. Skórę mam przyjemnie ciepłą. Zaciśnięta kulka z tyłu głowy jakby się trochę rozluźnia. Nawet mój wewnętrzny wyjebkomierz chyba poszedł w górę o parę oczek.

Jestem z siebie dumna. Nagradzam się nawet prawdziwym łykiem piwa ciepłego niczym siki.

Wtedy zauważam, że D. się na mnie patrzy.

(Nie podaję tu jego pełnego imienia z powodów, które niedługo staną się jasne. Nie, nie dlatego, że się boję, że każesz go wytropić i zabić, Mamo. Chociaż gdyby ktokolwiek mógł tego dokonać, to wła-śnie ty).

Najwidoczniej D. wszystko widział. Kiwa głową i leniwie rzuca mi dumny uśmiech. Znowu kaszlę i próbuję odpowiedzieć uśmiechem. D. idzie slalomem przez zatłoczony salon i właśnie wtedy zwracam uwagę na jego spodnie: jaskrawoczerwone chinosy zamknięte od góry pasiastym swetrem, który opina jego szczupły tors. Niewielu facetów może nosić czerwone spodnie, ale D. to jeden z tych, co dają radę. Do tego ma jeszcze kapelusz – stetsona w stylu lat pięćdziesiątych. Teraz zdejmuje go i przykuca. Przykłada dwa palce do puszki, jakby sprawdzał, czy browar ma gorączkę, po czym mówi:

„Sarie Holland, modlisz się do tego piwa, jakbyś studiowała teologię”.

Pokazuję mu język. Ale jak durna uczennica myślę sobie: o rany, on wie, jak się nazywam. (I do tego potrafi prawidłowo wymówić moje imię). Znowu kaszlę.

D. uśmiecha się i nachyla w moją stronę.

„Przyniosę ci zimne. Takie gówniane piwo należy smakować we właściwej temperaturze”.

Próbuje wziąć puszkę, ale odchylam się i usuwam spoza jego zasięgu.

„Nie trzeba, serio, dzięki. Ojciec przylatuje o wpół do siódmej rano, więc i tak zaraz muszę się zbierać”.

„Wyślij mu esa, żeby zamówił samochód”.

„Co? Nie ma mowy. Nie każę ojcu zamawiać taksówki w Święto Dziękczynienia”.



„Nie taksówkę. Prywatną limuzynę. Welurowa skóra, barek... Niech sobie staruszek strzeli bourbona z sodówką”.

„Ty myślisz, że mój ojciec czym zarabia na życie? Zresztą i tak muszę odebrać jeszcze brata”.

Następuje taka dziwna chwila ciszy, w której ten, kto odezwie się pierwszy, przegrywa. Niespodzianka: odzywam się ja.

„Jedziesz do domu?”

„Co?”

„Czy jedziesz do domu? Na Święto Dziękczynienia”.

„Powiniennem pojechać w głąb stanu do mamy, a potem do jakiejś grodzonej fortecy w New Jersey, żeby zobaczyć się z moim ojcem bucem, ale luz. Jak przyjadę, to przyjadę. A twój stary skąd przylatuje?”

„Z Kalifornii. Interesy”.

Wystarczy, że wymawiam na głos tę nazwę, a już myślę o tym, jak słoneczna i oślepiająco piękna musi być teraz południowa Kalifornia, nawet w czeluściach listopada. Tata jest tam od soboty, kolejny wyjazd konsultingowy – już trzeci tej jesieni. (On naprawdę się stara, Mamo). W każdym razie podróże taty oznaczają, że ja stale muszę być w domu ze względu na Marty’ego. Ale dzisiaj jest zaproszony na pizama-party, dlatego jestem wolna do rana. Umówiliśmy się z ojcem tak: mogę iść na imprezę pod warunkiem, że się nie upiję (ha ha, przecież wie, że ja się w życiu nie upiłam) ani nie zjaram (ha ha... o kurde) i że odbiorę go z lotniska o barbarzyńskiej godzinie.

„No... Powinnam już iść...”

„Czekaj, możesz prowadzić?”

„Chyba ja jedna jestem tutaj trzeźwa”.

„Ha, mnie nie nabierzesz, widziałem, że nieźle się zaciągałaś”.

„Tylko jednego bucha wzięłam! Wszystko w porządku. Wyglądam w porządku, co nie?”

D. uśmiecha się szeroko. Ma trochę mętne spojrzenie.

„Tak cię tylko wkręcąm”.

„Dupek”.

Ale i ja się uśmiecham. Jak idiotka. Kolejna niezręczna chwila cizy, kiedy D. coś sobie rozkminia, pocierając dłońmi uda.

„Słuchaj...”

„No?”

„Mogę cię prosić o przysługę?”

To był długi, stresujący dzień w jeszcze dłuższym, koszmarnie stresującym tygodniu. Jestem na nogach od wpół do piątej rano, na siłę karmiłam oczy faktami, przetrawiałam te fakty, gryzmoliłam eleganckie zdania, z których może nawet wyjdzie spójny referat. (Moja pamięć ejdetyczna też ma swoje granice). Ta połówka piwa, do której tak się modliłam, połączona z niezbyt entuzjastycznym machem z bonga zrobiła swoje. W tej chwili jedyne, o czym marzę, to sen. Cudowny, błogi sen. Mam na to zaledwie parę godzin, bo potem

będę musiała wziąć prysznic, wymyć dym z włosów, włożyć jakieś czyste ciuchy i pojechać na lotnisko.

D. w ogóle tego nie wyczuwa. Albo wyczuwa, ale go to nie obchodzi.

„No bo jest taka sprawa. Muszę odebrać książkę od kumpla. Mieszka parę przecznic od Pat's. Podrzuciłabyś mnie? Postawię ci cheesesteaka za fatygę”.

Mój umysł rozbiera tę prośbę na części. D. chce, żebym:

1. Zawiozła go (bo ja ewidentnie jestem trzeźwa, w przeciwieństwie do wszystkich innych ludzi na tej imprezie, a już na pewno w przeciwieństwie do niego).
2. Gdzieś w okolicę knajpy Pat's Steaks (która znajduje się daleko w South Philly, a my jesteśmy teraz w domu niedaleko kampusu w North Philly, na drugim końcu miasta).
3. Po książkę (choć jutro jest Święto Dziękczynienia i na odebranie tej książki będzie miał cały weekend).
4. A moją nagrodą będzie wielki tłusty cheesesteak (mimo że jestem weganką).

To wszystko – co teraz doskonale rozumiem, bo po fakcie zawsze pięknie widać – pachnie grubą ściemą. Przyznaję, Mamo: w tym momencie widzę tylko jego silną, smukłą sylwetkę pod swetrem i te jego głupkowate czerwone spodnie.

„Dobra, spoko, zawiozę cię”.

Zanim się obejrzę, oboje siedzimy w mojej hondzie civic i bierzemy ostry zakręt na autostradzie Schuylkill, a na horyzoncie wyrastają

migocące drapacze chmur w Center City. Pięknie to wygląda w środku nocy. Dziwnie jest siedzieć z D. w moim samochodzie. Może Filadelfia zawsze będzie dla mnie Wrogim Miastem, ale w centrum, szczerze mówiąc, nie jest tak źle. Powinnam częściej tam bywać. Przez pierwszy miesiąc nauki chyba co drugi dzień ktoś z naszej bandy kujonów znajdował wymówkę, żeby przejechać się metrem do Old City albo na South Street – chociaż wszyscy nam mówili, że czasy świetności South Street minęły, kiedy nas jeszcze na świecie nie było. Skoro już na dobre utknęłam w tym mieście, to chyba powinnam korzystać, ile wlezie.

(Przepraszam, Mamo. Przysięgam, już mi przeszło).

D. otwiera schowek i zaczyna grzebać w moich kasetach.

„Ja pierdzielę, naprawdę masz takie rzeczy? Słuchasz The Clash?”

„No... tak”.

„Zajebicie. Masz nawet *Sandinista!* Powiedz, że w tym samochodzie jest magnetofon...”

„Tam”.

„Czad, kurwa!”

D. wpycha kasetę do odtwarzacza i po kilku sekundach niezręcznego syku taśmy rozbrzmiewa *Magnificent Seven*.

Oczywiście kasety są taty. Znalazłam je w plastikowym pudle z jego starym szajsem i słucham od początku semestru. The Clash, Talking Heads, Television, Lou Reed, The Velvet Underground, The

Cure (wszystko, czego Ty nie cierpiałaś!) i jeszcze cała masa nieopisanych składanek, więc nie mam pojęcia, z czym są. Część z tego mi się podoba, część jest kijowa. Ale skoro D. się pomylił i myśli, że jestem cool, to nie śmiem wyprowadzać go z błędu. No i wielkie dzięki, Mamo, że zamówiłaś ostatnią hondę civic z magnetofonem na wyposażeniu.

„Z kim masz trójkę? Trzy razy C czy KGB?”

„Trzy razy C”.

Trzy razy C z trzech przedmiotów w programie dla wyróżniających się studentów pierwszego roku: Calkins (historia), Curnow (filozofia) i Chaykin (literatura). Pierwsze C: miły, ale surowo ocenia. Drugie C: nie da się go zrozumieć, ale ocenia łagodnie. Trzecie C: zagadkowy, dowcipny, szybko gada, a ocenia jak sadysta. Możliwe, że dostanę swoją pierwszą czwórkę. W życiu.

„Śmieszne, że masz zajęcia z Chaykinem. W tym semestrze prze-rabia stracone pokolenie czy beatników?”

„Beatników”.

„Dobrej zabawy z *Nagim lunchem*”.

„Mam zamiar zacząć czytać w weekend”.

„Ha ha, no to masz przejebaane”.

(Jeśli jeszcze nie zauważyłaś, Mamo, D. dużo przeklina. Fajnym chłopakom łatwiej się wybacza bluzgi).

Skręcam na autostradę 676, przecinam bebeczy miasta, przemyskam pod mostem Bena Franklina, jadę autostradą I-95 przez dosłownie dziesięć sekund, po czym zjeżdżam na Columbus Boulevard i odbijam w prawo w Christian Street. Witamy w South Philly. Ciągle jeszcze gubię się na tutejszych ulicach, a zwłaszcza wokół Pat's. D. mówi, żebym jechała prosto aż do Dziewiątej. Potem w prawo. Potem na mnie patrzy. Skupiam się na jezdni, ale czuję jego spojrzenie. Ściszam The Clash.

„No to jesteście na Dziewiątej...”

„Słuchaj, wielkie dzięki, Sarie. Serio, jestem ci megawdzięczny. Wracam dosłownie za dwie sekundy”.

„To dobrze, bo będę ci mierzyć czas”.

(Tak u mnie wygląda flirt. Flirtuję równie wprawnie, jak piję i palę).

D. wskazuje dom szeregowy, który wygląda zdecydowanie zbyt ładnie jak na metę paru studentów w South Philly. Może studiują na uniwersytecie Penn State i mają bogatych rodziców albo coś w tym stylu. Tak czy inaczej, samochody stoją jeden za drugim i nie ma ani kawałka miejsca.

„Gdzie stanąć?”

„Widzisz parkingowego? Podjedź tam i powiedz, że czekasz na przyjaciela Chuckiego. Pozwoli ci tu postać, bez obaw”.

W pierwszej chwili myślę, że D. nawiązuje do filmu gangsterskiego, którego nigdy nie widziałam, *Przyjaciele Chuckiego* albo coś w tym guście. Mija sekunda, zanim dociera do mnie, że mówi serio.

„Zaraz... kogo?”

„To mój kumpel. Chuckie. Dogadał się z tym gościem. Możesz tu postać i nie musisz płacić. Dwie sekundy! Słowo!”

D. wyskakuje z auta i zatrzaskuje drzwi tak mocno, że aż się wzdygam. Nie cierpię tego. Przez chwilę tkwię tak w oszołomieniu, a potem podjeżdżam kawałek dalej i staję w kolejce do parkowania, która okazuje się całkiem spora. Po chwili uświadamiam sobie, że niechcący wepchnęłam się poza kolejnością. Parkingowy, w muszce i kamizelce, robi drwiący ruch ręką, jakby mówił „ależ proszę, panie przodem”. Opuszczam szybę i czuję się dość absurdalnie, oznajmiając:

„Mój przyjaciel jest przyjacielem Chuckiego”.

O dziwo koleś natychmiast łagodnieje. Kiwa głową i przechodzi do następnego samochodu.

Zegar na desce rozdzielczej pokazuje dziesięć po północy. Strasznie zimno i wieje jak diabli. W tej chwili tata jest już w samolocie, który niesie go z rajskiej Kalifornii na upiorne Wschodnie Wybrzeże. Muszę być w terminalu C za niecałe sześć godzin. A dwie sekundy, w ciągu których D. miał wrócić, już dawno minęły.

Parkingowy, choć zajęty innymi klientami, znajduje jednak dość czasu, żeby się na mnie gapić. Rzuca mi jakże czarujący uśmiech, demonstrując przy tym lśniący czarny ząb w górnej szczęce. (Ja to umiem przyciągać przystojniaków, prawda, Mamo?) Odwracam głowę i obserwuję przychodzących i wychodzących klientów staromodnej włoskiej restauracji na rogu, która chyba jest przyczyną całego tego ruchu. Dobrze wiem, że mieszaniec taki jak ja nie powinien rzu-

cać etnicznymi epitetami, ale mam tu istną paradę karykaturalnych italiańców. Złote łańcuchy, bujne fryzury układane na szczotce, starsi kolesie z laskami, które mogłyby być ich wnuczkami, limuzyny i caddillaki, full serwis. Tammy by się spodobało. Powinnyśmy tu kiedyś wrócić tylko po to, żeby pogapić się na ludzi. (Koniecznie muszę do niej zadzwonić w ten weekend. To się już robi idiotyczne. Nie gadałam z nią od Halloween).

Mija dziesięć minut – i tak, Mamo, wiem, że mam przerąbane. Po tem jeszcze godzina na kanapki, pół godziny na powrót na północ do kampusu. Położę się najwcześniej o drugiej. I to wszystko dla jednego chłopaka.

D. poznałam w pierwszym tygodniu nauki. Spotkaliśmy się na jakiejś imprezie w ramach programu dla wyróżniających się studentów w nocnym pseudolokalu na parterze klubu studenckiego. Potem usłyszałam, że ci ze starszych roczników nazywają tę imprezę giełdą dup. Świeże, młode kujonki wystawione na pokaz, nic, tylko rwać. Jak się nietrudno domyślić, przyszła masa ludzi. Ale D. był inny. Właściwie tylko żartował, zaprosił całą naszą grupkę do swojego domu poza kampusem na piwo – moje pierwsze w życiu, nawiasem mówiąc. (Tata byłby dumny). Parę dziewczyn z mojej trójki, które chwaliły się, że browary piją od drugiej klasy liceum, wołało walić szoty jacka daniel'sa.

D. tylko się do nich wszystkich uśmiechał, z każdą flirtował po równo, ze mną też. Najwidoczniej lubił się umawiać z dziewczynami z pierwszego roku, które mają własny samochód. Dla niego możliwość opuszczenia kampusu w dowolnym momencie była czymś magicznym. Wśród kujonów z naszego programu krążyły słuchy, że pod



koniec liceum D. mocno sobie nagrabił za jazdę po pijanemu, więc nie usiadzie za kółkiem do końca drugiej kadencji Obamy.

Nie żeby pozbawienie go auta to był zły pomysł. Gość ewidentnie dużo pije i popala sporo zielonego. Przeraza mnie myśl o nim za kierownicą pojazdu ważącego tysiąc dwieście kilo.

Po następnych kilku krępujących minutach czekania w towarzystwie Parkingowego Przyjaciela Chuckiego, które spędziłam na obserwacji przewijających się podejrzanych osobników i parady postaci z *Chłopców z ferajny*, wracam myślami do D., samochodów i zioła. Zaraz, zaraz. A jeśli on tu wcale nie przyjechał po książkę? Oczywiście, że nie przyjechał po książkę.

Pewnie właśnie stąd bierze zioło.

Na imprezie zapas się kończył, więc poprosili go, żeby coś zorganizował. On nie miał własnego auta (zresztą i tak nie powinien prowadzić), więc znalazł jedyną trzeźwą osobę z samochodem.

Mnie.

Czuję się jak kompletna idiotka.

Czyli w przeddzień Święta Dziękczynienia, kiedy mój tata, terapeuta uzależnień narkotykowych, leci samolotem z Kalifornii, ja pojechałam do South Philly po narkotyki.

Wesołego Święta Dziękczynienia, co nie?

Działający w ukryciu funkcjonariusz wydziału antynarkotykowego Benjamin F. Wildey, lat trzydzieści dwa, siedzący za kierownicą swego nieoznakowanego radiowozu, wbija

wzrok niczym laser w drzwi domu szeregowego. Ma wrażenie, że dzisiaj całe miasto to jedna wielka zamrażarka. W tym starym gracie niestety nie jest dużo cieplej. Cały dzień był lodowatym koszmarem, padał deszcz ze śniegiem, a Wildey większość czasu spędził na ulicach. Zerka na zegarek. No proszę. Od trzech minut mamy Święto Dziękczynienia. Jak ten czas leci, kiedy tkwisz w aucie i prowadzisz obserwację w oparciu o cynk dwóch zdesperowanych donosicieli.

Na pierwszy rzut oka ten budynek przy Południowej Dziewiątej Ulicy pod żadnym względem nie przypomina mety narkotykowej. Czysty, gładki chodnik, świeżo pomalowane okna, odnowiony mur z cegieł. To jeden z tych szeregowców w South Philly, które w swoim czasie imigranci z trudem kupowali za cztery tysiące dolarów, a teraz spokojnie można za nie dostać czterysta tysięcy.

Ale donosiciel zarzekał się, że gość pod tym adresem sporo handluje i ma studencką klientelę. Podobno to diler średniego szczebla, który mówi o sobie „Chuckie Morfina”, jego specjalnością są drobni handlarze obsługujący uniwersytety, a czasem sprzedaje bezpośrednio dzieciakom, które boją się jeździć do Badlands czy Pill Hill. Lata temu ta okolica – Passyunk – była dzielnicą porządnej klasy robotniczej, może tylko tu i ówdzie trochę podejrzaną. Wildey pamięta te czasy. Teraz powyrastały tu gastropuby, komisje, restauracje pop-up i cała reszta hipsterskich wabików. Zaglądając tutaj, dzieciaki czują się bezpiecznie.

Jeśli ostatnie kilka godzin może o czymś świadczyć, to w domu przy Południowej Dziewiątej Ulicy rzeczywiście coś się dzieje. Dużo gości. Może to impreza przed Świętem Dziękczynienia, jasne, ale dlaczego każdy spędza tu tylko parę minut? Dlaczego nie gra muzyka? I nic nie słyhać?

Willey potrzebuje legalnego sposobu na wejście do środka. Takiego, który nie wywoła obiekcji Człowieka z Widener Building. Ostatnimi czasy, pracując w antynarkotykowym, trzeba zachować ostrożność. Przez idiotów, zboczeńców i pazernych na kasę cwaniaków z komendy robota nie jest teraz łatwa. Weźmy choćby tych gości, których porażająca głupota została uwieczniona w serii artykułów nagrodzonych Pulitzerem parę lat temu.

Tak. Tym Pulitzerem. Oddział antynarkotykowy z Badlands wpadł na genialny pomysł urządzania nalotów na miejscowe sklepiki spożywcze za sprzedaż plastikowych woreczków. Co najmniej wątpliwe działanie. Ale to jeszcze nie był szczyt głupoty. Ze sklepików brali kanapki, ciastka, baterie, mleko, luźną gotówkę, co popadło. No bo ciastka i kanapki są takie drogie.

Bądźmy szczerzy, krojenie dilerów to w filadelfijskich służbach praktyka uświęcona tradycją. Ale krojenie dilerów polega na tym, żeby naprawdę kroić dilerów – czyli sprawców. Nie okrada się wystraszonego małżeństwa imigrantów sprzedających plastikowe woreczki, które – jeśli Willey ma aktualne informacje – nie są nielegalne. Czyli ci kretyni za parę ciastek sprzedali całą komendę. Brawo.

Od tamtej pory odnosiło się wrażenie, że co chwilę wyskakuje nowy skandal. Pewien lokalny dziennikarz policzył, że filadelfijskim policjantom stawia się zarzuty kryminalne średnio co trzy tygodnie. Oczywiście nie tylko tym z antynarkotykowego, ale właśnie oni najbardziej zostają mieszkańcom w pamięci. Chyba najgłośniej było o gliniarzu, który zatrzymał narkomankę, żeby ją przeszukać, kazał jej rozebrać się do naga, a potem zwałił konia na jej dzinsy. „Czuł do mnie taki wstręt, że nie chciał mnie dotknąć, ale to mu nie przeszkodziło zabawiać się ze sobą i spuścić się na moje spodnie za siedemdziesiąt pięć dolców” – powiedziała nar-

komanka sędziemu federalnemu. Gliniarz dał jej sześć dolarów na papierosy, kazał się ubrać i spadać. Miejscowy brukowiec miał potem używanie: MYŚLAŁEŚ, ŻE TO NA KOGOŚ ZWALISZ? A do lokalnego słownika prawniczego weszło nowe określenie: „samogwałt praw obywatelskich”.

To wszystko zakończyło się gigantycznym pierdolnikiem: zamknięciem całej jednostki terenowej, oddaleniem pięciuset spraw za posiadanie narkotyków i wysłaniem całej gromady gliniarzy za biurko albo na wcześniejszą emeryturę. W rezultacie prokurator okręgowy – zapewne przymierzając się do posady burmistrza – wypowiedział ze swego biura w Widener Building wojnę całemu wydziałowi antynarkotykowemu.

Dlatego Wildey wie, że musi być superostrożny. Dawne metody już nie przejdą – „dawne”, czyli sprzed pół roku. Zeszłej wiosny dorwałby pierwszego lepszego z tych studentów, kazał mu stanąć pod ścianą i wywrócić kieszenie. Bum, prawdopodobieństwo winy. I gotowy bilet wstępu.

Ale Wildey nie może zatrzymać żadnego z nich, nie bez uzasadnionego powodu, który utrzymałby się w sądzie. Po tym całym chaosie na komendzie adwokaci utraciliby sprawę i nawet by się nie spocili. Sam Chuckie Morfina jest zbyt sprytny, żeby dać się przyłapać na ulicy. Najemca nieruchomości to jakaś firma, pewnie przykrywka. Nikt nie zna prawdziwego nazwiska Chuckiego i nie wie, jak on wygląda. Wildey do tej pory nie widział go na oczy.

Ale to właśnie gościa tego typu Wildey najbardziej chciałby przyskrzynić. W całym oddziale nikt o nim nawet nie słyszał, co oznacza, że jest dość nowy.

Dlatego Wildey obserwuje dom i wyczekuje na odpowiedni moment. To tylko jeden z sześciu cynków, które ma na oku, ale najbardziej obiecujący – napęczniała pijawka gotowa zaraz pęknąć. Duży ruch. I handlarz z wkurzającą ksy-

wą. Rany, Wildey marzy, żeby zostać tym gościem, który załatwił jebanego Chuckiego Morfinę. Tego kretyna powinni zamknąć już za sam pseudonim.

Do tego dochodzi kwestia, że Morfina prawie na pewno jest biały. Nie żeby Wildey był rasistą. Ale kilka miesięcy przed tym, jak zwerbowano go do nowo powstałego oddziału Narcotics Field Unit-Central South (w skrócie NFU-CS, *Nobody fucks with us* - nikt nam, kurwa, nie podskoczy), w raporcie Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich przeczytał, że większość osób aresztowanych za marihuanę to czarnoskórzy. Tymczasem biali palą więcej zioła niż ktokolwiek. W Filadelfii czarni stanowią jakieś osiemdziesiąt procent zatrzymanych za zioło. Wildey sam aresztował ich sporo w Badlands, chociaż starał się być gliniarzem niedyskryminującym, który sprawiedliwie przyskrzynia czarnych, śniadych i białych. Miło by było jednak trochę zmienić tę statystykę.

Zatrudniając go, porucznik Katrina „Kaz” Mahoney powiedziała mu: wyszukuj mi sprawy, które inni przegapili. Zapomnij o zgarnianiu gości z rogów ulic. Przynoś mi duże sprawy. Nie obchodzi mnie, kto komu płaci ani co się działo do dzisiaj. Zasady się zmieniły.

No więc wybaczcie, bogaci biali baroni narkotykowi. Od czegoś trzeba zacząć karierę.

Oby właśnie od Chuckiego Morfiny.

Ale oczywiście... po bożemu.

Jak się wyraziła przełożona: „Wyobraź sobie, że Człowiek z Widener Building przez cały czas siedzi ci w dupsku, widzi wszystko, co robisz, kwestionuje każdą twoją myśl. Jak pójdziesz się odlać, to myśl sobie, że on narzeka, że tak się ociągasz, i masuje ci prostatę, żeby przyśpieszyć sprawę”.

Dziesięć minut po północy Wildey podnosi głowę na widok srebrnej hondy civic, która zajeżdża w tradycyjne miej-

sce - niedaleko rogu ulicy, gdzie parkingowy pozwala wszystkim (domniemanym) klientom Chuckiego zatrzymać się na trochę. Nie łamiąc prawa.

Wildeyowi nawet podoba się ten układ. Dzięki niemu łatwiej monitorować klientelę podejrzanego. Hipster w kapełuszu, lat dwadzieścia, może dwadzieścia jeden, w jaskrawoczerwonych spodniach i z zielonym plecakiem na ramieniu - ej, cwaniaku, Boże Narodzenie dopiero za miesiąc - wyskakuje z siedzenia pasażera, pokonuje chodnik kilkoma długimi krokami i wbiega po schodkach do drzwi wejściowych. Puka trzy razy. Drzwi się otwierają. Pan Czerwone Portki wchodzi do środka. Pozdrów ode mnie Chuckiego.

Wildey bierze notes i pisze szybko:

*0044 Ob 1 - B/K, kierowca hondy civic*

*0045 Ob 2 - B/M, pasażer, 190 cm, chudy, zielony plecak na ramieniu, jaskrawoczerwone spodnie, granatowa wiatrówka*

*0046 O2 podchodzi do obserwowanego domu, nieznany mężczyzna wpuszcza go. O1 czeka w samochodzie na miejscu wskazanym przez parkingowego*

Kiedy chłopak znika w domu Chuckiego, Wildey skupia uwagę na kierowcy. To dziewczyna. Z osiemnaście, dziewiętnaście lat. Latynoska? Włoszka? Trudno powiedzieć w tym świetle. Włosy ma upięte jakimś srebrnym czymś. Czuje się nieswojo, czekając na miejscu wskazanym przez parkingowego. Rozgląda się, jej mowa ciała zdradza niepokój, ramiona są stale w ruchu. Starszy gliniarz nauczył go kiedyś, że przyznanie się do winy zwykle w ogóle nie jest potrzebne. Wystarczy obserwować ciało, ono powie wszystko. Widać, że dziewczyna nie chce tutaj być. Przyjechała wbrew swojej woli? Wildey spisuje numer rejestracyjny hondy, żeby sprawdzić go później. Nie ma laptopa, żeby zro-

bić to od razu. Ma tylko notes, długopis, odznakę, broń i przenośnego koguta podłączanego pod gniazdko zapalniczki. Wiecie, na wypadek gdyby zadziało się coś na serio.

Willey ma nadzieję, że tak właśnie będzie. *Dalej, mała, daj mi uzasadniony powód do podejrzeń.* Obserwuje chatę Chuckiego już od tygodnia, wciąż bez powodzenia.

Po dość długiej chwili Czerwony Koleżka wyskakuje z domu, cały czas z obdartym zielonym plecakiem na ramieniu. Co ty tam masz? Zbiega po schodkach, przechodzi przez ulicę, właściwie się nie oglądając, i otwiera drzwi pasażera. Migają tylne światła. Odjeżdżają. Błagam, myśli Willey, dajcie mi cokolwiek. Jakiś powód, żeby was zatrzymać. Felerny reflektor? Może termin przeglądu minął? Ktoś zdrapał naklejki z tablicy rejestracyjnej? Willey zna gliniarzy, którzy sami by coś takiego zrobili. I prawdopodobieństwo winy gotowe. Ale teraz już tak nie można. Pewnie właśnie w tej chwili prokurator okręgowy siedzi na skraju łóżka z kieliszkiem pinot noir i tylko czeka, aż ktoś zadzwoni z wiadomością, że gliniarze z antynarkotykowego znowu dali dupy.

Honda jedzie dalej Dziewiątą Ulicą – już prawie dotarła do znaku stop. Willey w myślach rzuca kostką. Czym nam to pachnie? Ruszamy za nią i liczymy na szczęście? Czy czekamy w naszym zatęchłym samochodzie i kikujemy na następną ofiarę?

Willey ma cztery takie samochody rozstawione po Filadelfii, każdy w zasięgu wzroku od domu potencjalnego pomniejszego bossa. Porucznik kazała myśleć nieszablonowo. No to jemu przyszło do głowy coś takiego. Bierze się skonfiskowany samochód z policyjnego parkingu, coś banalnego i na chodzie. Nakleja się nalepki rady miejskiej, żeby ci od parkowania zostawili go w spokoju. Na zmianę czuwa się w każdym samochodzie, obserwując wpadających i wypadających

jących klientów. Kiedy widzi się coś obiecującego, trzeba się rozstać z cennym miejscem parkingowym i śledzić. Ale ostrożnie. Miejsca parkingowe trudno znaleźć - zwłaszcza tutaj. Wildey długo musiał walczyć o swoje cztery. Jeśli ma zrezygnować z tego, honda musi być naprawdę warta zachodu.

No ale ten zielony plecak. Wildey ma co do niego dobre przeczucie.

Wrzuca bieg i opuszcza miejsce, które na bank ktoś zajmie w ciągu kilku sekund.

Tylko raz kogoś przyskrzyńić. Kogoś pokroju Chuckiego Morfyny. Tyle wystarczy, żeby Wildey wyrobił sobie nazwisko. Dranie, których naprawdę chciałby dopaść, są w tym mieście gdzie indziej, praktycznie nie do ruszenia przez policję. Ale sytuacja może się zmienić. Jeśli Wildey zaliczy dostatecznie wielu Chuckiech, będzie w stanie tknąć tych nieetykalnych. Bo o to tutaj chodzi. I może właśnie coś się zaczęło.

D. rzuca się na fotel pasażera tak ciężko, że aż podskakują resory. Założę się, że matka krzyczy na niego za tupanie na schodach i trzaskanie drzwiami. Jest jak głupawy szczeniak, który nie zdaje sobie sprawy z własnych rozmiarów.

„Masz jeszcze ochotę na tego cheesesteaka, Sarie?”

Nie mogę się powstrzymać. Mój wzrok skupia się na wybrudzonym zielonym plecaku firmy North Face, który leży teraz na podłodze między jego nogami.

„No, czemu nie”.



Kiedy poznałam D. na tamtej imprezie, pomyślałam sobie, że to nawet urocze, że jest jaraczem pasjonatem. Mówi o trawie tak, jak niektórzy mówią o piwach rzemieślniczych. „Porycie” to jeden z jego ulubionych terminów. D. to taki chłopak, który wkurzałby tatę z wielu powodów, głównie dlatego, że tata jako nastolatek musiał być podobny do niego. A przynajmniej tak wnioskuję ze wszystkich Twoich opowieści.

Ale dziś rozumiem, że tata chyba miał rację. Bo teraz jestem po prostu tą głupią dziewczyną z samochodem, która wozi D. po narkotyki.

Na ulicach dookoła Pat's roi się od pijanych ludzi i stad głodnych mięsożerców polujących na dawkę tłustego mięsa z topionym serem, zanim jutro zaczną się objadać faszerowanym indykiem. Dzień przed Świętem Dziękczynienia to powszechnie znane narodowe święto pijaństwa, tej nocy wszyscy wychodzą na miasto, żeby zaprawić się przed nadchodzącymi rodzinnymi przyjęciami. Dlatego nie ma gdzie stanąć. Może lepiej było powiedzieć parkingowemu, że jesteśmy bardzo, bardzo dobrymi przyjaciółmi Chuckiego, więc może skoczyłby parę przecznic dalej i skołował nam cheesesteaka? Robię głęboki, kojący wdech, a potem najspokojniej jak umiem, pytam, gdzie możemy zaparkować. Usiłuję nie gapić się na zielony plecak. Ile on tam ma? Jeden woreczek? Czy może parę kostek jak w *Midnight Express*? Tymczasem D. zdejmuje kurtkę i o mały włos nie wali mnie przy tym z łokcia w skroń. Odskakuję w samą porę. Granatowy materiał ociera się o mój nos.

„Co?”

„Pytałam, gdzie mam zaparkować”.

Ściągnąwszy w końcu kurtkę, D. zwija ją w luźną kulę i delikatnie odkłada na tylne siedzenie, mamrocze „czekaj”, po czym znów się obraca, mruży oczy i patrzy przez przednią szybę. Bez przekonania wskazuje mi miejsca, w których absolutnie nie wolno się zatrzymywać. Mam wrażenie, że wcale nie chce mi pomóc, tylko wyczerpać opcje, żebym zgodziła się objechać kwartał, gdy tymczasem on pójdzie sobie kupić jedzenie. I w końcu faktycznie się zgadzam. Oczywiście.

„To mi zajmie dwie sekundy”.

D. otwiera drzwi kopniakiem i proponuje, że coś mi przyniesie. Odmawiam, mówiąc, że nie lubię jeść tak późno. Nie warto się teraz wdawać w całą dyskusję na temat weganizmu, z obowiązkowym wykładem pod tytułem: umrę z głodu, bo nie wpierdałam zwłok zwierząt. Zauważam zielony plecak na podłodze przed fotelem pasażera. Wiesz, ten prawdopodobnie zawierający nielegalne substancje.

„Ej! Zaczekaj!”

„Co?”

„Nie chcesz wziąć plecaka?”

„Po co? Zaraz wracam”.

„Nie, serio, lepiej bym się czuła, gdybyś go zabrał”.

D. zdziwiony mruga oczami.

„Dlaczego?”

„Proszę, weź go i już!”

Przez parę sekund gapi się na mnie oniemiały, a potem otwiera drzwi, bierze plecak i zarzuca go sobie na ramię. Chyba chce powiedzieć coś wrednego, ale tylko się uśmiecha i trzaska drzwiami. Wzdrygam się jak kretynka.

Minutę później dołączam do fastfoodowej karuzeli. Dziewiątą Ulicą do pierwszej przecznicy. W prawo w Wharton Street. W prawo w Ósmą. W prawo w Reed. W prawo w Dziewiątą i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej, a jeśli wyjrzeć przez okno, widać nieszczęsnego Syzyfa pchającego kamień tą samą trasą. Z powodu samochodów i tłumów ludzi jedzie się strasznie wolno, ale brnę naprzód jak grzeczna współpracowniczka dilerki. Co, nawiasem mówiąc, jest dla mnie jednorazowym numerem. Właśnie, zamierzam odwieźć D., a potem wrócę do domu dostatecznie wystraszona, żeby raz na zawsze zejść z drogi występku.

I oczywiście dokładnie wtedy po raz ósmy czy dziewiąty skręcam w Ósmą Ulicę i słyszę wycie z piekła rodem.

Mamo, daję słowo, nie miałam pojęcia, co się dzieje. Skręciłam w prawo na zakazie? Zajechałam komuś drogę? Potrąciłam starą zakonnicę w zwolnionym tempie? Nie. Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, ale kierowcą jestem obłądnie ostrożnym. Za kółkiem się nie wygłupiam. Co jest?

Wtedy sobie przypominam, że istnieje szansa, że jestem na malusim hajku. Plus jeszcze to jedno ciepłe piwo, które pływa teraz w moim krwiobiegu. Cholera, po co ja brałam tego bucha?! Czy jechałam zygzakiem? Albo jakoś inaczej się zdradziłam? Serce mi wali. Jasna cholera.

Włączam prawy kierunkowskaz i szukam wolnego miejsca przy Reed Street. Oczywiście żadnego nie ma, więc zadowolam się półówką miejsca na rogu, co oznacza, że przód mi trochę wystaje. Patrzę we wsteczne lusterko. Samochód jadący za mną nie jest standardowym radiowozem; to zwykłe auto z kogutem, który stawia się na dachu. Jasna cholera. Dlaczego zatrzymuje mnie policja po cywilnemu? Auto staje na miejscu przed czymś podjazdem. Widocznie glinom w nieoznakowanych samochodach wolno.

Mrozi mnie pewna myśl. Co będzie, jeśli ten nieoznakowany samochód jechał za mną już od pewnego czasu? Powiedzmy: spod domu kumpla D. przy Dziewiątej Ulicy?

Zmuszam się do zachowania absolutnego spokoju. Jeśli zacznę się wiercić, będzie wyglądało, że coś ukrywam. Albo że sięgam po obrzyną. Dlatego wzorowo trzymam łapki na kierownicy w pozycji za dziesięć drugą, pozwalam sobie natomiast szybko zerknąć we wsteczne lusterko. Dzięki Bogu. Oczy niezbyt przekrwione.

W bocznym lusterku widzę, jak gliniarz wysiada z samochodu. Gość jest wielki. Nie że gruby; przede wszystkim wysoki i barczysty. Cudownie. Udało mi się ściągnąć uwagę największego, najwredniejszego gliny w Filadelfii. Pokonuje dzielącą nas odległość trzema swobodnymi krokami. Potem patrzy na mnie z góry przez boczną szybę, a w ręku ma latarkę wielkości mazaka. Nie za dobrze go widzę, ale poznaję, że to Afroamerykanin i że jest po cywilnemu. Pośrodku jego klatki piersiowej wisi odznaka na łańcuszku. Błyszcząca. Autentyczna, na ile umiem ocenić niefachowym okiem.

„Zgubiłaś się, skarbie? Szukasz kogoś? Już któryś raz okrążasz ten kwartał”.

„Naprawdę?”

„Tak. I wiesz co? Złamałaś przepisy”.

„Hę?”

Wcale nie rżnę głupa; naprawdę nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

Gliniarz uczynnie wskazuje zardzewiały znak przytwierdzony do metalowego słupa po drugiej stronie ulicy: ZAKAZ KRAŻENIA SAMOCHODEM. Jest on częściowo zasłonięty przez drzewko albo może chwast na sterydach, który przebił się przez chodnik.

„Trzy objazdy kwartału w ciągu godziny to już formalnie krążenie”.

„Cholera, nie wiedziałam”.

„Tak właśnie myślałem. Dlatego pytam, czy się zgubiłaś. Może pomogę”.

Teraz w głowie dzwoni mi już cicho sygnał alarmowy. Dlaczego gliniarz po cywilnemu, w nieoznakowanym samochodzie, miałby mnie zatrzymać ni z tego, ni z owego, bo pomyślał, że się zgubiłam? Ponieważ jestem współniczką w wypadku po narkotyki, wiem, że powinnam mówić jak najmniej. No, dalej, wymyśl jakieś kłamstwo. Powiedz mu, dlaczego jeździsz w kółko. Szybko. On się gapi.

Nie przychodzi mi do głowy zupełnie nic. Zero.

„Poproszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny”.

To mnie wreszcie budzi. Staram się zachować zimną krew, mówić pewnie i spokojnie. Są nagrania na YouTube, z których można się

dowiedzieć, co robić, kiedy cię zatrzymają, i jestem pewna, że pytanie o powód to doskonała strategia.

„Dlaczego mnie pan zatrzymał?”

„Prawo jazdy i dowód rejestracyjny poproszę”.

„Czy jestem aresztowana?”

„A chcesz być?”

Gliniarz: 1. Sarie Holland: 0.

Wyciągam prawo jazdy z plastikowej przegródki w portfelu, otwieram schowek, wyjmuję z niego dowód rejestracyjny, a potem jedno i drugie podaję mu przez okno. Gliniarz ogląda je przy latarce. Przez światło, które ściska w pięści, skierowane na moją twarz, trudno stwierdzić, jaką ma minę.

„Kim jest Laura Holland?”

To pytanie mnie zaskakuje. Wystarczy, że ktoś o Tobie wspomni, a ciągle potrafi mną to wstrząsnąć.

„To moja mama”.

„Wie, że wzięłaś jej samochód?”

Mówię mu prawdę, że zmarłaś w zeszłym roku, że to mój samochód, ale tata jeszcze go nie przerejestrował.

„Co tutaj robisz?”

„Wybrałam się na przejażdżkę. Żeby oczyścić umysł. Mam w ten weekend do napisania masę referatów. Wszystkie na przyszły tydzień”.

Jego ton nieco łagodnieje. Może mi współczuje, a może to dzięki wzmiance o Tobie.

„Serio? Nie odpuszczają wam nawet w Święto Dziękczynienia? Szkoda. Gdzie się uczysz?”

„U Świętego Judy”.

„W tym college’u na północy, w Olney?”

Wymawia tę nazwę jak prawdziwy filadelfijczyk: *oloni*.

„Aha”.

Potem dodaję, jakbym miała w ten sposób zapunktować:

„Jestem w programie dla wzorowych studentów”.

„Wzorowych? Na studiach? Takie rzeczy to nie w liceum?”

„Nie, tu też jest taki program. Robię trójkę. To znaczy, że w tym semestrze mam trzy specjalne kursy”.

Nie chcę mówić, że to trójka dla pierwszorzoczników, bo według prawa jazdy, które mu właśnie podałam, mam dwadzieścia jeden lat. Choć jak sama wiesz, oczywiście tyle nie mam. Dużo mi brakuje. Ale gliniarz za bardzo jest zajęty dumanie nad programem moich studiów.

„Więc chcesz skończysz college z wyróżnieniem, o to chodzi?”

„No, chyba tak”.

„Co studiujesz?”

„Jeszcze nie zdecydowałam”.

„Nie zdecydowałaś, mówisz. Nie za dużo masz lat, żeby jeszcze tego nie wiedzieć?”

Milczę.

„Dobra, w porządku. Mogę zajrzeć do pojazdu?”

Mój żołądek trochę się rozluźnia i dziękuję bogom, że kazałam D. zabrać ten jego głupi zielony plecak. Już sobie wyobrażam, jak policjant oświetla plecak latarką, sięga do kabiny, rozpina go, a potem, niczym światłość z niebios, oświetla kostkę hawaiian gold czy o czym tam mówił D. W moim samochodzie nie ma nic oprócz leżącej na tylnym siedzeniu brązowej papierowej torby, której zawartość pewnie tego gliniarza rozśmieszy, jeżeli zdejmie taśmę ze zwiniętej górnej krawędzi i zajrzy do środka.

„Jasne. Proszę bardzo”.

Willey kieruje snop światła maglite'a na tył. Potem otwiera tylne drzwi, sięga do środka i maca. Nie znajduje nic oprócz granatowej wiatrówki. Cięższej z jednej strony. Rozpina kieszeń i wkłada rękę.

W kieszeni jest strunowa torebka, w niej trzy mniejsze strunowe, a w nich proszki. Najpewniej oxy, dropsy i stopy, czyli suboxon. Przyjemny zapasik na świąteczny weekend. A co ważniejsze, to początek końca Chuckiego Morfiny. Willey potrafiłby usypać z tych proszków elegancką linię pro-



wadzącą wprost do domu przy Południowej Dziewiątej Ulicy, dostatecznie wyraźną, by prokurator okręgowy nie za-  
błądził.

Brakuje tylko jednego: właściciela tej granatowej wia-  
trówki.

Czerwonego Koleżki.

Ale na pewno wkrótce wróci, jeśli tylko Wildey dopilnuje,  
żeby dziewczyna nie przestawała mówić. Lepiej się scho-  
wać, nie stracić elementu zaskoczenia.

Mamo, on znalazł proszki w woreczku.

Poprawka: dużo wielokolorowych proszków o dziwnych kształtach  
w średniej wielkości woreczku strunowym. Nigdy w życiu takich nie  
widziałam. Nawet kiedy byłaś chora i brałaś najróżniejsze leki prze-  
ciwbólowe.

Gliniarz coś mówi, ale szok tak mnie zmroził, że ledwo rozumiem  
słowa. Jakby pękło mi w mózgu naczynie krwionośne.

Chodzi nie tylko o trawę. Chodzi o piguły! Nie wiem, jakie to są,  
ale na pewno to nic dobrego. Czyli D. diluje pigułami. Chociaż znam  
go od trzech miesięcy, wychodzi na to, że naprawdę gównie o nim  
wiem.

Gliniarz ładuje wielkie cielsko na tylne siedzenie i zamyka drzwi.  
Po co? Żeby sama się zawiozła na komisariat? Czuję, że powin-  
nam coś powiedzieć, zacząć się tłumaczyć. Ja pierdolę, znowu je-  
stem w liceum i jękam się przed zakonnicą.

„Wyluzuj, Wzorowa Studentko. Jak się nazywa twój chłopak?”

„Nie mam chłopaka”. (Prawda).

„Daj spokój, tak ze mną nie pogrywaj. Przecież wiesz, że mówię o tym młodym człowieku, który wysiadł z twojego samochodu. O koleśiu, który właśnie kupuje cheesesteaka. I pewnie czeka, aż po niego podjedziesz. To on mnie interesuje, nie ty”.

„Już mówiłam, że nie mam chłopaka”.

„Dobra, w porządku. Twój wyjątkowy kumpel, wszystko jedno. Parę minut temu miałaś pasażera, prawda?”

Ukłucie lodu przeszywa mi mózg. Więc ten gliniarz nas obserwował. Jechał za nami! Od mety narkotykowej na Dziewiątej Ulicy! Zmuszam się do wzruszenia ramionami. W głębi duszy mam ochotę się rozplakać. Gliniarz na tylnym siedzeniu odpowiada na moje wzruszenie ramionami cichym chichotem. To mnie martwi. Co on wie? Z czego się śmieje?

„Przyniesie ci chociaż cheesesteaka?”

„Nie”.

„Nie?”

„Jestem weganką”.

Strasznie dziwne uczucie mnie ogarnia, zupełnie jakbym naprawdę brała narkotyki, jestem megauważna, niemalże mam wrażenie, jakbym opuściła własne ciało. Pewnie dlatego dostrzegam, że D. człapie po Passyunk Avenue z zawiniętym w papier cheesesteakiem w ręku, niczego nieświadomy, uchachany chwilą, z głową w chmurach i w ogóle, pewnie myśli tylko o tym, jak to w drodze powrotnej na kampus zje tę swoją tłustą bułę ze stekiem i serem, a potem może spróbuje ściągnąć ze mnie ubranie, żeby trochę sobie pouży-

wać przed Świętem Indyka. *Znalazłem kość szczęścia!* D. ciągle żyje w starym świecie, w którym nie obserwował nas policjant, nie zatrzymał mnie i nie znalazł pigułek w kieszeni jego kurtki.

„Ale twój chłopak nie jest weganinem, co? Wiesz ile razy już to widziałem? Gość tu przyjeżdża zaliczyć i przy okazji zjeść cheesesteaka?”

„Nie mam chłopaka”.

„Twój kolega, wszystko jedno. Posiedzimy tu sobie i na niego poczekamy, a potem sprawdzimy, do kogo należą te proszki. Co ty na to?”

Ja na to, że mamy totalnie przejebane. A D. o niczym nie wie. Ale w tej całej hiperjasności umysłu coś mi przychodzi do głowy. Owszem, D. mnie okłamał. Owszem, naraził na ryzyko. Ale nie miał takiego zamiaru. Przecież on tylko potrzebował podwózki. Czy naprawdę mam być tą, która wpakuje go do więzienia? Już jestem tą, która pozwoliła gliniarzowi przeszukać swój samochód. To również moja wina. Nie mogę mu tego zrobić.

Rozumiesz mnie, prawda, Mamo? Nie mów, że na moim miejscu nie zrobiłabyś tego samego.

Kładę dwa palce na manetce kierunkowskazu, a potem przerzucam prawe ramię przez fotel, odwracam się do gliniarza i mówię mu: „Dobra, dobra”.

„Co dobra?”

„Chyba już wiem, co się stało”.

Teraz się uśmiecha.

„Co takiego, Wzorowa Studentko?”

„No więc najwyraźniej ktoś użył mojego auta jako skrytki na narkotyki. Jak pan pewnie wie, Uniwersytet Świętego Judy znajduje się w nie najlepszej dzielnicy”.

„Aha”.

Cyk, cyk. Cyk, cyk.

„Czy z kurtek można zdjąć DNA albo coś takiego?”

Gliniarz wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem zaczyna rechotać z rozbawieniem.

„DNA? Poważnie mówisz? Naprawdę myślisz, że musimy tu odstawiać CSI?”

Cyk, cyk. Cyk, cyk. D., no weź! Podnieś wzrok!

„Jestem przekonany, że znasz właściciela tej kurtki. Wysoki, chudy, jaskrawoczerwone portki?”

Jasne. Znam go i bardzo bym chciała, żeby się, kurwa, ogarnął. Cały czas pociągam za manetkę: Cyk, cyk. Cyk, cyk. Długie światła. Uniwersalny sygnał drogowy oznaczający POLICJA PATRZY! Wiadomo, nie ten kontekst, ale w tych okolicznościach nie stać mnie na nic lepszego. Usiłuję wysłać D. mentalną wiadomość, ale najwyraźniej zamiast tego dociera ona do policjanta na tylnym siedzeniu. Gliniarz nagle porusza się i pochyla.

„Co ty odpierdalasz ze światłami?”

Po dwóch kolejnych rozpaczliwych mignięciach uświadamia sobie, co jest grane, kopniakiem otwiera drzwi i wyskakuje z samochodu. Zawieszenie się kołysze.

„Cholera”.

Patrzę przez przednią szybę. D. nareszcie odebrał wiadomość. Upuszcza żarcie i rzuca się biegiem przez Dziewiątą Ulicę. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby poruszał się tak szybko. Jak gazela umykająca przed drapieżnikiem.

Willey jest w połowie drogi przez jezdnię, kiedy nagle cały świat ucieka mu spod nóg. Chudzielec uderza całym ciałem o siatkowe ogrodzenie po drugiej stronie ulicy, rozlega się metaliczny brzęk, który odbija się echem od pobliskich ścian. Ciężar ciała Wildeya przez moment spoczywa na lewym kolanie, a potem impet niesie go dalej, więc prawym bokiem uderza o asfalt. Piszczą hamulce – Wildeya oblewa blask reflektorów. Jest zdezorientowany. W co on wdepnął, do kurwy nędzy? Kiedy się dźwiga na nogi, czuje zapach, a po sekundzie potwierdza wzrokowo: rozwalony cheesesteak z Pat's, tłuszcz, ser i cebula rozmazane na asfalcie, jakby kanapka popełniła samobójstwo, skacząc z dachu najbliższego szeregowca. Kierowca samochodu, który o mały włos nie przerobił Wildeya na krem kukurydziany, patrzy z góry, widzi odznakę dyndającą na łańcuszku i natychmiast przestaje przeklinać. Willey i tak rzuca mu ostre spojrzenie.

Tymczasem Czerwony Koleżka robi brzęk-brzęk-brzęk po ogrodzeniu, a potem zeskakuje po drugiej stronie.

Willey ostro wciąga powietrze i rzuca się w tamtym kierunku, łapie za siatkę i zaczyna się wspinać. Przejście przez płot zajmuje mu sześć, może siedem sekund. Ale podejrzany ma nad nim sporą przewagę – przebiegł już pół boiska. Wil-

dey rusza za nim, trochę biegnie, a trochę utyka, jakby nagle wyrósł mu guz w lewym kolanie.

- Stać! Policja! - woła, ale za bardzo sapie, żeby brzmiało to stanowczo.

Podejrzany albo nie słyszy, albo ma go w dupie. Pędzi jak strzała, wzniecając kurz na boisku niczym postać z kreskówki gnająca przez pustynię.

Przez kilka sekund czuję podniecenie, że D. udało się uciec, ale potem przypominam sobie, że gliniarz będzie wściekły jak cholera. I że po mnie wróci. Siedzę za kierownicą i rozmyślam o opcjach, jakie mi zostały. Po prostu odjedź, mówi jakiś łagodny głosik. Wrzuć bieg, wyjedź na jezdnię i ruszaj do domu, rano odbierz ojca z lotniska, potem brata, zjedz świąteczny obiad i miej nadzieję, że to po prostu minie...

Ale to by było głupie. Gliniarz ma moje prawo jazdy, dowód rejestracyjny, w jego rękach znajduje się całe moje życie.

Teraz dziwnie mi z tym, że kibicowałam D. Naprawdę byłoby łatwiej, gdyby biedak wrócił w kajdankach, a mnie uznano za współwinną albo coś takiego. Wiadomo, tata dostałby szalu, ale lepsze to, niż gdybym sama miała beknąć. Po prostu niewłaściwa dziewczyna znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Wyszłabym z tego... no nie? Bo w sumie co na mnie ma ten gliniarz? Ktoś – ktokolwiek – mógł mi tę kurtkę z dragami podrzucić, prawda? Fakt, numer może nawet by wypalił, gdyby nie to, że policjant widział, jak przyjeżdżam z D., jak D. wchodzi do domu, a potem odjeżdżamy.

Wydaje mi się, że mija wieczność, aż wreszcie gliniarz wraca, kulając, jest zdyszany, wygląda jak byk, który rzucił się na czerwoną płachtę. Zbieram się w sobie.

„Wysiadaj z wozu i ręce na maskę”.

Mózg mi drętwieje. Próbuję sobie przypomnieć coś więcej z tamtych nagrań z YouTube’a o tym, jak się zachowywać, gdy cię zatrzymają, ale mam pustkę w głowie, jakby ktoś odciął mi Wi-Fi.

„Wysiadaj z wozu. Już”.

Odpinam pas, otwieram drzwi. Kiedy wychodzę, uderza we mnie powiew zimnego powietrza, schłodzonego przez pobliską rzekę. Goście w za dużych kurtkach przyglądają mi się z drugiej strony ulicy. Nie wiem, co zrobić z rękami. Czy powinnam stać na ulicy obok swojego samochodu, czy przed nim? Ktoś na mnie gwizdże.

„Hej, kotku, sprzedasz mi działkę?”

Gliniarz odkrzykuje:

„Stul pysk i spierdalaj!”

Każę mi stanąć przed samochodem i oprzeć ręce o maskę. Metal jest ciepły od silnika, ale kiedy kładę na nim dłonie, żar natychmiast znika. Słyszę trzaśnięcie drzwi i dociera do mnie, że to moje drzwi, których zapomniałam zamknąć. Nie cierpię, kiedy życie dostarcza megadosadną metaforę tego, jak mocno masz przejebane.

Porucznik Kaz jest na korytarzu, kiedy Wildey wraca na komendę, prowadząc Wzorową Studentkę za ramię. Biedactwo przez całą drogę nie chce patrzeć mu w oczy, zupełnie jakby wbijając wzrok w ziemię mogła sprawić, że to wszystko minie. Przykro mi, skarbie, wpadłaś. Trzeba było słuchać nauczycieli w szkole: nie bądź głupia, nie podskakuj.

- Kogo ja widzę! Mój Dzikus! - woła Kaz.

Willey stara się zachować odpowiednio poważny wyraz twarzy.

- Cześć, Szefowo.

Oddział podlegający porucznik Katrinie Mahoney wie, żeby nigdy, przenigdy nie zwracać się do niej „poruczniku Mahoney”. Mówi się albo „poruczniku”, albo „Szefowo”, ewentualnie „Kaz”, jeśli ktoś bardzo chce się spoufalić. Wszystko dlatego, że Mahoney jest nazwiskiem jej byłego męża, który też pracuje w policji, a nienawidzą się nawzajem z mocą tysiąca słońc. Każdy myślał, że ona po rozwodzie zmieni nazwisko, ale zachowała je, tylko po to, żeby zrobić na złość temu niewiernemu sukinsynowi. (Jeszcze jedna fachowa porada: Ożeniłeś się z policjantką? Nie zdradzaj jej z inną). Parę lat po rozwodzie, po którym nie było co zbierać, Kaz wyładowała w wydziale antynarkotykowym, a jej były w wydziale spraw wewnętrznych, więc z powodu niedawnej akcji prokuratora okręgowego regularnie na siebie wpadali. Przez długi czas było paskudnie.

Ale o dziwo cała sytuacja pomogła Kaz w karierze. Fakt, że były mąż jej nie przyskrzypił, oznaczał, że jest czysta ponad wszelką wątpliwość. Gdyby naruszyła choćby zasady recyklingu, ukrzyżowałyby ją nago na schodach Muzeum Sztuki i zapłacił małym dzieciom, żeby przez cały dzień rzucały w nią kamieniami. Po zeszłorocznych skandalach sam burmistrz mianował Kaz szefową NFU-CS i dał jej wolną rękę, żeby zrobiła porządek i znów nadała sprawom odpowiedni bieg.

Kaz mierzy dziewczynę wzrokiem od stóp do głów.

- Co, zgarnąłeś ją, jak kupowała adderall?

- Trochę grubsza sprawa, Szefowo. Wszystko ci opowiem.

- Coraz młodsze sobie sprowadzasz.

- No co ty, przecież wiesz, że ja lubię starsze babki. Ciągle liczę, że złowię sobie taką w typie Betty White, tylko



uzależnioną od hery.

Wildey ma z Kaz niepewną relację. Ona lubi z nim żartować, nazywa go Dzikusem, mimo że jego nazwisko wymawia się *tildi*, a nie tak jak w słowie *wild*, czyli dziki. On zwykle również odpowiada żartami, co jest dobrym ruchem. Kiedy Kaz budowała struktury nowo powstałego Narcotics Field Unit-Central South, celowo ściągnęła ludzi z całego miasta, żeby rozbić istniejące kliki. Jednocześnie bywała irytująco enigmatyczna i trudna do rozszyfrowania. Szczerze mówiąc, Wildey nigdy nie wiedział, jakie ma u niej notowania.

Na początku powiedziała mu, że idealnie pasuje do jej zespołu. Był wtedy tuż po otrzymaniu pochwały za zeszłoroczne odbicie okrytego złą sławą parku przy McPherson Square z rąk dilerów. Przez trzydzieści lat „Park Igieł” był pełen strzykawek, łusek po amunicji i narkomanów drzemających na ławkach. Kiedy dwudziesty czwarty rejon postanowił odzyskać nad nim kontrolę, Wildey był jednym z gliniarzy na rowerach, którzy regularnie nakręcali statystyki aresztowań. Wszystko robił w pojedynkę, co imponujące, nawet biorąc pod uwagę jego rozmiary. (Jeżdżąc na tym cholernym rowerze, zrzucił z dziesięć kilo). Wieści o jego dokonaniach dotarły jakimś kanałem do Kaz. Spodobało jej się, że jest samotnym wilkiem, nie ma żony, nie ma dzieci, właściwie nie za bardzo ma życie poza pracą. Ale jego osiągnięcia do tej pory właściwie ciągle ją rozczarowują. „Draż dalej” to u niej stały refren. Żaden cynk jej nie podnieca. Czasami Wildey ma wrażenie, że lepiej by mu było nadal samotnie zgarniać dilerów na tym swoim rowerze.

Pakuje Serafinę Holland alias Wzorową Studentkę do jednej z klatek dla ptaków – jak nazywają pokoje przesłuchań – a potem idzie zdać raport Szefowej.

- Robię duże postępy w sprawie Chuckiego Morfiny - mówi.

- Kogo? - pyta Kaz.

- Gościa, który moim zdaniem sprzedaje prochy uczniom i studentom w domu przy Dziewiątej. Pamiętasz? We wrześniu ciągle przewijała się u nas ta ksywa. Dwaj moi informatorzy skołowali adres, więc go obserwuję.

- Czyli ta dziewczyna to jego dilerka.

- Ona nie, ale jej chłopak.

- Gdzie on jest?

- Pewnie dalej biega po South Philly.

- To co przy niej znalazłeś?

Wildey opowiada: oxy, dropsy, stopy. Kaz z uznaniem kiwa głową.

- Niezły łup. Jesteś pewien, że ona nie diluje?

- Na sto procent.

Kaz przez dobre pół minuty kiwa głową, a potem spokojnie patrzy Wildeyowi w oczy.

- Do roboty.

Nigdy w życiu nie byłam na komisariacie, ale takiego komisariatu to ja jeszcze nie widziałam. Założyłabym się, że większość nie pachnie chrupkami serowymi, kredą i wybielaczem. I nie ma w nich tablic do pisania.

Może po prostu jest późno, a mnie brakuje snu, ale cały budynek wygląda jak dawna szkoła. Gliniarz, który mnie aresztował - i którego nazwiska wciąż nie znam - prowadzi mnie ciasnym korytarzem, a potem gwałtownie skręca do maleńkiego pokoiku i wskazuje mi krzesło. Poza tym krzesłem w pomieszczeniu jest tylko wgnieciony składany stolik z metalu i stalowoszare regały pod ścianami. Domy-

ślam się, że kiedyś była to szkolna biblioteka. Szkoda, że nie ma tu książek prawniczych.

Wszystkie filmy i seriale policyjne nauczyły mnie jednego: zażądaj prawnika i morda w kubek. Ale choć teoretycznie to bardzo mądra rada, nie umiem się na to zdobyć. Wezwanie prawnika będzie oznaczało, że wszystko stanie się nieodwołalnie prawdziwe. Że dowie się o tym tata. Nie mogę mu tego zrobić. Nie po tym wszystkim, co działo się przez ostatni rok. Bez obrazy, Mamo.

Po drodze gliniarz mówi mi, że jeśli będę mądra, wszystko się jakoś ułoży. Cały czas widzę te woreczki z prochami. Policjant, dumny ze zdobyczy, z uśmiechem podrzuca je w wielgachnej dłoni.

No więc siedzę przy stoliku, trochę zgarbiona, z dłońmi na blacie. Pokój jest mały, duszny, bez okien, pozbawiony wszelkich ozdób. Nie ma nawet oczywistego lustra weneckiego, jakie widuje się w serialach. Jestem nabuzowana i wykończona zarazem. Te dwa odczucia grają w przeciąganie liny z moim układem nerwowym. Kusi mnie, żeby zacząć chodzić po pokoju albo położyć głowę na stole, ale nie robię żadnej z tych rzeczy. Lata spędzone w szkole katolickiej przygotowały mnie do tego momentu. Strasznie chciałabym zamrugać, obudzić się i odkryć, że to tylko mózg chciał mnie solidnie nastraszyć.

Czekam długo. Równie dobrze mogło już wzejść słońce, a tata wkurzony tkwi na lotnisku.

Nie ma zegara, a ja nie mam telefonu, więc mogę się tylko domyślać, po jakim czasie do pokoju nareszcie wchodzi dwoje policjantów. Staram się wyglądać możliwie najniewinniej. W końcu jestem (w zasadzie) dobrą dziewczyną, która znalazła się w złej sytuacji.

Gliniarz, który mnie aresztował, od niechcienia rzuca na stół dwa przedmioty: kapelusz D. i jego granatową wiatrówkę. Przedstawia siebie i swoją partnerkę – która, jak się potem dowiaduję, jest jego szefową.

„Jestem posterunkowy Ben Wildey, a to porucznik Katrina Mahoney”.

Posterunkowy Wildey uśmiecha się do mnie, jakbyśmy byli starymi kumplami. Ale jego szefowa świdruje mnie wzrokiem. Ona także ma na ustach uśmiech, ale nie taki ciepły, uspokajający. Raczej taki z gatunku „nakopię ci do dupy”. Przedstawivszy się, siadają za stołem naprzeciwko mnie. Posterunkowy Wildey patrzy mi prosto w oczy, natomiast porucznik Mahoney siedzi odwrócona do mnie bokiem, jakby jeszcze nie chciała się w pełni zaangażować. Gdy się w końcu odzywa, ma rosyjski akcent.

„Lubisz naleśniki z syropem?”

Mrugam oczami. Proponują mi śniadanie? Wiem, że chyba zaraz świt, ale co jest grane?

„Musisz je bardzo lubić, skoro posterunkowy Wildey znalazł w twoim aucie takie rzeczy. Pewnie miałaś ciekawe plany na weekend”.

Naprawdę nie wiem, o czym ona mówi. Posterunkowy Wildey śmieje się pod nosem.

„Nie rozumiesz, o czym mowa, prawda?”

Porucznik Mahoney cmoka.

„Oj, świetnie rozumie. Popatrz na nią”.

„Nie, chyba jej chłopak nie gustuje w takich śniadaniach. Pewnie tylko handluje”.

„O czym wy mówicie?”

Naleśniki z syropem, wyjaśnia policjant, to mieszanka xanaxu i syropu na kaszel z kodeiną. Coś dla dzieciaków, które boją się heroiny. Podobny haj. Zaczynam się jąkać, mówię, że nie tylko nie wiedziałam o naleśnikach z syropem, ale nie znam nikogo, kto by o nich słyszał. To dla mnie kompletna nowość. W ogóle jestem tu przez pomyłkę. Ktoś bez mojej wiedzy ukrył w moim aucie jakiś towar, a teraz...

„No, ostrożnie”.

Posterunkowy Wildey wyciąga rękę przez stół i dotyka mojej dłoni. Ma szorstką skórę.

„W tej chwili masz dokładnie dwie opcje”.

Tymczasem porucznik zajęta jest zdrapywaniem czegoś z paznokcia.

„Możemy postawić ci zarzut posiadania narkotyków z zamiarem sprzedaży. Dostaniesz konkretny wyrok, minimum pięć lat. Nie to, że jesteśmy wredni. Takie są wytyczne federalne, na które nie mamy wpływu. Zanim wrócisz na studia, będziesz miała dwadzieścia parę lat. Wątpię, czy zechcą cię wtedy z powrotem w programie dla wyróżniających się studentów”.

Ta informacja dociera do mnie, ale nie tak do końca. Raczej wpuszczam ją do przedsionka umysłu, skąd da się ją znowu wywalić przez drzwi frontowe. Pierwsza opcja? Kurde, to w ogóle nie jest

opcja. Iść do więzienia?! Nie. To by mi zniszczyło życie. Zabiłoby ojca. I pewnie także zmarnowało życie Marty'emu. Matka nie żyje, ojciec zwariował, siostra w pierdłu. Powodzenia, młody.

Wildey uspokajająco klepie mnie po dłoni.

„A teraz przypomnę ci, że to wszystko może się skończyć. Możesz stąd zaraz wyjść, powiedzmy, za pięć minut... jeśli podasz mi nazwisko chłopaka w czerwonych spodniach, za którym uganiałem się po South Philly”.

Odruchowo prawie je wypowiadam. Ale zaraz wyobrażam sobie stalowe pręty, które wyrastają mi z zębów i wbijają się po drugiej stronie, zatrzaskując mi szczękę. Jeśli powiem, jak się nazywa, wszystko spadnie na niego. A tego nie mogę mu zrobić. Fakt, nie powinien był mnie brać na wypad po prochy. Ale to ja dałam się zatrzymać. Ja byłam tą idiotką, która powiedziała: jasne, przeszukaj mój wóz. Gdyby D. zawiózł ktoś inny, lepiej znalazłby się na zasadach krążenia samochodem, na nieoznakowanych wozach policyjnych i tak dalej. A D. po prostu chciał zjeść cheesesteaka. Mówię sobie: tylko się teraz nie scykaj.

Oznajmiam im, powoli i z przekonaniem:

„Nie znam żadnego chłopaka w czerwonych spodniach”.

Posterunkowy Wildey i porucznik Mahoney wymieniają spojrzenia. Mahoney się uśmiecha.

„Nie znasz chłopaka, co?”

„Nie”.

„Więc narkotyki w samochodzie były twoje”.

„Nie! Nie moje!”

Posterunkowy Wildey znowu odwraca się do mnie, wzdycha.

„Dobra, więc da się to załatwić w jeszcze inny sposób. Nie możemy cię tak po prostu wypuścić, nie po tym, co znaleźliśmy w twoim aucie. Dobra wiadomość jest taka, że możesz odpracować zarzuty. Pracuj pilnie, a będzie tak, jakby nigdy do niczego nie doszło”.

„Jak to? W sensie: jako stażystka w policji?”

Oboje patrzą na siebie, uśmiechając się pod nosem, i nawet nie próbują tego ukryć. Czuję, jak pieką mnie policzki. A pieprzcie się.

„Nie, nie jako stażystka, Wzorowa Studentko. Możesz nam pomóc inaczej”.

„Jak?”

„Możesz zostać tajną informatorką i pomóc nam dorwać skurczybyków, którzy sprzedają prochy twoim kolegom”.

„Że co?”

Wyjaśniają mi. Chcą, żebym była tajną informatorką – moją tożsamość znalazłoby tylko Wildey i jego szefowa. Krótko mówiąc, miałabym kablować. W Filadelfii. Gdzie kapusie regularnie giną.

„Ale ja nic nie wiem. Mówię wam, byłabym najgorszym kapusiem w historii”.

Porucznik Mahoney wstaje i opiera się o stół. Tak mocno świdruje mnie wzrokiem, że aż się wzdrygam.

„No to będziesz się musiała nauczyć. Inaczej zostaje tylko opcja numer jeden”.

Gabinet porucznik kiedyś był gabinetem dyrektora. Nie ma tu zbyt wielu rzeczy Kaz, tylko w doniczce sterczy zdychający kaktus („żebym pamiętała, że każdy fiut może pokaleczyć”) i jest mały radiomagnetofon, z którego prawie nigdy nie leci muzyka, tylko wiadomości na falach średnich. Raz po raz Wildey słyszy, że Kaz puszcza szajs w stylu Billy’ego Joela albo REO Speedwagon, i zawsze chce mu się śmiać.

Kaz staje za swoim biurkiem i stuka palcem w touchpad laptopa. Ona prawie nigdy nie siada. Wildey też stoi, bo wie, że nie zabawi u niej długo.

- Wygląda na to, że dziewczyna będzie tajnym informatorem numer sto trzydzieści siedem - mówi Kaz. - Najważniejsze, żeby stale ją naciskać. Nie odpuszczać. Masz być nieugiętym twardzielem, który nie da jej spokoju. Założę się o dziesięć dolców, że do czarnego piątku pęknie.

- To tylko dziecko.

- To dziecko, które przeszkadza ci w śledztwie. Jeśli chcesz jej pomóc, skłoń ją do gadania, a potem ją stąd zabierz.

- Dobra, podwiozę ją z powrotem do jej samochodu, potem spadam. Będę ci meldował.

- Kochany jesteś, Dzikus.

- Wesołych świąt, Szefowo.

Choć tak naprawdę jutro żadne z nich nie ma świąta. W NFU-CS skończyły się płatne nadgodziny - pociąg z forszą dawno odjechał. Mimo to Kaz oczekuje pracy w tym samym wymiarze godzin i z jednakowym poświęceniem. Wildey



zgodził się i dołączył do zespołu. Nie przeszkadza mu to, bo poza pracą i tak nie bardzo ma co robić. Gry wideo, seriale i filmy nadrobi na emeryturze.

Wildey pokazuje mi, gdzie mogę obmyć twarz, potem oddaje torebkę, spinkę do włosów (przecież to mogła być śmiertelna broń) i komórkę, a potem odwozi do mojego auta na Reed Street. Słońce jeszcze nie wzeszło i wyje wiatr. Ziąb wsiąka mi w kości. Nie wiem, czy trzęsę się ze strachu, czy dlatego, że jest ze dwadzieścia stopni na minusie. Sprawdzam godzinę. Jeśli ruszę dupę, jeszcze zdążę autostradą I-95 na samolot taty. Następuje krępujący moment, w którym – gdyby to była randka – doszłoby do niezdarnej próby pierwszego pocałunku. Ale to totalnie nie jest randka.

Posterunkowy Wildey patrzy na mnie.

„Już wszystko dobrze?”

„Tak. To znaczy... nie. Nie za bardzo”.

„Nie?”

„Nie mam pojęcia, jak to działa”.

„Cholera, a myślałem, żeś wzorowa studentka”.

„Ale nie orientuję się, czego ode mnie chcecie, bo ja nic nie wiem. Jest jakiś podręcznik albo, nie wiem, instrukcja?”

Wildey śmieje się pod nosem.

„Prościej się nie da. Jesteś informatorką. Dostarczasz mi informacje. A ja na ich podstawie działam dalej”.

„Nie jestem dilerką i nic nie wiem o dilerach. Ani na uczelni, ani nigdzie”.

„Tak, jasne, a te worki z prochami magicznie wylądowały w twoim samochodzie”.

„Dokładnie!”

„Przestań pieprzyć, skarbie. Dlaczego go chronisz? Skrzywdził cię? Boisz się, że to zrobi? Bo możemy coś na to poradzić. Ja mogę poradzić”.

Znowu o mały włos nie mówię czegoś głupiego w stylu: „nie zrobiłby mi krzywdy, on mnie prawie nie zna”. A potem sobie przypominam: żaden „on” nie istnieje. Nigdy nie mogę przyznać, że był jakiś on. Muszę się trzymać swojej historyjki – nawet jeśli dziwnej – że byłam dziś w samochodzie sama, jeździłam w kółko, szukając miejsca do parkowania, żeby kupić cheesesteaka dla braciszka w domu. Nie mam pojęcia, jakim cudem ta kurtka i piguły wylądowały na tylnym siedzeniu mojej hondy. Może jakiś ćpun w okolicach uniwersytetu używał mojego samochodu jako schowka.

Ale wiem, że Wildey musiał widzieć mnie i D. razem. Widział, jak go ostrzegłam. Wszystko się zaraz posypie, więc lepiej siedź cicho. Jest wyjście z tej sytuacji, którego nie bierzesz pod uwagę.

„O to chodzi? On cię bije?”

„Nie”.

„Czyli jest jakiś on”.

„Nie, nie ma”.

Wildey wypuszcza powietrze niczym pociąg parowy przed odjazdem ze stacji. Rozglądam się po cichych, lodowatych ulicach i coś mi przychodzi do głowy.

„Nie mogę tego odpracować jakoś inaczej?”

Gliniarz ma autentycznie zdziwioną minę.

„To znaczy jak?”

„No, może dałby mi pan jakiś trop, a ja go sprawdzę? Jestem świetna w researchu. Mogę wam pomóc w ten sposób”.

Wildey się uśmiecha.

„Urocze, Wzorowa Studentko, ale to tak nie działa. To ty masz mi przynosić tropy. Jesteś informatorką. I lepiej, żebyś wkrótce coś dla mnie miała, bo informatorzy, którzy o niczym nie informują, są bezużyteczni. Wiesz, co spotyka takich informatorów, prawda? Bystra z ciebie dziewczyna. Na pewno się domyślasz”.

„Tak”.

„No to słuchaj”.

„Aha?”

„Wiem, że pewnie będziesz chciała o tym powiedzieć staruszkowi, to naturalne. Ale to zły pomysł. Gdy tylko staruszek się dowie, zadzwoni do prawnika. A gdy tylko odezwie się do nas prawnik, twój układ z nami weźmie w łeb. Będziesz musiała odsiedzieć swoje, cokolwiek by mówił. I ja nic nie będę mógł na to poradzić. Zrozumiano?”

„Zrozumiano”.

Wildey daje mi tani telefon na kartę, na którym jego numer jest już dodany do książki telefonicznej. Nazywa go jednorazówką. Mówi, że nigdy nie odbierze; mam się nagrać albo wysłać esemesa, a on odpowie. Mam mieć ten tani aparat przy sobie cały czas, choćby nie wiem co. Potem oddaje mi mojego iPhone'a.

„A tu masz swój. Jak się do mnie nie odezwiesz z jednorazówki, będę na niego dzwonił. Zrozumiano?”

Sięgam po swoją komórkę, ale Wildey drażni się ze mną i nie puszcza.

„Mądra z ciebie dziewczyna, Wzorowa Studentko. Wiem, że postąpisz właściwie”.

# Policja siedzi mi na karku

## **MIĘDZYNARODOWY PORT LOTNICZY W FILADELFIN 28 LISTOPADA**

Kevin Holland budzi się gwałtownie i stwierdza ze zdziwieniem, że jest już z powrotem w Filadelfii. Kiedy odpłynął? To mu się prawie nie zdarza w samolotach. Zwykle nie może zmrużyć oka, zachowuje przytomność przez całą podróż w ciasnocie, półmroku i niewygodzie. Jeszcze dziwniejsze jest to, że przespał również lądowanie. Z drzemki wybudziło go dopiero ostatnie brzęknięcie wyłączanej sygnalizacji „zapiąć pasy”.

Z drugiej strony tak to się właśnie kończy, kiedy człowiek trochę za dużo wypije w lotniskowym barze, a potem praktycznie wleje się w fotel przy oknie.

Zaczął się tak jak zawsze. To znaczy jak kiedyś; Kevin już tak nie robi, to tylko odstępstwo od normy, mówi sobie. Wypił jedno piwo na ukojenie nerwów, żeby ewentualnie zdrzemnąć się w samolocie, chociaż wiedział, że w samolotach nigdy nie sypia. Przy drugim piwie był już gotów na jacka z lodem, no wiecie, tylko jednego, na nerwy, chociaż nigdy nie denerwuje się lataniem. Z jednego jacka zrobiły się trzy i Kevin już wiedział, że to dość, a nawet więcej niż dość, ale jeszcze jeden nie zaszkodzi, a może faktycznie zdrzemnie się w locie, bo jutro Święto Dziękczynienia, więc będzie masa roboty, tak dużo, że ciężko poukładać to w głowie. Ale barmanka, blondynka z fioletowymi pasemkami i śladami ciężkiego życia wypisanymi na twarzy, była już jego kumpelą, więc naląła mu podwójną kolejkę bez dopłaty. A potem musiał pędem złapać torbę, rozliczyć się, pognąć do toalety, żeby się odlać jak z cebra, obmyć twarz,

spojrzeć w lustro i zobaczyć w nim Starego Keva. Hej, gdzieś ty się podziewał, pozerze?

Kevina martwi kompletny brak kaca, który oznacza, że tego ranka nadal jest pijany. Włącza telefon i wysyła esemesa do Sarie. Ona po ułamku sekundy odpisuje mu z parkingu. Jak zwykle niezawodna ta jego córka. „Silna jak byk”, zwykł żartować chrapliwym głosem, kiedy była młodsza, i to wciąż prawda. Diabło mu ulżyło, że zgodziła się go odebrać dziś rano. Podróż pociągami z przesiadką aż do dzielnicy Northeast w poranek Święta Dziękczynienia byłaby przygnębiająca. Kevin nie jeździ samochodem, odkąd w liceum stracił prawo jazdy w najgorszy z możliwych sposobów. Chociaż pozwolono mu znowu jeździć, odmówił. Nigdy więcej nie chciał się znaleźć w takiej sytuacji. Zawsze prowadziła Laura. Potem obowiązki przejęła Sarie. Kevin jest wiecznym pasażerem.

W terminalu zbacza do toalety, żeby ochlapać twarz zimną wodą i sprawdzić, w jakim stanie są jego oczy. Nocne loty nie bez kozery nazywa się czerwonym okiem, ale samolotowe czerwone oko to jedno, a czerwone oko gościa, który jeszcze nie wytrzeźwiał i ledwo widzi, to co innego. Sarie i Marty znają różnicę. Woda przyjemnie chłodzi skórę, a gwar podróżnych przybyłych na święta jakoś podnosi go na duchu. Życie toczy się dalej. Poradzisz sobie.

Pod warunkiem, że podtrzymasz Fikcję, panie Holland.

Fikcja to mechanizm obronny, który Kevin wymyślił tego lata. Wie, że nie będzie on działał wiecznie, ale to bez znaczenia; chwilowo działa całkiem nieźle. To efekt połączenia terapeutycznego przygotowania Kevina oraz jego wyobraźni, stan umysłu skrojony w taki sposób, że dzień po dniu łatwiej radzić sobie ze straszliwą nową rzeczywistością. Jasne, praktycznie to samo Kevin powtarzał swoim pacjentom od lat. Nie myśl o tym, że do końca życia już nigdy się nie

napijesz – to zbyt duże brzemię. Po prostu nie pij dzisiaj. Nie myśl o tym, że już nigdy nie zatracisz się w haju; po prostu dziś nie wbij sobie igły w żyłę.

Fikcja brzmi następująco: nie myśl o tym, że Laura odeszła na zawsze. Że nigdy nie poczujesz, jak przesuwając czubkami palców w górę i w dół po twoim przedramieniu, bo wie, że to cię odpręża – zna wszystkie miejsca, których dotknięcie cię odpręża. Nie myśl, że nigdy nie pocałujesz kogoś, kogo usta smakują mieszanką cynamonu i truskawek. Tamto nienamagalne, cudowne, kruche, piękne, trudne coś, co was łączyło, jest nie do odtworzenia i minęło na dobre. To zbyt wiele do zniesienia dla kogokolwiek.

Zatem: nie ma jej tylko dziś.

Zgodnie z Fikcją Laura Gutierrez Holland po prostu wyjechała do Guadalajary opiekować się matką po operacji stawu biodrowego. Nie będzie jej przez parę tygodni, może trochę dłużej. Nie dzwoni i nie pisze mejli, bo tam są bardzo niestabilne połączenia, ale bez przerwy myśli o mężu i bardzo tęskni za dziećmi.

Nie ma znaczenia, że Kevin wie, że Fikcja jest właśnie tym – Fikcją. Nigdy nie poznał matki Laury i nigdy jej nie pozna. Nie ma pojęcia, w jakim stanie są jej stawy biodrowe. A prawdziwa Laura nie zniosłaby ani jednej doby, w której nie usłyszałaby głosu swoich dzieci. Nie pojmowała, jakim cudem Kevin może podróżować całymi dniami, nie sięgając regularnie po telefon. Nigdy nie jeździła sama, a nawet gdyby, to nie zniosłaby wielu godzin bez kontaktu ze swoimi maleństwami.

Więc dzisiaj jest Święto Dziękczynienia, a Laury tu nie ma, bo zajmuje się matką w Guadalajarze. Zjedzą razem skromny posiłek, bo w Meksyku nie obchodzi się tego święta – zresztą Laurze i tak zawsze wydawało się ono dziwaczne.

Trzeźwiej, Kevin, masz w to święto obowiązki.

Wychodzi z łazienki, ciągnąc za sobą torbę na kółkach.

Sarie podjeżdża pod zatłoczony krawężnik i chyba się cieszy, że go widzi. Kevin mocno ściska córkę przed otwartym bagażnikiem, mając nadzieję, że pięć miętówek oraz zimne poranne powietrze dostatecznie zamaskują przepiękną woń *eau de Daniels*, która z pewnością bije z porów jego skóry.

- Jak impreza? - pyta.

- No wiesz, w zasadzie tak, jak się spodziewałam - odpowiada Sarie. - A jak San Diego?

- Praktycznie cały czas byłem zajęty, ale udało mi się wymknąć do Dzielnicy Lamp Gazowych na mały spacer.

Kevin powiedział dzieciom, że jedzie na kilka dni z wizytą do dawnych kolegów z pracy w ośrodku. Co było zgodne z prawdą. Nie wspomniał natomiast, że stara się tam o pracę. I nie wspomni - dopóki posada nie będzie pewna, a umowa podpisana.

- A do La Jolla nie? - pyta Sarie.

- Po co miałbym tam jeździć? - odpowiada ostro Kevin i natychmiast powraca krępująca cisza.

Dlaczego Sarie o tym wspomniała? Oczywiście dla niej to przyjemne wspomnienie; Kevinowi brutalnie natomiast przypomina, że Fikcja to Fikcja. Kevin dokonuje analizy kryminalistycznej we własnym mózgu i uświadamia sobie, że chyba warknął na córkę. Kurwa.

- Pewnie na koniec imprezy jak zwykle odwiozłaś Tammy do domu? - pyta, kiedy Sarie wjeżdża na I-95. W górze wyją samoloty. W ten najruchliwszy dzień w roku wszyscy śpieszą się do domów.

- Nie. Nie przyszła.

- Serio? A to wywłoka!

Sarie chichocze.

- No cóż.



- Więc byłaś tam sama?

- Znam parę osób z trójki, więc nie było źle. I zanim zapytasz: ograniczyłam się do jednej puszki piwa, do którego modliłam się czule przez cztery godziny.

*A do ilu ty się ograniczyłeś, Kevin?*

- Myślę, że potrafisz znieść trochę więcej niż jedno piwo, Sarie. Nie zaszkodziłoby ci trochę, nie wiem, rozrywki.

- To piwo nie było za dobre. Poza tym jeszcze nie zdążyłam przygotować dodatków na obiad. I nawet się nie wzięłam za farsz. Kiedy wróciłam do domu, byłam wykończona, więc od razu padłam, a potem wstałam, żeby przyjechać po ciebie, i...

- Nie martw się. Mamy cały dzień. Poważnie.

Honda civic mijają najbardziej przygnębiające widoki, jakie ma do zaoferowania Filadelfia. Opuszczone pola przemysłowej brei oraz kilka rafinerii, które ledwo zipią. Buchający ogień w oddali. Dym. Zachwaszczone bagna i wysypiska śmieci. Turyści muszą być w szoku, kiedy lądują i łapią takówkę do Miasta Braterskiej Miłości, a droga wygląda tak, jakby wjeżdżali na plan *Łowcy androidów*.

- Tato?

- Tak?

- Zawsze mi powtarzałeś, żebyś ci mówiła, kiedy coś się stanie, cokolwiek by to było, prawda? I nie dostaniesz szachu?

Kevina ściska w żołądku. Jasne, wypowiadając tamte słowa, pewnie mówił szczerze. Ale to jeszcze nie znaczy, że chce usłyszeć te, które padną zaraz. Mroczne myśli od razu wypełniają mu umysł. Myśli o pigułkach gwałtu, wszędobylskich dłoniach i jeszcze gorszych rzeczach. Kevin zerka na córkę. Wydaje się cała i zdrowa, nie ma widocznych sińców. Ale on wie, że to o niczym nie świadczy, i to wywołuje jeszcze mroczniejsze myśli.

- Możesz mi powiedzieć wszystko.

Sekundy między tym ostatnim słowem a kolejnym upływają nieznośnie wolno, dając Kevinowi dość czasu na wymyślenie kolejnych strasznych scenariuszy.

- Ktoś puścił w obieg bongo.

- I...?

Sarie obraca się, żeby na moment spojrzeć ojcu w oczy.

- I co?

- I jak było?

Dziewczyna przez chwilę znów zerka na drogę, żeby się upewnić, że honda z czymś się nie zderzy, a potem ponownie patrzy na ojca.

- Nie spróbowałam, przysięgam, tak tylko... udało mi się zaciągnąć, i podałam dalej. Dlaczego myślałeś, że spróbowałam?

- Nic się nie stało, tylko pytałem. Patrz na drogę.

- Przysięgam, nie wiedziałam, że na imprezie będzie trawa.

- Naprawdę, nic się nie stało. I dziękuję, że mi mówisz.

- Dlaczego miałabym nie mówić?

W podtekście: ja ci mówię wszystko, tatusiu. Co przynosi Kevinowi większą ulgę, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Chociaż tyle w tym roku stracili, on nie stracił jej.

Już prawie docieram do zjazdu na Bridge Street, kiedy nagle wibruje mi serce. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to supertajna gorąca linia konfidentów – telefon, który dostałam od Wildeya. Tak szybko? Wiem, że mam pięć minut na odpowiedź, i to jest tak, jakby w mózgu włączył mi się elektroniczny budzik. Nie jestem z siebie dumna, Mamo, ale zagrywam jedyną kartę, jaką my, kobiety, czasami dysponujemy.

„Yy... tato?”

„Tak?”

„Przepraszam, ale muszę się zatrzymać i iść do łazienki”.

„Za kwadrans będziemy w domu. Nie możesz zaczekać?”

„Naprawdę nie mogę. Wiesz. Babskie sprawy”.

„A. Dobrze. Nie wiem, gdzie możemy...”

Ale ja już namierzyłam cel: przy autostradzie, nieco w oddali, uspokajający czerwony blask neonu sklepu spożywczego Wawa. Tata mówił, że nabijałaś się z nich, kiedy przeprowadziłaś się tu z Kalifornii: *Wha-what?* W całym kraju mają 7-Eleven; my mamy Wawa. Kanapki, napoje gazowane, ciastka – wszystko, co niezbędne w Filadelfii. Ale przede wszystkim: łazienki. Nieważne, czy czyste, bo w rzeczywistości i tak z żadnej nie skorzystam.

Jednorazówka znowu wibruje. Kłopot w tym, że jadę lewym pasem, a zjazd jest już zaraz, więc muszę natychmiast wykonać jakiś karkołomny manewr.

„Spokojnie, Sarie...”

Zerkam we wsteczne lusterko. Czysto, ale pasem pędzi pickup i próbuje zmniejszyć dystans. Zjeżdżam na pas po prawej, potem na następny. Ktoś na mnie trąbi. Spierdalaj, nawet nie byłeś blisko.

„Sarie!”

Potem prawy pas, potem rampa zjazdowa, która dzieli pasy z rampą wjazdową, samochody pędzą w górę z prawej strony, zmuszając inne do uprzejmego zygzakowatego tańca. Nie mam czasu na

uprzejmości. Włączam kierunkowskaz i obracam kierownicę, a wtedy za mną i po prawej rozlega się chór klaksonów tak głośny, jakby dobiegał z mojego tylnego siedzenia...

„Sarie, kurwa mać!”

Ale ja wciskam gaz i jestem już po drugiej stronie, auta przemykają obok mojej hondy, widzę jakąś starszą panią – bez jaj, wygląda, jakby miała z dziewięćdziesiąt lat – która, mijając mnie, pokazuje mi kościsty, wygięty środkowy palec. Delikatnie naciskam hamulec, gdy docieram do świateł na Aramingo Avenue. Ojciec patrzy na mnie, jakby pytał, co jest grane. Znowu wibruje telefon.

Kiedy samochód hamuje z piskiem opon, Kevin Holland błyskawicznie trzeźwieje; adrenalina wypaliła resztki alkoholu. Serce wali mu w piersi, a on potrafi myśleć tylko o tym, że kiedy Marty obudzi się u kolegi, powita go wiadomość, że ojciec i siostra zginęli w wypadku na I-95. To dlatego traci nad sobą panowanie. A przynajmniej tak to sobie tłumaczy kilka chwil po tym, gdy wydziera się na Sarie tak głośno i nieskładnie, że dziewczyna biegnie z samochodu do sklepu, praktycznie cała dygocząc. Mniejsza o Fikcję. Znowu gwałtownie zderzył się z Faktem. A fakt jest taki, że Kevin nie potrafi nad sobą panować. Nad niczym już nie potrafi panować. Jest dupkiem i okropnym ojcem, a dzieci mają już tylko jego. Bóg zabrał niewłaściwą osobę.

**Zapis wymiany wiadomości SMS między posterunkowym Benjaminem F. Wildeyem a tajną informatorką nr 137**

WILDEY: Jesteś?

WILDEY: Daj znać

WILDEY: Nie mów że już zgubiłaś ten telefon Wzorowa Studentko

WILDEY: Czas mija

TI 137: Jestem!

WILDEY: Cześć

WILDEY: Chciałem tylko sprawdzić czy bezpiecznie wróciłaś do domu  
TI 137: Musiałam odebrać ojca  
WILDEY: ok  
WILDEY: gdzie był?  
TI 137: delegacja  
TI 137: muszę iść ojciec czeka w samochodzie  
TI 137: jesteś jeszcze?  
TI 137: mogę iść???  
TI 137: idę  
WILDEY: trzymaj telefon przy sobie wzorowa studentko  
WILDEY: wesołego święta dziękczynienia

Wildey czuje się jak ostatni fiut, traktując w taki sposób zwykłą studentkę. Ale Kaz ma rację - tylko tak można sprawić, że dziewczyna pęknie. Jest inna niż większość informatorów, z którymi Wildey ma do czynienia. Nie trzeba jej kokietować ani straszyć. Po prostu przez cały weekend musi w pełni czuć presję poniedziałkowego terminu. Kaz uważa, że dziewczyna złamie się znacznie wcześniej. „Wyśpi się porządnie i pójdzie po rozum do głowy. Dla żadnego faceta nie warto marnować życia. Zaufaj mi”. Wildey ma nadzieję, że Kaz się nie myli. Nie chce być zmuszony do robienia tego przez cały weekend. *Przepraszam, ciociu M. - muszę chwilę podręczyć taką jedną dziewczynę. Poczęstuj się tą pyszną roladą z indyka.*

Wildey jedzie nieoznakowanym radiowozem z powrotem na Dziewiątą Ulicę i oczywiście na jego dawnym miejscu stoi jakiś samochód. Parkuje gdzie indziej, za zakrętem, a potem prędko wraca pod dom rzekomo należący do Chucckiego Morfyny. Powietrze jest tego ranka lodowate i bardzo dobrze. Nic człowieka tak skutecznie nie budzi. Wildey nie spał już... ile, z półtorej doby? Mówi sobie, że tylko rzuci okiem, zaspokoi ciekawość, a potem pojedzie do domu i położy się na parę godzin przed rodzinnym obiadem.

Okno na parterze ma zamknięte drewniane okiennice. W górnej części drzwi frontowych mieści się romb z dymionego szkła, przez które nie da się zajrzeć. Wildey obchodzi kwartał, po drodze licząc domy. Z tyłu znajduje się zaułek, więc Wildey odlicza tak długo, aż dotrze do właściwego domu. Trafia na mierzące metr osiemdziesiąt ogrodzenie, ale zamkniętą na zwykły haczyk furtkę da się podważyć długopisem i uchylić na kilka centymetrów. Podwórk jest zarosnięte, ale poza tym czyste. W oknach żadnego światła ani śladów życia. Chyba wszyscy odsypiają noc wielkiego handlu.

*Wracaj do domu, Wildey.*

Minutkę, minutkę.

Prokurator okręgowy w jego głowie nie daje za wygraną.

*Czy macie prawdopodobieństwo winy, posterunkowy Wildey?*

Prawdopodobnie, panie prokuratorze.

*To żadna odpowiedź, posterunkowy.*

Lepszej nie dostaniesz.

Bo Wildey musi zajrzeć. Już otworzył furtkę. Żał byłoby nie wejść do środka. Skrada się przez wysoką trawę, nie spuszczać oka z tylnych drzwi domu i z okien, a drugim wypatrując potencjalnych zagrożeń na podwórku. Ukrytej broni, drutów od pułapek, psiego gówna.

Tylne schody są drewniane i skrzypią. Wildey wchodzi po nich ostrożnie, rozglądając się po sąsiednich podwórkach za ciekawskimi sąsiadami. Ciągłe zapomina, że nie jest w mundurze, a na widok czarnego mężczyzny w cudzym ogródku niektórzy nerwowi ludzie w tej okolicy od razu zadzwonią na policję.

Drzwi z tyłu domu są gładkie, bez szyby, ale rolet w oknach nie zaciągnięto do końca. Wildey nie rusza się z miejsca, wychyla się i zagląda do środka. Kuchnia jest

ogołocoła, pusta. Odnowiona i pomalowana, ale nie ma tam lodówki ani kuchenki, są tylko miejsca, w których te sprzęty powinny stać. Co, do chuja? Pomylił się, licząc budynki? Nie. To tutaj. Widzi przez szybę front domu z tym samym szklanym rombem w drzwiach i okiennicami w oknach. Ten dom jest pusty. Więc dlaczego wczoraj przez całą noc bez przerwy przychodzili tu i wychodzili stąd ludzie? Dom na sprzedaż? Nie. Do takiego domu nie wpada się na pięć minut. Poza tym studenci w typie Chudzielca nie interesują się kupnem domu. Nie ma tabliczki agencji nieruchomości. Ten budynek to tylko przykrywka. Chyba że Wildey wczoraj ich wystraszył. Może Chudzielec zadzwonił z ostrzeżeniem i szybko się zmyli.

Sorry, Wzorowa Studentko. Będziesz musiała mi pomóc ich znaleźć.

Jadę do domu w milczeniu. Wiem, że tata podle się czuje, że tak się na mnie wydarł, zresztą trochę miał rację po tym moim wariackim zjeździe z autostrady, ale mam za sobą najgorszą noc w życiu, więc wybuch ojca to już dla mnie za dużo. Pilnuję jezdni, zatrzymuję się przed każdym znakiem stop, ruszam jak najłagodniej spod każdego światła. Unikam Roosevelt Boulevard – gdzie nawet w dobry dzień panuje szaleństwo. Jestem kierowcą idealnym, stosuję się do litery prawa.

Odbieramy Marty'ego, który ciągle śmieje się z jakiegoś żartu zrozumiałego tylko dla niego i jego kolegi. Tata i ja próbujemy robić dobrą minę do złej gry, ale wciąż jesteśmy wściekli i wzburzeni, a Marty też to zauważa, więc milknie zakłopotany. Ma ochotę zapytać, co się stało, jednak wie, że lepiej tego nie robić. Obiad wymaga jeszcze mnóstwa przygotowań, ale w tej chwili nie chcę się niczym zajmować, więc idę na górę do swojego pokoju, trzaskam drzwiami i pa-

dam na łóżko, czyli tam, gdzie powinnam być osiem godzin wcześniej.

Mama Marty'ego Hollanda jest tak jakby pochowana w piwnicy.

Uważała, że pogrzeby to najstraszniejsza rzecz na świecie, dlatego kazała tacie przysiąc, że w mało prawdopodobnym przypadku jej śmierci nie wstrzykną jej do ciała chemikaliów i nie zamkną w skrzynce sześć stóp pod ziemią, tylko skremują. Tata uśmiechał się i zbywał jej zapędy do wyprawy na tamten świat, cytując statystyki, według których mężowie zwykle umierają wcześniej niż ich żony. Ale okazało się, że nie miał racji.

Miesiąc po ceremonii żałobnej prochy mamy zostały rozsypane niedaleko wyspy Coronado, jednego z jej ulubionych miejsc.

Na wpół zakopane w piwnicy są jej rzeczy, zamknięte w kilkunastu plastikowych pojemnikach o ostrym chemicznym zapachu. Ten zapach zostaje na rękach, nawet gdy się je porządnie umyje, choćby i dwa razy. Tata nie mógł znieść myśli o wyrzuceniu tego, co do niej należało, ale nie chciał też codziennie na to patrzeć. Dlatego wszystko wylądowało w rodzinnej pracowni/pralni. Pojemniki – które tata kupił i pewnego wilgotnego niedzielnego popołudnia na początku czerwca w szale załadował do nich rzeczy – stały w kącie, gdzie można by postawić telewizor i skrzynkę od kablówki.

Od tej pory Marty zaczął spędzać tam dużo czasu. W piwnicy jest chłodniej latem, a cieplej zimą, kiedy włączy się grzejnik. Tata zostawia go w spokoju, tak jak zwykle. Czasami Marty musi po prostu otworzyć pojemnik i wyciągnąć któryś sweter mamy – ona zawsze marzyła – żeby upewnić się, że jej zapach wciąż tam jest, że nie zdławiła go woń plastiku. Wie, że za każdym razem, kiedy otwiera pojemnik,



trochę więcej mamy znika. Ale nie umie się powstrzymać. Jakby wciąż potrzebował się upewnić, że jednak istniała naprawdę.

Po raz stutysięczny żałuje, że teraz jej tu nie ma.

Nie tylko dlatego, że jest Święto Dziękczynienia. Ale to właśnie mama zawsze wszystko mu tłumaczyła. Tata nie... ani teraz Sarie. Gdy zadajesz tacie pytanie, właściwie dowolne, zwykle cię zbywa. Nie zawracaj sobie tym głowy. Nie do ciebie mówiłem, Marty. To ciebie nie dotyczy, Marty, nie przejmuj się.

Pewnie. Nie przejmuj się. Jasne, tato.

Kiedyś Sarie przypominała mamę, była taką starszą siostrą, która (zwykle) nie uważała go za kretyna i poświęcała mu czas na rozmowę. Ale odkąd poszła na studia, zaczęła zachowywać się bardziej jak tata. *Nie martw się, nie martw się*. Stały refren. I właśnie dlatego Marty wie, że nie ma sensu pytać ich o to, co dziś rano między nimi zaszło, bo usłyszałyby tylko, że to nie jego sprawa i że nie ma się czym przejmować. Ale wyraźnie coś było nie tak. Będzie musiał odkryć to sam.

Otwiera pojemnik, wkłada rękę, dotyka jednego ze starych swetrów mamy. Przez chwilę tęskni, a potem mówi sobie, że ma przestać zachowywać się jak małe dziecko.

Willey mieszka sam w podłej okolicy.

Kiedyś spotykał się z osobą mieszkającą w znacznie lepszej i przez jakiś czas myślał o przeprowadzce. Wydawało się, że nadają na tych samych falach, do czasu, gdy ona zaczęła nadawać o dzieciach, i wtedy Willey uświadomił sobie, że nie ma innego wyboru – musi wyłączyć radio. Przez moment próbował przekonać sam siebie do tego planu, ale znał się aż za dobrze. Wiedział, czego chce, i dzieci nie figu-

rowały na tej liście. Nie opuści tej okolicy. Przynajmniej dopóki ma szansę ją uratować.

Dlatego w ten świąteczny wieczór jedzie po jedyną osobę z rodziny, która nadal żyje i znajduje się na wolności: ciocię M. To „M” jest skrótem od Margaret. Ona zwykle nie pamięta swojego imienia i nie wie, kim jest Wildey. Czasem jakby go poznaje, ale niewiele za tym idzie. Wildey się nie dziwi. Ciocia M. latem skończyła sto lat – pokazali jej ziarniste zdjęcie w programie śniadaniowym *Today* i w ogóle. Dożyła takiego wieku mimo straszliwych przeciwności losu. Wildey żałuje tylko, że nie jest jednym z tych stulatków, którzy pamiętają każdy detal swojego życia, włącznie z tym, co jedli na śniadanie pierwszego dnia w przedszkolu.

- Dzień dobry, ciociu M. - mówi Wildey w holu domu spokojnej starości w Germantown, jakieś dwadzieścia minut drogi od miejsca, gdzie sam mieszka.

Ciocia M. patrzy na niego z uśmiechem, ale widać, że za chują nie wie, kim on jest. Jej umysł stale się resetuje. Dla niej Wildey to po prostu człowiek, który zawiezie ją na ciepły posiłek. Może na koniec korytarza. A może na zewnątrz. Jedno i drugie możliwe. W każdym razie miło się gdzieś ruszyć. Nie jest zbyt głodna.

I całe szczęście. Wildey kiepsko gotuje.

Gdzieś wśród cieni, mgieł i ślepych zaułków umysłu cioci M. kryje się przeszłość, którą on bardzo chciałby odtworzyć. Jej starszym bratem był John Quincy Wildey – pradziadek Wildeya i bohaterski gliniarz, który w latach dwudziestych pracował na podłych, skąpanych w gorzale ulicach miasta. Niewielu było wtedy czarnych policjantów, w zawodzie dominowali Irlandczycy. Ale John Quincy się wyróżniał i raz nawet otrzymał pochwałę od dyrektora do spraw bezpieczeństwa publicznego – generała marynarki i bohatera wojennego – za osiągnięcia w dziedzinie walki z alfonsami,

gangsterami wyłudżającymi haracze i handlarzami nielegalnym alkoholem. Wildey pierwszy raz usłyszał o tym wszystkim dopiero po roku służby w policji, kiedy jakiś stary wyjadacz poprosił go o powtórzenie nazwiska. *Wildey, powiadasz? Spokrewniony z Johnem Q.?*

To rzucone od niechcienia pytanie kazało Wildeyowi iść do głównego oddziału Wolnej Biblioteki przy Vine Street, gdzie odkopał stare wycinki gazet z 1924 roku, czyli z tego, w którym pradziadek wstąpił do policji. Przez cały weekend karmił ćwierćdolarówkami czytnik mikrofilmów, w towarzystwie bezdomnych, którzy kręcili się wśród stołów i udawali, że po raz dziesiąty czytają „Daily News”, tylko po to, by się ogrzać. Wydrukował, co tylko mógł, ale ciągle chciał więcej. Dlatego na eBayu kupił stary rocznik „Philadelphia Record”, żeby trochę poznać tamte czasy – czytał stare ogłoszenia, dziwne artykułki, nawet informacje o pogodzie. Olbrzymia tafla pożółkłego papieru gazetowego kruszyła się na drobne kawałki, już kiedy przyniósł ją kurier. Przekładanie stron było frustrującą czynnością. Przeszłość dosłownie rozsypywała się pod dotykiem Wildeya. Musiał zamiatać pod stołem w kuchni trzy razy dziennie.

Wszystko okazało się prawdą: pradziadek John Quincy Wildey był cholernym policyjnym bohaterem. W tamtych czasach wszystko, co złe, działo się w śródmiejskiej okolicy o nazwie Tenderloin, a John Q. pracował w jej owianym złą sławą ósmym rejonie, zepsutym jak cholera, dopóki do miasta nie przyjechał tamten generał marynarki, żeby zrobić porządek. Wildey czytał te wycinki zafascynowany, aż mu się kręciło w głowie. Jakim cudem wcześniej tego nie wiedział? Dlaczego nikt mu o tym wszystkim nie mówił? Fakt, o pradziadku wspomniano z nazwiska tylko w jednym artykule (i to pewnie z niechęcią, bo wiadomo – czarni). Ale

było mnóstwo tekstów o ósmym rejonie, a Wildey wiedział, że wtedy po ulicach bujał się jego własny przodek.

Przed rozpoczęciem poszukiwań wiedział tylko tyle, że jego dziadek, George Wildey, służył w policji w połowie lat sześćdziesiątych i zginął zastrzelony na służbie. Zostawił synka, George'a juniora - czyli ojca Wildeya. Którego nazwisko też trafiło do gazet. Tylko że z niedobrych powodów.

Wiedza o istnieniu Johna Q. wszystko zmieniała. Przed Wildeyem było w rodzinie dwóch bohaterskich policjantów i jedna czarna owca. To znacząco przeważało szalę.

Dlatego Wildey stara się jak najczęściej jadać posiłki z ciocią M., licząc na to, że coś się w jej umyśle obluzuje i zaleją ją wspomnienia o znacznie starszym bracie, który robił porządki w mieście, kiedy ona była dwunastoletnią czarną dziewczynką dorastającą w slumsach przy South Street.

- Pamiętam ten dom - mówi teraz ciocia M., kiedy prawnuk jej brata wiezie ją po spękanych chodniku do frontowych betonowych schodków, które częściowo się zapadły.

- Naprawdę, ciociu?

- Z tyłu był mój pokój.

Wildey się uśmiecha. Jej pokój z całą pewnością nie znajdował się z tyłu. Nigdy tu nie mieszkała. Wildey kupił ten dom trzy lata temu - za gotówkę. Zapłacił mniej niż za używany samochód. Właściwie nie chciał tu sprowadzać cioci M., bo w Święto Dziękczynienia nie powinna oglądać tak ponurej okolicy. Ale w domu spokojnej starości nie ma kuchni, a spędzenie Święta Dziękczynienia w restauracji nie wchodziło w grę. W taki dzień trzeba gotować u siebie.

Dziś na obiad jest rolada z piersi indyka, która bardziej przypomina mielonkę niż prawdziwego pieczonego ptaka. Nadzienie pochodzi z pudełka, ale Wildeyowi i tak udało się je schrzanić. Pochrzyn z puszki. Fasolka z puszki. Sos żura-

winowy z puszki. Oliwki z puszki. Te oliwki są na przystawkę. Oliwki i krakersy, te drugie z pudełka. Niezbyt smaczne i ciocia M. słusznie je omija. Może część jej mózgu odpowiadająca za bycie smakoszem ciągle działa, bo ciocia instynktownie unika przetworzonych produktów.

- Wina, ciociu?

- Bardzo chętnie.

Zabawne u cioci M. jest to, że nie należy do takich stulatków, którzy odlecieli gdzieś w kosmos. Oczy ma młode i potrafi wbić w człowieka spojrzenie niczym laser. Jest świadoma wszystkiego, co się wokół niej dzieje. Straciła tylko dostęp do wspomnień. Jakby mózg zaplombował dawne sale i korytarze, przekonując, że już nie są jej potrzebne, że w domu wystarczy oświetlić i ogrzać tylko kilka pokoi.

- Opowiedz mi jeszcze raz o swoim starszym bracie - prosi Wildey, podając jej kieliszek pinot noir, które kupił na wyprzedazy w monopolowym.

Ktoś mu kiedyś powiedział, że jeśli za butelkę wina płacisz więcej niż osiem dolarów, to jesteś głupi. Większość ludzi kupujących droższe roczniki nie jest w stanie wyczuć subtelnych różnic. Wildeyowi i tak wszystko jedno. Wino kupił tylko ze względu na święto.

- O kim? - pyta ciocia M.

- O Johnie Quincym. Twoim starszym bracie.

- A, mój John.

Mówi to w taki sposób, jakby pradziadek stał tu z nimi w pokoju. Jakby zwracała się do niego, a nie przywoływała wspomnienie.

Czy ona widzi duchy? Wildeyowi czasem tak się wydaje. (Na to liczy). Jednak ilekroć próbuje z nią takiego zagrania, jakby rozmawiał z medium albo coś w tym stylu, ciocia M. patrzy na niego z wyrzutem tymi swoimi wielkimi oczami. *Nie, na to mnie nie namówisz.*

- Był policjantem, tak jak ja - mówi Wildey.
  - O, John. Jaki on był przystojny.
  - Opowiedz mi o nim.
  - O, John - powtarza ciocia, jakby go przywoływała. Jeśli rzeczywiście, to jej się nie udaje. A potem zapomina.
- Mija kilka długich chwil, po czym Wildey oznajmia, że pora zajrzeć do indyka.

WILDEY: cześć

WILDEY: mam nadzieję że się przespałaś i miałaś czas przemyśleć sprawę

WILDEY: martwię się o ciebie odpisz, dobra?

TI 137: Jestem, zaraz obiad

TI 137: dlaczego się martwisz

WILDEY: Coś sobie pomyślałem

WILDEY: Twój chłopak pewnie wie, że zgarnęła cię policja

WILDEY: Nie zrobi ci krzywdy co?

TI 137: Nie mam chłopaka

TI 137: Serio

TI 137: Jesteś tam? Muszę iść, będziemy jeść

TI 137: nie pisz teraz do mnie idę do stołu

WILDEY: wesołego święta dziękczynienia wzorowa studentko

W kurtce Sarie coś bzyczy. Tata wciąż jest w ogródku za domem, więc tego nie słyszy. Sarie natomiast podrywa głowę jak pies policyjny, który zwęszył bandziora. Robi krok w stronę salonu, gdzie jej kurtka leży przerzucona przez kanapę. Znowu coś bzyczy. Sarie zerka na Marty'ego i prosi go, żeby popilnował marchewek, a potem rzuca się do salonu. Co jest? - zastanawia się Marty.

Parę razy miesza marchewki, a potem podchodzi do drzwi pokoju. Sarie stoi odwrócona do niego plecami, ale jej język ciała wskazuje na to, że pisze esemesa. Wyraźnie to ukrywa. Tylko że ona esemesuje bez przerwy. Po co robi z tego tajemnicę?

Marty ucieka od drzwi, zanim Sarie się obejrzy. Sunie po kuchennym linoleum w skarpetkach, bezdźwięcznie, jeszcze parę razy miesza marchewki, a potem dociera do niego, że czegoś brakuje. Brązowego cukru, którego zawsze dodawała mama. Może teraz jedzą zdrowiej. Kiedy Sarie wraca, Marty prosi, żeby zajęła się marchewkami, bo on musi iść do ubikacji. Spodziewa się, że siostra odpowie coś złośliwego w stylu „dzięki za informację” – ponieważ zwykle rozmawiają ze sobą w taki sposób. Ona jednak wygląda na zamyśloną i nic nie mówi.

Oczywiście Marty nie idzie do ubikacji. Wsuwa rękę do kieszeni kurtki siostry, spodziewając się namacać znajomy kształt jej iPhone'a. Zamiast tego wyjmuje tani telefon z klapką.

Po odwiezieniu cioci M. do domu spokojnej starości z mnóstwem prowiantu, który został z obiadu, Wildey wraca tą samą drogą, jedzie Germantown Avenue, przecinającą North Philly, do Lehigh. Tam skręca w lewo, w kierunku Kensington Avenue – serca tak zwanych Badlands. To tutaj, przy Hope Street, stoi jego trzypokojowy szeregowiec.

Tak, tak, słyszał to już od wszystkich, kiedy się tu wprowadzał. Hope Street, „ulica Nadziei”, w najbardziej beznadziejnej części miasta. Jest nawet mural z Obamą, żeby nikt nie przegapił ironii – chociaż jakiś idiota zamazał sprejem jednowyrazowy slogan pod portretem prezydenta i napisał CHUJ.

Kiedy dwa lata temu Wildey wygadał się, gdzie teraz mieszka, kumple z dwudziestego czwartego rejonu powiedzieli mu, że chyba go pojebało. *Po kiego żeś się tam przeprowadził? Nie wiesz, że gdzie glina pracuje, tam dupy nie pakuje?* W odpowiedzi Wildey tylko się uśmiechał i mówił, że było tanio. *No raczej, że było tanio. Kurwa, chłopie, za*

*mieszkanie tam powinni ci dopłacać. Ale on miał swoje powody i uważał, że lepiej zachować je dla siebie.*

Mieszkanie w Badlands to rzeczywiście dziwny wybór jak na gliniarza.

Od dziesięcioleci tutejsze ulice to największy na Wschodnim Wybrzeżu targ narkotyków pod gołym niebem. W ostatnich latach jeszcze się pogorszyło, bo poszła fama: Szukasz najczystszej, najmocniejszej heroiny? Jedź do Badlands w Filadelfii. Towar trafia tam prosto z meksykańskich karteili, a one się nie pieprzą! Zdarzało się, że ćpuny przyjeżdżały po działkę aż z Florydy czy Maine, ale większość trafiała tu z innych (lepszych) dzielnic i z przedmieść bliższych lub dalszych. Przez lata pracy w tej okolicy Wildey widywał coraz więcej białych z przedmieść. I to nie tylko młodzież. Profesorów w średnim wieku. Księgowych. Mamuśki i tak dalej.

Szybko rozszyfrował, jak to się dzieje. Większość dobrze sytuowanych białych dzieciaków nie jeździ w niebezpieczne i obsadzone policją okolice tak dla jaj. Zwykle zaczynają od podbierania oxy znajomym, potem kupują od drobnego dilerka koło domu. Ale parę lat temu skład oxycontin zmieniono, tak że teraz trudniej się nastukać. Dlatego biali nie mieli wyboru i musieli się przerzucić na heroinę. Towar, który mogli dostać w swoich dzielnicach i miastach, słabo działał. Ogólna zasada brzmi tak: im dalej od centrum, tym towar słabszy i droższy. Krąży taki żart, że na przedmieściach materiał jest tak mocno chrzczony, że czuć tylko wodę święconą.

Nie, oni chcieli mieć dobry towar, a nie było tajemnicą, gdzie go można zdobyć. Dlatego zaczęli krążyć po odcinku między K&A – stacją kolejki nadziemnej El na rogu Kensington i Allegheny – a następną stacją na skrzyżowaniu Ken-



sington i Somerset. Czarni dilerzy obsługują jedną stronę alei, Latynosi drugą.

Większość czasu, który Wildey spędził w dwudziestym czwartym rejonie, pochłaniała niekończąca się zabawa w kotka i myszkę. Byli mundurowi (jak Wildey). Byli tajniacy. Byli narkomani informatorzy, którzy zasuwali jak cholera, żeby odpracować własny syf. Wszystkie trzy grupy brały na cel nabywców. Niektórzy, dojeżdżający z przedmieść, szli w ilość i kupowali naraz po sześćdziesiąt worków – czasami nawet część sprzedawali potem u siebie. Im więcej mieli przy sobie, tym mocniej dostawali po dupie. Ale zwykle trafiała się drobica. Może czasem udało się zgarnąć tak zwanego opiekuna (dilera czuwającego nad rogiem ulicy), ale gracza ze średniej półki bardzo rzadko. Oni byli na to za cwani.

I tak to się toczyło. Komenda policji była z grubsza zadowolona z odstraszającego efektu przygodnych aresztowań, miasto nic nie robiło w kwestii nieprzebranej liczby porzuconych domów służących jako meliny, w gorące letnie noce wybuchały wojny o terytorium, legalni właściciele sklepów i zakładów uznawali, że pieprzą taki interes, i wyprowadzali się gdzie indziej, a wystraszeni mieszkańcy, którzy wyprowadzić się nie mogli, spali w wannach, bo naprawdę się bali, że w środku nocy przebiję im ścianę jakaś zbłąkana kula.

Więc po co mieszkać w takiej okolicy?

Bo Ben Wildey chce być tym człowiekiem, który wreszcie zrobi tu porządek.

Nie teraz, ale kiedyś. Na razie nie ma siły politycznej ani wystarczających osiągnięć, ale dość się naczytał i nagadał, by wiedzieć, jak to zrobić.

Dlaczego tak bardzo chce tu zaprowadzić porządek? Powodów jest dużo. Głównie jednak dlatego, że jego pradzia-

dek pomógł zaprowadzić porządek w Tenderloin. A teraz on chce zrobić to samo w Badlands. Podtrzymać rodzinną tradycję Wildeyów.

Im więcej czyta, tym bardziej jest przekonany, że jego okolica to rzeczywiście współczesne Tenderloin. Ten sam syf, inna dekada. Tak jak dziewięćdziesiąt lat temu, teraz też praktycznie nikt nie tyka tematu. Nikt nie udaje, że tutaj posprząta, chyba że ktoś wreszcie to robi samą siłą woli.

Wildey przejeżdża aleją, tylko po to, by zobaczyć, co się święci w ten piękny, rześki świąteczny wieczór.

Jak zwykle gromada ćpunów handluje czystym sprzętem i suboxami. Igła za dolca, subox za dychę, a za dodatkowe piątaaka wskażą ci róg, gdzie kupisz najlepszy materiał.

Jest trochę samochodów z rejestracjami spoza stanu - to nie ulega wątpliwości. Gdyby Wildey nadal pracował w dwudziestym czwartym rejonie, byłby to wystarczający pretekst do zatrzymania auta. Widać też porządniejsze bryki, a ruch dzisiaj spory. Nastął długi świąteczny weekend, a ludzie potrzebują towaru. Niech kupują. Na razie. Wildey niedługo po nich wróci.

Znowu wjeżdża w Leheigh, a potem w beznadziejnie wąską Hope Street. Te kwartały wytyczono na długo przed powstaniem samochodu, więc nie ma gdzie parkować, chyba że wjedzie się na chodnik. Co niektórzy robią. Wildey stawia swój aktualny samochód do obserwacji na pustej działce obok domu. Ktoś spróbuje mu go ukraść? Wszystko jedno, załatwi sobie następny. Ale nikt nie próbuje i nikt nie dobiera się do domu Wildeya. Zadbął o to, żeby rozeszły się wieści: tu mieszka psiarnia. Jasne, ma kraty w oknach, ale większości włamywaczy by to nie zatrzymało. Nie, ich powstrzymuje wiedza, ile zarabia gliniarz. To nawet krat nie jest warte.

Niemniej jednak poprzedni lokator tego miejsca handlował papierosami moczonymi w PCP. Od czasu do czasu do drzwi Wildeya pukają narkomani i spotyka ich największa niespodzianka w życiu, kiedy on otwiera im w mundurze. „Co, zmieniliście zdanie?” – pyta, ledwo tłumiąc śmiech, kiedy popylają po wąskiej ulicy.

Wracając na Hope Street, Wildey myśli o Batmanie i Robinie.

Zwłaszcza o Robinie.

Kiedy zaczynał służbę w Badlands pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Batman i Robin byli najbardziej pracowitymi gliniarzami z antynarkotykowego działającego w terenie. Obaj czarni, pod trzydziestkę, nie bali się niczego. Wbijali bez ostrzeżenia, a chłopaki na czatach krzyčili: „Ej, Batman i Robin idą!”. Ich prawdziwe nazwiska dla nikogo nie miały znaczenia, a oni nie szukali rozgłosu. Lokalne gazety i tak się o nich dowiedziały i zrobiły o nich duży materiał.

Ale w tamtych czasach Wildey nie czytał gazet. Siedział wtedy w domu, jednak lubił, kiedy Batman i Robin się pojawiali, bo można było wyjść na dwór bez strachu, że coś ci się stanie. Najbardziej lubił Robina, bo przynosił piętnastoletniemu Wildeyowi komiksy i pytał: „Co słyhać na ulicy, młody?”. Nie oczekiwał prawdziwych informacji, tak go tylko zagadywał.

Niedługo po ukazaniu się materiałów w prasie gang narkotykowy wyznaczył za głowę Batmana i Robina pięć tysięcy dolarów nagrody. Płatki, którym wydawało się, że są Tonym Montaną, zostały szybko wyłapane – kto grozi gliniarzom w Filadelfii, ten długo nie pochodzi na wolności. Batman i Robin tylko wzruszyli ramionami.

To właśnie z powodu Robina Wildey pięć lat później wstąpił do policji. Jasne, wiedział o dziadku gliniarzu, ale nigdy go nie poznał. Za to Robin to był autentyk. Pokazał mu, jak

być czarnym policjantem w Filadelfii. Kiedy Wildey zaczął służbę, skontaktował się z Robinem, żeby mu podziękować. Robin powiedział, że go nie pamięta, ale i tak jest z niego dumny. „Czyta pan jeszcze komiksy?” – zapytał Wildey. Robin tylko się zaśmiał. „Nigdy nie czytałem. Były dla was, młodziaków, boście mówili na mnie Robin”. Tak, Robin był jego bohaterem.

To znaczy aż do bieżącego roku.

W tym strasznym, szalonym roku Batman okazał się jednym z „brudnej szóstki” policjantów wyrzuconych z NFU. A Robin...

Och, Robin.

Pod koniec maja aresztowano go, kiedy okradał dilerę w Southwest Philly z narkotyków i pieniędzy. FBI urządziło zasadzkę z pomocą tajnego informatora. Robina, gliniarza z dwudziestoczteroletnim doświadczeniem, złapano z piętnastoma dolcami w kieszeni i dwoma kilogramami zioła w kurtce. Federalni mieli nagrania, na których przyznawał się do wszystkich swoich brudów na przestrzeni lat. Nawet związek zawodowy policjantów nie chciał nim sobie zawracać głowy. Wildey – który teraz już czytał prasę – wpatrywał się w obrzmiałą twarz Robina patrzącą na niego z gazety. *Wybacz, że cię rozczarowałem, młody. Ale ulica mnie pokonała. Ciebie też pokona.*

Skandal doprowadził Wildeya do załamania, które trwało aż do Dnia Pamięci – był to dziwnie zimny i deszczowy majowy weekend. Czy mnie też pokona ulica? Czy jestem dobry tylko do czasu, aż zaproponują mi odpowiednią łapówkę?

A potem przyszedł poniedziałek, burmistrz z komendantem policji powierzyli Kaz Mahoney kierowanie nowym antynarkotykowym oddziałem terenowym „nietykalnych” i Wildey uznał, że nie, ulica z nim nie wygra.

Mamo, w to Święto Dziękczynienia niewiele tracisz.

Dziwnie pomyśleć, że rok temu siedziałam w tej samej kuchni i wypełniałam formularze wcześniejszego przyjęcia na Uniwersytet Kalifornijski, wciąż podniecona naszą wycieczką do Los Angeles miesiąc wcześniej. Pamiętasz, jak w czwórkę chodziliśmy po Westwood w ciepłym słońcu Kalifornii? Nie mogłam uwierzyć, że tak może wyglądać moje nowe życie. Ciągle zerkałam na wasze twarze, cały czas spodziewając się usłyszeć od któregoś z was (albo obojga): Przykro nam kochanie, nie damy rady. Ale Ty i tata byliście dziwnie cisi, podziwialiście widoki, trzymając się za ręce. Wtedy wydawało mi się to dziwne, ale fajne. Drugą dziwną rzeczą był ten ból głowy, którego nie mogłaś się pozbyć. Powiedziałaś, że to tylko wina lotu.

Ostatniego ranka naszej wycieczki tata zaproponował spontaniczny wypad do La Jolla. Ty odmówiłaś, bo to trzy godziny drogi w jedną stronę, drugie tyle z powrotem, a potem jeszcze nocny lot. Tata tylko się uśmiechnął i powiedział ci, że dzieci powinny zobaczyć śmierdzące foki. Ja i Marty popatrzyliśmy na siebie – foki? Niby dlaczego foki są takie wyjątkowe? I czemu śmierdzą? Tata dalej naciskał, aż uległaś i pojechałaś, chociaż bolała Cię głowa.

No więc jechałaś szosą numer pięć aż do La Jolla, ładnego, pagórkowatego nadmorskiego miasteczka, zupełnie innego niż Jersey Shore, jedyna plaża, którą wtedy znałam. Tata zarzekał się, że już raz tam byliśmy i oglądaliśmy foki, kiedy miałam trzy lata. Nie kojarzyłam, ale z miejsca zachwyił mnie klimat tego miejsca. Ostra słoność oceanu, mokre schody na niewielką promenadę, skąd można patrzeć na foki wylegające się w małej piaszczystej zatoczce. Uro-

cze zwierzęta, ale rzeczywiście cuchnące, zgodnie z obietnicą. Zarazem piękne i wywołujące mdłości, jak mnóstwo rzeczy w życiu.

To także moje ostatnie „normalne”, szczęśliwe wspomnienie całej naszej rodziny.

Bo cztery tygodnie później, przy stole przed Świętem Dziękczynienia, zapytałam cię o numer ubezpieczenia społecznego. Nie słyszałaś mnie. Latałaś jak koliber między piekarnikiem, blatem, lodówką i kuchenką, gorączkowo usiłując sklecić kolację. Powtórzyłam pytanie: mam, jaki masz numer ubezpieczenia? – i wiedziałam, że mam wkurzony głos, bo pewnie właśnie to zwróciło Twoją uwagę. Twoja mina mnie zaskoczyła. W połowie kolacji przeprosiłaś i wstałaś od stołu. Chciałaś pójść do łazienki na parterze, ale nie doszłaś. Nic nie rozumiałam aż do momentu po kolacji, kiedy Ty i tata powiedzieliście, żebym chwilę zaczekała, bo macie mi coś ważnego do powiedzenia. Wtedy zapadła się pode mną ziemia.

Nie mów Marty’emu, prosiliście. Więc nie powiedziałam.

Dwanaście miesięcy później to ja latam po kuchni, a Marty siedzi przy stole z iPodem. Jak przewidziałaś, to urządzenie praktycznie przyrosło mu do rąk. Choć powietrze na dworze jest lodowate, tata jest w ogródku za domem, bo wymyślił sobie, że zgrilluje indyka, którego kupiłam dwa dni temu. Nie jem mięsa, ale on żartuje, że może zmienię zdanie, kiedy ten drań wyląduje na ruszcie. Odpowiadam, że wątpię.

Nie tak to powinno wyglądać. To ja dziś rano powinnam przylecieć z Kalifornii. Gdybym tam mieszkała, do niczego by nie doszło. Nie zostałabym szpiclem, nie groziłoby mi więzienie, chyba że zrobię coś, czego wiem, że zrobić nie mogę.

Kurwa, w tej chwili powinnam martwić się co najwyżej tym, jakim cudem w porę doczytam *Krytykę czystego rozumu* Kanta, żeby zdążyć na wyjazd do Venice Beach ze znajomymi. Albo wieczorem zmagać się z poważną piątkową decyzją: balowanie w Westwood kontra wypad do Los Feliz do tamtej fajnej niezależnej księgarni, którą znalazłyśmy razem rok temu. (Pamiętasz ją, Mamo? Nazywa się Skyli-ght. Pamiętasz, jak Ci obiecałam, że będziemy tam chodzić zawsze, kiedy mnie odwiedzisz?)

Wpatruję się w plecy taty i myślę, że powinnam mu powiedzieć. Nie wszystko, ale dostatecznie dużo. Ułożyłam sobie w głowie pewną wersję. Taką bez wplątywania D., bo to nie byłoby lepsze niż wydanie go Wildeyowi. Znasz tatę. Wypaliłby w D. z dwururki: „Spróbuj jeszcze raz spojrzeć na moją córkę, a serce ci wyrwę” (zatroskany ojciec) plus „Hej, chłopie, pomogę ci się z tego wyrwać” (zatroskany terapeuta uzależnień).

Więc może bym mu powiedziała, że wolontariatem na policji wyrabiam nadobowiązkowe punkty na studiach? Że prowadzę obserwacje do referatu? Nie, to by nie przeszło. Nie mam zajęć z prawa karnego i tata o tym wie. A nie podciągnę tego pod żaden przedmiot z trójki (beatnicy, starożytna Grecja).

Więc... nie. Nie mogę o tym wspomnieć. Nawet zasugerować. Rozmowa z Tobą taka jak teraz to jedno; rozmowa z tatą to zupełnie co innego. Tata wciąż jest niezwykle ostry w takich sprawach, mimo wydarzeń z zeszłego roku. Przez ostatnie cztery lata nasza relacja przypominała relację byłego więźnia z kuratorem sądowym, który w zasadzie jest przyzwoitym facetem i autentycznie chce ci pomóc. Ale i tak weźmie cię za dupę, jeśli choć pomyślisz o tym, żeby skrewić.

Teraz tata wyłożył indyka na jednorazową tackę z aluminium. Podnosi ją i odwraca się podekscytowany.

„Otworzysz mi drzwi do ogrodu?”

„Naprawdę chcesz to zrobić?”

„Już ci mówiłem, zgrilluję drania, chyba że zaczną padać śnieg”.

„Jesteś hardkorem, Staruchu”.

„A jak, Sarie Canary!”

Tuż po Twojej śmierci staraliśmy się z tatą podtrzymywać dawne zwyczaje. Przekomarzanki, gry słowne. Zawsze mówiłaś, że odziedziczyłam po nim to dziwne poczucie humoru. Ale szybko się zorientowaliśmy, że razem z Tobą zabrakło kluczowego elementu: publiczności. Bez Twojego chichotu albo przewracania oczami gry słowne i przekomarzanki straciły sens. Brzmiały jałowo. Przestaliśmy. I tak były do dupy.

Teraz tata jest za domem i próbuje rozruszać grilla, ale to nie to samo. Brakuje mi was tam razem, jak roześmiani stoicie nad paleniskiem, sącząc mrożoną herbatę. Brakuje mi wojen szpiegowskich Marty’ego, które urządzał ze swoimi figurkami na skraju lasu. Brakuje mi udawania, że czytam, a tak naprawdę przysłuchiwania się temu, jak się z tatą wygłupiacie. Brakuje mi zapachu palonego węgla i drewnianych wiórów. Kiedy umarłaś, Mamo, razem z Tobą umarły wszystkie ogrodowe zwyczaje. Kiedy ja albo Marty pytaliśmy tatę o przygotowanie posiłku na powietrzu, jego twarz przybierała okropny wyraz. Coś jak mieszanka poczucia winy i żalu z domieszką gniewu, że w ogóle o czymś takim wspomnieliśmy.



Potem znowu zaczęła się szkoła i tata nie wiedzieć czemu na nowo rozbudził w sobie miłość do ogródka. Pewnego dnia wróciłam do domu i zastałam go czyszczącego grill drucianą szczotką i wodą z węża. Tamtego wieczoru zaczął skromnie: od spiralnych hot dogów dla chłopców i marynowanego tofu dla mnie. Potem rozszerzał repertuar, wymyślając zaskakująco dużo dań warzywnych. Tydzień temu oznajmił, że zgrilluje indyka na Święto Dziękczynienia.

Mam ochotę powiedzieć mu: dzięki, tato, nie trzeba – policja już mnie zgrillowała na komisariacie.

Mam ochotę powiedzieć mu: tato, mam zajebiście wielkie kłopoty, a ty się bawisz w ogródku. Twoja żona nie żyje, a córka pewnie pójdzie do więzienia za narkotyki.

Mam ochotę powiedzieć mu tyle rzeczy, ale przez ostatni rok nie umiałam mu powiedzieć nic. Dlaczego teraz miałyby się to zmienić?

## **FRANKFORD**

### ***29 LISTOPADA***

Okolo godziny 1.30 w nocy tajna informatorka numer 69, dwudziestosześcioletnia dziwka-ćpunka, słyszy hałas.

TI 69 nie jest głupia; domyśla się, że gliniarze celowo przydzielili jej ten numer. No kurwa, bardziej dosadnie się nie dało. Ale niech się śmieją. Właśnie dostała list od kumpeli z Naples na Florydzie. Kumpela pisze, że sprzątnęła pokój na zapleczu, więc TI 69 może do niej przyjechać na Boże Narodzenie, a jeśli się ogarnie, to nawet znajdzie pracę. TI 69 jest pewna, że się ogarnie. Wystarczy, że wyjedzie jak najdalej od tego zimna i mroku, spod jebanej kolejki El, że znajdzie się na plaży, w ciepłym blasku słońca, wśród czystego, świeżego piasku. Jest młoda. Ogarnie się. To miasto i cały jego syf już niedługo będą tylko złym snem.

Kolejka El – na pewno nie będzie tęsknić do jej bezustannego dudnienia zaledwie przecznicę od miejsca, w którym ostatnio sypia.

Ale zaraz.

Nie kolejkę teraz słyszy.

Tylko skrzypienie drewna.

O kurwa, ktoś się włamuje. TI 69 nie jest prawowitą właścicielką tego szeregowca przy Darrah Street – należy on do jakiegoś dilerka, który w tym roku trafił do pierdła. Ale to jej kwadrat. Dbą o niego. Wprawia się przed wyjazdem w gości do przyjaciółki w Naples. Dorastała, sprzątając, odkurzając i ogólnie tyrając jak niewolnica u swojej suki macochy – wie, co robić.

Włamu nie tyle się boi, co jest nim wkurzona. Za parę minut złodzieje zobaczą, że nie posiada niczego, co warto wynieść. I będzie musiała od początku kombinować, jak zabezpieczyć drzwi.

- Zły dom żeście wybrali, gnoje! – woła w dół schodów. – Tu nie ma czego kraść!

Odpowiada jej głos, który ją przeraża. Nie dlatego, że sam w sobie jest groźny albo złowieszczy, ale TI 69 ze słuchu umie rozpoznać gliniarza.

- Nie przyszliśmy po twoje rzeczy – mówi głos. – Tylko po ciebie.

Słyszając to, TI 69 łapie torebkę i ucieka przez okno z tyłu. To dlatego wybrała tylną sypialnię – właśnie na wypadek, gdyby musiała ewakuować się w pośpiechu. Przez okno można zeskoczyć na daszek za domem, a stamtąd jeszcze raz na małe ogrodzone podwórko. Wtedy są trzy drogi: w lewo albo w prawo zachwaszczonym zaułkiem – w lewo do Herbert Street, a w prawo do następnego zaułka, prowadzącego z kolei do Darrah albo Salem Street, do wyboru.

Ponieważ gliniarze weszli od frontu, radiowóz pewnie stoi na Darrah, więc najlepszą opcją wydaje się Salem.

Tylko że jeśli to policja, dlaczego się nie przedstawili? Gliny to dupki, ale najpierw mówią co i jak.

A może to nie gliny?

TI 69 ląduje na podwórku i już ma biec do furtki, kiedy jakiś głos za nią każe jej się nie ruszać.

Facet nie jest w mundurze, ale trzyma policyjną broń, a jego kamienna mina to z całą pewnością mina gliniarza. Jest czarny, gładko ogolony i zachowuje się jak ktoś, kto przywykł do tego, że jego polecenia się wykonuje.

- Czego chcesz?

- Ej, tutaj jest!

Gość zawołał do partnerki wewnątrz domu - wrednej laski o ciemnych włosach i oczach, które wydają się prawie czarne. Kiedy ona wychodzi z domu, TI 69 już wie, że ma konkretnie przejebane, bo ani ci dwoje nie są gliniarzami, ani to nie jest włamanie. Przetrwiała tak długo, bo umie czytać ludziom z twarzy. Nic wielkiego. Drobne wskazówki, których nauczyła się od swojej gnidy macochy. Po prostu wie, jaką minę ma ktoś gotowy cię skrzywdzić.

A ta suka, co właśnie wyszła przez tylne drzwi domu, jest aż nadto chętna, żeby komuś zrobić kuku.

Dlatego TI 69 daje w długą.

Pościg dość szybko się kończy. Doganiają ją, zanim jeszcze zdąży zobaczyć latarnie na Salem Street. Bicie jest litościwie krótkie, ale dotkliwe. Traci przytomność. Bywała już bita, ale nigdy tak. Kiedy się budzi, siedzi przywiązana do krzesła i najwyraźniej jest w trakcie tortur, których początku nie pamięta.

- Mów dalej - odzywa się ktoś, ale TI 69 nie ma pojęcia, co mówiła. Mogła mówić cokolwiek. Dziwnie ją pali we krwi, a spod włosów spływa pot. Wbijają jej coś w ramię

i wtedy sobie przypomina. Rzeczywiście mówiła. Mówiła dużo. Mówiła o rzeczach, o których zwykle rozmawia z Wildeyem i tylko z Wildeyem. Nagle już wie, o co chodzi, tak jak wie, że nigdy nie zobaczy Naples, nie poczuje ciepła słońca ani zapachu wiatru. Tylko taka głupia zaćpana dziwka jak ona mogła sobie wyobrazić coś takiego.

Policja nazywa ją tajną informatorką numer 69, ale jej prawdziwe imię i nazwisko to Megan Stefanich. W ciągu dwudziestu czterech godzin jej zwłoki znajdą się pod wodą.

# Joanna Nark

## ***29 LISTOPADA***

No, Mamo, skoro już jestem kapusiem, to powinnam się nauczyć, jak nim być. A tak w ogóle to nie cierpię słowa „kapuś”. Sprawdzam synonimy w internecie i wszystkie są straszne:

Donosiciel

Szpicel

Kabel

Konfident

Wtyka

Kret

Szczur

Judasz

A właściwie dlaczego nie „kanarek”? Pewnie się uśmiejesz. Pamiętasz te głupie piosenki taty o moim imieniu? Sarie Canary, nie kręć gitary. W końcu i kapuś, i kanarek zajmują się śpiewaniem. Dobra, więc wolę być kanarkiem. Lepsze to niż kapuś pierdolony.

(Przepraszam, chyba udziela mi się język D.).

W necie znajduję plik PDF z opisem struktury organizacyjnej całej Filadelfijskiej Komendy Policji. Zespół Wildeya chyba podpada pod

dochodzenia specjalne, które z kolei dzielą się na dwie kategorie: narkotyki i ciężkie przestępstwa. Innymi słowy: prochy i poważne gównno.

Wydział antynarkotykowy ma antynarkotykowe jednostki działające w terenie (przypuszczalnie takie jak oddział „Nikt Nam, Kurwa, Nie Podskoczy” Wildeya), antynarkotykowy oddział uderzeniowy (to przypuszczalnie oddział „Niech Nam Serio Nikt, Kurwa, Nie Podskoczy, Bo Nakopie Do Dupy”) oraz trzecią sekcję o nazwie Intensywne Dochodzenia Antynarkotykowe, na wypadek gdyby na dźwięk dwóch pierwszych ktoś jeszcze automatycznie nie zlał się w gacie.

Czyli przynajmniej istnieją naprawdę.

Wygląda na to, że całą sprawę tajnych informatorów reguluje dyrektywa policyjna numer 15 – instrukcja określająca, w jaki sposób policja ma się obchodzić ze swoimi szpiczlami. Mianowicie: „W kontaktach z informatorami funkcjonariusz policji zachowa profesjonalizm i obiektywizm. Obiektywizmowi informatorów ani etyce postępowania policji nie zagrażą żadne relacje osobiste”.

Słyszysz to, posterunkowy Wildey? Będę miała na ciebie oko.

O Wildeyu nie znalazłam w sieci żadnych tekstów, ale jego szefowa to co innego. Najwyraźniej w komendzie policji jest superważna. Według jednego z artykułów czeka w kolejce do stanowiska filadelfijskiego cara antynarkotykowego. Ale w komentarzach głupki nabijają się z jej rosyjskiego akcentu:

„I co, przymkną Rocky’ego, latającą wiewiórkę?”

„No chyba caryca”

„Zabić łosia i wiewiórkę i zabrać ich koks!”

Po co ja o tym czytam? Przecież mam o czym. Konkretnie o *Cierpieniach młodego Wertera* Goethe’ego jako odbiciu systemu paradygmatów kultury niemieckiej.

Nie mogę się powstrzymać.

Podobno w poniedziałek wydział antynarkotkowy urządził obławę w całym mieście. W South Philly złapali lekarza wystawiającego lewe recepty. Wparowali do jakiegoś szeregowca (ciekawe, czy był tam Wildey), gdzie zastali sześćdziesięcioletniego doktora przy kuchennym stole. Siedział najspokojniej w świecie i wypisywał. Chyba chciał zdążyć przed Świętem Dziękczynienia. Miał też przy sobie trawę wartą siedemset czterdzieści dolarów i piguły warte czterysta dwadzieścia pięć.

Na myśl o pigułach przypominam sobie oczywiście o D., który nie dzwonił ani nie przysłał esemesa. Wiem, że zwił policji, ale można by oczekiwać, że się odezwie, choćby po to, żeby zapytać o swój kapelusz, swoją wiatrówkę, swój woreczek pełen narkotyków.

Tammy też nie odpowiada na moje telefony. Co jest, do cholery? Zrobiłam coś nie tak?

Ostatnio kontaktuje się ze mną tylko posterunkowy Wildey.

WILDEY: Jesteś?

TI 137: Jestem

WILDEY: Coś sobie pomyślałem

WILDEY: Twój chłopak nie wie że cię zgarnąłem. Pewnie myśli że dalej masz jego towar

WILDEY: Więc powinnaś się do niego odezwać i powiedzieć że chcesz mu go oddać

WILDEY: Czaisz?

TI 137: Nie mogę tego zrobić bo nie mam chłopaka!

WILDEY: Zwij go jak chcesz, mnie wszystko jedno

WILDEY: Słuchaj, tak będzie najprościej. Gdzieś się z nim umów, a ja tam będę czekał i go zgarnę

WILDEY: Halo, jesteś?

WILDEY: Odezwij się

WILDEY: Chyba muszę do ciebie zadzwonić

TI 137: Nie mogę wsypać kogoś kto nie istnieje!

Mamo, daję słowo, jak człowiek zacznie szukać, to nie może przestać.

Właśnie przeczytałam artykuł o jednej studentce z Filadelfii, Tracey, uroczej hipisce, sądząc ze zdjęcia w necie (i postów na Facebooku). Kupiła przez internet trochę LSD i popełniła błąd, sprzedając je ludziom w swojej okolicy, z których ktoś okazał się tajniakiem z policji stanowej. Zgarnął ją, dokładnie tak jak mnie. Z tego, co napisała, był bardzo miły i w ogóle, przyniósł jej nawet kawę. (Bierz przykład, posterunkowy Wildey!) Ale potem zagonili ją do roboty, w zamian za niepostawienie jej zarzutów zmusili, żeby wsypała kogoś na Uniwersytecie Drexela, swojej uczelni. Jej tożsamość miała pozostać tajna (znowu: tak jak moja!), ale widocznie narkotykowy światek jest mały, w każdym razie na kampusie, bo ludzie dość szybko się zwiedzieli. Wszyscy zwrócili się przeciwko niej. Poważnie – wszyscy. Na uczelni Tracey należała do różnych grup aktywistów i ze wszystkich została wyrzucona. Teraz zarabia jako petsitterka, ledwo wiąże koniec z końcem, jej życie wygląda dość chujowo. Czyli pewnie ja też mogę się tego spodziewać.

Był też tekst o koleśiu z serwisu do udostępniania zdjęć podpisującym się jako szczur215. Oprócz wrzucania do netu dziwnych porno-selfie, zdjęć broni i swoich fotek od szyi w dół, na których pokazywał



dłońmi znaki gangów, opublikował też zdjęcia i dokumenty sądowe demaskujące świadka dwóch zabójstw związanych z narkotykami. Podpis brzmiał: UJAWNIĆ WSZYSTKIE SZCZURY. Szczur215 okazał się licealistą i nikt nie miał pojęcia, gdzie te materiały znalazł – powinny być zapieczętowane, tylko dla sądu i w ogóle. (Czy właśnie to mieli na myśli Wildey i jego szefowa, kiedy mówili, że moja tożsamość nigdy nie wyjdzie na jaw?)

No i chciałam wymazać z pamięci tekst z „New Yorkera”, który tylko przejrzałam. Ten o uroczej dziewczynie imieniem Rachel, przytkniętej za to, że miała w mieszkaniu trochę zioła. Potem nagle wysłali ją, żeby kupiła prawdziwe dragi i broń od rodziny psycholi kryminalistów gdzieś na Florydzie. W jej torebce umieścili podsłuch, ale to bez znaczenia, bo ktoś tę rodzinę psycholi kryminalistów uprzedził. Przeszukali torebkę, a Rachel gdzieś zaciągnęli. Początkowo policja znalazła tylko jeden kłapek.

Na ciało trafiła po paru godzinach, podziurawione z tej samej broni, którą dziewczyna miała kupić.

Gdy tylko Sarie wchodzi pod prysznic, Marty zdejmuje jej kluczyki z plastikowego haczyka na boku lodówki i wymyka się do hondy civic. Rozgląda się po ulicy w prawo i w lewo. Za zimno, żeby ktoś spacerował albo rozwieszał świąteczne dekoracje, i bardzo dobrze. Nie żeby Marty martwił się ewentualnymi świadkami; przecież do samochodu siostry mógł pobiec po książkę albo inną rzecz, której zapomniała. Nie, najbardziej obawia się tego, że Sarie albo tata wyjrzą przez okno, kiedy on będzie siedział za kierownicą i przekręcał klucz w stacyjce. Jak by to wytłumaczyć?

Na szczęście nie trzeba uruchamiać silnika – wystarczy dostarczyć samochodowi dość prądu, żeby spisać cyfry

z licznika mil.

Nie wypaliłoby, gdyby nie chorobliwa pedanteria starszej siostry Marty'ego. Zawsze kiedy Sarie siada za kierownicą swojego auta (tak naprawdę dawnego auta mamy), zeruje licznik dzienny. Zawsze, niezawodnie.

Po spisaniu liczby mil (50,2) do notatnika w iPodzie Marty wyłącza zasilanie, wyjmuje kluczyk ze stacyjki i jak najciszej zamyka drzwi. Sarie wciąż jest pod prysznicem, kiedy on przemyka do swojego pokoju, uruchamia Mapy Google i zaczyna liczyć. W liczeniu jest dobry. Nie zaskakuje go to, co odkrywa.

Sarie kłamała, mówiąc, gdzie była wczoraj wieczorem.

Czy to dlatego tata jest zły?

Marty wie, że tata sprawdza na jego iPodzie wiadomości, notatki, mejle i tak dalej. To nic. Wygłosił synowi to samo kazanie, które rok temu na Boże Narodzenie wygłosił Sarie: „Te urządzenia nie należą do was, należą do nas, wy je tylko pożyczacie, a to oznacza, że możemy je przeglądać, kiedy chcemy. I będziemy to robić”. Mama była już bardzo chora, więc niewiele mówiła, ale potwierdzała, kiwając głową. I choć przez wiosnę i lato tata się wyłączył, teraz wrócił do sprawdzania iPoda, co można poznać po tym, jak niby przypadkiem przywołuje różne tematy („Ej, co nowego u Adama? Gadacie jeszcze?”). Ale koniec końców technika sprzyja pokoleniu Marty'ego, a nie taty.

Marty włącza swoją ulubioną grę, Diggit, w której buduje się światy. Można w niej stworzyć praktycznie wszystko; on przez ostatnie parę tygodni obsesyjnie konstruował kopię budynku MI6 – Babilonu nad Tamizą. W tajnej sali tortur Marty unosi podłogę i otwiera plik tekstowy zabezpieczony hasłem. Żeby tata się tu dostał, jakimś cudem musiałby pokonać najlepszych szpiegów w Wielkiej Brytanii plus stado zmutowanych owiec z laserami w oczach (autorski wkład

Marty'ego w budynek) plus jeszcze złamać to nowe hasło. Marty jest raczej pewien, że w Diggit tata nawet nie znalazłby Londynu.

Wprowadza do pliku to, co wie do tej pory:

Fakty:

Moja siostra ma jednorazową komórkę.

Kłamała, mówiąc, gdzie była nocą przed Świętem Dziękczynienia.

Wygląda na wyczerpaną.

Jest jeszcze bardziej nerwowa i zestresowana niż zwykle.

Tata był na nią zły, ale teraz już chyba mu przeszło.

Pytania:

Czy okłamała tatę, żeby się z czegoś wykręcić?

Czy moja siostra handluje narkotykami?

## **FRANKFORD**

### ***SOBOTA, 30 LISTOPADA***

Wildey pochłania miskę płatków Sugar Pops i wyjeżdża swoim nieoznakowanym samochodem z zachwaszczonej działki obok domu. Dociera do Kensington Avenue, potem podąża pod ciemnym podbrzuszem El aż do Frankford – kolejnej gównianej okolicy, gdzie ilość strzelanin i prochów przekracza wszelkie normy – aż wreszcie skręca znowu w stronę światła, kierując się ku Mayfair. Zabawne, że wszystko od razu wygląda lepiej, kiedy nad głową nie dudni pociąg.

Pora na sprawdzenie tajnych informatorów.

Wildey ma troje aktywnych informatorów – dwoje konkretnych i jednego trochę zjeba, odziedziczonego po dawnym NFU-CS. Mimo skandalu gość jakimś cudem zdołał utrzymać swoją tożsamość w tajemnicy. A, racja, jest jeszcze Wzorowa Studentka. Ale ona się właściwie nie liczy.

Jedna konkretna informatorka – dwudziestosześcioletnia prostytutka Megan Stefanich – obiecała, że dziś pokaże Wildeyowi jedno takie miejsce w Northeast, gdzie trzymają

narkotyki. Pewnego wieczoru przegonił ją spod El, właściwie nawet nie chciał jej przymknąć, tylko zagnać gdzieś, gdzie byłoby ciepło, ale nawiązali specyficzną przyjaźń. Przez jakiś czas wskazywała mu różne rzeczy za darmo – „złych koleżków”, których trzeba mieć na oku. Teraz wskazuje za pieniądze. Cennik ma następujący: dwadzieścia dolarów za każdy zakup, od stu pięćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu za każde aresztowanie i dodatkowa stowa za każdą broń zarekwirowaną przy okazji. Wildey wie, że cały ten hajs Megan ładuje w żyłę, ale lepiej, żeby dostawała kasę od niego niż od jakiegoś gościa z syfem. Parę razy opowiadała mu o przyjaciółce z Florydy, ale Wildey nie łudzi się, że dziewczyna kiedyś tam wyjedzie. Takie nigdy nie wyjeżdżają.

TI 69 wyraźnie chce zjeść śniadanie na koszt Wildeya, bo umówiła się z nim w knajpie Red Robin Diner w Mayfair. Ciężko tam zaparkować. Wildey przybywa na miejsce, ale po informatorce ani śladu. Lokal zatłoczony, ale i tak nie będą tu rozmawiać o interesach. Nie, chodzi o to, żeby Megan zjadła ciepły posiłek. Pogadają, kiedy wsiądą do samochodu. Wildey zajmuje stolik przy oknie, żeby mieć oko na Frankford Avenue. Kelnerka patrzy na niego. Wildey nie pije kawy, więc zamawia dwa pudełka płatków i karton mleka. Kiedy kończy drugie pudełko, jest 7.51, a jego informatorka wciąż się nie zjawia. Co, do cholery? O 8.02 Wildey jest już w drodze powrotnej do Frankford. Może zasnęła.

Pukanie do drzwi frontowych nic nie daje. Dziwne. Przegapić spotkanie to nie w jej stylu. Jak na ćpunkę jest zadziwiająco punktualna.

Wildey puka jeszcze raz. Sąsiadka parę numerów dalej wystawia głowę, widzi go i szybko chowa się z powrotem. Ja też pani szanownej kłaniam się uprzejmie.

Wie, że powinien się zwijać. I tak ma dziś jeszcze w cholewę roboty. Ale liczył, że spędzi dzień na obserwacji tamtej kryjówki i obrabianiu Wzorowej Studentki przez telefon. Jest już sobota. Kurwa, powinien był pójść na ten zakład z Kaz. Byłby bogatszy o dziesięć dolców.

Ale kiedy odwraca się, żeby odejść, coś go powstrzymuje. Coś jest nie w porządku. Wildey ma przed oczami okropny obraz: swoją informatorkę leżącą w tym domu siną, z igłą sterczącą z ramienia. Zaczyna kluczyć zachwaszczonymi załkami, przeskakuje przez płot na podwórko i naciska kławkę. Drzwi nie są zamknięte. Kurwa. Sięga po broń, wchodzi do środka, a potem sprawdza pokój po pokoju – choć nie jest to duży dom – ale nie znajduje nic niezwykłego. A przynajmniej nic się nie zmieniło, odkąd był tutaj ostatnio. Jedy- na nowość to list do informatorki od przyjaciółki z Florydy. Czyli ona istnieje naprawdę. Píše o słońcu, piasku i tamtejszych centrach handlowych. Może Megan jednak się stąd wyrwie. Może już wyjechała.

Nie, niemożliwe. Wie, że gdyby wyjechała, zanim oczyści swoje konto, opiekun by jej szukał. Więc gdzie się podziała?

### **30 LISTOPADA**

Ciągle nie mam znaku życia od Tammy ani od D. Tak powinnam napisać na okładce tego tajnego dziennika: „Żadnych znaków życia od najlepszej kumpeli i mojego nie-chłopaka dilerka”.

W Tammy doprowadza mnie do szału nasza jednostronna relacja. Kiedykolwiek ona ma kryzys, ja rzucam wszystko, żeby jej pomóc, gdzieś ją zawieźć albo odgarnąć jej włosy z twarzy. Ale kiedy raz – TYLKO RAZ – ja mam naprawdę przejebane? Parę przepaszających esemesów i cisza.

A jeśli chodzi o D.? Serio, chrzanić go.

Teraz nie odzywa się do mnie nawet Wildey. Żadnych esemesów od drugiej trzynaście rano. Nie kumam. W Święto Dziękczynienia i czarny piątek stale truł mi dupę, a teraz nic?

Próbuję dokończyć referaty, Mamo, damę słowo, ale nie mogę się skupić.

Z *Nagiego lunchu* nie rozumiem ani słowa. Oprócz tekstów o narkotykach. To, o dziwo, łapię.

## **FOX CHASE NIEDZIELA, 1 GRUDNIA**

Kevin Holland nie za bardzo wie, co ze sobą robić.

Od jakichś ośmiu lat w czarny piątek bladym świtem zgodnie ze świąteczną tradycją ładowało się dzieci do samochodu i spierdalało. Rodzice Kevina nie żyją, ale irytujący kontyngent ciotek, wujów i kuzynów wciąż oczekiwał wizyt, do czego on nie potrafił się zmusić. Za dużo popieprzonych rodzinnych historii, za dużo oskarżycielskich spojrzeń, a Kevin dość miał tłumaczenia, przeproszenia albo usprawiedliwiania swoich życiowych wyborów. Dlatego wymyślił doroczną ucieczkę po Święcie Indyka. O świcie w czarny piątek razem z Laurą wsadzali dzieci do samochodu z zapasem książek i ubrań wystarczającym na parę dni i po prostu jechali. Cel podróży właściwie był bez znaczenia, pod warunkiem że dane miejsce miało trochę historii i stał tam czysty hotel. Cleveland w Ohio. Portsmouth w New Hampshire. Huntingdon w Wirginii Zachodniej. Annapolis w Marylandzie. Żadnych zakupów, żadnych turystycznych bzde-tów, tylko trochę spokojnego czasu z rodziną. Dzieciom podobała się odmiana, a Kevin miał wygodną wymówkę dla

dalszej rodziny. Ojejku, no tak, przepraszamy, wiecie, jak to u nas jest, ciągle w drodze. Zeszłoroczny wypad odwołali z powodu wycieczki z Sarie do Kalifornii na uczelnię, bo na jedno i drugie nie było ich stać. A w tym roku, bez Laury, Kevin nie widział w tym sensu.

Idzie więc zobaczyć, co robi Marty. Chłopak jak zwykle siedzi z nosem w swoim ulubionym gadżecie. W zeszłym roku te urządzenia stały się w domu Hollandów przedmiotem poważnej debaty: Laura stanowczo im się sprzeciwiała (z wielu uzasadnionych powodów), a Kevin był ich ostrożnym zwolennikiem (pamiętając, jak jego rodzice kategorycznie odmawiali mu wszystkich fajnych rzeczy, które miały już wszystkie pozostałe dzieci w szkole). Ale gdy stało się jasne, że Laura jest chora, i to poważnie, ustąpiła. Smartfony miały być wspaniałymi prezentami gwiazdkowymi – Laura pomyślała, że dzieciom będzie potrzebna jakaś rozrywka przez cały ciężki rok jej leczenia, długie godziny w poczekalniach, długie godziny spędzone samotnie. No i proszę bardzo, niespodzianka: dzieci dostały urządzenia na Gwiazdkę, a dosłownie dzień później straciły matkę. Marty nie tknął swojego aż do lutego, ale potem odkrył jakąś grę o górnictwie i wsiąkł. Trudno było go zmusić do odłożenia tego cholerstwa, ale Kevin uznał, że nie jest to najgorsza rzecz, jaką mógłby robić.

- Hej, będziesz oglądał mecz?

Marty podnosi wzrok.

- Pewnie.

- Super. Ale nie wypij więcej niż pięć czy sześć piw, dobrze? Jutro szkoła.

- Ty też.

Kevin wpatruje się w syna i zastanawia, czy chłopak właśnie mu dogryzł, czy to tylko przewrażliwienie. Marty od razu wraca do swojej gry, więc... tak. Pewnie nic złego nie

miał na myśli. Co nie zmienia faktu, że trafiłby w sedno. W ten weekend Kevin już zdążył wypić sześciopak yuenglinga, a dopiero niedziela. Przed meczem musiałyby skoczyć jeszcze po parę zgrzewek.

Jest kibicem Eagles, ale tylko z automatu. Kiedy człowiek rodzi się w Filadelfii, razem z aktem urodzenia dostaje zieloną i białą farbę do twarzy oraz wielki piankowy palec. Jego ojciec gliniarz (również Martin - Kevin strasznie żałuje, że urządził syna tym imieniem) dosłownie żył meczami, a podczas każdego bez przerwy pił. Nieważne, czy Eagles wygrywali, czy przegrywali - obalał kolejne puszk millera, żeby uczcić to pierwsze i pocieszyć się w przypadku drugiego. Kevin miał trzynaście lat, kiedy ojciec dał mu pierwszy raz spróbować piwa. Zgłupiał wtedy na co najmniej godzinę. I spodobało mu się. W tamtym pierwszym zimnym łyku było DNA, które zostało z nim na całe dorosłe życie, aż do teraz. Więc jebać to, jak powiedziałyby Martin Holland. Otwieramy browara.

Sarie siedzi na dole w pracowni, pisze referat. Wydaje się, że odkąd pod koniec sierpnia zaczęła studia, nic tylko pisze referaty. Kevin sam nigdy nie skończył uczelni, więc czuje się trochę zagubiony, kiedy musi jej coś doradzić. Ilekroć córka sprawia wrażenie zestresowanej, Kevin zaczyna gadać jak terapeuta.

- Sarie Canary, chcesz za parę godzin zrobić sobie przerwę i obejrzeć ze mną i z Martym mecz?

Dziewczyna obraca się powoli, od razu z przeproszącą miną.

- Chciałabym. Ale na ten tydzień mam tyle do zrobienia...

- Ej, parę godzin nie zaszkodzi. Jak obiecasz, że nie wydasz mnie władzom, możemy nawet wypić razem piwo.

- A potem przez resztę wieczoru będę śnięta.



- Daj spokój, przecież na imprezie parę piw wypić, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie. Tylko jedno. I to ledwie. - Mruży oczy. - Sprawdzasz mnie, co?

Kevin zmusza się do śmiechu.

- Aha, znasz mnie.

Dobry Boże. Kevin próbuje wywierać presję rówieśniczą na własną nastoletnią córkę. Pojechało go? Daj dziewczynie pracować. Niech będzie pierwszym Hollandem (z dwojga), który ukończy studia. Idź na górę, stary dziadu, otwórz piwo i obejrzyj Eaglesów. Przestań myśleć o tym, że wciąż nie zadzwonił telefon i że tkwisz w zawieszaniu, dopóki nie zadzwoni.

#### **Plik Diggitt / budynek MI6 / sala tortur nr 6**

Sarie dostaje esemesy, ale prawie od razu kasuje, więc nie mam szansy ich zobaczyć

Jednorazówka Sarie nie odzywa się od piątkowego wieczoru - czy dilerzy miewają wolne?

Tata dużo pije.

Tajnej informatorki numer 69 nikt nie widział. Wildey spędza większość niedzieli, przeszukując Frankwood, a także sąsiednie Mayfair i Wissinoming, a w desperacji również Tory, bo przychodzi mu do głowy, że dziewczyna znowu poszła w ciąg, uznawszy, że skoro nie może jechać na Florydę, wskoczy z powrotem na heroinową autostradę. Jest tam jasno i zimno, ale Wildey nie znajduje nic oprócz zwykłych zagubionych twarzy. A potem coś mu przychodzi do głowy, kiedy wraca do domu we Frankford.

Od frontu nie było śladów włamania, ale Wildey uświadamia sobie, że nie sprawdzał z tyłu. Rusza zachwaszczonym zaułkiem, pod jego stopami chrzęści szkło (i jeszcze gorsze rzeczy). Odlicza domy, aż dociera do piątego z kolei, spraw-

dza furtkę. Otwiera się. Ktoś wyrwał zasuwkę ze starego drewna i cisnął trochę dalej w trawę.

No i proszę – tylne drzwi też wyważone. To nie dowód. Człowiek z Widener Building niekoniecznie by to łyknął. Ale to wcale nie jest dobra wiadomość.

Kto po ciebie przyszedł, Megan? Byłaś komuś winna pieniądze albo przysługę? Jeśli tak, czemu nie przysłałaś do mnie po pomoc? Tak się umawialiśmy.

Wchodząc do domu, Wildey nie wie, czego bardziej się boi – znalezienia ciała Megan czy konieczności powiedzenia o tym Kaz.

## **1 GRUDNIA**

Kiedy tata z Martym oglądają na górze mecz Eagles–Cardinals, ja w piwnicy przeżywam atak paniki, nad którym ledwie panuję. Ilekroć słyszę okrzyki taty i ryk z telewizora, wydaje mi się, że to antynarkotykowy oddział uderzeniowy wyważa drzwi i wpada z bronią w rękę. Wzdrygam się tyle razy, że zaczynam mieć drgawki, nawet kiedy panuje cisza.

Zawsze, gdy jestem pod prawdziwą presją – mija termin referatu, muszę błyskawicznie przeczytać książkę na egzamin o ósmej rano – balansuję na krawędzi kompletnego załamania. Mam wrażenie, że krew mi płonie. Drga mi cholerne lewe oko (właśnie lewe, nie mam pojęcia, dlaczego nigdy prawe). Żołądek się buntuje. Kiedyś tata zobaczył mnie w takim stanie i powiedział, że najlepsze lekarstwo to wstać i odejść. Albo przejechać się autobusem. Albo wziąć prysznic. Nie cierpię autobusów, a gdybym brała prysznic za każdym razem, kiedy się stresuję, moje opuszki palców wyglądałyby jak rodzyнки. Więc zamiast tego chodziłam na spacer do lasu tuż za naszym ogródkiem. Tammy i ja wymykałyśmy się w nocy, łączyłyśmy po ścież-

kach rowerowych i nasłuchiwałyśmy głosów dorosłych. (Dobra, mam, teraz mogę przyznać – Tammy liczyła na to, że ci potencjalni „dorośli” będą pić piwo albo palić trawę, żebyśmy mogły poimprezować. Potajemnie czułam ulgę, że taka okazja nigdy się nie nadarzyła). Najbardziej lubiłam spacerować jesienią, słuchać chrzęstu kruchych liści pod trampkami, oddychać chłodnym, ale dziwnie wilgotnym powietrzem.

Może powinnam pójść do lasu i po prostu się nie zatrzymywać. Znaleźć strumyk i ruszyć jego brzegiem do rzeki. Albo iść w przeciwną stronę, na zachodnie przedmieścia i dalej, aż do słonecznej Kalifornii. Wildey nie zmusi mnie, żebym coś mu powiedziała, jeśli po prostu zniknę, prawda?

Rozważałam taką opcję. Ale nie zrobiłabym tego tacie i Marty'emu.

Dobra... no więc tak. Muszę podkablować jakiegoś diler. Innego niż D. Ale on to jedyna znana mi osoba sprzedająca narkotyki.

Nie mogę go wydać.

Prawda?

Mniej więcej godzinę później, gdy w lesie Pennypack zapada noc, a ja wiem, że kolejny wschód słońca będzie oznaczać, że termin upływa i mam sporą szansę przekonać się, co to znaczy poczuć kajdanki na nadgarstkach i usłyszeć, jak odczytują mi moje prawa, podejmuję, jak mi się wydaje, sensowną decyzję. Wrócę do domu i powiem tacie wszystko. Wszystko oprócz imienia D. Powiem, że to tylko chłopak, którego spotkałam na imprezie i który poprosił mnie o podwózkę do domu kolegi. Powiem, że nawet tam nie studiuje, tyl-

ko mi się spodobał, więc go podrzuciłam, a potem zaczęły się dziać te wszystkie porąbane rzeczy. Powiem, że przedstawił mi się fałszywym imieniem. Potem znajdę prawnika i będę mieć to wszystko za sobą. Bo nie zrobiłam nic złego.

Ale cały ten desperacki plan się rozwiewa, kiedy wychodzę z lasu i widzę D. stojącego w moim ogródku.

Zdarzyło Ci się kiedyś zobaczyć kogoś zniecka i mało nie ześwirować? Bo ja mam coś takiego właśnie teraz. D. jest ubrany w bluzę z kapturem, obie ręce trzyma w kieszeniach. Zmienił spodnie, jaskrawoczerwone chinosy zastąpił brązowymi sztruksami. Na ramieniu trzyma małą torbę podróżną, jakby właśnie wysiadł z autobusu. Bo pewnie wysiadł. Jest bardziej rozmemłany niż zwykle, ale muszę przyznać, że do twarzy mu z takim wyglądem. Chciałoby się wetknąć mu koszulę w spodnie, przygładzić włosy i go przytulić. Kurde, można by pomyśleć, że po tych wszystkich kłopotach, które mam przez tego gnojka, przestanę się zachowywać jak głupia uczennica. Ale jak widać nie.

D. kiwa do mnie głową.

„Hej”.

Ciekawe, co ma w tych kieszeniach. Na ile ja go w ogóle znam? Bam bam bam, to żeby mieć pewność, że mnie nie sypniesz, mała. Gdybym była mądra, zawołałabym ojca albo uciekła do lasu. Zamiast tego jak kretyńka mówię:

„Hej”.

D. szura nogami.

„Możemy pogadać?”

Szybko zerkam na okna na pierwszym piętrze – czy widzę w którymś sylwetkę taty? Nie. Jeszcze nie.

„Jak znalazłeś mój dom?”

„Spis uczestników programu na studiach. Serio, możemy gdzieś dyskretnie pogadać?”

Odwracam głowę i sprawdzam okna, potem tylne drzwi. Tata nie może tego słyszeć. Ani sylaby. Łapię D. za bluzę, która wygląda i pachnie jak nowa, i zaciągam go do lasu. Idziemy ze dwieście metrów ścieżką do miejsca, gdzie strumyk przepływa przez próg i wywołuje nieco białego szumu. Na brzegu znajduje się betonowa płyta, która kiedyś była fundamentem czegoś. Po tylu latach wciąż nie wiem czego, ale znam ją równie dobrze jak nasz taras za domem. Siadamy na niej.

D. patrzy na mnie.

„Wszystko w porządku?”

„Tak”.

„Nie odzywałaś się przez cały weekend. Martwiłem się”.

„Nie mam twojej komórki”.

Mruga zdezorientowany, jakby zakładał, że każda panna w szkole ma jego numer wytatuowany na nadgarstku albo coś.

„Myślałem, że... no wiesz, dasz znać”.

„A ja myślałam, że ty. Znalazłeś mój numer w spisie studentów. Mój numer domowy na pewno też tam jest”.

„Nie chciałem dzwonić na wypadek, gdybyś...”

Urywa, ale umiem sobie dopowiedzieć.

„Co się z tobą stało w środę wieczorem? Przesłuchiwała cię policja?”

„Tak”.

„Co im powiedziałaś?”

„Nic”.

„Dzięki Bogu! Czyli po prostu cię puścili?”

„W pewnym sensie”.

D. mruży oczy.

„Jak to w pewnym sensie?”

Milczę.

„Kurwa. Zwerbowali cię, co?”

Nie mogę na niego nawet spojrzeć. Już mnie przejrzał. Czy to rekord? Czy teraz wali ode mnie wonią *eau de szpicel*?

„Skąd wiedziałeś?”

„Jesteś wolna. I widać, że twój ojciec o niczym nie wie. Nie puściliby cię tak po prostu, skoro znaleźli to, co miałem w samochodzie”.

D. nachyla się do mnie tak, jak to się robi, kiedy tresuje się szczeniaczka i chce mu się spojrzeć w oczy. Jesteśmy tak blisko, że moglibyśmy się pocałować. Albo mógłby mi kazać aportować.

„Opowiedz, co się stało”.

Robię wdech, a potem patrzę na zmarzniętą trawę.

„Jestem tajną informatorką numer sto trzydzieści siedem”.

„Kurwa”.

„Właśnie”.

Przez chwilę milczymy.

„Jeżeli przez to lepiej się poczujesz, to ja mam dwa razy bardziej przejebane. Trzy, cztery razy bardziej”.

„Ty nie zostałeś szpiclem. Policja nawet nie wie, że istniejesz”.

„Sarie, czy ty wiesz, ile towaru było w mojej kurtce? Wiesz, ile kasy wiszę?”

„Sporo było tych piguł, to na pewno. Zaopatrujesz całe miasto Wilkes-Barre czy jak?”

„Wyobrażasz sobie, co mi zrobi Chuckie, jak nie przyniosę mu za to stosu pieniędzy?”

„A wiesz, ile lat więzienia mi grozi? Za twoje dragi? Kurwa, pięć! Minimum! Albo cię wsypię, albo mnie zamkną”.

„Nie zrobią tego”.

„Brzmieli raczej serio”.

„Sarie, nie zrobią tego”.

Nic nie mówimy. Potem D. zaczyna od końca. Chuckie. Ta cała historia z Przyjaciółmi Chuckiego i parkowaniem za friko. Czyli przynajmniej tego nie zmyślił.

„Chuckie to twój diler?”

„Tak. To nie jest jego prawdziwe imię. Nikt nie wie, jak on się naprawdę nazywa, ale mówi o sobie Chuckie Morfina”.

Założę się, że w tym momencie opada mi szczęka.

„Pracujesz dla dilera, który mówi o sobie Chuckie Morfina?”

D. wyjaśnia:

Nikt nie wie, jak naprawdę nazywa się ten facet, bo dilerzy zwykle utrzymują to w tajemnicy. D. mówi, że poznał pana Morfinę przez kumpla (nie chce zdradzić którego), słyszał, że specjalizuje się w zaopatrywaniu studentów – zwłaszcza takich, co boją się zapuszczać po drągi do getta. D. najpierw kupował dla siebie, potem zaczął sprzedawać nadwyżkę znajomym, a potem handlować na serio. Interes uruchomił w wakacje, robił wycieczki na kampus – pod pretekstem niezależnego projektu – żeby uzupełniać zapasy, które opylał znajomym w swoich stronach. Podobno na północy Pensylwanii nie ma nikogo takiego jak Chuckie Morfina i nie można dostać towaru tej jakości. Zwłaszcza farmaceutyków.

W weekend Święta Dziękczynienia miało dojść do ważnej operacji handlowej. Trzy rodzaje prochów wartych łącznie pięć kafli:



1. Dropsy = MDMA, powszechnie znane jako ecstasy

2. Oxy = oxycontin, środki przeciwbólowe

3. Suboxon = teoretycznie pomaga w odwyku od oxy; ludzie lubią go ze względu na spokojne, kontrolowane jazdy; jest nazywany stopami ze względu na kształt tabletek podobny do znaku stop

Pewnie są super na imprezy i znika problem kaca następnego dnia. Nie wiem. Nigdy nie brałam tego gówna, raz się tylko trochę na niby zaciągnęłam z bongi. I nawet to było dla mnie nowe – dzięki D.

Siedzimy w lesie, a ja próbuję to wszystko przetrwać. Trudno pogodzić uroczo niechlujnego chłopaka obok mnie z tą całą narkotykową intrygą.

„Dlaczego to robisz? Kręci cię ten styl życia? Masz zniżkę na towar?”

„Jasne, kręci mnie styl życia. Popatrz na mnie, żyję na całego”.

„Serio, po co ci to gówno, to całe ryzyko? Jesteś wyróżniającym się studentem. Powinieneś się dobrze uczyć, żeby po studiach dostać dobrą pracę i...”

„Kurwa mać, Sarie, w którym ty roku żyjesz? Naprawdę wierzysz w kłamstwo wciskane nam od dzieciństwa? Graj według zasad, a będziesz bogata, sławna, piękna, mądra i te wszystkie bzdety?”

„To jeszcze nie powód”.

„Sarie, nie pierdol. Gra jest ustawiona, a każde pokolenie ma gorzej niż poprzednie. Tak, jestem wyróżniającym się studentem, który

popęłnił ten błąd, że za dużo czytał. Nasi rodzice mieli zmienić świat, no i niespodzianka: zjebali sprawę. Tak jak wcześniej ich rodzice. I rodzice rodziców i tak dalej”.

„Ale dlaczego narkotyki?”

„Dla kasy, Sarie. Robię to dla kasy. Jak każdy”.

„Aż tak bardzo jej potrzebujesz?”

„Jak w przyszłym tygodniu nie wpłacę kwestorowi dwóch kafli, wywalą mnie ze Świętego Judy”.

„A twoi rodzice?”

D. wzdycha.

„Matka zakłada, że chesne płaci ojciec, ale aktualnie z nim nie rozmawia. Z kolei ojciec myśli, że zajmuje się tym matka, i aktualnie on z nią nie rozmawia. A ja nie mam ochoty rozmawiać z tymi bucami, więc zajmuję się sprawą sam, w jedyne możliwy sposób. Jestem dobrym dilerem, Sarie. Mądrym. Ostrożnym”.

„To jakim cudem Wildey zatrzymał mnie w środę?”

„Zastanawiałem się nad tym. Chyba nie chodziło o mnie ani o ciebie. Chyba chodziło o Chuckiego. Bo tamtej nocy dziwnie się zachowywał. Zadzwoił do mnie, kiedy byłem na imprezie – gdzieś koło jedenastej. I powiedział: bierz towar dzisiaj albo nie bierz w ogóle. Sporo sobie trudu zadałem, żeby znaleźć do niego podwózkę rano w Święto Dziękczynienia, a potem na róg Dziesiątej i Filbert Street, skąd odjeżdża autobus do mojej matki. A tu on dzwoni do mnie

i mówi, że na święto wyjeżdża, więc cały towar trzeba zgarnąć w nocy. Albo biorę, albo przepadnie”.

„I właśnie dlatego nagle zachciało ci się jechać do Pat’s”.

„Przykro mi, Sarie. Naprawdę. Nie chciałem cię w to wciągać. Myślałem, że tylko mnie podwieszysz. I miałem ochotę spędzić z tobą trochę czasu”.

„No to ci się spełniło, nawet dwa razy. Korzystaj, bo potem będziesz odwiedzał mnie w więzieniu”.

Jego zboląły wyraz twarzy mówi mi, że zachowuję się jak wredna pinda. Wie, że mnie urządził. Nie muszę mu ciągle przypominać.

Wyciągam rękę, lekko ściskam jego dłoń.

„Rozumiem ten twój problem z rodzicami, naprawdę. Wiesz, czasami wydaje mi się, że z ojcem nadajemy na różnych falach. Albo w kółko kręcimy się wokół jednego: jak bardzo jest do dupy, odkąd nie ma mamy”.

„Nie wiedziałem, że twoja mama nie żyje. Przykro mi”.

Świetnie, teraz jestem jeszcze większą pindą. Znowu ściskam jego dłoń, mówię, że nie ma sprawy, naprawdę. Po długiej, niezręcznej chwili milczenia – bez obrazy, Mamo, ale po rozmowie o zmarłych trudno o coś innego – D. wraca do bardziej naglących tematów.

„Gliny poważnie myślą, że dilujesz?”

„Chyba nie. Ten jeden policjant cię widział. Cały czas próbuje mnie zmusić, żebym cię wydała. Na marginesie, jak następnym razem po-

jedziesz po towar, zostaw te swoje czerwone spodnie w domu. O niczym innym nie mówi”.

„I co mu powiedziałaś?”

„Nic, przysięgam”.

„Nie, wiem. Ale ciekaw jestem, jaką sprzedawałaś im historię. Po co tam byłaś i tak dalej”.

„Powiedziałałam Wildeyowi, że byłam na przejażdżce”.

„Wilderowi?”

„Wildeyowi. Tak się nazywa ten gliniarz”.

Siedzimy w milczeniu. Jest już ciemno. Gdzieś tam ludzie beztro-  
sko jedzą najzwyczajniejsze w świecie niedzielne kolacje. Po chwili  
D. pyta:

„No to co masz zrobić?”

„Znaleźć mu dilerów do jutra do dziewiątej rano. Pewnie nie znasz,  
ha ha, żadnych dilerów, co?”

Wtedy D. dziwnie na mnie patrzy.

**Zapis wymiany wiadomości SMS między posterunkowym  
Benjaminem F. Wildeyem a tajną informatorką nr 137, 1.12,  
godz. 11.12-11.15**

WILDEY: Jutro jest ten dzień

TI 137: Gdzie byłeś?

WILDEY: Zajęty. Policyjne sprawy. Gotowa? A może chcesz mi powie-  
dzieć już teraz, żeby było łatwiej?

TI 137: Nie przez telefon

WILDEY: Masz coś dla mnie?

TI 137: Spotkajmy się jutro  
WILDEY: Cudownie  
TI 137: Gdzie?

# Dil

## **PORT RICHMOND**

***PONIEDZIAŁEK, 2 GRUDNIA***

Wildey umawia spotkanie w oldskulowej taniej restauracji przy Aramingo Avenue, niedaleko Ontario Street. Lokal istnieje od zawsze, nic w nim nie odnawiano. Okrawki smażonych ziemniaków, które dzisiaj zgarniasz widelcem, zapewne były częścią kartofla podanego tu kiedyś twojemu dziadkowi. Wildey lubi tę knajpę, bo czuć tu historię. Do tego jest tania. Za pięć dolców najesz się do syta.

Pierwotnie zaproponował dziewiątą rano, ale Wzorowa Studentka gderwała, że przegapi zajęcia z filozofii o ósmej trzydzieści. Cholera, myśli Wildey. Nie będzie się musiała martwić zajęciami, kiedy założę jej kajdanki.

Bo właśnie tak wygląda następny krok. Nie żeby Wildey chciał ją aresztować, ale jeśli dalej będzie grała na zwłokę, nie zostawi mu wyboru. Wsadzą ją do pokoju, ona wezwie prawnika, a prawnik zobaczy, że wszystko może się dobrze skończyć, kiedy dziewczyna zacznie współpracować. Ale całego dramatu da się uniknąć, jeśli poda nazwisko swojego chłopaka. I właśnie na to dziś rano Wildey chce położyć nacisk.

Kaz założyła się (o dwadzieścia dolarów), że Wzorowa Studentka tego nie zrobi. „Skąd, jest zbyt uparta”. Uważa, że Wildey powinien od razu założyć jej kajdanki i przywieźć na komisariat. Porządnie ją wystraszyć. On jednak odparł, że ma inny pomysł. Nastraszy ją inaczej. „Wszystko jedno, z Bogiem” – odparła Kaz.

Tak więc Wildey czeka w boksie dobre dziesięć minut przed czasem, wypełniając sobą całe siedzenie. Ma gruby kark i szerokie bary, co bywa przydatne w zetknięciu z ćpu-

nem jarającym trawę na ulicy. Ale rozmawiając z Wzorową Studentką, Wildey wolałby nie wyglądać jak potwór. Ona musi w nim zobaczyć wybawienie, swoje koło ratunkowe.

Wzorowa Studentka przychodzi przed czasem, siada w boksie cicho niczym myszka, unika kontaktu wzrokowego. Jest wyższa, chudsza i ładniejsza, niż Wildey zapamiętał.

- Zamów coś - odzywa się Wildey. - Mają tu niezłe omlety. Pasztet też spoko.

- Nie, dziękuję - odpowiada cicho dziewczyna. - Nie jestem głodna.

- Daj spokój, nie może być tak, że ja siedzę i się obżeram, a ty tylko się na mnie gapisz. Wyjdę na niewychowanego. Nie możemy przełamać się chlebem?

- Panie posterunkowy, ja... Niech pan posłucha, nie wiem, jak to zrobić. Nie wiem, co...

Wildey widzi, że zbiera jej się na histerię, i nie chce do tego doprowadzić. Jeszcze nie. Dlatego macha ręką i kręci głową.

- Spokojnie, skarbie. Odetchnij głęboko. Przecież rozmawiamy tylko o śniadaniu.

Chyba podziałało. Kiedy dziewczyna znowu patrzy mu w oczy, bierze głęboki oddech, a potem zaczyna jeszcze raz:

- Posterunkowy Wildey...

- Daj spokój, mów mi Ben. I zamówmy coś.

Paru stałych bywalców obraca się na stołkach, żeby im się przyjrzeć. No, zwyczajny obrazek: gliniarz z antynarkotycznego wielki jak futbolista i jego wysoka biała informatorka.

- Dobrze... Ben. - Dziewczyna wymawia to imię, jakby nie chciało jej przejść przez usta. Potem pojawia się kelnerka, psując nastrój. Wildey opiera się na winylowym siedzeniu i wypuszcza powietrze przez nos.

Kelnerka wygląda tak, jakby gdzieś tak od siedemdziesiątego ósmego cały czas pracowała na tej samej zmianie. Wil-

dey zamawia dwa pudełka płatków Lucky Charms i karton dwuprocentowego mleka. Wzorowa Studentka bierze owsiankę i małą miskę owoców. „Bez kawy?” – pyta kelnerka. Wildey zapewnia, że bez. Kelnerka wyraźnie tego nie pochwała. Kto przychodzi do takiego lokalu i nie zamawia kawy? Tak się nie robi. Ze znużeniem spisuje zamówienie, jakby tłumaczyła coś z łaciny, i odchodzi, szurając nogami. Wzorowa Studentka przez ułamek sekundy patrzy na Wildeya, a potem koncentruje uwagę na blacie stołu. Pastelowe bumerangi. Latające na wszystkie strony.

- Jak ci minęło Święto Dziękczynienia?

Wzorowa Studentka podnosi głowę i mruga.

- Co?

- U mnie była ciotunia. A u ciebie? Obiad z całą rodziną, ciotki, kuzyni, takie tam?

- Nie, tylko nas troje.

- Serio? Czemu?

Wzorowa Studentka wzrusza ramionami.

- Was troje, czyli kto? Ty, twój ojciec i...?

- Młodszy brat. Marty.

- Blisko jesteście?

Wzorowa Studentka znowu wzrusza ramionami i patrzy w stół. Chryste. Myślałby kto, że Wildey próbuje ją namówić na zdradzenie największych, najmroczniejszych tajemnic całej rodziny. Dociera do niego, że to nie działa. Dziewczyna się blokuje. Wildey musi sprawić, żeby się odprężyła, zobaczyła w nim dobrego faceta.

- Ja też już prawie nie mam rodziny. Szczerze mówiąc, została mi tylko ciocia M. Mówiłem ci, że jestem z wielopokoleniowej rodziny gliniarzy?

Przychodzi zamówienie. Wildey zalewa płatki mlekiem, wypełnia miskę prawie po brzegi.



- Tak, mój pradziadek był jednym z pierwszych czarnych policjantów w Filadelfii. Służył w czasach prohibicji, robił porządek w mieście. Byłaś kiedyś w Chinatown w Center City? Dawniej to była dzielnica pełna przestępczości, nazywała się Tenderloin. Właśnie tam pracował mój pradziadek. Dziadek też był gliną, służył głównie w North Philly. Zginął na służbie, zanim się urodziłem. Szkoda, że go nie poznałem.

- A twój ojciec?

- Hm?

- Też był gliniarzem?

Willey chrupie płatki, rozmyślając nad odpowiedzią.

- Nie, muzykiem. - To częściowo prawda, ale nie rozwija tematu.

- Na czym grał?

- Na niezbyt wielu koncertach. I zanim zapytasz: nie, ja nie gram na niczym. Chyba że jako instrument muzyczny liczyć broń palną.

To miał być żart, ale efekt jest odwrotny do zamierzonego. Twarz Wzorowej Studentki lodowacieje.

- Panie posterunkowy, mogę pana o coś zapytać?

- Jasne, słucham. - Nabiera na łyżkę górę lucky charmsów.

- Jak często tajni informatorzy giną?

Willey o mało nie parska na stół różowymi serduszkami, żółtymi księżycami, pomarańczowymi gwiazdkami i zielonymi koniczynami.

- Hę? - mamrocze z ustami pełnymi na wpół przeżutych płatków.

Wzorowa Studentka grzebie w torbie, wyciąga z niej wycinek z gazety i przesuwa go po blacie. Willey jednak nawet nie musi patrzeć na nagłówek. Chodzi o dwa morderstwa opisane w dzisiejszym „Daily News”: 2 OSOBY ZABI-

TE, 3 RANNE W NOCNYCH STRZELANINACH. Pierwszy przypadek to nic takiego. Zwykle zajście typu „Ja mam się pierdolić? To ty się pierdol!”, które rozegrało się na schodkach jakiejś kamienicy pod koniec świątecznego weekendu. Ale ten drugi, zabójstwo trzydziestotrzyletniego czarnoskórego mężczyzny przy użyciu strzelby, popełnione w pobliżu skrzyżowania Drugiej Ulicy i Somerset, to już inna sprawa. Wszystko działo się zaledwie kilka przecznic od domu Wildeya. A w NFU-CS krążą słuchy, że ofiara była czymś szpiclem. Dziennikarz również to zasugerował, na ile tylko mógł, nie stwierdzając tego wprost.

- Dlaczego myślisz, że ten gość był tajnym informatorem?

- Dziennikarz tak pisze.

- Nie - odparł Wildey. - Czytałem ten sam artykuł i tam jest napisane „rzekomo”. I mogę cię zapewnić, że to brednie.

Kolejne kłamstwo, które dołącza do tego o jego ojcu, ale dziewczyny nie można wystraszyć. A już na pewno nie można jej powiedzieć o Megan Stefanich. Wildey musi zrobić coś dokładnie odwrotnego. Właśnie dlatego postanawia przerwać śniadanie i wreszcie przejść do rzeczy. Ma w zanadrzu tajną broń.

- Chodź. Chcę ci coś pokazać.

## **2 GRUDNIA**

No więc dzisiaj Wildey zabrał mnie na Tory, czyli do opuszczonej kolei w samym sercu Badlands. Nie powiedziałam mu, że już wiem co nieco o Badlands. Każdy w Filadelfii wie, przynajmniej z grubsza. Ponieważ tata nie ma prawa jazdy, czasami w święta jeździliśmy do centrum kolejką El, zwłaszcza kiedy rodzice chcieli mieć dzieci z głowy. Widok z El na początku jest kiepski, potem robi się jeszcze gorszy, aż wreszcie pociąg wyłania się pośrodku I-95 i pojawiają się

uspokajające, bezpieczne sylwetki mostu Bena Franklina i wieżowców w centrum. Zaglądałam do okien opuszczonych domów i fabryk i pytałam ojca, co tu się stało. Był pożar? Owszem, odpowiadał. Można tak powiedzieć. Ale nigdy nie wysiadłam z EI, żeby przyjrzeć się z bliska. Nigdy też nie przejeżdżałam tamtędy samochodem. Tata nie musiał mnie nawet ostrzegać.

Wildey wskazuje palcem.

„Tę okolicę nazywają Torami”.

„Dlaczego? Bo narkomani mają na rękach ślady po igłach długie jak tory?”

„Nie. Bo są tu stare tory kolejowe”.

Ludzie kupują narkotyki na rogach ulic, a potem idą z nimi na ciągnący się przez półtora kilometra odcinek torów komercyjnej kolei, których już prawie się nie używa. Wildey mówi, że nikt nie chce tego przyznać głośno, ale policja praktycznie postawiła krzyżyk na tej okolicy. Podobno ludzie mogą tu robić, co im się żywnie podoba.

„Poważnie?”

„Pracowałem tutaj przez pięć lat”.

„Dlaczego nic z tym nie zrobiłeś?”

Wildey długo milczy, zanim w końcu odpowiada.

„To nie takie proste”.

„Dlaczego? Kiedy widzisz ludzi biorących narkotyki, nie możesz ich po prostu aresztować?”

„Mam aresztować każdego na każdym rogu, kto wygląda, jakby był naćpany? Rozejrzyj się”.

Rozglądam się. Ulica przypomina plan filmu o zombi, po którym włączy się gromada sennych statystów czekających, aż ktoś im powie, co robić. Naćpani wydają się wszyscy.

„Jeszcze nie ma ósmej, a już pełno tu ludzi, którzy zaliczyli pierwszą działkę i szukają następnej. Powiedz, kogo miałbym aresztować. Tego gościa? Tamtą dziewczynę w twoim wieku? Pokażę ci coś jeszcze”.

Skręcamy ostro w prawo z Kensington, wylaniamy się z cienia El i wjeżdżamy w ulicę przylegającą do parku. Jeśli Kensington Avenue jest naszymi nożkami, ten park to zwisający z niego brylant.

„Popatrz na ten park. Co widzisz?”

„Trawę. Rzeźby. Ścieżki”.

„A czego nie widzisz?”

„Nie wiem”.

„Powiem ci czego. Nie widzisz wszędzie strzykawek. Nie widzisz ćpunów wylegujących się na ławkach. Nie widzisz koleś handlujących sprzętem i suboxami. A wiesz, dlaczego nie widzisz? Bo z grupą policjantów spędziliśmy okrągły rok, odzyskując ten park. Tak, tylko ten mały skrawek, a musieliśmy dać z siebie wszystko. Były potrzebne ciągłe aresztowania, patrole piesze, współpraca z sąsiadami, którzy mieli dosyć chowania się za drzwiami i zakratowanymi oknami. Chwilowo działa. Wróc koło trzeciej, kiedy kończą się lekcje, a zobaczysz, że naprawdę bawią się tu dzieci, a ich rodzice nie boją

się, czy któreś nie nadejście na strzykawkę albo nie dotknie go jakiś ćpun. Tu jest nasza strefa zdemilitaryzowana. Ale to tylko jeden skrawek w całych Badlands. A Badlands, Wzorowa Studentko... Badlands to duży teren”.

Jedziemy dalej wzdłuż obrzeży parku – zgodnie z tabliczką to McPherson Square. Jeśli zmrużyć oczy, jest nawet ładnie. Ale potem znowu wjeżdżamy pod El i powraca mrok. Taką ulicą lepiej nie chodzić za dnia, a co dopiero w nocy.

„Po co mi to pokazujesz?”

„Bo twój chłopak siedzi w pociągu i jedzie po tych torach. I wszyscy jego klienci też. Tyle razy już to widziałem. Wydaje ci się, że tylko dlatego, że mieszkasz w ładnej okolicy i masz rodziców, którzy mówią, że cię kochają, takie rzeczy nie mogą cię spotkać. Akurat. Te ulice są pełne ludzi właśnie takich jak ty i twój chłopak. Wsiadają z El, schodzą po tych schodkach, a potem ledwo się obejrzą, a minęły dwa lata i są tu uwięzieni”.

„Zapewniam pana, posterunkowy Wildey, że ja tu nigdy nie trafię”.

„Czyżby?”

Piiiiisk hamulców, Wildey gwałtownie zatrzymuje samochód w cieniu El.

„Chodź”.

„Co?”

„Chodź za mną”.

„Czy to bezpieczne?”

Wildey tylko się śmieje.

„No chodź”.

Prowadzi mnie Gurney Street do ogrodzenia wyrwanego z ramy. Zanim zdążę powiedzieć „o nie, kurwa, nie ma mowy”, przechodzi pod siatką, przywołuje mnie gestem, a potem znika wśród chwastów wysokich jak koszykarze. Patrzę na ziemię, widzę strzykawki, papiery po fast foodzie, potłuczone butelki. Myślę o torebce, która została w samochodzie Wildeya. Czy on go w ogóle zamknął?

„Chodź, Wzorowa Studentko. Albo spóźnisz się na zajęcia”.

Przy każdym kroku rozgniatam coś butem. Jestem zła. Wildey nie musi tego robić. Gdyby po prostu pozwolił mi mówić...

Ale potem dochodzę do wniosku, że tak jest lepiej. Niech idzie przodem. Chce mnie rozdrażnić? Proszę bardzo.

## **TORY**

### ***PONIEDZIAŁEK, 2 GRUDNIA***

Aimee Manion, lat dwadzieścia trzy, jest narkomanką. Dwa lata temu zeszła z peronu El przy Somerset i nigdy nie wróciła do domu. Wildey pamięta, jak zagadał do niej parę miesięcy temu, gdy trochę lepiej kontaktowała. Próbował się dowiedzieć, gdzie są jej rodzice i czy może pomóc jej do nich wrócić. Powiedziała, że nie ma takiej opcji. Sprawdził adres z jej prawa jazdy i okazało się, że miała rację. Teraz Aimee wydaje się znacznie bliższa śmierci, niż gdy widział ją ostatnio, czyli... kiedy? W marcu? W kwietniu? Oczy głębiej się zapadły, grymas wyszczerzonych zębów stał się wy-

rażniejszy. Przy czym ona nawet nie wie, że robi taką minę. Odpłynęła do opiatowej krainy snów, którą odwiedza sześć, siedem razy dziennie.

- Wzorowa Studentko, poznaj Aimee. Założę się, że też kiedyś była prymuską.

Willey nie ma pojęcia, czy to prawda. Coś kiedyś wspominała o szkole katolickiej - albo o mundurku.

- Przywitaj się, Aimee. Co takiego? Nie możesz się przywitać, bo tak cię pojebało od hery? Kurczę, Aimee, to niegrzeczne.

- Trzeba ją zabrać do szpitala - mówi Wzorowa Studentka. - Nie możemy jej tak zostawić.

- Jaki szpital ją weźmie? Wolą nie mieć z takimi do czynienia. Ona też by się rzucała. Uwierz mi, to ostatnie miejsce, do którego chciałyby trafić. Prawda, Aimee? Dobrze ci tutaj, no nie?

Sarie odwraca wzrok.

- Chcesz wiedzieć, jak tu trafiła? Ktoś taki jak twój chłopak zaczął sprzedawać jej oxy. Z początku było spoko, bo miała pracę i pieniądze. A potem potrzebowała więcej. Potem skończyła się kasa, a cena oxy poszła w górę. Dziewczyna nie mogła tak po prostu przestać, a ktoś opowiedział jej o sposobie na zaoszczędzenie forsy i jeszcze większe odjazdy.

I tym razem Willey nie ma pojęcia, czy to prawda. Aimee nie była zbyt rozmowna, jeśli chodzi o to, jak trafiła na Tory. Ale pewnie mniej więcej się zgadza.

- A tym sposobem jest heroina. I tak oto wzorowa studentka, która przez całe dzieciństwo bała się szczepień, nagle daje w kanał między palce rąk i nóg, robi wszystko, byle skołować następną działkę.

- Nie biorę pigułek - mówi Wzorowa Studentka.

- Na razie - odpowiada Wildey. - Zresztą nawet jeśli nie bierzesz, to czy naprawdę chcesz chronić gościa, przez którego ludzie trafiają tutaj?

Sarie nic nie mówi.

- Jak długo ze sobą chodzicie? Na tyle długo, żebyś chciała go chronić?

Znowu cisza.

- Mówiłeś, że on was nie interesuje - odzywa się w końcu Sarie. - Tylko ludzie nad nim.

Wildey mruga oczami.

- Zgadza się.

- Co się z nim stanie?

- To samo, co z tobą. Jeśli będzie chciał nam pomóc, wszystko dobrze się skończy.

- Możemy już wrócić do samochodu?

- Jasne, Wzorowa Studentko. Aimee, powiedz pa, pa.

Po powrocie do ciepłego auta Wildey wkłada kluczyk do stacyjki, ale waha się, zanim go przekręci. To jest ta chwila. Jeśli ich mała wycieczka nie odniosła skutku, nic go nie odniesie. Pora, żeby Wzorowa Studentka zrobiła to, co do niej należy.

- No to... co dla mnie masz?

Wzorowa Studentka oddycha zimnym powietrzem, a potem wreszcie, w końcu, mówi:

- Nazywa się Ryan Koolhaas.

Mamo, D. i ja wymyśliliśmy ten plan wczoraj wieczorem. No dobra, to głównie jego pomysł. Kiedy zapytałam, czy nie zna dilerów, żartowałam, ale wtedy on spojrzał się na mnie dziwnie.

„Co jest?”

Oczy mu się zaświeciły.



„Co ty na to, żebyśmy dali twojemu posterunkowemu kogoś innego?”

„Jak to? Mam kogoś podkablować na serio?”

D. podaje mi nazwisko gościa, który diluje na kampusie. Nie, podkreśla, to nie konkurencja. Po prostu jeden gnojek, trochę oblech i do tego z zapędami do gwałtu. Już dawno trzeba go było utrać.

„Poważnie? Chcesz, żebym sypnęła kogoś, kogo nawet nie znam?”

„A co, wolisz go najpierw poznać? Zaufaj mi, to gnój, zasłużył sobie”.

„Nie, nie, nie. To straszne. Nie możemy”.

„Koleś jest idealny”.

„Wildey zorientuje się, że to nie ty”.

„Wątpię. Szybko zwiąłem”.

„Jasne, w tych twoich megatajnych czerwonych chinosach. Naprawdę miałabym zamiast ciebie wydać tego biednego gościa? Czy to nie łamie jakiegoś kodeksu międzynarodowego bractwa dilerów narkotyków albo czegoś w tym stylu?”

„Jak sama mówiłaś, nie znasz go. Co za różnica? Podasz gliniarzowi jakieś nazwisko, on się nie zorientuje, i będziemy mogli o wszystkim zapomnieć”.

Myślę sobie: nie ma mowy! Nie wychujam tak obcego człowieka. Ale z drugiej strony jutro rano muszę dać coś Wildeyowi, bo ina-

czej... Bóg jeden wie, co wtedy będzie.

Nie będziesz ze mnie dumna, Mamo.

- Ryan Koolhaas. Tak się nazywa?

Sarie kiwa głową.

- Przeliteruj.

Literuje. Wildey zapisuje nazwisko.

- Żeby była jasność: to jest ten gość, który w środę w nocy jechał z tobą samochodem?

Wzorowa Studentka milczy, patrzy przez przednią szybę, jakby bała się wygadać za dużo.

- Słuchaj, wydałaś go. Co ci za różnica? Powiedz, skąd go znasz.

- Właściwie to nie znam.

- Czyli widziałem, jak na Dziewiątej Ulicy z twojego samochodu wysiadał całkiem obcy człowiek?

- Kazałeś mi znaleźć dilerka. To znalazłam. Czego jeszcze chcesz?

- Dobrze, zaczniemy powoli - mówi Wildey. - Ten gość tak czy inaczej handluje na kampusie, tak? A towar ma z Dziewiątej Ulicy?

D. mnie wtajemnicza. Ja notuję. To jeden z moich dziwnych talentów: kiedy coś spiszę, wdrukowuje mi się to w pamięć. Jeśli przeczytam jakiś akapit z sześć razy, zapamiętam ogólną myśl, ale nie szczegóły. Za to spisując, utrwalam każde słowo. Kartka i długopis są dla mojego umysłu jak system wprowadzania danych.

Ryan Koolhaas

lat 21

akademik św. Judy, D3

(215) 4190-2108

handluje trawą, adderalem, percocetem, trochę koksem, a w każdym razie D. tak słyszał

5 dolarów za pigułkę, w czasie sesji podnosi cenę do 10 albo 15

- Nie mam pojęcia, skąd bierze narkotyki.

- Widziałaś, żeby kiedyś brał jakąś paczkę z Dziewiątej Ulicy? Woziałaś go jeszcze kiedyś po towar?

Sarie milczy przez chwilę, a potem szybko kręci głową.

- Czym jeszcze handluje?

- Tylko o tym wiem na pewno.

- Więc jak wyjaśnisz to gówno w twoim aucie?

Sarie patrzy na Wildeya, szeroko otwierając oczy, i wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: chuj wie, panie władzo. Wildey wygląda przez okno na Kensington Avenue. Teraz na ulicy jest więcej ludzi. Goście handlują sprzętem i suboxami. Ten sam widok od miesiąca. Ten sam widok, który pozostanie tu na zawsze, chyba że on posprząta okolicę. Może wszystko zaczyna się właśnie teraz, od tej dziewczyny. A może laska wciska mu kit, żeby ratować tyłek.

- Jeśli to prawda, będę potrzebował, żebyś dokonała zakupu.

- Jakiego zakupu?

Wildey wzdycha.

- Słuchaj, dam ci pieniądze, a ty kupisz narkotyki od twojego kolegi Ryana Koolhaasa. Chyba że byłoby dziwnie, bo on jest twoim chłopakiem albo coś.

## **2 GRUDNIA (później)**

Ryan Koolhaas nie jest moim chłopakiem.

Ale na mój widok tak mu się świecą oczy, że wyraźnie rozważa tę opcję. Przynajmniej na parę godzin.

I właśnie wtedy go rozpoznaję. Ma krótko przycięte ciemne kręcone włosy, przyklejony do twarzy krzywy uśmiezek, nos drapieżnika i jest wysoki – kosmicznie wysoki. Jeszcze wyższy niż D. Koolhaas studiuje na ostatnim roku, ale w zeszłym semestrze chodził ze mną na wstęp do psychologii. Pewnie przeskoczył ten przedmiot na początku studiów, a teraz się zorientował, że musi go zaliczyć, jeśli chce mieć dyplom. Widać, że ledwo mnie poznaje.

„Cześć. Ty jesteś...”

„Sarie”.

„Jasne, Sarie, luz. Czeka, wpiszę cię”.

Koolhaas odwraca się do stróżówki i wkłada długie palce przez otwór w szybie kuloodpornej, żeby wyciągnąć druczek. Pisze szybko, jakby przyjmował dostawę jedzenia na telefon. Właśnie tak działa akademik w szeregowcach. Wstęp tylko dla studentów ostatniego roku, którzy tu mieszkają, oraz ich gości. Takich jak ja.

„Chodź”.

Podchodzę do kołowrotka, słyszę głośne pstryknięcie, napieram biodrem na obrotowy pręt i idę za Koolhaasem – pomaga mi, kiedy myślę o nim po prostu „Koolhaas”, „mój cel”, a nie „Ryan” albo „kolega ze wstępu do psychologii”. Prowadzi mnie betonową ścieżką do swoich drzwi wejściowych.

Czego się spodziewam: bongów, poplamionych dywanów, dwóch gości w kółko grających w World of Warcraft, woni smażonego tłuszczu, marihuany i sera.

Co naprawdę widzę: czysty, spokojny salon pachnący tak, jakby ktoś niedawno go odkurzył. Są ślady po odkurzaczu i w ogóle.

„Mieszkam na górze. W jedyńce”.

Wbiega po schodach. Wygląda na to, że muszę iść za nim. W całym budynku panuje martwa cisza. Jasne, jest wtorek, ale siódma wieczorem.

„Gdzie twoi współlokatorzy?”

„Nie martw się, nikogo nie ma”.

Martwię się, ale nie z tych powodów, o których on myśli.

Pokój Koolhaasa okazuje się równie czysty i uporządkowany. Co się porobiło z dzisiejszymi dilerami? Przychodzi mi do głowy, że może ten gość wcale nie jest dilerem, może D. coś się popieprzyło. Bo jeśli tak, to będzie bardzo niezręcznie, kiedy spróbuję kupić od niego dragi, nie mówiąc o tym, że wyjdę na najgorszego tajnego informatora na świecie. D. by mi tego nie zrobił, prawda? Nie podałyby mi pierwszego lepszego nazwiska albo nie wskazał kogoś, kogo nie lubi.

Ale owszem, Koolhaas wyciąga łazienkowe pudełko z wieczkiem, a potem poklepuje wolne miejsce na łóżku obok siebie.

„Mówiłaś, że chcesz adderall, tak?”

„Aha”.

„O coś cię zapytam. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało”.

„Dobra...”

Zapyta mnie, czy jestem gliną. Widziałam to milion razy w telewizji. Przysięgnę, że nie jestem, a potem dobijemy targu. Ale nie, Koolhaas obraca się do mnie tak, że nasze kolana prawie się stykają.

„Słuchaj, na pewno jesteś zestresowana sesją i w ogóle, a znajomi powiedzieli, że wystarczy parę pastylek adderallu, żeby nie zasypiać i być hiperskupionym. Ale możesz zrobić coś innego”.

„Co?”

Koolhaas trochę się cofa.

„Połóż mi głowę na kolanach. Pokażę ci”.

Chyba aż się wzdrygam. Mam położyć mu twarz... na kolanach?

Koolhaas widzi moje wahanie. Przez moment jest zdezorientowany, a potem uśmiecha się pod nosem.

„Nie, nie. Nie o tym mówię. Dobra, odwróć się. Zaufaj mi, jestem grzecznym małym katolikiem”.

Jasne. Który akurat handluje narkotykami w swoim akademiku noszącym imię mało znanego świętego. Ale potem bierze mnie za ramię, obraca, czuję jego palce na plecach i dociera do mnie: o cholera, gość sprawdza, czy nie mam podsłuchu.

- Będę miała podsłuch? - pyta Wzorowa Studentka.

Willey patrzy na nią.

- Myślisz, że do kogo ty idziesz? Do Tony'ego Montany? Nie, nie będziesz miała podsłuchu. Po prostu tam wejdiesz, kupisz narkotyki za pieniądze, które ci dam, i wyjdiesz. Bum, posiadanie z zamiarem sprzedaży.

W pierwszej chwili dziewczyna oddycha z ulgą, ale potem mruży oczy, jakby nie całkiem rozumiała.

- I tyle? Naprawdę? To jest ta cała wielka operacja?

- Słuchaj. - Wildey wzdycha. - Potrzebny mi tylko dowód, że gość sprzedaje narkotyki. Resztą sam się zajmę.

- Ile muszę kupić?

- Wszystko jedno. Szczerze mówiąc, wystarczy parę pigułek, ale jeśli możesz kupić więcej, to kupuj. Nie chcę go spłoszyć. Już mówiłem, że nie na nim mi zależy. Jak go dorwę, każę zaprowadzić się wyżej.

- To dlaczego od razu go nie zgarniesz?

- Gdyby to było takie proste, Wzorowa Studentko... Trzymaj kasę. Idź kupić narkotyki.

Okazuje się, że on wcale nie szuka podsłuchu. Masuje mi ramiona. Na serio.

„Naturalne lekarstwo na stres. Niezłe, co?”

Koolhaas mówi cicho i uspokajająco. Tymczasem jego kościste palce wbijają mi się w ciało, jakby szukał ukrytego mikrochipa na mojej łopatkę albo czegoś w tym stylu. Jezu. Jakie są reguły etykiety przy wrabianiu dilerów? Czy należy pozwolić ugniatać sobie kark i ramiona przez parę minut? Czy mu przerwać i nalegać na dokonanie umówionej transakcji? W którym momencie wolno mu uprzejmie powiedzieć, żeby spierdalał?

Odwracam się i stosuję jedyną obronę, jaka mi została: nieśmiały uśmiech.

„Przyjemne, ale jak tak będziesz robił, to zaraz usnę”.

Koolhaas uśmiecha się, jakby chciał powiedzieć: no bo o to chodzi. A przynajmniej żebyś położyła się na łóżku.

„W każdym razie adderall nie jest tylko dla mnie. Jeszcze dla koleżanki. Jesteśmy w programie dla wyróżniających się studentów i musimy ostro tyrać nad referatami”.

„Robisz trójkę, co? Powinienem się domyślić. Zaopatruję większość z was. Pewnie dowiedziałaś się o mnie od kogoś z grupy, nie?”

„Aha”.

D. nauczył mnie, co mówić na ten temat, kiedy zadzwonię do Ryana Koolhaasa. Gdyby Koolhaas zapytał, skąd o nim wiem, miałam powiedzieć coś ogólnego typu: no wiesz, krążyły słuchy. Unikać konkretów. Nie będzie drążył. I rzeczywiście, kiedy zadzwoniłam, nie pytał. Wtedy.

„Od kogo konkretnie? Dam tej osobie bonus za skierowanie do mnie nowej klientki”.

Cholera. Nie tylko nie miałam pojęcia, że połowa mojej grupy łyka adderall jak cukierki, ale do tego nie wiem, kogo mu wskazać.

„Prosiła, żeby nie mówić. Jest nieśmiała”.

Koolhaas przez chwilę patrzy na mnie z powagą, a potem uśmiecha się szeroko.

„Wiem, o kim mówisz. Spoko”.



Teraz to naprawdę jestem ciekawa. Co za banda oszustów! Grzeją adderall i napieprzają referaty, kiedy ja próbuję robić to po bożemu! Czuję się jak sportowiec, który jako ostatni dowiedział się, że wszyscy inni koksują.

„Dobra, przejdźmy do interesów”.

Koolhaas otwiera to swoje łazienkowe pudełko, w którym znajdują się woreczki strunowe do połowy wypełnione proszkami. Pytam o cenę. Mówi, że pięć dolarów za sztukę, ale może mi sprzedać siedem za dwadzieścia pięć. Proszę o towar za stówkę – tyle dał mi Wildey – a Koolhaas zaokrągliła do trzydziestu kapsulek. Wręczam mu pieniądze, pięć dwudziestek. On wręcza mi trzydzieści kapsulek adderallu we własnym woreczku. Mój pierwszy zakup narkotyków. Trochę rozczarowujące przeżycie.

Teraz pora na najtrudniejsze.

- Jedna sprawa: on mieszka w szeregowcach.

Wildey przygląda się Sarie.

- No i?

- Akademik w szeregowcach znajduje się na kampusie i można tam wejść, tylko jeśli ktoś cię wpisze.

- To jak mam go aresztować, kiedy już od niego kupisz?

- Nie mam pojęcia. Ty tu jesteś detektywem!

Wildey drapie się w brodę.

- Musisz wyciągnąć go na dwór.

- Jakież pomysły?

- Ty tu jesteś wzorową studentką!

W końcu decyduję się na typowy bzdet typu: dama w opałach / apel do rycerskości. Proszę Koolhaasa, żeby odprowadził mnie do samochodu, bo wiesz, jest późno i w ogóle, a ja nie znalazłam miejsca na

parkingu dla studentów, więc musiałam stanąć na Olney Avenue parę przecznic dalej. Wygląda na urażonego, bo myślał, że trochę razem posiedzimy. Przypominam mu, że mam do napisania z pięć referatów w cztery dni (prawda), i mówię, że chętnie kiedyś się z nim spotkam (nieprawda), on proponuje, że może w ten weekend, a ja na to, że jasne, choć w środku aż mnie skręca, bo wiem, że w ten weekend jego już pewnie nie będzie na kampusie.

W każdym razie podziałało. Koolhaas wyprowadza mnie na dwór. Przecinamy parking dla studentów obok biblioteki – gdzie jak powiedziałam tacie, miałam dzisiaj być – i wychodzimy na Olney Avenue.

Z jednorazówki wysyłam esemesa do Wildeya: JUŻ IDEĘ. Wścibski Koolhaas zerka na mój telefon.

„Chłopak?”

„Ojciec. Potwornie upierdliwy, śledzi mój każdy krok”.

„Rany, znam to”.

Już za kilka sekund będę się czuła jak ostatni fiut.

A nawet za jedną sekundę. Bo ledwo zrobiliśmy pierwszy krok na Olney Avenue – terenie publicznym – widzimy nadchodzącego Wildeya. Na szyi ma odznakę. Nie da się go przegapić.

„Ryan Koolhaas?”

Odzywa się tym swoim dudniącym głosem, który zaskakuje nawet mnie, chociaż wiedziałam, że Wildey tam będzie, i orientuję się, co zaraz zrobi.

„Aha”.

Koolhaas też jest zaskoczony, chyba przez ułamek sekundy myśli, że to napad... przynajmniej dopóki nie zauważy błyszczącej srebrnej odznaki. Może Ryan Koolhaas nie jest wybitnym studentem, ale teraz kojarzy fakty rekordowo szybko. Nowa klientka, policjant. Oczywiście mu się wielkie z wściekłości.

„Ty dziwko!”

To ostatnie słowo zawisa już w powietrzu, bo Koolhaas rzuca się pędem z powrotem w kierunku szeregowców. Ale tym razem posturkowy Wildey jest gotów, a na drodze nie stoi mu cheesesteak rozmazany na jezdni. Robi trzy długie kroki i jak taran popycha Koolhaasa na najbliższy samochód, czyjegoś SUV-a. Uderzenie jest tak silne, że auto kołysze się na resorach. Aż dziw, że nie stukła się szyba. Następuje błyskawiczny ruch i nagle Wildey wykręca Koolhaasowi ręce za plecami.

„I kto tu teraz jest dziwką?”

Koolhaas wrzeszczy z bólu, ale ignoruje Wildeya, próbuje odwrócić głowę w moją stronę i krzyczy:

„TY KURWO ZAJEBANA! TY SZMATO! ZAPIERDOŁĘ CIĘ!”

„Stul kurwa pysk”.

Wildey każe mi wrócić do mojego samochodu i tam zaczekać. Po raz ostatni patrzę na Ryana Koolhaasa, gościa, którego właśnie podałam Filadelfijskiej Komendzie Policji na talerzu. Ma zamknięte oczy, bo próbuje powstrzymać łzy. Teraz masaż pleców chyba nie wchodzi w grę.

**SIEDZIBA NFU-CS**  
**PONIEDZIAŁEK, 2 GRUDNIA**

Willey wsadza Koolhaasa do klatki dla ptaków na przesłuchanie. Zakup poszedł dobrze, adderall jest prawdziwy, ale coś w tej całej sprawie go dręczy.

Po pierwsze chodzą słuchy, że Chuckie Morfina handluje oxycontinem, a nie adderalem. To właśnie oxy Willey znalazł w aucie Wzorowej Studentki. Poza tym ten białas w klatce dla ptaków wygląda zupełnie inaczej niż białas, którego Willey gonił przez płot w South Philly. Może to on – było późno, ciemno, a on nie spał wtedy od dwudziestu czterech godzin. Ale intuicja podpowiada, że nie. Więc co to za gość?

- Opowiedz mi o Dziewiątej Ulicy – mówi Willey.

- Nie zrobiłem nic złego.

- Owszem, Ryan, zrobiłeś i dobrze o tym wiesz. Ale ty mnie właściwie nie obchodzisz. Obchodzi mnie Dziewiąta Ulica.

- No to tam jedź!

- Chryste.

Kręcą się w kółko, aż w końcu Koolhaas żąda adwokata, a wtedy Willey wzdycha i mówi, że wezwanie adwokata to w tym momencie najgorszy możliwy ruch. Nie odmawia zatrzymanemu prawnika, po prostu mówi dalej, licząc na to, że Koolhaas zmieni zdanie. Koolhaas go nie zmienia. Kaz mówi, że to nic. Może adwokat nawet przyspieszy sprawę.

Adwokat sprawy nie przyspiesza.

Bo adwokatem jest pewien cwaniak, którego Kaz zna od lat – konkretny gracz w mieście. Pachnie, jakby przyjechał tu prosto z luksusowego baru koktajlowego przy Rittenhouse Square. Szefowa i Cwaniak trochę się boksują na słowa. Wkrótce Willey orientuje się, że Cwaniak kiedyś chciał umówić się z Kaz, ona powiedziała, żeby spierdalał, a on ni-

gdy jej tego nie wybaczył. Dobrze ją zna, pyta to o tego, to o tamtego, aż wreszcie sięga po bombę atomową: pyta o jej byłego, Rema Mahoneya, czym naprawdę ją trafia. Widać to wyraźnie, bo oczy jej przygasają, jakby ktoś przestawił regulator oświetlenia z tyłu czaszki. Cwaniak przeciąga sprawę i kiedy wreszcie dochodzą do porozumienia, jest już ranek.

Porozumienie brzmi zaś następująco: kompletnie odpuszczą studentowi, jeśli ujawni dostawcę i będzie w pełni współpracował, również przy kolejnych zakupach, w celu wrobienia tego dostawcy.

- Co o tym myślisz? - Kaz pyta Wildeya na osobności.

- Jeśli jego dostawca jest na Dziewiątej Ulicy, to zdecydowanie warto.

- Słyszę jakieś ale.

- Ale nie wiem, czy moja informatorka sprzedała mi uczciwy cynk. Coś mi tu śmierdzi.

Kaz się zastanawia.

- Nawet jeśli nie chodzi o Dziewiątą, może wskaże nam innego dostawcę.

- Fakt.

- Ty decyduj.

- Zrobmy to - mówi Wildey, chociaż jego instynkt krzyczy NIE.

Powinien był posłuchać instynktu. Bo w pokoju przesłuchań Cwaniak tak się szczerzy, jakby wynegocjował układ stulecia. Nawet Kaz nie podoba się ten jego uśmiech. Co znaczące, bo jest już siódma rano i wszyscy w tej sali nie spali od co najmniej dwudziestu czterech godzin.

- Wszystko dobrze? - pyta Wildey. - Okej, świetnie. No to jedziemy, dla porządku: Ryan, kto ci sprzedaje narkotyki?

Cwaniak kiwa głową.

- W porządku. Możesz mówić.

- Via Maris - mamrocze Ryan.
- Via kto? - odpowiada Wildey.
- Via Maris, człowieku. W deep webie.

Wildey jest zdezorientowany. Kaz też. Więc jednak chodzi o kolejnego dilerę? Kogoś o pseudonimie „Via Maris”? I co to znaczy „deep web”? Czy to nowy slang karteli?

- Gdzie jest ten Via Maris?
- Nie mogę wam powiedzieć.
- Jesteś świadom umowy, którą właśnie zawarliśmy?

Cwaniak unosi wypielegnowaną dłoń.

- Chwileczkę, panie posterunkowy. Proszę pozwolić mojemu klientowi skończyć.

- Nie mogę wam powiedzieć - powtarza Ryan. - Muszę pokazać.

- Nie znasz adresu?
- Znam, ale nic by wam nie dał.

Wildey i Kaz wymieniają spojrzenia. Co, do chuja? Albo już zbyt wiele godzin są na nogach, albo ten gówniarz świadomie sobie z nimi popierdala.

- Mój klient chciałby skorzystać z laptopa - mówi Cwaniak.

Gdy tylko chłopak zaczyna pisać na klawiaturze, do Wildeya dociera, że ma kompletnie przesrane. Via Maris to nie pseudonim dilerę. To strona internetowa nosząca taką samą nazwę jak szlak handlowy z epoki brązu, który biegł z Egiptu do dzisiejszego Iranu, Iraku i Izraela. (Cwaniak dzieli się tymi szczegółami, szczerząc się przy tym jak pojeb, zupełnie jakby bronił pracy doktorskiej albo coś takiego). Strona jest całkowicie anonimowa, jeśli tylko umie się znaleźć jej adres w „deep webie”, co oznacza, że trzeba tam wejść za pośrednictwem oprogramowania anonimizującego, które czyni użytkownika praktycznie niewidzialnym i nie do namierzenia. („Przynajmniej teoretycznie” - mówi Cwaniak).

Płaci się bitcoinami, czyli walutą, której również („teoretycznie!”) nie można namierzyć. Wrzucasz zakupy do koszyka, a FedEx dostarcza ci je w przeciągu jednej do dwóch dób, w zależności od zamówienia.

- Można tu dostać wszystko. Niesamowite, prawda? - kontynuuje Cwaniak. - Ja też nie mogłem w to uwierzyć. Naprawdę wszystko. MDMA z Holandii, zioło z górnej półki, kokaina fishscale, co kto chce. Można nawet zamówić blocek recept.

- Kurwa - mówi Kaz, gdy wszystko do niej dociera.

- Rzeczywiście, coś straszego - rzuca Cwaniak. - Ale z drugiej strony... ech, ta technika, no nie?

- Kupujesz to gówno w internecie? - pyta Wildey, skojarzywszy fakty sekundę po swojej szefowej.

- Kurwa - powtarza Kaz.

- Zgodnie z umową - ciągnie Cwaniak - żeby w pełni współpracować z państwa śledztwem, mój klient chciałby dokonać zakupu. Niestety, jak państwo widzą, nie jest to już możliwe.

Obraca laptopa, tak żeby Kaz i Wildey widzieli ekran, na którym w jaskrawoczerwonej ramce widnieją pieczęcie i godła całej gromady rządowych agencji: FBI, Departamentu Sprawiedliwości, DEA, Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i urzędu skarbowego.

#### TA UKRYTA STRONA ZOSTAŁA PRZEJĘTA

Na mocy nakazu przejęcia uzyskanego przez Urząd Prokuratora Federalnego Okręgu Południowego stanu Nowy Jork, wydanego na mocy 18 U.S.C. § 983(j) przez Sąd Okręgowy Okręgu Południowego stanu Nowy Jork

- Podobno federalni zamknęli Via Maris w zeszłym miesiącu, więc...

- Kurwa - mówi znowu Wildey.

- ...więc mój klient jest wolny, prawda? Dziś przecież dzień zajęć na uczelni.

Ciągle się trzęsę. Mówię sobie, że będzie dobrze, że już po wszystkim. Jadę do domu do Fox Chase, mój żołądek robi fikołki, a ja piszę esemesa do taty, żeby dać mu znać, że skończyłam w bibliotece i za dwadzieścia minut będę. Muszę powstrzymać się przed zapytaniem, czy po drodze coś mu kupić – nie wiem, mleko, chleb, adderall, trawkę? Wiem, strasznie jestem dowcipna. Chce mi się wymiotować. Zamiast tego wysyłam esemesa do D.: ZADZWÓŃ. Potem następnego do Tammy: HEJ, KAWA? TO WAŻNE. Wsuwam swój prawdziwy telefon do kieszeni kurtki i sprawdzam jednorazówkę. Na szczęście nic od Wildeya. Może nawet dziś wieczorem będzie mi dane popracować nad referatami. Trochę żałuję, że już nie mam adderallu, bo oczywiście wszystko musiałam oddać Wildeyowi na parking, kiedy Ryan Koolhaas wyzywał mnie od kurew, aż Wildey kazał mu stulić pysk.

(Przepraszam za język, Mamo. Ale sama wiesz...)

Czy tata zauważył, że się trzęsę? Powiedziałam, że jestem wykończona, że chcę tylko wziąć prysznic i wrócić do pisania referatów. Potem poszłam na górę i rzeczywiście wzięłam prysznic, najgorętszy, jaki zniosłam, bo miałam nadzieję, że to mnie uspokoi. Nie uspokoiło.

Ciągle się trzęsę, bo wiem, że nie jestem zwykłą tajną informatorką. Zazwyczaj policja daje informatorowi kasę na narkotyki. Informator je kupuje i informuje policję, że kupił. Policja aresztuje gościa, który mu je sprzedał. A informatora cały czas chroni anonimowość.



Ale w tym przypadku Ryan Koolhaas dokładnie wie, kim jestem. Kiedy wreszcie wróci na kampus, pewnie będzie chciał dotrzymać obietnicy, że mnie zapierdoli.

Podzieliłam się tymi obawami z Wildeyem na kilka godzin przed zakupem narkotyków, ale on odpowiedział, że mam się nie przejmować. Że Ryan Koolhaas będzie zbyt zajęty własnymi problemami, żeby zwracać sobie głowę mną.

Ale Wildey mówił tak, bo myślał, że to Ryan Koolhaas był w moim samochodzie w środę i że jest skumany z jakimś dilerem Chuckiem. I może faktycznie jest, chociaż wątpię, żeby D. wystawił kogoś z własnej organizacji (wysłuchaj mnie, Jezu!). Chcę tylko, żeby cały ten syf już się skończył.

Ryan Koolhaas.

Ciągle czuję jego palce wbijające mi się w ramiona.

Marty ostrożnie schodzi po schodach do piwnicy. Nie bardzo wie, co spodziewa się zobaczyć. Sarie niewiele mówiła po powrocie (jak twierdziła) z biblioteki na kampusie. Tacie oznajmiła tylko, że musi wziąć prysznic, żeby się rozbudzić, a potem wraca do referatów, bo wszystkie są na ten tydzień. Przed zejściem Marty odczekał chwilę, żeby Sarie spędziła na dole trochę czasu, teoretycznie pracując.

Ku jego zdziwieniu siostra rzeczywiście siedzi przy biurku i coś zapamiętałe pisze.

- Hej.

Sarie podskakuje, obraca się, zasłania ręką pracę.

- Jezu, Marty!

- Przepraszam. Chciałem tylko zapytać, czy nie chcesz...

- Tak się nie robi! No i wielkie dzięki, przez ciebie właśnie uciekła mi myśl. Cholera.

- Chciałem tylko zapytać, czy nie chcesz gorącej czekolady. Pomaga w nauce.

- Nie powinieneś być już w łóżku?

- Tata nic nie mówił. To jak? Z piankami? Z bitą śmietaną? Chyba mamy jedno i drugie.

Marty spodziewa się, że spojrzenie siostry trochę złagodnieje, no bo przecież chce jej pomóc. Kto nie miałby ochoty na gorącą czekoladę, zwłaszcza kiedy planuje zarwać nocną?

- Chcesz mi pomóc? To daj mi spokój i spierdalaj!

Równie dobrze Sarie mogłaby mu dać w twarz. Kiedy tata brzydko mówi, to jedno - element jego dziwnego uroku i gry między nimi dwoma. Ale Sarie nie bluzga. Nie na niego. Nigdy.

Marty odwraca się bez słowa i idzie do schodów. Tata widzi tylko mignięcie jego czerwonej koszulki.

- Halo, myślałem, że jesteś już w łóżku.

- Dobranoc - mamrocze Marty, licząc, że tata potraktuje to dosłownie i nie przywoła go do siebie. Nie chce tłumaczyć się z głupich łez w oczach.

Na górze włącza iPoda, wchodzi do budynku MI6, do sali tortur nr 6 i wpisuje:

Sarie nie jest sobą.

Bierze narkotyki???

Muszę przejrzeć jej rzeczy, żeby sprawdzić.

Dlaczego tata tego nie widzi?

# Przestępstwo

## **3 GRUDNIA**

Mamo!

Wydaje mi się, że dziś jest pierwszy normalny dzień od wieków.

Normalny to znaczy:

Zajęcia z programu, kwerenda biblioteczna, pośpieszny lunch, znowu zajęcia, parę godzin pracy w biurze kwestora, a potem powrót do domu, żeby zrobić kolację i na serio wziąć się do referatów. Tak, mam wrażenie, że wszystkie trzeba oddać jednocześnie. Nie stać mnie ani na chwilę bezczynności. Ale to cudownie normalne. Z takimi terminami dam sobie radę. Nawet jednorazówka cały dzień milczała.

Zastanawiam się, czy już po wszystkim.

Będę szczęśliwą dziewczyną, kiedy wreszcie wyjmę z jednorazówki baterię i złamię to kurewstwo na pół, jak to robią na filmach.

Jestem na dole w piwnicy z laptopem i stosem książek, słucham z kasyty taty *Pornography*, jednego z jego albumów The Cure – całkiem dobra muzyka do pracy. Dzięki niedoskonałemu dźwiękowi z taśmy jest jeszcze lepsza. Nigdy mnie na tym nie przyłapałaś, ale zawsze grzebałam w szafie taty i wyciągałam rzeczy, których nie rozpoznawałam, dopóki on mi nie wytłumaczył, co to takiego. Jednego roku przez prawie całe lato ja i Tammy wygłupiałyśmy się z jego starym cyfrowym dyktafonem, udając dziennikarkę i celebrytkę. (Ce-

lebrytką była oczywiście Tammy. Przy niej dawne dziecięce gwiazdy Disneya wypadały jak harcerki. Dzięki Bogu, że nigdy nie słyszałaś tych nagrań, Mamo). Taśmy VHS były kolejnym niewyczerpanym źródłem radości, zwłaszcza kiedy odkryłyśmy, że tata ma zakopany w garażu działający magnetowid. Ale tym razem ukryty skarb jest aż za dobry, żeby był prawdziwy. Słucham tych taśm i składanek przez cały semestr.

Po północy mam za sobą pięć stron referatu z filozofii i nagle słyszę pukanie do okna z tyłu. Moja podświadomość rejestruje je przede mną. Oczywiście to D.

Otwieram drzwi z szeroko otwartymi oczami, mając nadzieję, że zrozumie sugestię. Tata – na górze. Ja – pracuję. A TY tu skąd się kurwa wzięłaś?

D. nie chce wejść do środka. Zamiast tego bez słów pokazuje: chodź za mną.

Tata na górze na pewno jeszcze nie śpi. Piętnaście minut temu słyszałam, że chodził po domu, pewnie wyciągał z lodówki następne piwo. Jest nocnym markiem tak jak ja. Deski podłogowe skrzypią u nas jak cholera. Nie mogę tak po prostu wyjść.

Ale D. praktycznie błaga mnie na migi. Wciąż gra *Pornography*, a tata nie zawsze schodzi na dół powiedzieć „dobranoc” – zwykle sam zasypia po cichu. D. tak bardzo nalega, że właściwie nie mam wyboru. Zresztą ja też chcę z nim porozmawiać. Powiedzieć mu, że cała sprawa (chyba) się skończyła, więc może przestać trząść dupą. Po paru krokach w głąb lasu Pennypack nareszcie się odzywa.

„Nie możesz wysyłać do mnie takich esemesów. Ten policjant pewnie monitoruje twój prawdziwy telefon”.

„Nie sędzę. Słuchaj, już po wszystkim. Aresztował tamtego chłopaka i chyba dał mi spokój”.

„Naprawdę chcesz tak ryzykować?”

Nie odpowiadam, bo D. ma rację. Zamiast tego zmieniam temat.

„Jak się tu dostałeś?”

„Komunikacją miejską. Która jest naprawdę super o tej porze nocy, zwłaszcza jak jedziesz przez North Philly”.

Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć: biedne maleństwo.

„Skoro nasze kontakty są takie ryzykowne, to dlaczego tu jesteś?”

D. oddycha głęboko, a potem odwraca wzrok.

„Słuchaj, Ryan Koolhaas to nie taka gruba ryba, jak myślałem”.

„Jak to? Myślisz, że Wildeyowi nie wystarczy? Mówiłeś, że jest idealny”.

„Tak mi się wydawało. Słyszałem, że zaopatruje w adderall cały kampus, że ma świetne kontakty – jakiegoś koleśia, który potrafi skołować wszystko. Myślałem, że będzie u niego kupa kasy. Ale okazało się, że gówno miał. Więc mam przesrane, Sarie. Naprawdę przesrane”.

Dalej nie nadążam. Przecież tu właśnie o to chodziło, żeby D. nie miał przesrane.

„Jak to? Nic nie powiedziałam policji”.

„Nie o to chodzi”.

„A o co?”

„Wiszę Chuckiemu Morfinie dwa kafle, a jak nie oddam do piątku, to mnie zajebie”.

„Co?”

„No właśnie. Myślałem, że potraktuje rzecz na luzie i w ogóle, ale...”

„Czekaj”.

„Co?”

„Co to ma wspólnego z Ryanem Koolhaasem?”

„To, że gówno miał”.

I wtedy do mnie dociera. Wielki plan D. był taki, żeby skroić Ryana Koolhaasa. Nie wiem, czy powinnam walnąć kretyna z piąchy w szyję, czy natychmiast zadzwonić do Wildeya i na niego donieść. Ale o dziwo nie o tym myślę przede wszystkim.

„Ty dupku!”

„No co? Niby nie wiedziałaś, co jest grane?”.

Nie. Nie wiedziałam, co jest grane.

**FOX CHASE**  
**WTOREK, 3 GRUDNIA**

Czy Wildey był kiedyś w tej części Northeast? Nie jest pewien. Nic nie wygląda znajomo.

Ale ładnie tu. Same domy. Dużo bliźniaków. Drzewa, przyzwoite samochody. Mówią, że Fox Chase to miejska dzielnica klasy średniej, ale jak dla niego równie dobrze mogłoby to być przedmieście. Okolica Wildeya też była kiedyś pełna domów – domów parę kroków od fabryk, tak blisko, że jeśli się chciało, można było skoczyć do siebie na lunch. Ale fabryki zamknięto, a ludzie przenieśli się w lepsze miejsca. Wyprowadzili się tutaj, skąd do pracy trzeba jeździć samochodem. Zupełnie jak z przedmieść.

To tu mieszka Wzorowa Studentka.

Wildey przez cały dzień bił się z myślami, co zrobić ze swoją wysoką ciemnowłosą informatorką. Wyczerpała go długa noc czekania, a potem kompletnie zdruzgotały baty, jakie dostali od Cwaniaka. Do domu jechał oszołomiony, a po powrocie padł i przespał parę godzin. Kiedy się obudził, wahał się między gniewem a dezorientacją. Jak on mógł dać jej się tak rozegrać? Czy od początku wiedziała o tej całej historii z deep webem? Pewnie tak. Wildey był pewien, że wyspała Ryana Koolhaasa, wiedząc, że to zaprowadzi donikąd. Co z kolei sprawiało, że miał ochotę aresztować ją natychmiast, nawet gdyby musiał wpaść do sali wykładowej.

Ale Kaz mu to wyperswadowała. Dziewczyna nie przestanie być tajną informatorką, dopóki oni o tym nie zdecydują. To nie było jej zwycięstwo. Wciąż ją mają w kieszeni.

Wciąż stanowi powiązanie z Chuckiem Morfiną.

Wildey zrozumiał swój błąd. Coś sobie na jej temat założył.

Pora sprawdzić, gdzie mieszkasz, Wzorowa Studentko.

Siedzimy w chłodnej ciszy parku. Nie wiem, co powiedzieć. D. też nie. Słyszeć szum pędzącego strumyka i praktycznie nic innego. Znajdujemy się w granicach miasta, ale równie dobrze moglibyśmy siedzieć na skraju świata. Takie mam przynajmniej uczucie.

„Czyli masz dwa dni, żeby zwrócić dilerowi Chuckiemu Morfinie jego dwa tysiące”.

„Aha”.

„Nie możesz mu powiedzieć prawdy? Że kiedy od niego wychodziłaś, złapała cię policja i skonfiskowała towar? Przecież to jego wina, że Wildey nas śledził. To oczywiste, że Wildey go rozpracowuje. Czyli to wina Chuckiego, no nie?”

„Chuckie to nie jest facet, który lubi, jak ktoś ma do niego pretensje. Jestem dużym chłopcem. Jak biorę towar, to za niego odpowiadam. Żadnych wyjątków. A już na pewno nie chcę mu mówić o tobie – że cię zwerbowali. Bardzo by mu się to nie spodobało, bez względu na to, kim jesteś”.

„Co to ma znaczyć?”

„Nieważne”.

„Nie on jeden ma ze mną problem. Nasz kolega Ryan Koolhaas nazwał mnie kurwą i obiecał, że mnie, cytuję, zapierdoli. Powinnam się bać?”

„Jak się do ciebie zbliży, to łapy mu połamię”.

To nawet urocze, w totalnie porąbany sposób. D. wzdycha, kładzie mi ręce na ramionach, a potem dotyka czołem mojego czoła.



„Boże, ale mam przechlapane!”

Pozwalam mu zostać w tej pozycji przez kilka sekund, a potem się cofam. Pokusa, żeby sprawdzić, jak smakują jego usta, jest prawie równie silna jak kipiąca we mnie wściekłość na tę całą sytuację.

„A ja muszę skończyć referat z filozofii”.

„Pewnie podwózka na kampus odpada?”

Wow. Wszystkie kłopoty są właśnie przez to, że raz go podwiozłam. Czym skończyłby się drugi raz? Trafiłabym na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców prowadzoną przez FBI?

„Nie mogę... Przykro mi”.

D. mierzy wzrokiem mój dom.

„Twój tata jest w domu? Nie wyjechał znowu w delegację do Kalifornii, co?”

Tłumię śmiech i mówię, że gdyby Kevin Holland odkrył, że w jego piwnicy nocuje obcy koleś, Chuckie Morfina byłby moim najmniejszym zmartwieniem. Całe szczęście, bo kiedy D. odchodzi cały urażony, a ja wracam do piwnicy, tata już tam na mnie czeka. Serce mi staje.

„*Pornography?*”

Ma na twarzy skonsternowany, piwny uśmieszek. W ręku trzyma podrapaną kasetę The Cure.

„Tak, znalazłam w jednym z pojemników. Chyba nie masz nic przeciwko temu?”

„Gdzie byłaś?”

„Wyszłam na dwór, żeby oczyścić myśli, odetchnąć świeżym powietrzem. Ten referat daje mi w kość”.

Tata kiwa głową, jakby rozumiał, ale prawda jest taka, że nie spędził ani dnia na studiach. Odkłada kasetę na stół, ale dalej tak stoi, patrzy na skrzynkę z innymi taśmami, które dzisiaj wyciągnęłam. Zastanawiam się, czy wracają do niego wspomnienia z liceum. Mówiłaś, że jako młody człowiek Kevin Holland pakował się w różne kłopoty – alkohol, narkotyki, demolki u sąsiadów – przez co w końcu w 1989 roku rodzice wyrzucili go z domu. Te kasety są soundtrackiem tamtych czasów. Może nie powinnam była ich wyjmować.

„Jak chcesz, to je schowam”.

„Nie, nie. Po prostu zabawne, że ich słuchasz. Na górze myślałem, że mam omamy. Nie słuchałem tego albumu od lat. A i tak pamiętam każdą piosenkę”.

Tata rusza do schodów, ale przystaje na pierwszym stopniu i odwraca się do mnie.

„Zgarnij swojego chłopaka z rogu i powiedz mu, że może przekić na kanapie na górze. Za późno, żeby wracał autobusem na kampus”.

Znowu: serce mi staje. Nakrył mnie. Zdezorientowana już otwieram usta, żeby zacząć zaprzeczać, ale on unosi rękę, żeby mnie powstrzymać.

„Widziałem go z okna na górze. Nie musicie się chować. Tylko mów mi, co i jak”.

„Dobrze. Przepraszam, tato. Po prostu...”

„Leć za nim. Zimno jest”.

Następuje między nami, między tatą a mną, jedna z tych chwil cichy, których nie mieliśmy już od prawie roku. Nasze spojrzenia się spotykają i mówię mu: Rozumiem cię, dziękuję, że nie zachowujesz się jak dupek, przysięgam, że to nic takiego, możesz mi zaufać. A jego oczy mówią: Wiem, Sarie. Znowu zwracam uwagę. Obiecuję, że nie przestanę.

Potem coś na moim prowizorycznym biurku wibruje. Wyciszona komórka. Jednorazówka od Wildeya.

O kurwa.

Tata już idzie na górę, ale słyszy bzyczenie telefonu o drewno. Dla mnie jest głośnie niczym piła łańcuchowa.

„To pewnie on. Powiedz mu, żeby się nie bał, broń zostawię w sejfie”.

Gdy tylko tata znika mi z oczu, rozsuwam piramidę z trzech książek, pod którą ukryłam jednorazówkę. Chowam telefon do kurtki, wkładam ją i wybiegam na dwór, licząc, że dogonię D. Teoretycznie mam pięć minut na odpowiedź Wildeyowi. Powinno wystarczyć. Ale komórka znowu wibruje. To nie esemes. On do mnie dzwoni. Nie mogę nie odebrać.

„Halo?”

„Trójka z minusem, Wzorowa Studentko”.

O kurde.

To mi teraz niepotrzebne. To w ogóle mi niepotrzebne.

Generalnie biegnę ulicą z jednorazówką przy uchu, mrużąc oczy i wypatrując gdzieś D. albo jego szkaradnego zielonego plecaka. Najbliższy przystanek jest parę przecznic dalej, przy Rhawn Street. Ale o tej porze nocy autobusy pewnie jeżdżą raz na dwadzieścia trzy dni. Kolejny powód, dlaczego jestem Ci wdzięczna za hondę, Mamo.

„Ten gość, którego mi dałaś, Koolhaas, jest do niczego”.

„Co?”

„Jest do niczego, więc tobie też jest na nic”.

„Proszę?”

„Coś ty zrobiła? Podrzuciłaś mi pierwszego gnojka, jaki przyszedł ci do głowy, żeby chronić swojego chłopaka?”

Jego słowa ledwo do mnie docierają. Mocniej otulam się kurtką i dalej biegnę ulicą. Długie nogi oznaczają długie kroki. Ale chodnik jest śliski. Pełno na nim mokrych, zimnych liści.

„A w ogóle to gdzie się tak śpieszysz?”

Zamieram w pół kroku. Nieco dalej jakiś samochód dwa razy puszcza mi długie światła.

Rozmawiając przez telefon, Wildey usiłuje nie okazywać frustracji.

Aż tu nagle kogóż jego oczy widzą, jeśli nie tajną informatorkę gnającą ulicą. Hm. A dokąd to pędzisz o tej porze

nocy, panienko? Wildey rozważa, czy nie powiedzieć jej, że musi już kończyć, rozłączyć się, a potem ją śledzić, żeby sprawdzić, dokąd się wybiera. Ale nie chce ryzykować. To cicha ulica. Dziewczyna zauważyłaby ruszający samochód. A pójście za nią piechotą też nie byłoby mądre. Sąsiedzi w białej okolicy takiej jak ta zwykle zwracają uwagę, kiedy mężczyzna postury i karnacji Wildeya idzie szybkim krokiem za młodą kobietą.

Sarie jest już bliżej, wzrok ma rozkojarzony, rozgląda się na wszystkie strony.

- A w ogóle to gdzie się tak śpieszysz? - pyta Wildey.

Dziewczyna staje. Wildey dwa razy puszcza jej długie światła.

- Widzisz mnie? Chodź, pogadamy chwilę. Nie będę cię długo trzymał. Wiem, że musisz się uczyć.

Jak długo Wildey stał na mojej ulicy? Czy widział D.? Kurde, może już zakuł go w kajdanki i trzyma na tylnym siedzeniu, a teraz chce mnie zwabić i też mnie aresztuje. Promocja, dwa w cenie jednego: para zajebiście tępych studentów.

Kiedy otwieram drzwi od strony pasażera, z ulgą stwierdzam, że w aucie nie ma D. Niestety i tak mam jeszcze na głowie Wildeya. Nachyla się i ruchem ręki zaprasza mnie do środka, przez co czuję się trochę dziwkowato. Czerwona na twarzy wsiadam, uderzając kolanami o schowek.

Błagam, niech tata nie wybierze sobie właśnie tej chwili, żeby wyjść, czy dogoniłam D. Tej scenki już bym nie wytłumaczyła.

„Jak się masz, Wzorowa Studentko?”

„Jestem zmęczona”.

„Poszłaś na spacer, żeby się rozbudzić?”

„Aha”.

„Ładna okolica. Wiesz, rzadko bywam tu, w Fox Chase. Skąd w ogóle ta nazwa?”

„Od zajazdu”.

„Że co?”

„Zajazd – Fox Chase Inn – zbudowano w 1705 roku. Myśliwi z dzisiejszego Center City w Filadelfii przyjeżdżali polować na lisy w pobliskich lasach”.

Wildey odchyła się w fotelu. Niewątpliwie olśnił go mój geniusz.

„Na lisy, powiadasz. Skąd to wiesz?”

„Pisałam o tym referat w liceum”.

„Na lisy”.

Wildey patrzy przez przednią szybę na bliźniaki, chodniki i latarnie.

„Hm. Trzysta lat temu. Wtedy miasto całkiem inaczej wyglądało. Cholera, w zależności od punktu widzenia można by powiedzieć, że inaczej wyglądało jeszcze parę miesięcy temu”.

Ledwo mogę usiedzieć w fotelu, zmuszam się, by zachować spokój. Grzecznie i spokojnie. Nie wkurz go. Nie ruszaj ręką...

„Przepraszam, że pytam, posterunkowy Wildey, ale...”

„Ben. Powtarzam, żebyś mówiła mi Ben. Ciągle przekręcasz moje nazwisko, więc tylko mnie tym wkurzasz. Wymawia się je *tildi*, tak na marginesie. Ale serio, mów mi Ben”.

„Co tutaj robisz? W mojej okolicy? Myślałam, że cała sprawa ma być tajna!”

„Spokojnie, spokojnie. Mogę cię o coś zapytać?”

Zamykam usta i rozpieram się w fotelu. Oczywiście, że może mnie zapytać. Może pytać, o co tylko chce.

„Myślisz, że jesteś mądra, co?”

Wypluwa to pytanie w taki sposób, że aż się oglądam.

„C-co?”

„Ryan Koolhaas jest mi na nic”.

„Ciągle to powtarzasz, ale nic nie rozumiem. Zrobiłam dokładnie tak, jak chciałeś. Znalazłam ci dilerę. Czyli jestem wolna”.

„Nie. Bynajmniej nie jesteś”.

Wildey obraca swoje wielkie cielsko w moją stronę. Patrzy na mnie tym swoim laserowym policyjnym spojrzeniem.

„Koolhaas jest nikim. A już na pewno nie jest tym zajadającym cheesesteaki sprinterem, którego w zeszłym tygodniu goniłem przez park”.

Nie mówię nic. Wildey wzdycha.

„Wyłożę karty na stół. Powiem ci to samo, co powiedziałbym sędziemu. W ostatnią środę wieczorem, koło północy, obserwowałem dom osoby podejrzanej o bycie średniego szczebla dilerem narkotyków. Patrząc, aż tu nagle srebrna honda civic zajeżdża na tradycyjne miejsce: niedaleko rogu, gdzie parkingowy pozwala chwilę postać wszystkim klientom tego dilerka. Od strony kierowcy wysiada chłopak w czerwonych spodniach, na oko dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat, z zielonym plecakiem na ramieniu, podchodzi do drzwi, stuk trzy razy, drzwi się otwierają. Ale nie był sam. Ktoś siedział za kierownicą”.

Teraz Wildey zerka na swój cienki reporterski notes.

„Kobieta, lat osiemnaście lub dziewiętnaście, jak mi się wtedy wydaje, ale z drugiej strony niektórzy mają szczęście do młodzieńczego wyglądu. Włosy spięte w kucyk. Spisuję numery blach, ale nie mogę ich od razu sprawdzić, bo nie mam w aucie laptopa”.

Potem pokazuje mi kartkę. Na dole jest nagryzmolone: DRK-1066.

„Poznajesz?”

Nic nie mówię, ale to oczywiście moja rejestracja.

„W każdym razie siedzę i patrzę. Obserwuję ten dom już od jakiegoś czasu i zaczyna mnie to męczyć”.

Mnie zaczyna męczyć słuchanie o rzeczach, o których już wiem. Więc przechodzę do ofensywy.

„Dlaczego nie możesz po prostu podejść do drzwi i zapukać? Przecież jesteś tajniakiem. Nie możesz sam dokonać zakupu?”



„Ten gość nie działa w taki sposób. Obsługuje tylko z polecenia. Jak zapukam, to niezbyt uprzejmie każą mi spierdalać. Nie tędy droga do przymknięcia takiego dilerka. Trzeba znaleźć kogoś, kto dla niego pracuje, i go zwerbować”.

„Tak jak zwerbowałeś mnie”.

„Właśnie”.

„Więc dlaczego nas śledziłeś?”

„Szczерze mówiąc, ze względu na ciebie”.

„Co?”

„Nie pasowałaś. Po koleśiach, którzy tam zajeżdżają, zwykle wiadać, że są z branży. Po tobie nie. Więc skoro ty byłaś amatorką, to uznałem, że twój chłopak też. Inaczej by cię nie zabrał. Plus jeszcze ten zielony plecak. Miałem co do niego dobre przeczucia. Więc za wami ruszyłem”.

„Licząc, że nas zatrzymasz”.

„Tak jest”.

Willey wolno drapie się po brodzie, gładząc krótki zarost.

„Sarie, ten Chuckie to naprawdę nieciekawy typ. Gdybym tak nie myślał, nie poświęcałbym mu tyle czasu”.

„Jak bardzo nieciekawy?”

Willey przez ułamek sekundy nie może powstrzymać uśmiešku, a potem na powrót przybiera ponurą policyjną

minę. To okazja. Strachem może wiele zdziałać.

- Nie mogę rozmawiać o trwającym dochodzeniu - kontynuuję. - Ale na miejscu twoim i twojego chłopaka trzymałbym się tak daleko od Dziewiątej Ulicy, jak to możliwe. Widziałem, co ten facet robi z ludźmi. - Nachyla się. - Sarie, twojemu chłopakowi nic się nie stanie. Obiecuję. Jeśli zacznie ze mną rozmawiać, to go ochronię. Załatwię wycofanie zarzutów.

- Muszę już wracać - odpowiada Sarie. - Mam referat do napisania.

- Ta sprawa nie zniknie - mówi Wildey. - Ja nie zniknę.

Marty już prawie śpi, kiedy słyszy trzask drzwi samochodu. Po omacku wędruje do okna, potykając się o stopy własnych butów i ubrań, a potem rękawem koszuli wyciera zaparowaną szybę. Na ulicy widzi swoją siostrę wysiadającą z nieznanego samochodu. Dziewczyna wbiega do domu. Samochód odjeżdża, ale Marty ze swojego miejsca nie widzi rejestracji.

Niedobrze.

Marty bardziej niż cokolwiek na świecie nie cierpi, gdy się go traktuje jak małe dziecko. Nawet przed śmiercią mamy rodzice widzieli w nim malucha, który nie radzi sobie z „dorosłymi” tematami w przeciwieństwie do Sarie. Kiedy mamy zabrakło, zrobiło się jeszcze gorzej. Teraz Marty jest biednym dzieciakiem bez mamusi, którym trzeba się stale opiekować. To strasznie wkurzające.

Sarie była inna. Ona nigdy nie patrzyła na niego z góry i nie uważała, że z czymś sobie nie poradzi. To znaczy do czasu, aż mama zachorowała, a Sarie to przed nim zataiła. Marty długo był na nią zły. Kto jak kto, ale ona nie powinna się tak zachować. A gdy w końcu to się stało, wywołało większy szok, niż powinno. Było zupełnym zaskoczeniem.

Teraz Sarie ma własny sekret. A jego częścią jest tajemniczy facet w obtłuczonym sedanie. Jej chłopak? Może. Ale tata nie jest nadopiekuńczym typem, co to każdemu kandydatowi chciałby połamać nogi. Więc jeśli to jej chłopak, a Sarie nie chce, żeby tata go poznał, musi być konkretnym gnojkiem.

Ale nie, tu nie chodzi o jakąś dramę z chłopakiem w roli głównej. Sarie wplątała się w coś niedobrego, a tata najwyraźniej znowu odpłynął. Marty Holland nie da się znowu zaskoczyć.

#### **4 GRUDNIA**

Kiedy rano patrzę na zmierzwione włosy D. i dzinsy, w których pewnie spał, zastanawiam się, co by było, gdyby wczoraj wieczorem nie pojawił się Wildey. Może dogoniłabym D., zaciągnęła go do domu, przedstawiła tacie, dała mu buziaka na dobranoc przed pójściem na górę. Może obmyślibyśmy rozsądny plan działania.

Oczywiście stało się inaczej. Bo teraz odmrażamy sobie tyłki niedaleko Independence Square, a ja opowiadam, co mi chodzi po głowie.

D. reaguje inaczej, niż myślałam.

„Co? To obłąd! Nie ma mowy. Nie martw się. Coś wykombinuję”.

„Jak? Masz czas do wieczora”.

Odwraca wzrok, przełyka ślinę.

„W zasadzie to mam czas do teraz, bo za dwie godziny muszę złapać autobus w głąb stanu”.

Powietrze jest lodowate, ale to nie powstrzymuje setek turystów, głównie z Azji, którzy kłębią się wokół Independence Hall, pstrykają cyfrowe zdjęcia i czekają na odjazd następnego autobusu. Ręce już mi zgrabiały, bo zapomniałam rękawiczek.

Od wczorajszej niespodziewanej wizyty Wildeya w mojej okolicy jesteśmy superostrożni, jeśli chodzi o nasze spotkania. Muszę zakładać, że on w każdej chwili może się gdzieś czaić. Niemalże słyszę, jak mówi „a więc TO jest ten twój chłopak”, wstając zza krzaka z kajdankami w ręku. Dlatego koniec ze spotkaniami u mnie w domu, nie możemy się też widywać w domu D.

D. wymyślił, żeby założyć fałszywe konta na Twitterze i komunikować się tą drogą. Wildey musiałby być jasnowidzem, żeby przechwycić takie wiadomości, no nie? Ustaliliśmy, że spotkamy się przy Dzwonie Wolności. To pomysł D. Ale z niego turysta!

Spacerowanie teraz wokół pawilonu z Dzwonem to dziwne uczucie.

„Dlaczego tutaj?”

„Rozrysowałem to sobie na mapie w internecie. Jesteśmy w połowie drogi między moimi dwoma następnymi przystankami: meta Chuckiego a dworcem autobusowym”.

Robię obliczenia w myślach. Nie zgadza mi się.

„Zaraz. Przecież meta Chuckiego jest w South Philly. A dworzec autobusowy z sześć przecznic stąd. Jakim cudem połowa drogi wypada tutaj?”

D. patrzy na mnie z wahaniem, ale w końcu postanawia się odezwać.

„Meta Chuckiego zmienia położenie co tydzień. Czasami nawet co parę dni”.

„On ma aż tyle kryjówek?”

D. kręci głową i uśmiecha się ponuro.

„Nawet sobie nie wyobrażasz”.

„To skąd wiesz, dokąd iść? Dzwoni do ciebie czy jak?”

D. znowu się waha, jak zasrany szpieg z czasów zimnej wojny, który nie chce zdradzać swoich tajemnic.

„Mamy inny kanał komunikacji. Jest bezpieczny, nikt nie może podsłuchiwać”.

„Kontaktujecie się na Twitterze”.

„Nie, nie na Twitterze”.

Postanawiam chwilowo zostawić temat. Po co mi w ogóle ta wiedza? Chyba im więcej się dowiem, w tym gorszej będę sytuacji. Wildey to wywęszy. „Ty coś wiesz, Wzorowa Studentko, co nie?” Pieprzyć to. Tylko że trochę jestem ciekawa. Chyba nie ma w tym nic dziwnego? D. jest wplątany w świat, w który wciągnął również mnie – więc chyba naturalne, że interesuje mnie jego mechanizm. Wiedząc więcej, mogę się lepiej chronić. A może nawet chronić D.

„Pójdę już. Chciałem ci tylko dać znać, gdzie będę, żebyś się nie martwiła”.

„Teraz martwię się jeszcze bardziej”.

„Dlaczego?”

Wytrzeszczam oczy. No a jak myślisz?

„To urocze z twojej strony, ale serio, nic mi nie będzie”.

„Nie możesz poprosić tego Chuckiego o przedłużenie terminu?”

„Coś jak z terminem oddania referatu? To tak nie działa. Dilerzy zawsze dostarczają ci towar, dopóki płacisz na czas. Jeśli poproszę o przesunięcie zwrotu, zorientuje się, że coś jest grane, i więcej nie dostanę towaru. A bez niego nie mam szansy się wypłacić. Ani zapłacić za szkołę. Równie dobrze mógłbym zacząć uciekać już teraz”.

„Cholera”.

„No właśnie. Przesrane mam, co?”

Idziemy dalej w milczeniu, aż docieramy do wystawy dawnych kwater niewolniczych na rogu Szóstej i Market Street. Zanim przejdę przez ulicę, patrzę w obie strony. D. wydaje się pogrążony we własnych myślach. Kiedy jesteśmy już bezpieczni po drugiej stronie Market Street, wreszcie mu mówię.

„Niekoniecznie”.

Ten pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy dziś rano otworzyłam oczy. Mogłabym ukraść dwa kafle z organizacji studenckiej, której jestem współzałożycielką.

Samą mnie to zaskoczyło. Wczoraj wieczorem usiłowałam rozkminić inne sposoby zdobycia dwóch tysięcy dolarów: może pożyczka

od taty (ale nie, wciąż spłaca rachunki za leczenie onkologiczne mamy, nie ma takich pieniędzy), nowy kredyt studencki (nie, tata by się dowiedział), kredyt gotówkowy w banku (z jakim zabezpieczeniem?). Zamęczałam się tym, idąc spać, a rano odpowiedź już na mnie czekała.

Przestępstwo.

Tak, autentyczne przestępstwo. Poszłam nawet do biblioteki uniwersyteckiej i sprawdziłam w kodeksie, żeby się upewnić:

**(a.1) Przestępstwo trzeciego stopnia** – Nie licząc przypadków przedstawionych w podpunkcie (a), kradzież jest przestępstwem trzeciego stopnia, jeśli skradziona suma wynosi 2000 dolarów albo więcej lub gdy skradzionym mieniem jest samochód, samolot, motocykl, łódź motorowa albo inny pojazd o napędzie silnikowym lub w przypadku kradzieży przez pozyskanie kradzionego mienia, gdy pozyskujący zajmuje się kupnem lub sprzedażą kradzionego mienia.

Dwa tysiące. Dokładnie tyle, ile potrzebuje D., żeby nie zmasakrował go diler o idiotycznej ksywie. Zupełnie jakby kodeks Pensylwanii o tym wiedział i robił sobie ze mnie jaja.

Mogłabym próbować to sobie zracjonalizować, mówiąc, że te dwa tysiące tylko pożyczę, ale tak naprawdę to zwykła kradzież. Pieniądze z tej kradzieży trafią do D., który zaniesie je Chuckiemu Morfinie, żeby spłacić dług. D. dostanie kolejne proszki na sprzedaż. Poprosi o więcej niż zwykle. Przez dwa kolejne dni będzie zapierdalał jak głupi, żeby je spylić i zarobić tyle, by do piątku spłacić swój dług wobec uczelni i oddać mi kasę, zanim ktoś zauważy jej zniknięcie.

To jest kradzież, prawda?

Wyjmuję kopertę z kieszeni i podaję ją D. Zdezorientowaną minę ma przyklejoną do twarzy, dopóki nie uchyli klapki i nie zobaczy banknotów w środku.

„O kurde!”

„O kurde o wartości dwóch kafli”.

„Skąd to masz? Pożyczyłaś od starego?”

„Nie zawracaj sobie tym głowy”.

„Daj spokój, muszę wiedzieć. Co zrobiłaś?”

„Ty masz swoje tajemnice, a ja swoje”.

D. nie wie, co powiedzieć. Patrzy na kopertę, potem na mnie, a potem znowu na kopertę. Wdzięczność praktycznie się z niego wylewa. A teraz niespodzianka: to jeszcze nie koniec jego próśb o przysługi.

„Musisz zrobić coś jeszcze”.

„Zaraz... co?”

„Umówić się z Wildeyem”.

„Niby po co?”

„Bo wie, że większość dilerów uzupełnia towar co tydzień. Ja odebrałem paczkę w zeszłą środę, więc pewnie będzie obserwował dom. Co będzie, jak mnie rozpozna?”



„Cholera. Więc muszę odciągnąć go ze stanowiska”.

„Właśnie. Mogłabyś?”

Zapada niezręczna cisza. Musimy się rozdzielić, bo sprawy toczą się szybko: kradzież, zbliżający się odbiór narkotyków, odwrócenie uwagi policjanta, które chyba podpada pod współudział, no nie? Ale chciałabym też zostać z D. trochę dłużej. Chciałabym, żebyśmy byli zwyczajnymi dziewczyną i chłopakiem, którzy poznali się na imprezie, mogą pójść sobie na miasto, robić zwyczajne rzeczy i nic nie wisi im nad głowami. Może niedługo tak będzie.

Łapię D. za ramię, co w moim wydaniu jest niezdarnym wstępem do objęcia. Nie rozumie, o co mi chodzi. Tylko się na mnie patrzy.

„Co?”

„Lubisz to robić?”

„Co robić? Jeździć autobusem w głąb stanu?”

„Wiesz, o co pytam”.

„Wiem. Ale już ci mówiłem. Potrzebuję kasy na czesne”.

„Myślałam o tym. Są inne sposoby zarabiania pieniędzy”.

„Są?”

„No... tak. Są”.

„Słyszałaś kiedyś o Cindy Schraff?”

„O kim? Czy ty zmieniasz temat?”

D. kręci głową.

„Cindy Schraff była wyróżniającą się studentką, skończyła studia w zeszłym roku, więc możesz jej nie znać. Średnia cztery zero, i to wliczając program trójki, w pizdu zajęć dodatkowych, wolontariat, wszystko. Generalnie studentka idealna. I teraz tak: nie chce iść na prawo, medycynę ani pieprzyć się ze studiami drugiego stopnia. Chce tylko zrobić dyplom, znaleźć pracę, wprowadzić się do własnego domu. Na chacie jest do dupy, ale to nieważne, ciężko pracowała, żeby się wyrwać. No więc kończy studia, rozsyła milion CV, idzie na parę rozmów kwalifikacyjnych i nic. Dosłownie miesiącami cisza. Dochodzi termin spłaty kredytu studenckiego, a jak się nie wywiążesz, to takich długów nie wymaże się bankrutem. Rodzice jej nie pomogą. Uważają, że sama jest sobie winna, a ich na studiach nikt nie ratował. No więc próbuje dalej, wydaje jeszcze więcej kasy na seminaria zawodowe i z przywództwa, wynajmuje rekrutera, robi wszystko. Ale nikt nie szuka pracowników. I wiesz, co wtedy zrobiła?”

„Zaczęła dylować oxy”.

„Nie. Zabiła się”.

Dobra, teraz się czuję jak ostatnia pinda.

„Znałeś ją?”

„Tak. Trochę. Chodzi mi o to, że gra jest totalnie ustawiona. Można robić same tak zwane właściwe rzeczy i wiesz, do czego się dojdzie? Zapytaj Cindy”.

„Zobaczę, co da się zrobić”.

**PORT RICHMOND**

Willey wyciąga papierowe saszetki sztucznego cukru z prostokątnego szklanego pojemnika i rozkłada je na blacie stołu. Wciąż nie może uwierzyć, że to robi. Wskazuje cukier gestem.

- Dobra, to jest towar.

Wzorowa Studentka mówi: moment, moment, po czym zaczyna grzebać w torbie. Wyciąga niebieski zeszyt egzaminacyjny i czarny długopis.

- Co ty robisz?

- Notatki.

- Po co?

- Ja się w ten sposób uczę. Jak coś zapisuję, to wchodzi mi do głowy i już tam zostaje. Nauczyłam się tej sztuczki w liceum.

Hm. Rzeczywiście wzorowa studentka, nie ma co. Willey zdziwił się, kiedy godzinę temu przysłała mu wiadomość - w pierwszej chwili nie rozpoznał jej numeru. Przez ostatni tydzień to on truł jej dupę, nie odwrotnie. Może tygodniowa presja wreszcie poskutkuje. Może zadziałało wczorajsze ultimatum. Kto wie. Ale kiedy oddzwonił, Wzorowa Studentka zapytała szeptem: „Skąd wiadomo, że ktoś jest dilerem? Ale tak na sto procent?”. No i proszę bardzo. Łamie się. Patrzy na swojego chłopaka w innym świetle. Kaz miała rację, że dziewczyna pęknie. To była tylko kwestia czasu. Willey powiedział, żeby spotkała się z nim w Aramingo Diner - to chyba zaczynało się robić ich zwyczajowe miejsce - za godzinę.

Tym razem przyszła głodna. Ale i tak nie zamówiła prawdziwego jedzenia. Tylko sałatkę, sos winegret i, co dziwne, miskę owsianki z miodem. „Nie chcesz prawdziwego jedzenia?” - zapytał Willey. „To jest prawdziwe jedzenie” - odparła. On nie jest głodny. Zamawia kawę i przechodzą do interesów.

Narkotykowych interesów.

- Skąd wiesz, jak znaleźć dilerów? - pyta Saria. - Przecież może nim być każdy.

- Hehe. Nareszcie rozumiesz, dlaczego płacą mi kokosy.

- Nie o to mi chodzi.

- Nie martwię się samymi dilerami, tylko tym, co dilerzy mogą zrobić dla mnie, bo w mojej robocie trzeba się piąć w górę drabiny.

- Drabiny?

To właśnie wtedy Wildey wpada na pomysł zilustrowania Saria całego biznesu, począwszy od saszetek cukru udających towar.

- Towar? - pyta dziewczyna.

- No wiesz, oxy, percocet, heroina, cokolwiek - odpowiada Wildey i uświadamia sobie, że chyba mówi troszkę za głośno. Kilkoro cywili ogląda się w ich stronę: czarny facet i biała dziewczyna siedzą przy stoliku i gadają o narkotykach.

- Rozumiem - rzuca Wzorowa Studentka, niczego nieświadoma. Urocze, wszystko notuje. Nawet przygryza język i w ogóle.

- To złożona sieć. Nie myśl, że goście wyskakują gdzieś z łodzi, a potem zaczynają łązić po ulicach i handlować - wyjaśnia Wildey, prawie już szeptem. - Towar przechodzi przez wiele, wiele rąk, zanim w końcu trafi do zwykłego ulicznego dilerów. - Zerka na stół, a potem obok plastikowego pojemnika z cukrem stawia butelkę keczupu. - Ten keczup to jest baron narkotykowy. Koleś rządzi wszystkim. Materiał dostaje bezpośrednio ze źródła: z Ameryki Południowej, Meksyku, Afganistanu, wszystko jedno. Ale tu, do miasta, sporo towaru trafia z Meksyku, przez Kalifornię.

Saria podnosi wzrok, potem go spuszcza, pisze zapamiętane.

Willey nie umie się powstrzymać. Lubi mieć publiczność. Czuje natchnienie. Chwyta opakowanie dżemu winogronowego z plastikowej tacki, pełnej tego. A potem jeszcze morelowego. A co tam. Saszetki cukru kładzie na tych opakowaniach.

- To międzynarodowi przemytnicy. Baron narkotykowy wynajmuje ich, żeby wwieźli towar do kraju. Są w tym naprawdę dobrzy. Powiedzmy, że chodzi o koks. Rocznie tacy goście przerzucają go do Stanów pięćset ton.

Willey przesuwa dżemy przemycające narkotyki po blacie stołu w kierunku... czego jeszcze mógłby użyć...

Butelki musztardy. Takiej szerokiej, przysadzistej. Aha, będzie idealna.

- To jest boss. Siedzi w Stanach, nadzoruje interes od tej strony.

Sarie zapisuje.

Willey obok musztardy stawia solniczkę i pieprzniczkę.

- Ci tutaj są szczebel niżej, to krajowi dystrybutorzy. Odbierają towar od bossa, przetwarzają, rozcieńczają, co tam trzeba, a potem puszczają dalej do swoich dilerów.

Sarie wyczekująco patrzy znad notatek. Willey rozgląda się po stole. Co zostało? Obok kubka z kawą leżą cztery puste pojemniki po śmietance, z zadartymi papierowymi wieczkami. Dobra, nadadzą się. Zbiera je i rzuca przed Wzorową Studentką.

- A to dilerzy. Goście spylający towar klientom. Oni chujają znaczą. Są jak goście na kasie w McDonalddie. Można ich spisać na straty i łatwo wymienić.

Żeby to zilustrować, Willey przesuwa ręką po blacie, potrącając pojemniki, tak że odbijają się od przegrody z laminatu.

- Twój chłopak to pojemnik po śmietance. Mam na niego szczerze wyjebane.

- Interesujesz się nim tylko po to, żeby dotrzeć szczebel wyżej - mówi dziewczyna. - Do solniczek i pieprzniczek.

- Właśnie. To myśl o załatwianiu tych solono-pieprzonych chujków sprawia, że rano wstaję z łóżka. A jeszcze lepiej, jak dopadnę ich tyłu, żeby się dorwać do butelki musztardy. Takiej dużej, tłustej, z szerokim ryjem. To mój prawdziwy cel.

Wzorowa Studentka wszystko notuje, więc Wildey czuje, że powinien teraz podsumować wykład.

- No dobra, widzisz to wszystko na stole? To wszystko, przed czym siedzisz? To gra warta siedemset pięćdziesiąt miliardów dolarów. Miliardów, nie milionów. A ja jestem tylko ziomkiem, co zarabia sześćdziesiąt kafla rocznie i próbuje im wetknąć kij w szprychy.

Dziewczyna kiwa głową, odkłada długopis, bierze kęs sałatki. Żuje w zamyśleniu, jakby dużo jej się teraz przewalało przez głowę.

- Co się dzieje z pojemnikiem po śmietance, kiedy zostanie zużyty?

Wildey się uśmiecha.

- To zależy. Ale w tym konkretnym przypadku pojemnikowi nic się nie stanie, pod warunkiem że wyda swoją solniczkę-pieprzniczkę. Masz moje słowo.

Sarie żuje następny kęs sałatki.

Wildey mówi dalej:

- Powiem ci, co się zwykle dzieje ze śmietankami. Albo je łapiemy, albo w końcu giną. I mam na myśli zdecydowaną większość, Sarie. Nie ma innej drogi, chyba że się dogadają. Twój chłopak jest biały, prawda?

Sarie nadal przeżuwa, wpatrując się w tę swoją paszę dla królików. Nie odpowie na to pytanie. Jeszcze nie.

- Uznam to za potwierdzenie. Więc może ma trochę większe szanse. Ale też większe prawdopodobieństwo, że za-

cznie sięgać po własny towar, o ile już nie zaczął. Biali chłopcy kochają piguły. Wkrótce zaczynają mieć problem z właściwą oceną sytuacji. Na przykład każą swojej niewinnej dziewczynie zawieźć się do solniczki-pieprzniczki, a potem laskę zostawiają z materiałem. Skoro on wycina takie numery, to znaczy, że kręci się już wokół odpływu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Sarie ciągle zuje. Popija łykiem lodowatej wody.

- Co oznacza, że zrobisz mu wielką p...

Odzywa się komórka Wzorowej Studentki - esemes albo coś. Kiedy dziewczyna wyciąga telefon z torby, Wildey próbuje zerknąć od niechcienia, ale blask świateł w knajpie to uniemożliwia.

- Kto to?

Sarie podnosi wzrok.

- Mój tata. Pyta, czy wrócę do domu na obiad.

- Co? Tyle sałatki zeżarłaś i jeszcze ci mało?

I wtedy się pojawia: prawdziwy uśmiech Wzorowej Studentki. Wildey jest oszołomiony. Kiedy jego informatorka się uśmiecha, wygląda jak zupełnie inna osoba.

- No więc - mówi Wildey, nabrawszy odwagi - może chcesz mi coś powiedzieć?

Uśmiech znika równie szybko, jak się pojawił, wraca zaniepokojony wyraz twarzy. Właśnie, Wzorowa Studentko. Powinnaś się niepokoić. Pomóżmy twojemu chłopakowi - wspólnie. Jak dziś wieczorem młody puści farbę, to rano Wildey będzie już przygotowywał nalot na Chuckiego. Kupię ci tyle sałatki, ile tylko zmieścisz. Wiesz, że tak będzie właściwie. Jesteś mądra. Więc zrób to wreszcie.

- Daj mi czterdzieści osiem godzin - mówi Sarie, zaskakując go po raz drugi tego dnia.

## **4 GRUDNIA**

Mamo, nie możesz powiedzieć, że niczego się nie uczę. Dzisiaj dzięki Wildeyowi przesłałam przyspieszony kurs funkcjonowania rynku narkotykowego. Wildey nie miał pojęcia, że tylko gram na czas, pozwalam mu gadać, sprzedaję mu minę pod tytułem „Totalnie Słucham, Co Do Mnie Mówisz”. (Choć tak szczerze, to naprawdę było ciekawe). Aż tu nagle w połowie rozmowy nagle wibruje moja prawdziwa komórka. Czuję ją w torbie. Wyjmuję, zerkam na ekran, modląc się, żeby Wildey był zbyt zajęty swoimi pojemnikami po śmietance i butelkami musztardy, żeby spojrzeć w dół.

To wiadomość od D.:

„Wyszedłem”.

Wildey przekrzywia głowę w stronę telefonu.

„Kto to?”

Kłamię, że tata.

„Pyta, czy wrócę do domu na obiad”.

„Co? Tyle sałatki zeżarłaś i jeszcze ci mało?”

Podnoszę wzrok i zmuszam się do szerokiego uśmiechu. Wildey też się uśmiecha, a ja czuję, że po raz pierwszy od tygodnia jestem w stanie oddychać. Po cichu wsuwam komórkę do torby. Droga wolna; za parę minut D. będzie siedział w autobusie jadącym w głąb stanu, gdzie być może uda mu się zamienić kilka worków pigułek – towaru, upominam samą siebie – na cztery tysiące dolców zysku. A teraz do mnie należy wsypanie kogoś innego na miejsce D. I dam radę. Skoro jestem w stanie w osiem godzin wysmażyć jakieś bred-



nie o rewolucji francuskiej, to z pewnością potrafię znaleźć w Filadelfii dilerów narkotyków.

Sarie bierze prysznic, co oznacza, że gdzieś wychodzi. Marty Holland wie, że to nietypowe jak na zwykły dzień tygodnia. Jeśli już, Sarie dłużej zostaje na uczelni, żeby poszukać czegoś w bibliotece, ale potem wraca do domu, robi/zjada szybką kolację i idzie na dół do piwnicy pracować. Czasami Marty schodzi tam z książką i pyta siostrę o jakieś słowo, udając, że go nie rozumie, tylko po to, by się upewnić, że u niej wszystko w porządku. Przestała się nawet spotykać z Tammy. (Szkoda, bo Tammy zawsze fajnie Marty'ego traktowała, choć pewnie po prostu była miła dla dziwaka, bo wiadomo, karma wraca). Odkąd Sarie we wrześniu zaczęła studia, nigdy nie wychodzi wieczorem. Więc dokąd się teraz wybiera?

Czy tata ją przeegzaminuje? Wątpliwe. Ogląda w salonie jakiś stary film akcji z lat osiemdziesiątych i pije czwartą butelkę yuenglinga (sądząc po trzech pustych w koszu do recyklingu). Proponował Marty'emu, żeby do niego dołączył, mogliby nawet zrobić popcorn, ale Marty podziękował. Nie jego klimaty. Czy nikt nie zdaje sobie sprawy, że jutro rano szkoła?

Marty przykłada ucho do ściany, żeby się upewnić, że ciągle leci woda, a potem szybko zdejmuje kluczyki Sarie z plastikowego haczyka na lodówce i wybiega na dwór. Kannonada i wybuchy dobiegające z salonu tłumią wszystkie dźwięki, co jest bardzo wygodne. Marty, teraz już pewny siebie, idzie do hondy, otwiera drzwi, wkłada kluczyki do stacyjki, żeby włączyć dopływ prądu, spisuje odczyt z licznika mil, wyłącza stacyjkę.

Ale to tylko metoda awaryjna, bo teraz ma nowy sposób ustalenia, dokąd jeździ Sarie. Zamówił to w weekend przez

internet za 18,95 dolarów, a przyszło dzisiaj: niekorzystające z GPS, oparte na technologii Bluetooth urządzenie śledzące sSquare pierwszej generacji. Zwykły zasięg Bluetooth to tylko trzydzieści metrów, więc ta mała plastikowa kostka byłaby bezużyteczna, chyba że Marty chciałby śledzić Sarie przez połowę drogi do najbliższej przecznicy. Projektanci sSquare wpadli jednak na sprytny pomysł: crowdsourcing wyszukiwań. Gdy tylko twój sSquare znajdzie się w trzydziestometrowym zasięgu innego użytkownika, dostaniesz powiadomienie w aplikacji. Największym ograniczeniem jest oczywiście to, że sSquare'ów nie ma jeszcze wszędzie. Pierwszą partię wykupili jednak entuzjaści nowości i ludzie wspierający projekt, więc Marty liczy, że w Filadelfii jest dość tych urządzeń, by przynajmniej z grubsza wiedzieć, gdzie przebywa Sarie.

Teraz pozostaje pytanie: gdzie to umieścić? Marty nie chce wkładać kostki do schowka (w którym Sarie i tak utrzymuje ład i porządek), bo to odcięłoby ją od potencjalnego sygnału innych użytkowników. Najlepsze byłyby zewnętrzne krawędzie auta. Gdzie jeszcze można zostawić urządzenie, nie licząc zamontowania go na desce rozdzielczej? Właśnie w tym momencie Marty podnosi wzrok i zauważa wielki medalik ze Świętym Krzysztofem przyczepiony do osłony przeciwsłonecznej. Mama kupiła go tego samego dnia co hondę. Była katoliczką, była przesądna i nie chciała jeździć bez medalika. Tata, katolik na odwyku, zawiózł ją prosto do sklepu z dewocjonaliami i kupił jej największy medalik, jaki znalazł. Całe szczęście, bo sSquare akurat się pod nim zmieści i będzie niewidoczny.

Kiedy Marty dotyka medalika, myśli o mamie i o tym, że w tej chwili patrzyłaby na niego z naganą, a to najgorsze, co mogłoby się wydarzyć. Drży mu warga, więc ją przygry-

za. Nie bądź dzieckiem. Twoja siostra nie potrzebuje małego braciszka, potrzebuje kogoś, kto się nią zaopiekuje.

Gotowe. Dobrze schowane. Urządzenie jest zupełnie niewidoczne i mocno się trzyma. Metal nie powinien zakłócać sygnału Bluetooth, a wydajna bateria podobno trzyma rok.

- Przepraszam, Święty Krzysztofie - mówi Marty na wszelki wypadek. - Nie miej tego Sarie za złe.

Święty Krzysztof, jeśli słucha, nie odpowiada.

Marty wysiada z samochodu, zamyka go najciszej, jak potrafi, a potem czmycha z powrotem do domu. Otwiera drzwi i natychmiast słyszy kojące odgłosy okrzyków i strzelaniny. Sarie natomiast jest w kuchni, w szlafroku, z włosami owiniętymi ręcznikiem, robi sobie herbatę. Odwraca się i natychmiast zauważa Marty'ego.

- Gdzie byłeś?

Marty wciąż ma w ręku jej kluczyki, które teraz chowa za plecami, modląc się, żeby nie zabrzęczały.

- Wydawało mi się, że usłyszałem coś na zewnątrz - mówi. To kłamstwo wytacza się z jego ust niemal automatycznie. - Wychodzisz gdzieś?

Sarie znów odwraca się do blatu.

- Tak, jadę się trochę pouczyć z Tammy.

- Z Tammy? Serio?

- Tak. Serio. Z Tammy. O co ci chodzi?

- Tata wie?

Sarie znowu patrzy na niego z dziwną miną.

- Wie. Dlaczego miałby nie wiedzieć?

- Znasz tatę... czasami nie uważa. Chciałem się tylko upewnić, że wie, gdzie będziesz, żeby potem nie obudził mnie w środku nocy i nie wypytywał.

Wypada nieco agresywniej, niż Marty zamierzał. Sarie wygląda na trochę urażoną, a potem znowu skupia się na

herbacie. Z salonu niesie się echo kolejnej eksplozji. Bum. Skucha.

Ale teraz przynajmniej wiadomo, gdzie siostra teoretycznie będzie. Tammy Pleece mieszka w Rydal, jakieś trzy mile stąd. Jeśli sQuare odezwie się gdziekolwiek indziej w mieście, Marty dowie się o tym natychmiast. Licznik mil też powie prawdę, choć Sarie zawsze może skłamać, że pojechały z Tammy do kawiarni w Abington albo coś takiego.

Teraz Marty siada przy stole w kuchni i udaje, że kartkuje dzisiejsze wydanie „Daily News”, czekając, aż Sarie wyjdzie z domu. Trzeba z powrotem powiesić jej kluczyki na lodówce, ale on za bardzo się tym nie martwi. Siostra musi jeszcze wysuszyć włosy, ubrać się i odwalić wszystkie inne babskie sprawy. Dlatego Marty mocno ściska kluczyki w dłoni, tak by nie zabrzęczały, i ogląda artykuły o ludziach zabijanych w całym mieście. Dwie osoby zastrzelono na placu zabaw w okolicy o nazwie Fairhill (o której on nigdy nie słyszał). Kolejną przed barem na Lancaster Avenue niedaleko Powelton Village (którą Marty zna z reportażu kryminalnego *The Unicorn's Secret* przeczytanego latem). I wciąż żadnych poszlak w sprawie masakry w rzekomej melinie narkotykowej w Rhawnhurst, czyli niepokojąco blisko. W salonie męski głos rzuca jakąś dowcipną uwagę, której Marty nie słyszy wyraźnie, rozlega się szybka seria strzałów z pistoletu, a potem kolejna dowcipna uwaga. Sarie kończy sobie robić herbatę i wychodzi z kuchni bez słowa. Marty wiesza kluczyki z boku lodówki, a później idzie do siebie na górę, żeby skończyć zadanie z matematyki i czekać. To będzie długa noc.

# Dziewczyny

## **4 GRUDNIA (później)**

Dzisiaj: research narkotykowy, podejście pierwsze.

Zanim uraczę Cię moją opowieścią o bezkompromisowym ulicznym researchu... cóż, znasz mnie, Mamo. Jestem, jak to ludzie mówią, introwertyczką. Tłumy ludzi nie przeszkadzają mi pod warunkiem, że mogę się w nich zgubić i nikt nie próbuje ze mną rozmawiać. Dlatego sama myśl o wejściu w tłum, żeby ustalić, skąd można skołować narkotyki... No właśnie.

Miałam jednak poszlakę. Podczas gorączkowych poszukiwań w internetach trafiłam na tekst o tak zwanych narkomańskich Bonnie i Clydzie, którzy napędzani heroiną i koksem siali spustoszenie w Camden i Filadelfii. Przypomniałam sobie, że w marcu mówili o tym wszyscy w szkole, chichotali, pokazując sobie telefony z filmikiem na YouTube, na którym radiowóz wpada w długi sznur zaparkowanych samochodów. Wtedy jakoś nie zwracałam na to uwagi, więc dzisiaj wyszukałam w sieci. I kurde... „Clyde” był dwudziestoczteroletnim robotnikiem dniówkowym z przedmieść, a „Bonnie” – jego dwudziestotrzyletnią narzeczoną. Na zdjęciach „przed” wyglądają na szczęśliwą parę: cali uśmiechnięci, stykają się głowami, odurzeni życiem. On szczupły i umięśniony, ma krótko przystryżone włosy i przystojną twarz, której taka fryzura pasuje. Ona młodzieńcza, ma duży biust i idealnie białe zęby, jakie każdy z nas chciałby mieć. To było „przed”.

Po trzech dniach grzania heroiny postanowili pojechać do Camden, żeby skołować więcej. Ich samochód zatrzymano, policjant po-

dejrzał ich o zakup narkotyków, no bo po co innego jeździ się do Camden? Potem mówili, że zamierzali zerwać z nałogiem – bądź co bądź, mieli w domu dziecko – ale chcieli „zrobić to z hukiem”. Profesor Chaykin zawsze nam powtarza, żebyśmy unikali oklepanych frazesów typu „rozpętało się piekło”, ale... rozpętało się piekło. Bonnie i Clyde postanowili, że kradzież radiowozu policjanta z Camden to bardzo dobry pomysł. Więc to zrobili. Jechali nim przez most Bena Franklina, gdzie znowu zostali zatrzymani, tym razem przez filadelfijską policję. Mogłabyś pomyśleć, że na tym ich historia się kończy, ale jak pokazuje nagranie na YouTube, byłabyś w błędzie. Clyde był w kajdankach, a Bonnie uznała, że kradzież filadelfijskiego radiowozu to też jest dobry pomysł – może chciała ukraść po jednym samochodzie z każdej komendy w dolinie Delaware? – a potem potoczyła się nim do Fishtown, gdzie wpadła na sznur zaparkowanych aut i zatrzymała się z piskiem. Glinom wreszcie udało się zakuć ją w kajdanki, a nazajutrz setki tysięcy ludzi przerzucały się dowcipami i pokazywały sobie filmik z jej ostatnimi chwilami na wolności.

Nie, Mamo, nie martw się, nie jadę do Camden, żeby zrobić ulicznego dilerka. Ani nie planuję kryminalnego szaleństwa w dwóch różnych stanach, z użyciem dwóch skradzionych radiowozów. Za to czytając o przeszłości tej pary, odkryłam, że byli aktywni na scenie narkotykowej w dzielnicy Northern Liberties, dradzi kupowali w hipsterskich klubach i mikrobrowarach. Zwłaszcza w lokalach z muzyką na żywo. Czyli dokładnie takich, gdzie mogę wejść dzięki podrabianemu dowodowi od Tammy.

Dzisiaj cały trik polega na tym, żeby ubrać się na tyle niezobowiązująco, jakbym jechała na spotkanie z Tammy, a potem po drodze wypindrzeć się w samochodzie. Tata nie będzie się przyglądał, co mam na sobie – rzadko zwraca na to uwagę, a ja nie dam mu powo-

dów. Ale Marty ostatnio dziwnie się zachowuje, bardziej niż zwykle interesuje się moimi wyjściami i powrotami.

Życz mi szczęścia, Mamo. A jeśli są jacyś święci patroni kapusiów, to daj im znać, co i jak.

### **Zapis wymiany wiadomości SMS między Kevinem Hollandem a jego córką Sarie**

HOLLAND: Cześć, córa, późno się robi. Jedziesz do domu?

HOLLAND: Proszę cię, Sarie, znasz zasady, daj znać.

HOLLAND: Dzwonię...

SARIE: Jestem, tato! Zaraz będę w domu.

WILDEY: Wzorowa studentko, jakaś aktualizacja?

WILDEY: Pięć minut prawie minęło...

TI 137: zaraz

TI 137: nie mogę pisać

TI 137: pracuję nad czymś dla ciebie

WILDEY: Nad czym?

WILDEY: Daj znać jak będziesz mogła

WILDEY: Późno się robi

WILDEY: Nie pójdę sobie, wiesz o tym, prawda?

## **5 GRUDNIA (bardzo, bardzo, bardzo późno)**

O Boże.

Mamo, to było zajebiście głupie.

Nawet nie pytaj.

[-] crycrybribri 6 punktów 2 godziny temu

Wczoraj wieczorem była taka laska, szpicel na sto procent. Co-raz młodsza ta psiarnia co?

[-] 2 boxer man 1 godzina temu

kurna chyba też z nią gadałem ciągle pytała gdzie znaleźć naleśniki z syropem! głupia cipa

ferrill215 1 punkt 1 godzina temu

ktoś jej powinien zrobić śniadanie

ridonkdonk 1 punkt 1 godzina temu  
ŚMIERĆ KONFIDENTOM  
cerealkilla 31 punktów 10 godzin temu  
ma ktoś zdjęcie tej laski? Niezła chociaż?

## **BEAR CREEK, PENSYLVANIA** **CZWARTEK, 5 GRUDNIA**

Drew „D.” Pike ma dwadzieścia lat, jest wyróżniającym się studentem trzeciego roku w małym katolickim college’u i zarabia co najmniej sześćdziesiąt tysięcy rocznie jako drobny, ale odnoszący sukcesy diler narkotyków, a mimo to matka wciąż sadza go przy stole dla dzieci.

Wiek „dzieci” w tak zwanej rodzinie, którą mama otoczyła się po rozwodzie, waha się od siedmiu do dwudziestu dwóch lat – Drew jest w tym towarzystwie drugi najstarszy. Bez znaczenia. Impreza zawsze dzieli się na dwa wyraźne obozy: tych, co mogą pić jawnie, i tych, którzy muszą się z tym kryć. Mama z przyjaciółmi nazywa to „nie-Rodziną”, na cześć jakiejś lamerskiej paczki, którą stworzyli w liceum.

Fascynująco ogląda się tę komedię. Wersja mamy brzmi następująco: Drew tak świetnie się bawił w weekend Święta Dziełczynienia, że wrócił do domu jeszcze na parę dni. Zdążył się stęsknić za jej gotowaniem. Więc może spotkamy się u mnie i urządzimy spontaniczną imprezę? Przyjdźcie z dziećmi! Owszem, jest czwartek, ale co z tego?

Gównu, nie jej gotowanie. Jeśli mamie tak bardzo zależy na „ugotowaniu domowego obiadu”, to dlaczego zamówiła sześć pizz z najgorszej knajpy w całym hrabstwie Luzerne i właśnie otwiera pierwszą z wielu (bardzo, bardzo wielu) butelek taniego czerwonego wina?

Nie, prawdziwy powód tej spontanicznej imprezy jest prosty. W zeszłym tygodniu Drew nie miał narkotyków. W tym tygodniu ma. A przyjaciele mamy potrzebują uzupełnić zapas.



Trzeba było widzieć ich miny tydzień temu, kiedy nie-Rodzina zebrała się na Święto Dziękczynienia. Najpierw absolutne zaskoczenie. *Ojej... Naprawdę? Zaraz potem fałszywa troska: Drew, czy na uczelni wszystko dobrze? Jeśli musisz z kimś porozmawiać... I wreszcie polowanie na szczegóły ewentualnej dostawy: Wrócisz jeszcze do domu przed Bożym Narodzeniem?*

Gdyby nie to, że Drew sra ze strachu o swoją przyszłość, bawiłaby go ta ich idiotyczna desperacja.

Teraz jednak nie-Rodzina ma ochotę imprezować. I wydawać kasę na towar, który starczy jej do świąt (*Bo wtedy znowu przyjedziesz, prawda, kochanie?*). Drew opyla swoją paczkę w mniej więcej godzinę, po czym wymyka się z domu z Courtney, dwudziestodwuletnią zesłanką do stołu dla dzieci, z butelką wina pod pachą.

Za domem Drew pociąga długiego łyka ciepłego sikacza, po czym podaje go Courtney, która robi to samo, a później odkasłuje i prosi o oxy. Drew zastanawia się, czy nie upomnieć się, żeby zapłaciła – Chryste, doi go przez całe lato i jesień – ale uznaje, że byłaby to jednak chamówka.

Zza krzaka wybiegają dwa kotki. Większy jest zupełnie biały i tylko na czubku głowy ma szarą kreskę, jakby wyróżnął z bańki w mokrą farbę. Mniejszy jest siwy, a jego tylne łapki pracują mocniej niż przednie, przez co przypomina ciężarówkę ślizgającą się na oblodzonej drodze. Courtney ze śmiechem pokazuje kotki. Telefon Drew wibruje.

Wyobrażam sobie D. na jakimś paskudnym, żalnym rogu ulic w Wilkes-Barre, jak sprzedaje te swoje prochy rotującej kadrze proletariackich dziwolągów. Wyguglałam sobie dzisiaj jego miasto i rzeczywiście wygląda na to, że jest tam naprawdę kijowo. Dużo przemocy z użyciem broni palnej, włamania, zajebista korupcja. Filadelfia to przy tym idylla. Dlatego wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy

dzwonię do D., a on odbiera i zamiast ulicznego chaosu biednego górniczego miasteczka, które zeszło na psy, słyszę w tle chichot jakiejś dziewczyny.

„Ojejuuu! D., zobacz, jakie słodkie! A tamten wygląda, jakby się zepsuł!”

„Halo?”

Wstrzymuję oddech przez kilka sekund.

„Halo?”

„Hej”.

„Kto mówi?”

Kto, ja? W sumie nikt, gościu. Tylko taka jedna tępa dzida z autem, która ukradła dla ciebie dwa tysiące dolców. Przychodzi mi do głowy milion druzgocących odpowiedzi na pytanie D. Ale kwituję je milczeniem.

„Sarie?”

„No, cześć. Co tam?”

„Nic specjalnego. To znaczy wszystko dobrze. Zająłem się sprawami. Będę miał to twoje najpóźniej w sobotę rano”.

Mija minuta, zanim dociera do mnie, że „to moje” oznacza te dwa kafle. Już wszystko sprzedał? Kurde, w W-B musi być jeszcze gorzej, niż myślałam.

D. pyta „co jest?” takim tonem, jakby chciał się czym prędzej rozłączyć. Wszystko staje się jasne. Zapracował na zwrot długu wobec mnie, więc jesteśmy kwita. Przynajmniej z jego punktu widzenia. Komfortowo zapomniał, że za mniej więcej dobę muszę dostarczyć Wildeyowi jakiegoś ciepłutkiego dilerka. Fakt, sama narzuciłam sobie to ograniczenie, ale gdyby nie ono, gliniarz trułby mi dupę bez przerwy. Przynajmniej dzięki ustaleniu terminu odpieprzył się ode mnie na całe dwa dni.

„Nic. Do widzenia”.

„Czekaj, czekaj. Słyszę, że coś jest nie tak. O co chodzi?”

Waham się, a potem dociera do mnie, że jeśli się rozłączę, sama sobie zrobię krzywdę.

„Wczoraj wieczorem próbowałam znaleźć dilerka”.

„Że co? Błagam, nie mów mi, że całą noc jeździłaś po North Philly od rogu ulicy do rogu ulicy. Temu glinie nie o to chodzi”.

„Nie. Poszłam do jakiejś głupiej hipsterskiej knajpy i...”

„I co? Pytałaś kompletnie obcych ludzi, czy przypadkiem nie znają dilerów?”

Znowu mam ochotę się rozłączyć, pozwolić D. wrócić do swojej dziewczyny z prowincji i palić trawę albo cokolwiek innego. Ale właśnie: sama bym sobie zaszkodziła. Zanim dam mu odpłynąć z mojego życia, potrzebuję jego pomocy.

„Więc jak mam to zrobić?”

„Co zrobić?”

„Znaleźć dilera. Który nie byłby tobą”.

Wzdycha.

„Wildey nie dał ci spokoju, co?”

„Nie. I nie da. Widział cię wtedy w nocy. Wie, że istniejesz. Więc w następnej kolejności wsadzi mnie do pierdła i... wiesz co? Nie wracaj sobie tym głowy. Baw się dobrze u mamy. Jak zostawisz to moje u siebie, wpadnę w weekend i...”

„Czekaj”.

„Bo co?”

„Posłuchaj, co trzeba zrobić...”

I wtedy D. mówi mi, co robić, jak się zachowywać, co mówić... Generalnie: jak nie wypaść na pieprzonego szpicla.

Dzisiaj będę się miała okazję przekonać, czy to rzeczywiście działa, czy D. tylko tak pierdoli.

- Twoja panna? - pyta Courtney. - Bo jak tak, to chyba się wkurzyła. Powinieneś jej powiedzieć, że między nami nic nie ma. Luz.

Drew zapewnia, że tamta laska nie jest jego dziewczyną, a w jego głosie Courtney słyszy sugestię: i ty też nią nie jesteś. No co ty nie powiesz. Latem Courtney i Drew trochę się razem zabawiali, dwoje dorosłych zesańców do stołu dla dzieci, ale on po prostu miał blisko i wygodnie, a ona dostała w zamian pigułowy sklepik z bonusem, chwilową

odskocznię od beznadziejnej pracy w centrum handlowym Wyoming Valley i całej reszty facetów, z którymi się dupczyła. Oczywiście matka Drew widziała w tym wszystkim wielki romans, liczyła, że Courtney będzie magnesem, który na dobre ściągnie synka z powrotem w dolinę. Pani Pike ciągle narzekała, że młodzi uciekają z miasteczka, co było trochę tak, jakby się skarżyła, że zwierzęta uciekają przed pożarem lasu, ale mniejsza z tym. Tymczasem matka Courtney wyraźnie cierpiała za każdym razem, kiedy matka Drew wracała do tematu. Może dlatego, że latem Drew musiał znosić, jak po pijaku niezdarnie – jak to starsi mówią? – przystawiała się do niego, gdy sprzedawał jej oxy.

- Więc to tylko twoja klientka?

- Kto?

- Ta dziewczyna, co dzwoniła. Sarie. - Lekko drwiąco przeciąga to imię: *sariiiii*.

- Nie.

- Totalnie twoja panna – stwierdza Courtney z uśmiechem.

- Nie – mówi Drew. - To tylko urocza dziewczyna, która robi mi wielką przysługę.

## **5 GRUDNIA (późno)**

Dobra, Mamo, dziś było dużo lepiej.

Knajpa Khyber Pass – Południowa Druga Ulica, Old City. Pokazuję mój kuloodporny dowód grubasowi w koszulce z rajdu motocyklowego w Sturgis, przycupniętemu na skrzypiącym metalowym stołku, a potem idę prosto do jedyne wolnego miejsca przy barze, gdzie zamawiam yuenglinga. Znowu sprawdzają mi dowód, a potem podają piwo. Wypijam łyk i czekam. Nie szukam imprezy. Czekam, aż impreza przyjdzie do mnie.

I proszę bardzo, przychodzi.

W ciągu godziny różni tacy podchodzą do mnie z sześć razy. Jakiś kudłaty koleś mówi, że mieszka niedaleko i właśnie idzie z kumplami pograć na xboxie, więc może chciałabym iść z nimi. Pytam, co u siebie ma. Patrzy na mnie.

„No... xboxa”.

„Dzięki, posiedzę”.

Jest tego więcej i nie będę Cię zanudzać szczegółami, ale faceci głównie proszą o numer telefonu, chcą pić ze mną szoty albo iść gdzie indziej. Kiedy pojawia się temat narkotyków, idę za radą D. Nie śpieszę się, pozwalam, żeby głównie mówili oni, a potem zaczynam się przechwalać obłądnym jaraniem, do którego miałam kiedyś stałe dojsście. Czas przeszły wzbudza ich ciekawość. „Kiedyś?” Co się stało? Bo nieważne, co palisz – zawsze szukasz czegoś lepszego.

D. mówił mi, że sekret polega na tym, żeby nie kłamać w stu procentach. Trzeba wmieszać we wszystko trochę swojego prawdziwego życia, żeby wypaść wiarygodnie. Okazuje się to doskonałą radą i zaskakująco łatwo mi się do niej zastosować.

Opowiadam historyjkę, którą przećwiczyłam w myślach: mój chłopak był drobnym dilerem i miał zajebisty towar, ale złapałam go na zdradzie, więc dałam mu kopa w dupę. Teraz żałuję, bo trudno skądinąd ogarnąć takie dobre gównno, jakim on dilał. „Trzeba było pozwolić mu dalej pukać tą wywłokę”. (Musiałam poćwiczyć wypowiedzenie tego tekstu bez chichotania). Szło mi łatwiej, kiedy wyobraziłam sobie D. jako mojego fikcyjnego chłopaka dilera, a Tammy jako wredną wywłokę. Co jest totalnie nie fair wobec Tammy, wiem, ale

w ten sposób miałam przed oczami konkretną twarz, a wtedy łatwiej sprzedać historyjkę. Jej wina, że nie odpisuje na esemesy.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć doczekałam się tylko współczucia i żadnych konkretnych tropów. Ale za dziesiątym razem...

„I kto był tym twoim źródelkiem?”

„Mój były chłopak gnój”.

„Poważnie? Dlaczego gnój?”

„Bo raz do niego zadzwoniłam i w tle usłyszałam, jak ta cipa rechocze. On wszystkiemu zaprzeczył, ale chyba jeszcze nie ogłuchłam, nie? Więc kazałam mu spierdalać. A wtedy on kazał spierdalać mnie. Czyli źródelko wyszło”.

„No to kijowo. Mówisz, że miał dobry towar?”

„Nawet sobie nie wyobrażasz”.

„No...”

„No co?”

„Słuchaj, nie jesteś z policji, co? Bo jak jesteś, to chyba musisz mi powiedzieć, co nie? Zgodnie z prawem?”

Patrzę na niego, śmiertelnie poważnie.

„Jesteś aresztowany”.

„Hehe”.

„Nie, serio. Pod ścianę, śmieciu. Bo wezwę posiłki!”

„Hehehe, śmieszne. Dowcipna jesteś”.

„Jestem zakumplowana z antynarkotykowym”.

„Jak się nazywasz?”

Gadamy dalej, aż wreszcie gość zdradza, że owszem, ma obłądne dojście do piguł, pieprzyć twojego chłopaka, powinniśmy być współnikami. Odpowiadam, że brzmi mega, co teraz? Dokąd idziemy? Pi-sze coś na serwetce, składa ją, wkłada mi do ręki, mówi, żebyśmy spotkali się tam jutro o dziewiątej rano i żebym po północy nie myła się ani nic nie jadła.

Jutro wyjaśnię więcej.

## **6 GRUDNIA (rano)**

No cóż, Mamo, to, co wczoraj wieczorem brzmiało dobrze, w świetle dnia wydaje się trochę szalone. Dziś rano zrobię chyba najgłupszą rzecz w życiu: będę marzła na ławce w North Philly, czekając na obcego faceta, którego poznałam w barze.

Jeśli to mój ostatni wpis, wiedz, że zapewne właśnie on mnie zabił.

Nie, nie wiem, jak się nazywa. Przedstawił się jako Bobby Ryall i pokazał mi legitymację studencką, ale takie rzeczy można sfalszować.

Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, w piątek wieczorem powinnam mieć sprawę z głowy. Trop Bobby'ego jest obiecujący. Zwłaszcza po



tym artykule, który czytałam w weekend. Z drugiej strony do piątku wieczór mogą mnie zabić. Tak czy inaczej będzie po problemie.

## **UNIwersytet Temple**

**PIĄTEK, 6 GRUDNIA**

Bobby Ryall dałby się zabić, że laska nie przyjdzie.

Kiedy jednak przychodzi, dałby głowę, że nie wpuści go do samochodu.

A kiedy go jednak wpuszcza, zaczyna się zastanawiać, czy może zaczepił niewłaściwą dziewczynę. Może to taka latynoska kanciara, co za chwilę wyciągnie nóż, broń albo nawet gaz pieprzowy, wyceluje mu prosto w oczy i każe wyskakiwać z kasy. (Bądź co bądź, jest od niego wyższa). A jak się przekona, że Bobby za bardzo kasy nie ma, pewnie wyładuje mu całą puszkę prosto w twarz, wypchnie go z samochodu, a potem będzie się śmiała przez całą drogę powrotną do swojego *barrio*.

Więc kiedy ona tego nie robi, tylko pyta, dokąd jadą, Bobby się trochę odpręża.

Bobby Ryall już od paru tygodni zbierał się na odwagę, żeby wyciąć ten numer. Odkąd tylko usłyszał o tej klinice w University City. To brzmiało aż za dobrze, żeby było prawdziwe (co zwykle oznacza, że prawdziwe nie jest). Ale jego własne źródółko wyschło - no dobra, nie tyle wyschło, co zrobiło się zajebicie drogie. A nie miał ochoty na jazdy do getta. Więc kiedy usłyszał, że potrzebna jest tylko młoda dziewczyna, koło dwudziestki, najlepiej śniada, postanowił spróbować. Jedyne problem: nie znał żadnych kolorowych lasek. Nie jego klimaty.

Ale ta panna wczoraj - Bobby wciąż był oszołomiony. Ładna i w ogóle, ale zdecydowanie w meksykańskim typie. Kiedy skinął do niej głową i powiedział „siema”, spodziewał się, że jak otworzy usta, będzie brzmiała jak Rosie Perez.

Ale nie! Mówiła cicho, bez wyraźnego akcentu. I do tego niegłupia, cięty dowcip i w ogóle. Czyżby to była ta właściwa? A potem zaczęła mówić o „impreszowaniu” i już wiedział, że to właśnie ona.

Miała nawet własne auto! To dużo lepsze, niż jechać na miejsce metrem i kolejką El.

Teraz pytanie: zgodzi się czy spanikuje, kiedy zorientuje się, co Bobby Ryall ma w planie?

Bobby prowadzi mnie przez mocno podejrzone okolice. Mówił, że bym nie ubierała się zbyt porządnie, nie myła się i nic nie jadła przed północą. Czy to znaczy, że jedziemy do meliny?

Nie byłoby dobrze z kilku powodów, przede wszystkim: a) bo to melina i b) Wildeya nie interesują meliny. Sam może takich znaleźć masę. Pewnie obok jakiejś mieszka.

Ale Bobby obiecał mi „źródło”, pewne, zupełnie bezpieczne.

Kiedy każe mi jechać w stronę Center City, gdzie góruje nad nami ogromny ratusz, zaczynam się czuć trochę lepiej. A kiedy skręcamy w prawo, na West Philly – trochę gorzej.

„Dokąd jedziemy?”

„Dobra, słuchaj...”

„Słucham”.

„Niedaleko Uniwersytetu Drexela jest taki jeden doktor. Znasz Uniwersytet Drexela?”

„Znam. Co to za doktor? Wykładowca?”

„Nie, taki doktor dla kobiet. Wiesz, od babskich spraw. Ale nie że zbok czy coś. Taki dziadek. W sumie wręcz pradziadek. Widziałem fotkę w necie. Po prostu lubi pomagać dziewczynom z biednych rodzin”.

„W czym pomagać?”

„Z oxy i tak dalej. Wejdziemy tam, powiesz, że chcesz do lekarza. Ja coś tam podsunę recepcjonistce, doktor cię obejrzy i da ci receptę. Cały czas tak robi. Potem pójdziesz do apteki i gotowe”.

„Zaraz, zaraz. Popatrz na mnie. O czym ty mówisz?”

Ale dokładnie wiem, o czym mówi. Nagle wszystko brzmi znacznie gorzej niż melina.

„Nie ma mowy”.

„Słuchaj, podobno on praktycznie nikogo nie bada. Jest stary, to tylko formalność”.

Zjeżdżam na bok na środku JFK Boulevard. Stoimy na odcinku rozciągającym się nad rzeką Schuylkill. Przed nami wznosi się dworzec Thirtieth Street, gdzie w tamtym filmie z małym amiszem Danny Glover zastrzelił faceta. Nie najlepszy omen.

„Przykro mi, nie zrobię tego”.

„A co to niby wielkiego?”

„Może chodźmy do jakiegoś dilera i niech on tobie obejrzy genitalia”.

„Gdyby to wystarczyło, tobym poszedł. Słowo. Słuchaj, to nie tak. Dziewczyny, które tam chodzą, faceta uwielbiają. Podobno to jakiś lokalny bohater, działacz na rzecz praw kobiet i w ogóle. Poszukaj go sobie w necie”.

„Właśnie widzę, jaki bohater”.

„Powiesz mu, że cię boli, a on cię ustawi. Bez kłopotu. Podzielimy się towarem. Nawet wyłożę kasę za wizytę. A jak zobaczysz, że to nic obleśnego, możesz wracać co parę tygodni. Będziemy to powtarzać, jak długo chcesz”.

Nie, jeśli mój serdeczny przyjaciel Ben Wildey przyskrzyni tamtego bohatera, kiedy dokonam zakupu. Oczywiście tego Bobby’emu nie mówię.

Ale jego nawijka sprawia, że zaczynam się zastanawiać, co robię. Czy tamten gość to naprawdę bohater walk o prawa kobiet? Mam na niego nakablować i posłać go do więzienia? Zamiast D., który pewnie w tej chwili sam na prowincji przeprowadza badania ginekologiczne?

„No chodź. Tylko spróbuj. Jak zaczniesz odstawiać dziwne numery, ja będę za drzwiami w poczekalni. Ale nie zaczniesz”.

„Dobra”.

TI 137: Nie śpisz już?

WILDEY: Co masz, Wzorowa Studentko?

TI 137: Możesz przyjechać szybko na Uniwersytet Drexela?

WILDEY: Powiedz gdzie

TI 137: Czeka

Nienawidzę poczekalni.

Wszyscy ich nienawidzą, wiem. Ale ja szczególnie, po tym, co działo się z Tobą w zeszłym roku. Poczekalnie to po prostu takie miejsca, gdzie człowiek godzinami gapi się w ścianę, czekając, aż mu powiedzą, jak bardzo źle będzie. A zawsze jest gorzej, niż się myślało.

Ta poczekalnia okazuje się jeszcze gorsza. Owszem, wygląda jak klinika dla kobiet w biednej części śródmieścia. Sporo wózków, dzieci płaczą. Ale jest też dużo młodych dziewczyn, które robią wrażenie przygodnych narkomanek. Staram się nikogo nie osądzać, ale serio. Daleko im jeszcze do ludzi, których widziałam na Torach, ale wyraźnie są na dobrej drodze, żeby tam trafić.

Biorę formularze od ponurej recepcjonistki w męskim typie, która ma największe okulary, jakie kiedykolwiek widziałam na ludzkiej twarzy. O kurwa, formularze. Zapomniałam o tym. Będę musiała wpisać prawdziwe nazwisko, adres i tak dalej. Jeżeli Wildey zrobi tu nalot, mam nadzieję, że wyciągnie te papiery i je zniszczy. Nie chcę, żeby mój pediatra (tak, Mamo, ciągle chodzę do doktora Dovaza) zastanawiał się, dlaczego przepisano mi oxycontin w jakiejś obskurnej klinice.

Nie ma dwóch wolnych miejsc obok siebie, więc Bobby siada po drugiej stronie sali, uśmiechając się jak małe dziecko. Jezu.

Przyglądam się innym „chłopakom” czekającym na swoje „dziewczyny”. Normalnie w ogóle by mnie to nie zastanowiło, ale teraz, kiedy sama jestem tu ze swoim „chłopakiem”, wszystko wygląda podejrzanie. Jeden czeka nawet na co najmniej cztery „dziewczyny”, aż zostaną wezwane do gabinetu. Zastanawiam się, czy D. czekałby tu ze mną, gdybym miała prawdziwą wizytę.

Wildey od czasu do czasu wysyła mi esemesy na jednorazówkę, a ja każę mu czekać. Niecierpliwi się. Nie powinnam była tak się śpieszyć z wiadomością do niego. Bo sprawa ciągnie się w nieskończoność. Przepadły mi już trzy zajęcia – pierwsze, jakie przegapiłam. W życiu. Powtarzam sobie, że warto, bo niedługo będzie po wszystkim.

Nareszcie mnie wzywają.

Recepcjonistka, Letitia, każe mi iść do gabinetu numer trzy i tam się rozebrać. Nie oglądam się na Bobby'ego ze strachu, że pokaże mi gest wyciągniętych kciuków albo coś takiego.

„Zaczekaj, kochanie”.

Letitia wskazuje moją torbę.

„Nie możesz z tym wejść”.

„Dlaczego? To tylko książki”.

„Zostaw torbę tutaj”.

„Ale chcę ją mieć przy sobie”.

„Mam odwołać wizytę? Zostaw torbę swojemu chłopakowi”.

Zanim się obejrzę, Bobby wstaje i wyciąga rękę. Cholera. Tego nie przewidziałam. Wkładam rękę do torby i wymacuję przycisk zasilania, żeby wyłączyć jednorazówkę. Tylko tego mi trzeba, żeby Bobby przeczytał gderliwego esemesa od Wildeya. Bobby uśmiecha się do mnie.

„Nie martw się, kochanie, ja jej popilnuję”.

Czyli teraz to „kochanie”. Nieważne, że to tylko łasy na dragi koleś, którego poznałam w zaszranym barze. Mówię sobie, że wszystko będzie dobrze. Bardziej zależy mu na oxy niż na zawartości mojej torby.

„Dobrze. Dzięki”.

„Wszystko będzie dobrze”.

Wchodzę do gabinetu numer trzy, ale się nie rozbieram. Jeśli lekarz będzie naciskał i zacznie się zachowywać jak zwyrol, spieprzę stąd, daję słowo. Ale o dziwo, kiedy drzwi się uchylają, okazuje się, że doktor Roosevelt Hill dokładnie odpowiada opisowi. Jest siwowłosym białym staruszkim z nieśmiałym uśmiechem. Oczywiście nie pamiętam swoich dziadków, ale mogliby wyglądać mniej więcej tak jak ten facet.

„Dzień dobry, skarbie. Czy możesz się rozebrać?”

„Po co? Bolą mnie tylko plecy”.

„No cóż, i tak muszę cię obejrzeć”.

„Nie może mi pan obejrzeć pleców?”

Doktor Hill kładzie zimną dłoń na moim przedramieniu.

„Chcesz, żebym ci pomógł, prawda?”

Czyli nie mam wyboru. Albo to, albo wyjdę i przyznam się Wildeyowi do porażki. Musiałabym wezwać adwokata, a potem patrzeć, jak cała moja przyszłość odpływa i znika. Czym jest odrobina nagości? Lekarz wychodzi, a kiedy puka po paru minutach, moje ubranie leży

równy złożony na krześle, a ja mam na sobie cienką szpitalną koszulę, zdecydowanie za krótką. Zajmuję pozycję i próbuję się wyłączyć, kiedy on rozpoczyna typową eksplorację.

„Czy myślisz, że jesteś w ciąży?”

„No... nie? Po prostu bolą mnie plecy”.

„Mmmhmmmm”.

Czy tylko mi się wydaje, czy jego dotyk się... zatrzymuje? Dlaczego tu nie ma pielęgniarki? Do tej pory zawsze, kiedy miałam takie badanie u normalnego lekarza, w gabinecie była pielęgniarka. Powinni pytać, czy chcę pielęgniarkę. Nawet nie zapytał!

„Strasznie mnie bolą plecy”.

„Hmmm. Weź ibuprofen”.

„Brałam, panie doktorze. Ale w ogóle nie pomaga”.

Patrzy w dal, kręcąc głową. Tracę go. Nie po to przejechałam szmat drogi, rozebrałam się do naga i dałam się macać staremu dziadowi, żeby odejść z niczym. Wciąż trzyma na mnie rękę.

„No dobrze”.

Ku mojemu zaskoczeniu doktor Hill odsuwa się, a potem idzie do biurka w kącie i zaczyna coś pisać.

„Zanieś to Letitii. I nie zapomnij zapłacić jej gotówką”.

Bobby Ryall patrzy, jak dziewczyna wychodzi z głębi korytarza z nieśmiałym uśmiechem. Podaje Letitii kartkę, którą



dostała od doktora. Letitia wyciąga rękę po pieniądze. Dziewczyna patrzy na Bobby'ego i szerzej otwiera oczy. Aha. No tak. Bobby podchodzi do lady, czując się jak ostatni kretyn, i podaje recepcjonistce dwie dwudziestki. Letitia jedną chowa do koperty, a drugą do kieszeni kitla. Wreszcie sama daje Sarie jakąś kartkę - Bobby domyśla się, że to ta recepta. Ma ochotę spadać, ale zaszedł już tak daleko. Nie może odejść z pustymi rękami i uboższy o czterdzieści dolarów.

Ale kurde, jednak miał rację. Zaczepił niewłaściwą dziewczynę.

Esemesy w jej telefonie nie pozostawiają co do tego wątpliwości.

Letitia odbiera komórkę. Zanim zdąży się odezwać, młody głos mówi:

- Chyba ktoś po was przyjdzie.

Rozpoznaje ten głos. Nie z imienia, ale dopiero co go słyszała. To jeden z chłopaków, którzy niedawno tu byli. Ten, który pilnował dziewczynie książek.

- Kto mówi?

- Powiedzmy, że zatroskany przyjaciel, dobra?

- Ty tu przed chwilą byłeś, prawda?

Pstryk.

Wildey nie może w to uwierzyć. Klóci się z własną informatorką o to, gdzie mają się spotkać. Mówi jej, że najłatwiej będzie na kampusie Drexela. Niech wybierze ławkę, a on przyjdzie. Trwają zajęcia, kręci się mnóstwo młodzieży. To najlepsze miejsce na spotkanie. W czym problem? Ale Wzorowa Studentka oczywiście ma problem. A jak ktoś ich zobaczy razem? Nikt nie może jej przyłapać. Nie po tym, co czytała.

- Kto nas niby zobaczy?

- Jezu, ktokolwiek!
- A w ogóle dlaczego spotykamy się aż tam?
- To ważne. Daję słowo. Nie zmarnuję ci czasu.

Willey chyba już rozumie. Jej chłopak, Czerwony Koleżka, chodzi do innej szkoły. Może nie są ze sobą tak blisko, jak się Wildeyowi wydawało. Może musiała wyciągnąć go na otwarty teren, żeby go obnażyć. Jeśli tak, punkt dla Wzorowej Studentki. Wreszcie poszła po rozum do głowy. Ale naprawdę byłoby do dupy, gdyby Wildey tłukł się do West Philly tylko po to, żeby zaliczyć następną katastrofę w stylu Ryana Koolhaasa.

Wzorowa Studentka w końcu zgadza się na miejscówkę: jej własna honda civic zaparkowana na przedostatnim piętrze garażu przy Market Street, na skraju kampusu Uniwersytetu Pensylwanii. Wildey zauważa ją od razu, parkuje na sąsiednim stanowisku, patrzy na jej hondę i dociera do niego, że wygodnie to mu tam nie będzie. Ruchem ręki przywołuje dziewczynę. Wzorowa Studentka kuli ramiona - nie tego sobie życzyła. Ale Wildey się nie rusza. Po minucie dziewczyna wychodzi z samochodu i wciska guzik na pilocie - zupełnie jakby ktoś miał ukraść jej auto, kiedy będą siedzieć tuż obok. Kiedy wsiada, Wildey zauważa w jej rękach białą siatkę z apteki sieci CVS.

- Co to? - pyta.

Wzorowa Studentka wręcza mu siatkę.

- Oxycontin, jeśli się nie mylę.

Willey otwiera torbę, widzi pojemnik z lekiem na receptę, zerka na etykietkę. Jest na niej nazwisko Sarie. Zgodnie z napisem powinno być pięćdziesiąt sztuk. Potrząsa. Niemożliwe, żeby tyle tu było.

- Gdzie druga połowa?
- Musiałam oddać swojemu łącznikowi.

- Twojemu łącznikowi? O czym ty mówisz? Gdzie ten chujek?

- Poszedł sobie. Ale to nie on jest celem. Tylko doktor!

- Powoli, powoli.

Wzorowa Studentka zwalnia i zaczyna opowiadać. Cała sprawa to nie to, czego Wildey się spodziewał. Zupełnie nie to. Ale gdy dziewczyna wyjaśnia wszystko krok po kroku, musi jej przyznać: sprawa brzmi konkretnie. To nie jest następna wtopa w stylu Ryana Koolhaasa. Proszki w pojemniku są prawdziwe. Na etykietce znajduje się nazwisko lekarza, Roosevelta Hilla. Sarie nie zmyśliła tego. Wildey raz po raz jej przerywa, żeby wyjaśnić jakiś szczegół, ale nie... to konkret. Nie Chuckie Morfina, ale Wildey jest skłonny chwilowo odłożyć to na bok.

- Będę musiał to sprawdzić - mówi do dziewczyny.

- No ba. Ale to dobry trop, no nie? O to ci chodziło?

Wildey patrzy na nią przez chwilę.

- Wiesz, że nie o to.

- Obiecałam, że znajdę ci dilerę. Handlującą oxycontinem. I znalazłam. Prawda?

- Czyli co, mam aresztować CVS?

- Ale... przecież wiesz, że chodzi o coś więcej niż... Serio?

Wygląda, jakby zaraz miała jej pęknąć żyłka. To prawie zabawny widok. Przynajmniej Wildey wie, że dziewczyna nie strzeliła sobie tego oxy. Jest zbyt spięta.

- Wyluzuj, Wzorowa Studentko. Sprawdzę to, zobaczę, co i jak.

- Nie mogę tam wrócić. Przecież ja dopiero co...

- Sam tam zajrzę. Jeśli wszystko jest tak, jak mówisz, porozmawiam z moją porucznik o kolejnych krokach. Może to gruba sprawa, a może żadna. Może akurat przepisał ci te rzeczy ot, tak sobie.

- Mój łącznik mówi co innego. Mówi, że...

- Tak, tak, już słyszałem, co mówi twój łącznik. Nic mi z tego, chyba że sami to zaobserwujemy. Może będziemy musieli zebrać dowody.

- My?

- Tak. Może będziesz musiała znowu tam pójść, dokonywać dla nas kolejnych zakupów.

Dziewczyna osuwa się w fotelu, odchyła głowę, z jej chudego ciała jakby uszło powietrze. Wildeyowi prawie - prawie! - jest jej żal. Wyciąga rękę, dotyka jej ramienia.

- Słuchaj. Pomóż mi.

Patrzy na niego.

- Z czym?

Okazuje się, że Wildey trzyma torbę w bagażniku każdego samochodu, którym jeździ. Przysięgam, że to inny model niż tamten rzęch, którym rozbijaliśmy się w zeszły poniedziałek. Stare koszule, czapki, rękawiczki, chustki, bluzy, różne rzeczy. Mówi, że to jego przebrania. Chce wyglądać jak ktoś, kto mógłby siedzieć w tamtej poczekalni.

„Musiałbyś być z pięćdziesiąt kilo lżejszy”.

„Czy to był komentarz na temat mojej wagi?”

„Nie! Chodzi o to, że nie wyglądasz na ćpuna”.

„A jak wyglądam?”

Mam ochotę powiedzieć: jak stuczterdziestokilowa pijawka, która wysysa ze mnie życie. Ale nie wiem, czy to nie zabrzmie wrednie, a chyba już sobie nagrabiłam tym tekstem o wadze.

„Nieważne. Wejdz tam, udając, że szukasz swojej dziewczyny, żony albo coś. Tam jest dużo facetów. Pewnie możesz nawet trochę

posiedzieć i nikt się nie zdziwi”.

Wildey rechocze. Nie wiem, czy powinnam się czuć urażona.

„Co? Coś nie tak?”

„Nic”.

„Więc... co?”

„Po prostu byłby z ciebie dobry gliniarz. Nie myślałaś o tym, żeby zmienić specjalizację na prawo karne?”

„No... nie?”

„Mniejsza z tym”.

Gdy tylko wielki facet w ciemnoszarej bluzie z kapturem i wytartej baseballówce wchodzi do poczekalni, Letitia Braly wie, że to on.

- W czym mogę panu pomóc?

- Ej, szukam mojej dziewczyny.

Letitia chciałaby wierzyć, że nawet gdyby nie odebrała tego dziwnego telefonu z ostrzeżeniem, w jej głowie zapaliłaby się lampka alarmowa. Bluza i czapka wyglądają dziwnie. Jakby nie nosił ich codziennie. Widać to po jego mowie ciała.

To dlatego doktor Hill zatrudnił Letitię prawie pięć lat temu - żeby była stróżem, którym on już nie może być. Nie w tym wieku. Zresztą przy ich nowej działalności dodatkowej pan doktor potrzebował kogoś na bramce. Zapłacił za jej szkolenie, licencję i wszystko. Zapewniał, że nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji. Że w tej okolicy mieszkają sami dobrzy ludzie. Ale Letitia знаła ten rejon lepiej niż on. Wie-

ści zawsze się rozchodzą. Wcześniej czy później to musiało się stać.

Trzyma glocka przypiętego pod ladą, w zasięgu ręki.

- Przykro mi, ale musi pan poczekać na zewnątrz.

Duży obraca się i zatacza ręką łuk w powietrzu, jakby chciał wskazać wszystkie wolne miejsca.

- Nie mogę poczekać tutaj?

- Poczekałnia jest tylko dla pacjentów. Proszę wyjść.

- Ci kolesie to też pacjenci? Myślałem, że to przychodnia dla babek.

- Proszę...

- Dobra, dobra, już...

Letitia patrzy, jak ręka faceta wędruje do kieszeni bluzy. Jest tam jakaś wypukłość.

W tym mieście tyle osób ginie od kuli, bo się tego nie spodziewają. Letitia przysięgła sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie jedną z nich.

Właśnie dlatego teraz wyciąga glocka, unosi go nad ladę i pociąga za spust.

Willey spodziewał się tego dnia różnych rzeczy, ale nie tego, że dostanie kulkę prosto w twarz.

Ostatecznie do tego nie dochodzi.

Ale, kurwa, blisko było.

Recepcjonistka, najwidoczniej jakaś Brudna Harriet, odaje strzał nieco za wysoko i nieco w bok, tak że pocisk łąduje z hukiem w płycie karton-gips za jego plecami. Ludzie siedzący w poczekalni krzyczą i zaczynają uciekać. Willey pada na podłogę i przetacza się pod ściankę recepcji, licząc (i modląc się), że kobieta nie będzie strzelała na ślepo przez drewno.

- Policja! - woła i wyciąga własną broń. - Rzuć broń!

Chyba słyszy, jak Brudna Harriet przeklina. Ale trudno to stwierdzić z powodu nagłej wrzawy – ludzie klną, modlą się, płaczą.

- Rzuć broń, kurwa! – powtarza. – Ale już!

Za recepcją ze stukiem otwierają się drzwi. Skrzypią zawiasy.

Cholera, baba ucieka.

Willey przetacza się i dźwiga na nogi. Kopniakiem otwiera drzwi do części recepcyjnej, potem te drugie, prowadzące do korytarza z gabinetami zabiegowymi. Gdzie ona poszła? Willey był już w sytuacjach z użyciem broni, ale nigdy wewnątrz budynku, i to jeszcze w tak ciasnej przestrzeni. Czuje się, jakby toczył bitwę w kartonie płatków owsianych. Te wszystkie cienkie, brudne ściany i drzwi z płyt wiórowych. Lada chwila może je przebić kula i go zajebać.

Ale w gabinetach zabiegowych, które Willey kolejno sprawdza, nic nie ma. Niczego nie znajduje też w pomieszczeniu, które pewnie jest gabinetem doktora Hilla – samego doktora również brakuje. Kiedy Willey zapuszcza się dalej w głąb budynku, zaczyna dostrzegać, co to za miejsce. Całą przychodnię urządzono w dawnym sklepie spożywczym. Wciąż są tu gabloty na mięso, a co ważniejsze – jest para metalowych drzwi wahadłowych do chłodni. Drzwi wciąż się lekko kołyszą. Willey uznaje, że nie ma wyboru. Skoro ci ludzie uciekli ze strachu, to znaczy, że odchodzą tu jakieś mętne sprawy. Może to właśnie ten przełom, którego mu potrzeba. Wchodzi.

Kilka sekund później żałuje, że to zrobił.

Mija wieczność, albo i kilka, aż wreszcie Willey dzwoni na jednoróżkę.

„Wracaj do domu, Wzorowa Studentko”.

„Co się stało?”

„Opowiem ci później. Na razie po prostu jedź do siebie. Z nikim nie rozmawiaj. Czekaj, aż zadzwonię. Nie czytaj wiadomości, a gdybyś jednak przeczytała, to nic nie mów i nic nie myśl, dopóki nie pogadamy”.

„Poważnie? Zostawisz mnie teraz w niepewności? Co się stało?”

„Tak. Poważnie. Muszę lecieć”.

Niech sobie leci. Rozłączam się i jadę z powrotem na kampus, mimo że zajęcia, które przegapiłam, dawno się skończyły. Ale muszę tam być, bo muszę włączyć komórkę. A jeśli przypadkiem tata śledzi mojego iPhone'a, nie mogę się pojawić w University City. Powinam być na uczelni.

Kiedy mój telefon ożywa, widzę, że tata dzwonił cztery razy i trzy razy się nagrał.

*W POBLIŻU UNIVERSITY CITY ZNALEZIONO  
„DOM MEDYCZNYCH OKROPNOŚCI”*

*Dr Roosevelt Hill poszukiwany w celu przesłuchania  
Anonimowy informator wskazuje policji „coś rodem  
z koszmaru”*

Willey nie wie nawet, które części ciała są które. Pływają w bursztynowej cieczy, skrawki skóry i coś jakby... przyprawa? Nie, to niemożliwe, myśli Willey. Głęboki głos wybudza go z zamyślenia.

- Posterunkowy, pańska przełożona chce z panem rozmawiać.

Śledczy z wydziału zabójstw podaje mu telefon.



- Szefowo.

- Jezu Chryste, Dzikus, w coś ty wdepnął?

Wildey nie jest pewien, czy Kaz jest wściekła, czy skonstruowana. Kiedy mówi normalnie, w jej głosie słychać i jedno, i drugie.

- Nie uwierzysz. Sam nie wiem, czy w to wierzę.

- Nie wierzę. Ale chcę, żebyś posłuchał naszych kolegów z wydziału zabójstw i pozwolił im się tym zająć.

- Dlaczego? To nasza sprawa!

- Wildey, powiedziałaabym, że odkrycie części ciał dwunastu zaginionych dziewczyn przebija dochodzenie w sprawie drobnego gangu handlarzy oxy, które ty prowadziłeś.

Sprawa Roosevelta Hilla wkrótce stanie się filadelfijską legendą. Na jej podstawie powstaną dziesiątki artykułów, trzy książki oraz film telewizyjny. Ale nie będzie to ich legenda. Ba, o NFU-CS nikt w ogóle nie wspomni. Oni nie robią tego dla sławy, ale dla zatrzymań. To o nie tutaj chodzi, przypomina Wildeyowi Kaz. Są tajnym ramieniem dochodzeniowym, które ustawia piłkę, żeby oddziały uderzeniowe mogły wykonać zamach kijem. Udział Wildeya sprowadzi się do „informacji dostarczonej policji”.

- Jeżeli chcesz chwały, wybrałeś zły zawód – mówi Kaz.

Wildey przez chwilę przygląda się pływającym częściom ciał, rozmyśla o dziewczynach, do których one należały, rozmyśla o tym, jakie pojebane rzeczy kryją inne szafy, piwnice i zaplecza w tym mieście.

Nie czytaj wiadomości, ostrzegł Wildey. Oczywiście to praktycznie gwarantuje, że je przeczytam. Informacje pojawiają się w sieci około piętnastej. „Horror w University City”. W pierwszej chwili nie dociera do mnie, że to jest ta sama sprawa – moja sprawa. Ale potem nazwisko praktycznie wyskakuje z ekranu laptopa i uderza mnie w pierś:

doktor Roosevelt Hill. Ten miły dilujący staruszek, który dziś rano widział mnie nago. Którego dotyk zatrzymał się na trochę za długo.

Najwyraźniej lubi oglądać nagie żeńskie części ciała. Tak bardzo, że trzyma je w wielkich słojach w starej chłodni na tyłach kliniki.

Patrząc na to, cała drętwieję. Co chodziło temu lekarzowi po głowie, kiedy na mnie patrzył? Dlaczego pytał, czy jestem w ciąży? Potrafię tylko mamrotać jakieś przekleństwo, wypowiadać je w kółko, powtarzać niczym mantrę.

„O kurde, o kurde, o kurde”.

„Co?”

Obracam się. To Marty, stoi na schodach do piwnicy.

„Nic”.

Zaczynam zamykać laptopa, ale Marty szybko jak błyskawica przecina pokój i wyciąga rękę, żeby mnie powstrzymać.

„Nie musisz. Już widziałem. Obłąd, nie? Zupełnie jak ta sprawa Gary’ego Heidnika. Tylko jeszcze gorzej, bo tutaj to lekarz!”

„Skąd wiesz o Garym Heidniku?”

„No przecież każdy wie”.

Słuszna uwaga. Marty ma rację, to gorsze od Gary’ego Heidnika, bo Gary Heidnik nie widział mnie nago. Cała historia uderza mnie teraz jeszcze mocniej. Dzisiejszy dzień mógł się skończyć całkiem, całkiem inaczej. Marty nachyla się nade mną i przewija w dół, żeby

przeczytać szczegóły. Odsuwam się od biurka, czuję, że zaraz zwymiotuję.

Błagam, Wildey, powiedz, że pozbyłeś się formularzy. Powiedz, że wyrzuciłeś pojemnik z lekami, na którym były nazwiska moje i Doktora Psychola. Powiedz, że nie zostanę wciągnięta w ten koszmar.

I proszę, nie dzwoń podczas rodzinnego wieczorku filmowego.

To dlatego tata dziś do mnie wydzwaniał – żeby się upewnić, że nie mam planów na wieczór. Przy moim farcie pewnie wypożyczył *Milczenie owiec*.

Kiedy Wildey wchodzi do sali lekcyjnej w NFU-CS, wszyscy biją brawo. Połowa tych braw to drwina. Wildey każe im wszystkim spierdalać i melduje się od razu w gabinecie Kaz. Gdy się tam pojawia, z jej wiekowego magnetofonu leci jakiś kawałek Billy'ego Joela, ale Szefowa go wyłącza.

- Chciałaś ze mną rozmawiać?

- Siadaj, Ben.

Ups. „Ben”, a nie „Dzikus”. Dobrze nie będzie.

- Nie chciałam tego załatwiać przez telefon, z oczywistych powodów. Ale musisz mi powiedzieć, jak trafiłeś na tego Roosevelta Hilla. Bo nie przypominam sobie, żebyś poruszał ten temat na którymś z naszych spotkań. Wiesz, jak działa to biuro. Wszystko przechodzi przeze mnie. Wszystko.

- Wiem, Szefowo. Ale to się stało bardzo szybko. Nie uwierzysz, jak ci powiem.

Kaz sugeruje, żeby posterunkowy Wildey dał jej jednak szansę.

- To był cynk od TI sto trzydzieści siedem. To ona wszystko ustawiła.

- Tej wzorowej studentki? Tej dziewczynki, która była tu w zeszłym tygodniu?

Celowo nie używają jej prawdziwego nazwiska.

- Tak.

- A jak ona się o tym dowiedziała? Przecież miała być powiązana z Chuckiem Morfiną, prawda?

- Tak.

- Myślisz, że z doktorem Hillem też jest związana?

- Nie. Wcale. Myślę, że tak bardzo chce bronić swojego chłopaka, że sama przeprowadziła śledztwo. Znalazła tego lekarza, licząc na to, że w ten sposób będzie miała spokój z drugą sprawą. Wiem, pojebane, nie? Kto by pomyślał?

Kaz wpatruje się w niego i Wildey ma wrażenie, że zaraz coś grzotnie. Jemu na głowę.

- Co? O co chodzi?

- Cieszę się, że twoja najnowsza informatorka się sprawdza. Bo informatorów zostało ci tylko dwoje.

Kaz przesuwa po biurku szarą kopertę.

# Kto donosi, ten się o szwy prosi

## **FOX CHASE**

**6 GRUDNIA**

Po dwudziestu minutach filmu (pierwszego *Mission: Impossible*, tego w reżyserii Briana De Palmy - Kevin pomyślał, że Marty'emu się spodoba, bo kręcą go szpiedzy i w ogóle) Kevin słyszy charakterystyczne *ffffhhhhrrrrrrrr* komórki z wyciszonym dźwiękiem. I to po upomnieniu, że dziś rodzinny wieczorek filmowy, więc cała uwaga powinna się skupiać na ekranie, który mają przed sobą, a nie na tych mniejszych, kieszonkowych. Kevin uznaje, że to telefon Marty'ego. Chłopak wygląda na rozczarowanego filmem, może wręcz znużonego. Chyba należało zacząć od czwartej części, a potem się cofać. Kevin patrzy na syna, który siedzi na podłodze.

- Słuchajcie, serio, odłóżcie to.
- Co? - pyta Marty.
- Poważnie, bo wam je pozabieram.
- Mój telefon się ładuje.

Kevin patrzy teraz na Sarie.

- To chyba nie twój?
- Nie.
- Może twój, tato.
- Nie, ja swój wyłączyłem. - Ale czy na pewno? - Choroba, poczekajcie.

Tom Cruise nieruchomieje. Kevin idzie do kuchni, gdzie jego telefon także się ładuje. Sarie korzysta z okazji, żeby zbiec do łazienki na dole, zostawiając Marty'ego samego na podłodze z talerzem niedojedzonej pizzy w dłoni. Marty

wie, że to nie był ani jego telefon, ani telefon taty. To ten drugi telefon Sarie.

WILDEY: Muszę się z tobą dzisiaj spotkać

TI 137: Nie mogę! Serio, nie

WILDEY: Ważne, chodzi o sprawę

TI 137: Odpada. Tata się uparł, że musimy być dzisiaj w domu, więc nie wyjdę tak, żeby nie dostał szału

WILDEY: Coś wykombinujesz. Spotkajmy się w pączkarni za pół godziny

TI 137: Nie!

WILDEY: Wzorowa, nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przyszedł

No więc jestem w łazience, kasuję historię wiadomości, a w myślach w kółko powtarzam słowo „kurwa”. „Coś wykombinujesz”. Pierdol się, posterunkowy Wildey. Pierdol. Się. Przyciskam krawędź jednorazówki do skroni, usiłując wymyślić jakiś powód, nieważne jaki, żeby za dwadzieścia pięć minut wyjść z domu. Jaką wymówkę łyknie tata? Nic związanego z nauką. Tej karty przez ostatni tydzień używałam dostatecznie często. Zresztą dzisiaj piątek, więc nic związanego z nauką nie jest AŻ TAK pilne.

„Coś wykombinujesz” – słyszę w głowie drwiący głos Wildeya, mimo że to był tylko esemes.

I nagle już wiem.

## **BEAR CREEK, PENSYLVANIA**

Drew Pike tłumaczy jej to znowu, po raz trzeci, ale ona nadal jest zbyt pijana i zmulona, żeby wszystko zrozumieć. Dlaczego ma to zrobić? To kim jest ta dziewczyna? Mogę jeszcze kieliszek wina, żeby spokojnie stracić przytomność? Drew mówi jej: nie, żadnego wina. „Zrób to dla mnie”. Co? „Zadzwoń pod ten numer, jakbyś płakała, jakbyś była zdenerwowana”. Jestem zdenerwowana. Zdenerwowana, że za-

chowujesz się jak dupek. „Proszę cię, Courtney”. Dobra, dobra, to co mam zrobić? „Zadzwoń pod ten numer i poproś Sarie”. Kogo? „Sarie”. Znów ta *Sariiii*. Czyli jest twoją dziewczyną. „Nie, nie jest”. To po co to robisz? „Proszę cię, po prostu zadzwoń”.

Ich matki są na górze, pijane i głośne. Boże, jakie one są kurwa głośne. Słuchają kretyńskich swingowych piosenek świątecznych, jakiegoś wyjca z ciastowatą gębą, za którym przepadają, dowcipkują i śpiewają razem z nim, są stare i głupie, więc przecież nie usłyszą.

- No to dzwoń - mówi Drew, podając Courtney domowy telefon.

- Dlaczego nie z twojej komórki? A jak twoja matka podniesie drugą słuchawkę?

- Nie podniesie.

Courtney bierze telefon, nagle niepewna - dostatecznie pijana, żeby coś takiego zrobić, ale na tyle trzeźwa, by rozumieć, że może podejmuje złą decyzję, bo przede wszystkim jest pijana. Ale Drew potrafi ją namówić do różnych rzeczy. Przykłada telefon do ucha i zaczyna niewyraźnie bełkotać, jak najlepiej udając płacz:

- Pan Holland? Czy jest Sarie? Muszę z nią koniecznie rozmawiać...

Telefon dzwoni. Tata wzdycha, kolejny raz włącza pauzę. Tom Cruise znowu zamiera w pół ruchu. Patrzę, jak tata idzie do kuchni odebrać nasz domowy telefon, i łapię Marty'ego na tym, że mi się przygląda.

„Co?”

„Nic”.

„Dlaczego tak się na mnie gapisz?”

„Wcale się nie gapię”.

Słyszę tatę w kuchni:

„Zaraz, kto mówi?”

O rany. Zaczynamy. W myślach dziękuję D., że się zgodził, choć to jeszcze wcale nie znaczy, że jesteśmy kwita. Mam tylko nadzieję, że jego dziewczyna z prowincji sprzeda to wiarygodnie, nie przeginając.

„Zaczekaj, skarbie. Na pewno nic nie mogę zrobić? Słyszę, że bardzo się denerwujesz. Odetchnij głęboko, dobrze?”

Marty też słucha, z niepewną miną, usiłując zrozumieć: a) kto w piątek wieczorem może dzwonić na stacjonarny i b) dlaczego tata mówi do niego/niej jak terapeuta.

„Na pewno? Dobrze. Ale pamiętaj, że zawsze tu jestem. Możesz dzwonić o każdej porze. W porządku? Zaraz ją dam”.

Kiedy tata wraca, muszę udąć zaskoczenie, że dzwoni Tammy, bardzo zdenerwowana, i że chce ze mną rozmawiać. Jestem superświadoma świdrującego spojrzenia Marty'ego, który z pewnością ocenia mój (zapewne kiepski) występ. Wie, że to dziwne, że „Tammy” dzwoni na domowy, a nie na moją komórkę. Ale zawsze mogę powiedzieć, że najpierw próbowała na komórkę, nie dodzwoniła się, więc zadzwoniła na stacjonarny. Oczywiście nie mam dowodów, że dzwoniła na mój telefon. Co mi przypomina, że muszę się skontaktować z Tammy na serio, i to jak najszybciej, żeby w razie czego potwierdziła tę wersję, gdyby potem tata się do niej odzywał (jako pan Superterapeuta i w ogóle). Ja pierdolę, jakie to skomplikowane. Jeb się, posterunkowy Wildey. Poważnie.



Podnoszę telefon w kuchni.

„Tammy, wszystko w porządku?”

Oczywiście po drugiej stronie jest nie Tammy, już nawet nie ta dziewczyna z prowincji, tylko sam D.

„Wszystko okej? Zadziałało?”

„Nie ma sprawy, po prostu oglądamy film, nie przejmuj się. Mów, co się stało”.

„Co? A, jasne. Nie możesz rozmawiać. Nie wiem, o co chodzi, ale mam nadzieję, że to nie jest jakieś straszne wariactwo. Ten policjant ciągle zawraca ci głowę?”

„Tak”.

„Kurwa. Strasznie mi przykro, Sarie”.

„Tak, wiem. Wiem”.

„Ja pierdolę, powinienem się do niego zgłosić. Jakoś się dogadać”.

„Nie. Nie rób tego. Wiesz, że nie możesz”.

„Wiem, że to nie fair wobec ciebie, i daję słowo, wymyślę, jak to poukładać”.

„Dobrze. Daj mi pięć minut, przyjadę po ciebie”.

„Co? A, racja. Dokąd naprawdę jedziesz?”

„Do zobaczenia”.

„Wyślij mi esemesa, dokąd jedziesz, dobra? Martwię się o ci...”

Rozłączam się. Biorę głęboki, uspokajający oddech. Żyj tym kłamstwem. Właśnie rozmawiałaś z Tammy, zdenerwowała się przez chłopaka, jak zawsze przez chłopaka (wiesz, jaka ona jest), więc trzeba jej przemówić do rozumu, dlatego zrobisz to, co zawsze robiłaś w ostatniej klasie liceum – spotkacie się na kawę i wszystko przegadacie. Czy tata pamięta tamte czasy? Ty na pewno pamiętasz, Mamo. Często opowiadałaś o swojej przyjaciółce, która bardzo przypominała Tammy.

Dlatego tłumaczę sytuację tacie, mówię, że Tammy mnie potrzebuje, a on przyznaje, że była zdenerwowana i że jeszcze jej takiej nie słyszał. (Muszę się ugryźć w język). Marty patrzy na mnie krzywo, ale w tej chwili to nie ma znaczenia. Ważne, że zostały mi ze dwie minuty na dotarcie do pieprzonej pączkarni, zanim Wildey zacznie świrować.

Wildey siedzi w aucie przed domem Hollandów. Obserwuje go już od kilku godzin, do towarzystwa ma tylko wycie zimnego wiatru, który porusza gałęzie, liście, śmiecie. Wildey czeka, aż dziewczyna się pojawi. Ma nadzieję, że nie obserwuje jej nikt inny.

Zapala się światło na ganku i otwierają się drzwi frontowe. Wzorowa Studentka idzie do samochodu. Otwiera go. Siada za kierownicą. Bez żadnych incydentów. Czyżby popadał w paranoję? Może. Ale kiedy w jednym tygodniu ginie ci dwoje informatorów, masz prawo przedsięwziąć pewne środki bezpieczeństwa.

Sarie parkuje pod pączkarnią i rozgląda się, chyba poirytowana, że jego jeszcze nie ma. Wildey się jednak nie śpieszy, najpierw monitoruje teren, by mieć pewność, że dziewczyny nie śledzi nikt zainteresowany. Potem uznaje, że jasno oświetlona pączkarnia to może jednak nie najlepsze miejsce na spotkanie. Zjeżdża na bok i sięga po komórkę.

WILDEY: Zostaw samochód i wyjdź na dwór, podjadę po ciebie

TI 137: Gdzie jesteś?

WILDEY: Będę na Pine Road za 30 sek

TI 137: ok

Jeździmy po okolicy. Pyta mnie którędy, a ja mówię, że po Pine Road chyba będzie najlepiej – mało tam ludzi o tej porze.

„A nie mówiłem, że coś wykombinujesz? Dobrze sobie radzisz pod presją”.

O mały włos nie mówię na głos: pierdol się, posterunkowy Wildey. Zamiast tego osuwam się na fotel pasażera, na próżno usiłując się schować.

„Domyślałam się, że już widziałaś wiadomości. Trafiłaś na grubą sprawę, Wzorowa Studentko. Cała komenda oszalała”.

„Czy to jest twoja forma... podziękowania?”

„Mnie osobiście średnio to pomogło. Sprawa przestała dotyczyć narkotyków, jak tylko zobaczyłem rozczłonkowane ciała. Myślisz, że kogoś teraz obchodzą te proszki? To tak, jakby Kubę Rozpruwacza chcieli zamknąć za przechodzenie na czerwonym świetle”.

„Ojej, sorki. Następnym razem spróbuję znaleźć dilera, który nie jest przy okazji seryjnym zabójcą”.

Wildey zerka na mnie, unosząc brew, albo z irytacją, albo z podziwem, trudno powiedzieć.

Sarie sprawia wrażenie urażonej, że Wildey kwestionuje jej profesjonalizm. Wydyma wargi i patrzy przez przednią szybę na zimną, ciemną drogę. Co, uraził ją, mówiąc, że nie wygląda jak ćpunka? Poza tym po prostu próbuje ją chronić. Choć z drugiej strony miała trochę racji. Na pierwszy rzut oka ten tajemniczy łącznik wydaje się mało istotny. Ot, po prostu jakiś koleś łasy na dragi, do którego dotarła plotka i znalazł sposób, żeby to wykorzystać.

Wildeyowi nie daje spokoju – o czym nie może powiedzieć Sarie – że musi się dokładnie dowiedzieć, w jaki sposób znalazła tego faceta. Jakim cudem kompletnie zielona informatorka (która nie jest nawet prawdziwą informatorką) wpadła na coś takiego? Czystym fartem? Czy pod tą fasadą porządnej dziewczyny kryje się detektyw-jasnowidz?

Raczej wątpliwe. Bardziej prawdopodobne, że ktoś wziął ją na cel. Tak jak pozostałych informatorów.

- Powiedz, jak go znalazłaś – prosi Wildey.

Sarie fuka.

- Kazałeś mi znaleźć dilerów. Więc poszłam i znalazłam. Znowu.

- Ale jak?

- Rozpytując? Robiąc research? No a jak myślisz? Poszłam tam, gdzie chodzą ludzie w moim wieku, żeby poznać innych ludzi, którzy mogą mieć narkotyki. Zaczęliśmy gadać. Wspomniał, że ma jakieś świetne dojsćie. Poszłam za tropem. To się nazywa research.

- Co ty mi pierdolisz o researchu? Chcesz powiedzieć, że wypuszczałaś się nocami i w wolnych chwilach polowałaś na dilerów?

Sarie obraca się i rzuca mu spojrzenie zdolne stopić stal. Wildey nie musi na nią patrzeć. Czuje, że pali go bok twarzy.

- Czy nie to powinna robić tajna informatorka? Chodzić, robić research i wracać z wiadomościami, licząc na to, że może wreszcie któregoś dnia dostarczy policji ten magiczny cynk, po którym policja wreszcie się od niej odpierdoli, zamiast nękać ją dniem i nocą?

Wildey zatrzymuje samochód, gwałtownie i bez ostrzeżenia. Dobrze, że oboje mają zapięte pasy. Wzorowa Studentka cicho stęka z zaskoczenia.

Oblewa ich blask reflektorów nadjeżdżającego auta. Pojazd trochę zwalnia, kierowca wyciąga szyję. Wildey powoli wypuszcza powietrze, zmienia chwyt na kierownicy. Tamto auto znowu przyspiesza i jedzie dalej Pine Road.

- Przepraszam - mówi po kilku chwilach ciszy.

- Coś sobie pomyślałam, Wildey. Mówiłeś, że interesują cię solniczki-pieprzniczki i butelki z musztardą.

Mija dłuższy moment, zanim do Wildeya dociera, o czym Wzorowa Studentka pieprzy. Stolik w knajpie. Solniczki i pieprzniczki to dystrybutorzy, a musztardy to bossowie.

- Tak. No i co?

- Ty i cała reszta policji skupiacie się na łapaniu ich, chociaż gdy tylko dorwiecie kogoś takiego, na jego miejscu pojawia się następny. Natychmiast.

- Kto tak mówi?

- Robię research. Ciągle tak się dzieje. Naprawdę chcesz temu zaprzeczyć?

- Więc mamy zostawić bossów w spokoju? Pozwolić, żeby ich imperium kwitło, aż w końcu nikt już ich nie tknie, bo całą władzę i policję będą mieli w kieszeni? Wtedy będzie tu jak w Meksyku. Byłaś kiedyś w Meksyku? Niezbyt tam fajnie.

- Oczywiście - odpowiada dziewczyna. - Ale czy nie byłoby dużo sensowniej całą kasę i siłę władz i policji skoncentrować na innym elemencie systemu?

- Już ci mówiłem, polowanie na drobnych dilerów nie ma sensu. Skoro już gadamy o odrastaniu chwastów... Kurwa, mógłbym cały dzień rozgniatać śmietanki, a i tak następne doślą całymi paczkami.

- Nie o nich mówię.

- To o kim?

- O ludziach przy stole.

Willey mruga oczami, nie rozumiejąc.

- He?

- O użytkownikach, Willey. Co by było, gdyby wszystkie pieniądze, które idą na polowanie na dilerów i ich szefów, przeznaczyć na pomoc użytkownikom? Praca, programy szkoleniowe, odwyk. To jedyna część systemu, której nie da się zastąpić: klienci. Wyeliminuj użytkowników, a całość się zawali.

- Wow. No proszę, Wzorowa Studentko. O tym nie pomyślałem. Ej, wiesz co? Fast food też jest niezdrowy! Wystarczy, że namówimy miliardy ludzi, żeby przestały chodzić do McDonalda.

- Możesz sobie żartować, ale wiesz, że to prawda.

- I wiem, że to się nigdy nie stanie, nie na taką skalę, o jakiej mówisz. Można robić stypendia, odwyki i chuj wie, jak jeszcze uszczęśliwiać ludzi, ale oni i tak chcą brać. Masa ludzi ma wbudowany guzik samozniszczenia, wiesz? Zadać sobie pytanie: dlaczego ty nie jesteś uzależniona od oxy. Powiem ci, dlaczego. Bo masz przyszłość. Nie każdemu tak się poszczęściło.

- Nie musi tak być. Nasz rząd rocznie wydaje na wojnę z narkotykami ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów. Wy-

obraż sobie, że gdyby podzielić tę sumę między wszystkich narkomanów...

- Tak, to kupiliby sobie w pizdu towaru i już.

Wzorowa Studentka wzdycha. Wildeyowi prawie jej żal.

- Słuchaj, zadajesz dobre pytania. Ja zadawałem sobie mniej więcej takie same, kiedy zaczynałem. Ale tu nie chodzi o ratowanie świata. Chodzi o to, żeby miasto samo siebie nie rozerwało na strzępy. Żeby powstrzymać takich sukinsynów jak Chuckie Morfina od zarabiania na najslabszych i zamieniania całych osiedli w strefy wojny. Jeśli uda mi się skasować właściwego bossa, moja okolica zyska chwilę oddechu i będzie trochę czasu, żeby zrobić te wszystkie dobre rzeczy, o których mówisz. Ale na razie tego nie widzę. Przykro mi. - Wildey włącza lewy kierunkowskaz, patrzy, czy nikt nie jedzie, i zawraca niezgodnie z przepisami.

Zajeżdża na parking pączkarni, ale zanim Wzorowa Studentka zdąży sięgnąć do klamki, łapie ją za ramię.

- Słuchaj - mówi. - Skończ z researchem.

- Więc jesteśmy kwita?

- Nie. Nie jesteśmy. Czekał w pogotowiu na mój znak.

- Co to w ogóle znaczy? Czy mogę się przynajmniej pozbyć tej głupiej komórki?

- Nie! Muszę pogadać z moją porucznik i ustalić, gdzie jesteśmy ze śledztwem.

- Spadajcie.

- Wsiadaj do swojego samochodu. Pojadę za tobą i dopilnuję, żebyś bezpiecznie wróciła do domu.

- Dlaczego?

- Bo chociaż masz mnie za fiuta, naprawdę jestem dżentelmenem?

- Bardzo miło. Ale muszę tu chwilę zostać.

- Dlaczego?

- Z powodu kłamstwa, które przez ciebie musiałam wcisnąć tacie.

Wildey kiwa głową. No tak, to mu się należało.

- Tylko nie wracaj za późno. I puść mi esemesa z domu.

- Dlaczego?

- Chciałbym, żebyś wreszcie przestała zadawać mi to pytanie.

- A ja bym chciała, żebyś dał mi spokój.

To też mu się chyba należało.

- Dobranoc, Wzorowa Studentko.

Oczywiście Wildey nie odjeżdża. Nie może zostawić jej samej, bezbronnej, gdzie każdy ma ją właściwie na wyciągnięcie ręki - nie po tym, jak załatwiła dwóch dilerów, a nieznanne siły wykańczają jego informatorów. Dlatego objeżdża kwartał i parkuje w bocznej uliczce z widokiem na obłędnie jasno oświetloną pączkarnię. Wzorowa Studentka zgodnie z tym, co powiedziała, siedzi sama w boksie, sącząc kawę z papierowego kubka. Podnosi wzrok na każdego wchodzącego klienta. Nie na długo, może na sekundę. Co przypomina Wildeyowi, że powinien znowu sprawdzić okolicę, upewnić się, że nie nikt podejrzany się tu nie kręci.

Po może półgodzinie Sarie zaczyna z kimś esemesować. Nie z jednorazówki, tylko z prawdziwego telefonu. Wildey poznaje po kształcie. Jednorazówka to tanie gówno. Jej pewnie tatuś kupił iPhone'a. Z kim tak rozmawiasz? Z tym swoim tajemniczym chłopakiem? A jaką wymówkę wcisnęłaś ojcu? Myśli, że gdzie teraz jesteś?

Potem wymiana wiadomości dobiega końca i Sarie Holland uśmiecha się na moment. Łapie się na tym i szybko koryguje wyraz twarzy, tak by znów wyrażała znudzony niepokój. Ale ten uśmiech tam był. Ktoś uszczęśliwił Sarie, nawet jeśli tylko na kilka sekund. Kto?

Ale potem dziewczyna odkłada iPhone'a i jej twarz tężeje.



- Co ja ci robię najlepszego? - mamrocze pod nosem Wildey. Wyjeżdża z Fox Chase i rusza w długą drogę powrotną do Badlands.

No więc obmyślam fałszywą rozmowę, którą rzekomo właśnie odbyłam z Tammy, kiedy podjeżdżam pod dom i widzę tatę skulonego przed wejściem, zamiatającego coś szczotką na szufelkę.

„Co się stało?”

„Ktoś rzucił w dom butelką, coś krzyczał, a potem szybko odjechał”.

„Żartujesz”.

„Najpierw myślałem, że to na filmie, ale... nie. Nie żartuję”.

„Co krzyczał?”

„No więc właśnie to jest dziwne. Brzmiało jak: p... się, Sarie”.

„Co?”

Tata rzuca mi jedno z tych klasycznych ojcowskich spojrzeń. Takie, że wbija wzrok i nie chce odwrócić. Dawno ich nie stosował. Od ósmej klasy.

„Czegoś mi nie mówisz, kochanie? Ktoś ci dokucza?”

Och, tato, gdybyś tylko wiedział... Chciałbyś w moim imieniu dać w mordę wielkiemu gliniarzowi i powiedzieć, żeby zostawił twoją córkę w spokoju?

„Nie, daję słowo”.

Po niezręcznie długiej chwili, zupełnie jakby tata skanował moje spojrzenie w poszukiwaniu kłamstwa, wraca do zamiatania szkła.

„Idź do domu. Ja tu skończę”.

Przechodząc, zerkam w dół na szkło, żeby sprawdzić, czy jest naklejka. Ale to bez znaczenia. Wiem, kto rzucił butelką. Ten sam gość, którego w tym tygodniu posłałam za kratki. Czyli już wyszedł. I zna mój adres.

## **BUDYNEK ROUNDHOUSE, KOMENDA GŁÓWNA POLICJI**

Komendant nie jest zadowolony.

- Ile? - pyta.

Jego kandydatka na cara antynarkotykowego odpowiada:

- Od Święta Dziękczynienia pięcioro.

Katrina Mahoney ma w dupie, co myślą o niej mężczyźni - może z wyjątkiem komendanta. To filadelfijski glina starej daty, który zaczynał na patrolach w najgorszych okolicach North i West Philly i właśnie stamtąd pod koniec lat sześćdziesiątych zaszedł na szczyt szybko się wówczas rozwijającego wydziału antynarkotykowego, a potem spędził dwie dekady w wydziałach zabójstw i przestępczości zorganizowanej. To największy twardziel na stanowisku komendanta od czasów samego Franka Rizzo, a to wiele znaczy. Mahoney na niczym tak nie zależało jak na tym, by mu zaimponować, i jest boleśnie świadoma, że osiąga wręcz przeciwny skutek.

Komendant uśmiecha się do niej rozbrajająco.

- Katrino, kiedy prosiłaś o tę robotę, powiedziałaś, że twój eksperymentalny system będzie niezawodny. Prawda?

Porucznik Mahoney kiwa głową.

Komendant przez chwilę patrzy w przestrzeń ponad jej głową, jakby oczekiwał rady z góry. Potem jego żelazne spojrzenie znów pada na Mahoney.

- Czy wiesz, co Fiorello La Guardia mówił o glinach z antynarkotykowego? I to w latach czterdziestych, na długo przed erą metamfetaminy w latach sześćdziesiątych? La Guardia mówił, że można zlecić tysiącowi policjantów walkę z dilerami, ale potem potrzebny jest drugi tysiąc, żeby mieć ich na oku. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak, panie komendancie.

- Więc co tu jest, kurwa, grane?

- Mamy szczura. Pracuję nad jego wykurzeniem.

- I właśnie w tym rzecz, Katrino - odpowiada komendant.

- Mówiłaś mi, że w twoim systemie istnienie szczura będzie niemożliwe. Że dostęp do pełnej listy informatorów i kontrinformatorów będziemy mieli tylko ja i ty. Więc sugerujesz, że szczurem jest jedno z nas.

- Panie komendancie, mamy problem...

- Czy właśnie o to mnie podejrzewasz? Powiedz teraz i bądź ze mną szczerą. Czy uważasz, że w jakiś sposób obnażyłem szczegóły twojej operacji? Może wypłem za dużo drinków w Palmie i pochwaliłem się kumpłowi? Wygadałem się kochance? Napisałem coś na ścianie w męskim kiblu?

- Nie, panie komendancie.

- No to w takim razie, skoro jesteś święcie przekonana, że tak się sprawy mają, jedyny wniosek może być taki, że to ty dajesz ciała. Naróżasz operację na szwank. Sprawa ma być wyjaśniona w ciągu tygodnia. Masz ustalić, kto likwiduje twoich informatorów. Mają przestać znikać. Zrozumiano?

- Tak, panie komendancie.

- I chcę zobaczyć konkretne aresztowania, jakie obiecywałaś mi co tydzień.

Porucznik mruży oczy, zaciska wargi.

- Dostarczyliśmy kluczowych informacji, które umożliwiły te naloty w poniedziałek...

- To było w zeszły poniedziałek. Co masz dla mnie w tym tygodniu?

Komendant milczy przez moment, rozglądając się po gabinecie.

- Pamiętaj, Katrino - mówi w końcu. - Kto się bawi ze szczurami, ten kończy z dżumą.

# Powracający obywatel

## **WASHINGTON AVENUE**

***SOBOTA, 7 GRUDNIA***

Ringo nie może w to uwierzyć. Cieszy się, że jedzie autobusem SEPTA.

SEPTA to skrót od Southeastern Pennsylvania Transport Authority – Zarząd Transportu Południowo-wschodniej Pensylwanii. Kto by pomyślał, że Ringo zatęskni za tą wiązaną? Ale po dekadzie z groszem spędzonej na wypiędziejewie w Kansas, gdzie spylał używane auta prowincjonalnym wujom i ciotkom – którzy zawsze, ale to kurwa zawsze, komentowali, że brzmi i wygląda jak jakiś gangster z telewizora (nigdy „z telewizji”, zawsze „z telewizora”) – jest szczęśliwy, że wrócił do miasta, które ma wszystko w dupie, zamieszkałego przez ludzi, którzy pilnują swoich spraw.

Jego powrót jest dość ryzykowny, mówili. Nie może się narażać na to, że zostanie zatrzymany na drodze, więc jazda samochodem odpada. Musi wystarczyć autobus. To ciekawy sposób oglądania miasta, nie da się zaprzeczyć.

Dwadzieścia lat temu Richie „Ringo” Gloriosa był wiernym żołnierzem rodziny D’Argenio podczas brutalnej wojny D’Argeniów z Perellimi na początku lat dziewięćdziesiątych. Słowo „żołnierz” to nie eufemizm – Ringo był nim na serio. Kilka lat przed tą wojną wpakował się w kłopoty z udziałem paru rosyjskich gangsterów, czystej heroiny, striptizerki i strzelby. D’Argeniowie uznali, że najlepiej zafundować mu szkołę życia w amerykańskim wojsku. Przynajmniej do czasu, aż sprawa przycichnie, jak to zwykle bywa. Ringo wrócił z zestawem nowych umiejętności i bez lęku. Co dobrze się sprawdzało na własnym podwórku.

Po wojnie D'Argeniów z Perellimi ci pierwsi skończyli w więzieniu, na cmentarzu albo w programie ochrony świadków. Ci drudzy przejęli władzę, która zakończyła się dziesięć lat temu, kiedy spotkał ich mniej więcej ten sam los. Tak to się toczyło w Filadelfii.

Teraz, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, Ringo wrócił.

I pracował z kimś z Perellich, kto by pomyślał.

Dziewczyna - nazywał ją Lisa Lisa - zaproponowała, że po niego przyjedzie, ale Ringo uparł się na komunikację publiczną. (Teraz chwalił ją nawet na głos). Spotkali się w jakimś azjatyckim barze/restauracji przy Washington Avenue. Miejsce ciągle się zmieniało; dziś miała to być prywatna sala karaoke. Byle tylko nikt nie zaczął śpiewać. Tego Ringo mógłby nie znieść.

Praca z dwoma byłymi gliniarzami - to była druga niespodzianka. Żadnego z nich nie znał z dawnych czasów. Choroba, musieli być wtedy szczeniakami. Ten, na którego wołali Frankenstein, w dziewięćdziesiątym czwartym, czyli kiedy Ringo przeżywał swoje najlepsze lata, był chyba tylko kajtkiem. Ptaku też wyglądał na młodziaka. Co policja zrobiła tym facetom, że już w tak młodym wieku są tak zdemoralizowani? Ringo mógł się tylko domyślać.

Największy szok przeżył jednak wtedy, gdy usłyszał, kto zorganizował całą sprawę. Kto namierzył go przez federalnych. Jedna z niewielu żyjących osób, które mogłyby zrobić coś takiego. Bez jaj - taka była pierwsza myśl Ringa. Kto jak kto, ale... serio?

Właśnie dlatego kocha to miasto. Filadelfia, gdzie zawsze można liczyć na to, że ktoś zrobi najgorsze, co da się zrobić.

Jeden z pierwszych nagłówków, jakie Ringo zobaczył, kiedy wrócił do miasta tuż przed Halloween, dotyczył wytycznej ratusza, żeby nie nazywać byłych więźniów eksprzestępcami.

mi. Zamiast tego burmistrz chciał, by mówiono o nich „powracający obywatele”. W Filadelfii przebywało stale około dwustu tysięcy „powracających obywateli”. Ringo: Powracający Obywatel. Dobrze to brzmiało. Jakby mógł się spodziewać parady i uroczystego wręczenia kluczy do miasta.

Naturalnie Ringo nie jest już Richardem „Ringiem” Gloriosą. Zanim wrócił, kupił sobie nową tożsamość, więc teraz jest jakimś dupkiem o nazwisku Matt Carlson.

Kierujący operacją również używa fałszywego imienia: El Jefe. Ale Ringo oczywiście zna jego prawdziwe nazwisko, zna go z widzenia. Oszłomiła go śmiałość całego przedsięwzięcia. Przynajmniej kroją się ciekawe czasy.

Dwaj członkowie tego zespołu zabójców, tamci ekspliniarze, również powinni znać go z widzenia. Ale jeśli rzeczywiście tak jest, nie zdradzają tego. Jeśli chodzi o Frankensteina – cóż, trudno cokolwiek wyczytać z tej jego pooranej bliznami twarzy. Kiedy obróci głowę, a cień padnie pod odpowiednim kątem, prawie jeszcze widać przystojnego latynoskiego donżuana, którym kiedyś (podobno!) był. Teraz jednak to przede wszystkim poparzony, poszramiony dziwoląg z lekko wyłupiastym prawym okiem. Tak to wygląda, kiedy strzelą komuś ze śrutówki w twarz.

Z kolei Ptaku – on jest taki, jak sugeruje ksywa. Rozdygotany. Oczy latają mu na wszystkie strony. Większość czarnych, których zna Ringo, ma w sobie jakiś spokój, którego Ptakowi brakuje. Jakby się składał z samych odsłoniętych nerwów i w każdej chwili mógł eksplodować.

No i jeszcze Lisa Lisa – zabójczyni znana dawniej jako Lisa Perelli. Dziesięć lat temu właściwie jeszcze nie była w grze. Ale od tamtego czasu mocno dojrzała. Ringo zna ją tylko z reputacji – i kilku pikantnych historyjek, które dotarły nawet do Kansas. To ona najbardziej go martwi, bo wi-

dać, że nie robi tego dla pieniędzy. Po prostu lubi to, czym się zajmują.

A zajmują się zabijaniem ludzi i wyrzucaniem ich ciał w tajnym miejscu nad rzeką, po zabawnym przerywniku w formie tortur.

Całkiem jak za dawnych czasów.

Ringo usłyszał o świetnej miejscówce do wywalania ciał, która pojawiła się z dziesięć lat temu przy Penn's Landing. Miały to być fundamenty muzeum dla dzieci, ale kiedy wstrzymano finansowanie, zmieniły się w ogólnodostępny punkt dla wszystkich organizacji z półświatka, które potrzebowały pozbyć się trupa. Ringa najbardziej bawiła lokalizacja. Mało kto wiedział, że kiedy zasiedlano tę okolicę, właśnie tutaj wydrążono mieszkalne grotty. Gdy później zbudowano wreszcie prawdziwe domy, grotty zmieniły się w podziemne jaskinie występku - hazardu, pijaństwa, dziwkarstwa, szmuglerki. Dokładnie tego, czym zajmuje się współczesny półświatek. Pomyśleć, że te wszystkie trupy piętrzą się nad starymi grotami, a pod betonowymi fundamentami... No, Ringowi chciało się śmiać. Filadelfia jest komiczna, jeśli zna się historię.

Na przykład ich sala tortur - pomysł El Jefe.

Współczesny obserwator widzi tylko obskurny opuszczony magazyn pod mostem Bena Franklina, otoczony ogrodzeniem z siatki, położony naprzeciwko Race Street Pier. Stał pusty od co najmniej trzydziestu lat i pachniał stosownie. Ale jako sala tortur był wprost idealny. Ciągły hałas z mostu i z ulicy tłumił nawet najdonośniejsze krzyki. Kiedy chciałeś odpocząć, mogłeś wyjść zapalić i cieszyć się całkiem niezłym widokiem na światła odbijające się od wody.

Ale Ringo nie dlatego miał ubaw. Kiedy sprawdził tę nieruchomości w internecie (zawsze ciekawiła go historia róż-



nych rzeczy, głównie jako źródło rozrywki), odkrył, że budynek powstał we wrześniu 1914 roku jako „punkt przyjmowania szczurów”. Okazuje się, że w tamtych czasach ludzie obawiali się, że europejskie szczury sprowadzą najróżniejszą zarazę na amerykańskie nabrzeża. Dlatego oferowano nagrodę: dwa centy za każdego martwego szczura, pięć centów za żywego – można je było przynosić właśnie do tego budynku i odbierać pieniądze. Ringo znalazł nawet w sieci afisz:

WYBIĆ WSZYSTKIE SZCZURY  
I zapobiec zarazie  
WYŁAPAĆ WYTRUĆ  
ZABEZPIECZ DOMY PRZED SZCZURAMI

Zawsze miło patrzeć, gdy jakiś budynek odzyskuje pierwotne przeznaczenie.

Ringo miał ochotę wydrukować ten afisz i powiesić na ścianie w sali tortur, ale uznał, że El Jefe by tego nie docenił.

El Jefe przywołuje do porządku uczestników spotkania w kambodżańskim barze karaoke.

- Mam dwa następne nazwiska – mówi. - Więc podzielimy się na dwuosobowe zespoły.

- Jakie okolice?

- Najpierw ustalmy zespoły. Ty i Frankenstein zajmiecie się jednym celem, a Lisa i Ptaku drugim.

- Jeśli cel jest gdzieś na południe od centrum, to ja z Lisą lepiej się sprawdzimy – odpowiada Ringo, chociaż wie, że sprawa jest przegrana.

- Słuchaj, kurwa, ja tu ustalam zespoły. Pojedziesz tam, gdzie ci każę. Jak masz z tym problem, to przygotuj pisemną skargę, a potem wsadź ją sobie w dupę.

- Tak tylko mówię - ciągnie Ringo - że warto o tym pomyśleć, jeżeli chcemy wykorzystać nasze mocne strony.

Chodzi nie tylko o to, że Lisa i Ringo znają South Philly. Frankenstein i Ptaku to dawni gliniarze, a Ringo wciąż jeszcze nie przywykł do myśli o współpracy z byłym psem, kiedy trzeba zlikwidować kapusia. Ale El Jefe powiedziała, że o to właśnie chodzi. Psy i makaroniarze grzecznie razem, pilnujący się wzajemnie.

Ringo wzdycha.

- Co to za robota? Czy przynajmniej możemy sobie którąś wybrać?

- Nie.

Na szczęście El Jefe przydziela jemu i Frankensteinowi tę, którą Ringo i tak by chciał. Celem jest didżej z klubu nocnego w Northern Liberties, który po robocie chodzi piechotą na chatę w Fishtown. Dlatego wystarczy zgarnąć debila z ulicy, zawieźć do jednej z dwóch torturowych miejscówek (Ringo przypuszczał, że z drugiej będzie korzystał drugi zespół, więc miał nadzieję, że El Jefe z góry ustalił przydział - inaczej będzie głupio), a potem wyrzucić ciało w tajnej lokalizacji. Dodatkową przyjemność sprawia Ringowi to, że cel jest didżejem - nienawidzi tych chujków. Wychowywał się, słuchając kapel, prawdziwych kapel, na weselach, w klubach i tak dalej, gdy nagle na scenę wtargnęli idioci z gramofonami i bez cienia muzycznych zdolności. Ojciec Ringa był w miarę znanym gitarzystą pracującym w klubach w ich dawnej okolicy. Odszedł z branży jako zgorzkniały starzec, wygryziony stawkami przez tych kretynów i ich gramofony. Gdyby Ringo miał zarabiać zabijaniem didżejów, byłby szczęśliwy do końca życia.

Ale w tej całej operacji nie chodzi o zabijanie didżejów. Chodzi o zabijanie kapusiów, a dla niego to niemal tak samo dobra opcja.

El Jefe unika konkretów na temat szerszej perspektywy, ale Ringo jest na tyle bystry, że sam to zrozumiał. Jeśli chcesz się dostać do zamku, najpierw zgarniasz wartowników. Zmuszasz ich, żeby powiedzieli ci wszystko o zamkowych zabezpieczeniach. A potem wydlubujesz im oczy.

Wcześniej. Kurewsko wcześniej. Ten moment, kiedy już wiadomo, że noc minęła, ale jeszcze nie jest rano.

Ringo chce się już brać do roboty.

Didżej tkwi w klubie całą wieczność. Set skończył się o drugiej, ale on od godziny siedzi na tyłach, pije wódkę z tonikiem i wciąga koks z kumplami. Frankenstein ma lornetkę i widzi to wszystko z dachu pobliskiego domu. Ringo leży na zimnym, lepkim dachu i patrzy w gwiazdy.

- Jakieś wieści, Frankenstein?

Frankenstein kaszle znacząco. Zza zaciśniętej pięści prawie słychać „spierdalaj”.

- No co? - pyta Ringo.

- Słuchaj, stary, wiem, że się nie orientujesz, bo w sumie się nie znamy, ale nie mów tak do mnie.

- El Jefe tak do ciebie mówi.

- Ale to co innego.

- Bo to twój szef.

- Twój też.

- Nie. Przysiągłem sobie, że już nigdy nie będę miał szefa. Jestem niezależnym wykonawcą.

- Dobra, wszystko jedno.

- Ty też powinienes tak o sobie myśleć, Frankenstein. Czasy, kiedy snułeś się po laboratorium, wykonując cudze rozkazy, dawno minęły.

- O czym ty pierdolisz? I przestań mnie tak nazywać.

Frankenstein nie zdaje sobie sprawy, że grzeczną prośbą, żeby Ringo przestał tak do niego mówić, praktycznie sobie

zagwarantował, że zostanie Frankensteinem już na zawsze. Od tej pory Ringo będzie się starał używać tego przezwiska nawet w sytuacjach, gdy wystarczyłby zaimek. Ringo wie, że to perwersyjne. Ale go bawi.

- Sorry, Frankenstein.

- Przestań, stary... Czekać. Wychodzi.

- A myślisz, że ja lubię mieć ksywę po najbardziej żalonym Beatlesie?

- To powiedz ludziom, żeby przestali cię tak nazywać.

- Co ty, jaja sobie robię. Uwielbiam ją. Jakie mam opcje? John? Paul? Kurwa, George? Wielkie dzięki.

Frankenstein nie wie, jak na to odpowiedzieć, więc skupia się z powrotem na celu.

- Chodź, zejdźmy na dół i się przygotujmy.

- Frankenstein, może ty tu zostań i się zdrzemnij. Sam się tym zajmę.

- O co ci chodzi?

Ringo nie odpowiada; pokazuje Frankensteinowi, o co mu chodzi. Cel to tylko blade truchło z nogami, pod chudą pachą niesie stos winylów, a Ringa tak kręci ten widok, że chce gościa zgarnąć sam. Frankenstein protestuje; Ringo nie zwraca na niego uwagi. Podjeżdża vanem do didżeja i trąbi, a wtedy didżej staje jak wryty. Ringo wysiada zza kółka - Frankenstein mówi: „Daj spokój, stary!” - obchodzi vana od przodu - „Serio, pojebało cię?” - i bez słowa daje didżejowi w ryj. BAM! Didżej składa się jak stół. Winyle wytaczają się z kartonowych kopert. Rano jakiemuś hipsterowi się pofarci, kiedy je znajdzie. Frankenstein wysiada z drugiej strony i patrzy na leżącego didżeja, który kaszle, drży i jęczy. Ringo szarpnięciem otwiera boczne drzwi, zbiera faceta z ulicy i ciska do vana jak worek ziemniaków. „Widzisz? Mogłeś się zdrzemnąć”. Może to działanie koksu, ale didżej najwidoczniej doznaje nagłego skoku adrenaliny, bo

wystrzeliwuje z vana, lecz Ringo wykonuje ćwierć obrotu i wbija mięsistą piączę wprost w jego środek ciężkości. Znowu: BAM! Niezbyt mocno – bo zmiażdżyłby mu żebra – ale wystarczająco, żeby pozbawić didżeja tchu, na moment zatrzymać mu pracę serca i generalnie odebrać wszelką ambicję.

- Dlaczego? – chrypi facet, padając na kolana.

Ringo zerka na Frankensteina. Mimo blizn udało mu się wykrzywić twarz w coś na kształt zdziwienia. Potem znowu spogląda na didżeja.

- Nie słyszałeś? – pyta. – Jest sezon na kapusia.

## **BADLANDS**

### ***SOBOTA, 7 GRUDNIA***

TI 89 dalej się nie odzywa. Wildey próbuje od samego rana, od czwartej, ale ciągle nic. TI 89 funkcjonuje o dziwnych porach, ale zawsze dawał głos w ciągu dziesięciu minut. W brzuchu Wildeya narasta niedobre uczucie. Najpierw zniknięcie TI 69 i zjeba odziedziczonego po NFU-CS, a teraz to.

Wildey szybko zjada miskę płatków, ubiera się, wsiada w samochód do obserwacji i jedzie do baru w Northern Liberties, gdzie TI 89 pracuje w weekendy. Bar jest zamknięty na głucho, ale Wildey wie, że barman (i współwłaściciel) ma mieszkanie nad lokalem. Parę mocnych uderzeń w drzwi wyciąga go z domu.

- Coś ty za jeden?

- Pamiętasz mnie – mówi Wildey. – Widzieliśmy się parę razy. Z Daną.

To prawda. Wildey kilka razy spotykał się z TI 89 w tym zatłoczonym barze. Ludzie brali go za dilera. Odpowiadało mu to, bo stawał się przez to niewidzialny, a informator był bezpieczny.

Barman kiwa głową, wydyma wargi, jakby już kojarzył.

- No tak. Racja. Sorry, chłopie, jeszcze się nie obudziłem.

Co mogę dla ciebie zrobić?

- Szukam Dany. Dany Camerona.

- Wyszedł koło trzeciej w nocy.

Wildey wykonuje pytający gest: możemy pomówić na osobności? Znużony barman, który wygląda, jakby od tygodnia stale był na nogach, przytakuje. Rozmawiają w jego brudnym aneksie kuchennym.

- Słuchaj - mówi barman. - Jeśli wisi ci kasę, załatwiał to z nim. Dana jest tu tylko didżejem, nie pracownikiem.

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Miał się do mnie dzisiaj odezwać bladym świtem.

- Ej, chłopie, ciągle jeszcze jest blady świt. Pewnie śpi.

Wildey to ignoruje.

- Czy mówił, że gdzieś wyjeżdża?

Barman kręci głową.

- Nie. Dzisiaj u nas gra.

- Ma kogoś? Może nocować poza domem?

- Może, ale wyszedł sam. Był tu do późna, jak mówiłem.

- Hm.

To właśnie TI 89 poinformował Wildeya o Chuckiem Morfinie. Bez sensu, żeby Chuckie kogoś na niego nasłał. Chyba nie wiedział, kto doniósł. TI 89 kręcił się w środowisku - był wysokim, trupiastym białasem, który pod koniec lat osiemdziesiątych pewnie zadawał szyku jako punkowy wampir, ale z czasem zmienił się w ospowate zombi w tanich okularach przeciwsłonecznych. TI 89 był pierwszym oficjalnym kablem Wildeya. Kiedy jeszcze Wildey pracował w dwudziestym czwartym, widywał pana Zombi w Okularach, jak wpadał do Badlands po paczuszkę czy dwie. Zgarnął go i kazał się trzymać własnych okolic, na co oburzony Zombi w Okularach odparł: „Gościu, całe miasto jest moją okolicą”. Co

Wildeya nawet rozbawiło, ale i tak mu powiedział, żeby zabierał stamtąd swoje białe dupsko. Oburzony Zombi w Okularach nie zamierzał tak tej sprawy zostawić. Podszedł do jaskrawozielonej skrzynki z gazetami, wyciągnął jeden z tych darmowych tygodników („City Press”), przerzucił kilka stron i pokazał Wildeyowi felieton. Jego felieton, jak się okazało. Gość miał rubrykę o życiu nocnym. Artykuły podpisywał „D. A. Cameron” – inicjały od imion Dana Andrew. Wildey miał ochotę krzyknąć: Ludzie, nie nadawajcie synom żeńskich imion! Przez was lądują na ulicy i biorą dragi, żeby zagłuszyć ból wywołany noszeniem imienia Dana. „Ja nie biorę” – powiedział jego przyszły informator. – „Ja gonię ducha ulic”. Wildey odparł, żeby lepiej sam się gonił.

Kiedy jednak pojawiła się posada w NFU-CS i Kaz zachęcała swoich ludzi do zadbania o dobrze ulokowanych tajnych informatorów, Wildey w pierwszej kolejności namierzył właśnie Camerona. Moment był idealny – w sierpniu „City Press” właśnie ograniczyło działalność i Zombi w Okularach został bez stałej rubryki. A co ważniejsze, bez trzystu pięćdziesięciu dolarów tygodniowo, które za nią dostawał. Wildey znalazł rozwiązanie: trzysta dolców tygodniowo za bycie jego tajnym informatorem. „Wyobraź sobie, że piszesz felietony dla mnie – powiedział – i wszystkie są o dilerach”. Zombi w Okularach zgodził się ochoczo i bez skrupułów wydawał ludzi, z którymi wcześniej imprezował. „Kurna, oni sprzedali mnie już dawno. Jebać ich”. To też Wildeya rozbawiło. Lubił TI 89.

A teraz on zniknął.

Następny telefon Wildey wykonuje do Kaz.

## **FOX CHASE**

Marty dużo myśli o tamtym telefonie i o butelce, która rozbiła się o ścianę domu.

W piątkowy wieczór, wkrótce po wyjściu Sarie, sprawdził historię połączeń i zobaczył numer kierunkowy 570. To północno-wschodnia Pensylwania. Tammy Pleece, przyjaciółka Sarie, nie mieszkała na prowincji, tylko pięć minut stąd. Zresztą nawet gdyby teraz była poza miastem, jakim cudem zdążyłaby w piętnaście minut wrócić do Filadelfii na kawę? Niemożliwe. Dzwonił ktoś inny. Ktoś o głosie na tyle podobnym do Tammy, żeby nabrać tatę. (Marty musiał przyznać, że dla jego dwunastoletniego ucha wszystkie dziewczyny w wieku od piętnastu do dziewiętnastu lat też w zasadzie brzmią identycznie). Ktoś, kto mieszka w głębi stanu, to pewnie jakaś znajoma Sarie z uczelni, ale to absolutnie nie jest pewne.

A potem w dom uderzyła butelka. Nagły trzask szkła obu ich wystraszył, ale Marty'ego najbardziej zmartwił okrzyk, który zabrzmiał potem.

„Pierdol się, Sarie Holland!”

Marty musi się dowiedzieć, kto tak nienawidzi jego siostry. Chciałby od razu iść do taty, ale on zareagowałby masą zakazów, a Sarie w reakcji zaczęłaby się trzymać na dystans, narażając się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Nie, najpierw trzeba zrozumieć, co tu się dzieje, a potem przedstawić tacie konkretne dowody.

## **7 GRUDNIA (wcześnie)**

Wiesz, Mamo, jaka jest zaleta tego, że nie potrafię się skupić na nauce do egzaminów? Zawsze mogę uniknąć sesji, pozwalając się aresztować Wildeyowi!

Żartuję.

(Chyba).



D. zostawił siedem prywatnych wiadomości na Twitterze, dwa razy dzwonił (i to na domowy!), a nawet wysłał mejla – w tym ostatnim udawał, że ma pytanie o program dla wyróżniających się studentów, zupełnie jakbyśmy wcale się nie znali. Jasne, Wildey akurat śledzi moją pocztę. (Chociaż nie wiem, może śledzi).

Wszystko to ignoruję. Wiem, że zachowuję się jak dziecko, ale muszę się skupić na pracy. W nadchodzącym tygodniu mam pięć egzaminów, a każdy wymaga przetrwania i opanowania masy informacji, żebym mogła zapełnić niebieskie zeszyty referatami, które udowodnią moim wykładowcom, że owszem, przetrwałam i opanowałam masę informacji.

Tylko że nie mogę przestać myśleć o dragach.

Są kolejne wiadomości w sprawie doktora Hilla. W nocy policja zgarnęła jego i Letitię. Doktor Hill twierdzi, że nic nie wiedział o narkotykach – że to wszystko robota Letitii. Z kolei Letitia utrzymuje, że nie miała pojęcia o pojebanych medycznych zamiłowaniach doktora Hilla – ot, po prostu handlowała receptami, żeby związać koniec z końcem. Aha. Federalni (albo raczej „źródła zbliżone do śledztwa”, jak określają to artykuły w sieci) twierdzą co innego. Podobno gang handlarzy oxy był większy i prężniejszy, niż się wszystkim wydawało. Wildey powinien teraz odpierdalać fikołki z radości. Udało nam się. Powstrzymaliśmy ich. I nikt nam za to nie podziękuje.

Dlaczego się tym przejmuję?

Nie przejmuję się.

Raczej nie.

Już tak mam, że kiedy przyjdzie mi coś do głowy, nie potrafię się otrząsnąć. Dlatego nie mogę za długo mieć przed sobą otwartego laptopa, zwłaszcza kiedy próbuję się uczyć. Jest jak królicza nora, powaga... I w tej chwili widzę tylko Wildeya przebranego za Białego Królika, który namawia: **DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ O EKSCYTUJĄCYM ŚWIECIE NARKOTYKÓW!**

Zresztą, czemu nie? Lepsze to niż filozofia Zachodu, starożytna Grecja, beatnicy w literaturze amerykańskiej, psychologia, kompozycja tekstów dla zaawansowanych i wszystko inne, co powinnam teraz przerabiać.

Może właśnie ten pamiętnik powinnam oddać na zaliczenie z kompozycji tekstów? W końcu rozpisałam się jak diabli...

Dobra, wracam do pracy.

W ten deszczowy sobotni poranek Kevin Holland spędza sporo czasu przed domem, łudząc się, że złapie gnojka, który wczoraj rzucił butelką. Bo przecież nie rzuca się butelką po to, żeby trafić w ścianę. Robi się to, żeby rozbić szybę, prawda? Wczoraj głupek spudłował, więc może spróbuje ponownie. Dzięki Bogu, że tego nie widzisz, Lauro. Oszalałabyś. Ale nie martw się. Już się tym zająłem.

Mniejsza o to, że to jest właśnie taki gówniarski numer, jaki mógłby kiedyś odstawić (i pewnie odstawił) młodszy Kevin.

Ech, karma.

Kevin dzieli uwagę między wydarzenia na ulicy i brak wydarzeń w telefonie. Jasne, jest sobota rano, ale liczył, że odezwą się wczoraj. Nie licząc świątecznego weekendu, mieli na decyzję cały tydzień. (Cholera, tak w ogóle to liczył, że odezwą się w zeszły poniedziałek, ale postanowił

dać im trochę czasu). Czy powinien zadzwonić? Nie. Nie dzwoń. Jakiś samochód przemyka ulicą za szybko jak na osiedle mieszkalne. Kevin obraca za nim głowę. Samochód znika. Kevin znowu zerka na telefon. Nic.

I tak to się mniej więcej powtarza przez cały ranek.

Aż w końcu się nie powtarza.

Tam. Po drugiej stronie ulicy jakiś wysoki facet patrzy na dom. Nie, to nie facet. To student w pieprzonym kapeluszu i czerwonych spodniach. Bardzo dyskretne. Moment, myśli Kevin, ja go kojarzę! Kiedy wychodzi przed dom, żeby mu się przyjrzeć, chłopak w czerwonych spodniach rusza w przeciwną stronę. Kiedy Kevin woła: „Ej, gnoju!”, tamten już biegnie w kierunku przecznicy. Przy „ty gnoju pierdolony” już go nie ma.

Dobra, Mamo, przyznaję: nie uczyłam się. Ale tym razem to nie moja wina. Kiedy wreszcie udało mi się znaleźć choć trochę skoncentrować, wyrrywają mnie ze skupienia wariackie wrzaski taty. Nie mam pojęcia, co się dzieje, aż w końcu wbiegam na górę i widzę, jak tata szoruje ulicą, rycząc: TY GNOJU PIERDOLONY, a potem zwalnia zdyszany, opiera ręce na udach, z trudem łapie oddech. Co, u diabła? Marty też jest na ganku, patrzy na mnie i wzrusza ramionami. Biegnę do ojca, a brat za mną.

„Tato, wszystko w porządku?”

Ciągle jest zgięty wpół, ciągle dyszy.

„Chcę wiedzieć, jak się nazywa”.

„Kto?”

„Twój chłopak. Gość, który był tu w niedzielę. I który wyraźnie nie chce mnie poznać”.

„Ja nie...”

„Nie pieprz, Sarie. Dokładnie wiesz, o kim mówię. Zerwałaś z nim? To dlatego wczoraj rozpierdolił nam butelkę o dom?”

Marty’emu opada szczęka.

„Tato!”

Kładę tacie dłoń na plecach, żeby go uspokoić. Dokładnie jak kiedyś Ty, Mamo.

„Co się stało? Dlaczego mnie o niego pytasz?”

„Bo właśnie stał po drugiej stronie ulicy i gapił się na nasz dom. Może chciał rzucić następną butelką”.

O nie. Czy to możliwe, że Ryan Koolhaas wrócił?

„Jak wyglądał?”

„Kapelusz. Kretyńskie, kurwa, czerwone portki”.

„Tato!”

Uff, dobra. Nie Koolhaas. Wrywa mi się imię D. w formie pytania.

Tacie rozświetlają się oczy.

„Tak! On!”

Powtarza jego imię, przeciąga tę jedną sylabę, nadając jej jak najgroźniejsze brzmienie. Jakby to było najpodlejsze imię świata. Jakby zbierało mu się na wymioty, gdy tylko je wymawia.

„Chcę znać jego nazwisko, numer telefonu, adres, imiona rodziców, wszystko. A potem skopię mu dupę za to, że zachowuje się w stosunku do ciebie jak psychol”.

„Tato, zapewniam cię, że D. nie rzucił tej butelki. Opowiedziałam mu, co się stało. Pewnie po prostu wpadł, żeby zobaczyć, co u mnie”.

„To dlaczego zwiął?”

„Bo nazwałeś go gnojem i zaczęłeś gonić?”

Tata przyznaje mi rację. Tymczasem czuję, że spojrzenie innej pary oczu wwierca mi się w czaszkę, i orientuję się, że to Marty patrzy na mnie z dziwną miną.

„Co?”

„Nic!”

Oddech taty wraca do normalnego stanu u ludzi w średnim wieku. Tata jest wysoki i szczupły, ale widać, że ma kiepską wydolność oddechową.

„Dobrze, Sarie, więc butelki nie rzucił twój koleżka D. No to kto? Masz jeszcze jednego chłopaka, który gdzieś tu się czai?”

„Z nikim nie chodzę, przysięgam, powiedziałabym ci”.

Tata szybko kręci głową, jak bokser otrząsający się po ciosie. Potem spogląda w dal i kuli ramiona.

„Chodź, wracajmy do domu”.

Próbuję znowu skupić się na nauce, ale nie mogę przestać myśleć, dlaczego D. tu przyjechał. (I to w czerwonych, kurwa, portkach!)

Wibruje mój prawdziwy telefon. To Tammy potwierdza, że nasze wieczorne spotkanie jest aktualne. Jeden plus tego wczorajszego burdelu jest taki, że do niej zadzwoniłam, żeby zatrzeć ślady, na wypadek gdyby tata natknął się na nią albo wydarzyło się coś równie szalonego. Komicznie się ucieszyła, jakbym była jej zaginioną siostrą, która wróciła z martwych. Jak się cieszy, że się odezwałam! Boże, ile to już czasu minęło! Ile ja ci mam do opowiedzenia! Spotkajmy się dzisiaj na kolację! W centrum! Super!

Boże, Mamo, kobiety są zajebiście dziwne.

Ale dobrze będzie przestać o tym myśleć. O Wildeyu, o D., o prochach, o wszystkim. Więc teraz wezmę się do roboty i zasłużę sobie na wieczorne wyjście.

*Nagi lunchu*, zrozumiem cię, choćby miało mnie to zabić.

## **MAYFAIR**

Jadąc Harbison Avenue, Wildey zauważyła naklejkę na tylnej szybie pickupa: TO AUTO ZBUDOWANO KLUCZAMI, A NIE PAŁECZKAMI. Trudno sobie wyobrazić Kaz spędzającą czas w takiej okolicy. Wildey wie jednak, że po zaginięciu dwojga informatorów najlepiej spotkać się gdzieś na uboczu. Kaz

zgodziła się i zaproponowała Grey Lodge Pub przy Frankford Avenue.

Kiedy Wildey się do niej dosiada, Kaz ma już za sobą pół szklanki bursztynowego piwa. Na tym piętrze nie ma poza nimi nikogo, co dziwne o takiej porze w sobotni wieczór. Nie ma nawet barmana, choć jest tu w pełni zaopatrzone bar.

- Chcesz coś? - pyta Kaz, gdy Wildey siada.

- Dzięki, tylko colę light.

Kaz wychyla się i kiwa głową do kogoś, kogo Wildey nie widzi. Właśnie ma się obrócić, gdy ona nachyla się do niego.

- Znalazłeś już swoich zaginionych informatorów? Czeka. Jeszcze nie odpowiadaj.

Przed Wildeyem pojawia się półlitrowa szklanka coca-coli light, pełna lodu i ze świeżą połówką plasterka cytryny.

- Dzięki, Scoats - mówi Kaz.

- Nie ma za co, Kaz. Chcecie coś jeszcze?

Kaz kręci głową, a wtedy za plecami Wildeya kroki się oddalają.

- Rozumiem, że jesteś tu stałym gościem? - pyta Wildey.

- W miarę stałym. To było kiedyś ulubione miejsce mojego eks, więc chętnie pojawia się tutaj na tyle często, żeby on nie czuł się już mile widziany. Pilnuję zwłaszcza, żeby bywać tu w każdy piątek trzynastego.

- Żeby jego dzień był szczególnie pechowy?

- Nie. - Kaz lekko się uśmiecha. - Wtedy Scoats odbija nowe beczki. Nie masz pojęcia, jakie tu są tłumy. Mój były uwielbiał przychodzić na odbijanie beczek, więc staram się pozbawiać go tej przyjemności najczęściej, jak mogę.

Wildey nie ma pojęcia, co to jest odbijanie beczek i co w tym wyjątkowego. Wniosek w każdym razie jest taki, że Kaz nienawidzi byłego na tyle, żeby zepsuć mu ulubioną

knajpę. Sączy swoją colę light. Cytrynka w szklance naprawdę ładnie pachnie.

- Grasz na czas, więc jak rozumiem, o sześćdziesiąt dziewięć i osiemdziesiąt dziewięć nadal nic nie słychać.

- Jeszcze ich nie znalazłem, rzeczywiście.

- Nie są z takich, co mogliby zwinąć się? - Wymawia to jakby z rosyjska: *zwinotsja*. Wildey potrzebuje dobrej sekundy, żeby rozszyfrować sens tego zdania.

- Nie - odpowiada. - Są dość zrównoważeni. Co zaczyna mnie niepokoić. Jedna osoba, okej. Ale dwie w ciągu jednego tygodnia... Coś przegapiłem? Zrobiłem coś nie tak?

Sącząc piwo, Kaz unosi brew.

- Skąd pomysł, że to spotyka tylko ciebie?

- Inni informatorzy też zniknęli?

Szefowa nie mówi nic, ale Wildey widzi furję w jej oczach, mimo że twarz pozostaje beznamiętna. Jakimś cudem Kaz potrafi uwięzić w swoim spojrzeniu ten rozpalony do białości gniew. Alkohol bynajmniej go nie łagodzi.

- Ile osób w sumie? - pyta Wildey.

Kaz kręci głową, a on sobie przypomina: nic nikomu nie zdradzi, bo stworzyła ten system właśnie po to, żeby uniknąć sytuacji podobnych do obecnej. Porównała to kiedyś do tajemnicy spowiedzi. Twoje grzechy pozostają między tobą, księdzem i Bogiem. A w tym przypadku: funkcjonariuszem oddziału antynarkotykowego, jego porucznikiem i komentantem.

- I w ten sposób dochodzimy do dziewczyny - mówi Kaz.

- Jakiej dziewczyny?

- Twojej wzorowej studentki.

- Cholera. - Wildey zaczyna wstawać.

- Czeka. Siadaj.

- Szefowo, daj spokój, to nie jest...

- Siadaj!



Teraz Wildey widzi tylko Wzorową Studentkę przycupniętą w boksie z laminatu w tamtej smutnej, jasno oświetlonej pączkarni, taką kompletnie zagubioną, choć sama nawet nie ma pojęcia, jak bardzo zagubiona jest naprawdę. Ani co może na nią czyhać w mroku. Ale Wildey siada z powrotem na drewnianym krześle i kiwa głową. Da Szefowej jeszcze minutę. Wybiegając stąd w pośpiechu, nikomu nie pomoże.

- Dziewczyna będzie zupełnie bezpieczna - mówi Kaz.

- Skąd wiesz?

- Zwykle nie odkrywam kart, ale ponieważ to twoja informatorka, lepiej, żebyś wiedział. Może poczujesz ulgę, nie wiem.

- Aha - odpowiada Wildey. W tej chwili czuje coś wręcz przeciwnego. - Rozumiem, stara szkoła. Co to ma wspólnego z jeden trzy siedem?

- Ona nie jest jeden trzy siedem.

- Co?

- Jeden trzy siedem nie istnieje. To puste miejsce. Nigdy nie wprowadziłam tej twojej dziewczyny do systemu.

- Co? Dlaczego?

Szefowa się uśmiecha.

- Daj spokój, Dzikus. Orientuj się. To nie jest prawdziwa informatorka. To twoje dojscie do Chuckiego Morfyny, mam rację? Będziesz ją naciskał, aż wyda swojego chłopaka. I to on zostanie twoim jeden trzy siedem.

- Tak, ale ona jest czymś więcej. Zobacz, co się stało wczoraj. Gdyby nie to całe gówno prosto z Edgara Allana Poeego, byłaby to dla nas świetna sprawa. Choroba, ile ten gość wypisał recept...

- Panna ma talent do pakowania się w kłopoty, to jej przyznam. Są takie dziewczyny, które zawsze lgną do niegrzecznych chłopców, prawda? Ale to nie robi z niej zdolnej informatorki.

- Szefowo, robi to, o co ją prosiliśmy.

- Mniejsza z tym. - Kaz wykrzywia usta w coś między grymasem a drwiącym uśmieszkiem. - Wozi się na twój koszt już od ponad tygodnia. Nieźle tobą pogrywa, co, Dzikus? Pilnie pracuje, żeby cię zadowolić...

- Szefowo, to nie tak...

- ...nie dając ci tego, czego naprawdę chcesz. Jak to kobieta, jak śpiewał Bob Dylan. Nie myślałam, że jesteś z tych, co lubią podpuszczalskie.

- To w ogóle nie o to chodzi.

- Nie robisz wycieczek do Fox Chase?

Wildehyowi kręci się w głowie. Jest tajemnicą poliszynela, że Szefowa ma własnych szpicli, którzy pilnują sytuacji w fabryce. Kaz uważa, że gliny z antynarkotykowego szmacą się, bo panuje przekonanie, że działają w próżni, że nikt nie patrzy. Dlatego już pierwszego dnia pracy dotarła do Wildeya wiadomość: *Kojarzysz to mrowienie, jakby ktoś cię obserwował? Cóż, tutaj pewnie się nie pomylisz. To będzie Szefowa.* Krążyły plotki, pewnie wynikające z jej akcentu, że przed przyjazdem do Filadelfii pracowała dla GRU, rosyjskiego wywiadu wojskowego, a na podłych filadelfijskich ulicach tylko wcielała w życie to, czego nauczyła się w ojczyźnie. Jeszcze inni żartowali, że litera C w skrócie NFU-CS jest od *communist*. Trzeba oddać Kaz to, że nigdy nie przyznawała się do takich rzeczy. Wildey przypuszcza jednak, że sama rozpuszczała te plotki. Bez względu na to, czy rzeczywiście miała własną siatkę szpiegów.

- Zaglądam do wszystkich moich informatorów - mówi Wildey.

- No ale ona nie jest prawdziwą informatorką, prawda?

- Co chcesz powiedzieć? Że mam ją pogonić?

- Nie - odpowiada Kaz i robi tylko chwilę przerwy, żeby unieść szklankę piwa do ust i ją opróżnić. - Koniec podróży.

Pora zabrać jej bilet.

WILDEY: Słuchaj musimy się spotkać

TI 137: Mówiłeś że na weekend spokój. W tym tygodniu mam egzami-  
ny! Z pięć

WILDEY: to ważne

TI 137: Nie mogę!

WILDEY: Musisz. Dzisiaj o 20

TI 137: Nie

WILDEY: serio?

TI 137: nie dość już zrobiłam? Czego jeszcze ode mnie chcesz?

WILDEY: Po prostu się spotkajmy

TI 137: Nie

WILDEY: Chcesz żeby to się skończyło inaczej?

WILDEY: Halo

WILDEY: Odpowiedz

TI 137: Jezu dobrze... gdzie?

Miejsce spotkania okazuje się księgarnią. Jestem zaskoczona. Wildey nie sprawiał wrażenia mola książkowego. Może powinnam go spytać o *Nagi lunch*.

W każdym razie jest to olbrzymia, dziwna księgarnia, wielka jak kościół albo kino, w połowie drogi między dwiema przecznicami przy Richmond Street, niedaleko polskiej restauracji i polskiego supermarketu. Słońce już zaszło, a w środku jest ciemno, ale Wildey zapewniał, że będzie otwarte, więc wchodzę. W pierwszym pomieszczeniu nie ma nikogo, widzę tylko stosy przypadkowych książek, pudełka, zardzewiały automat z gazetami i plakaty w ramach oparte o ścianę. To chyba nie tu? Otwieram kolejne drzwi i bum! Oto właściwy sklep, który wygląda jak nora maniaka książek. Na prawo znajduje się biuro, w którym siedzi koleś z brązowo-siwą brodą, a obok niego ksiądz. Obaj sączą whisky z kanciastych szklaneczek. Podnoszą na mnie wzrok.

„Przysłałam do... Bena Wildeya”.

Brodacz wykonuje szklaneczką gest w prawo.

„Jest na tyłach, skarbie. Nie krępuj się”.

Dopiero kiedy przechodzę przez kolejne drzwi, a potem pokonuję krótki korytarz, uświadamiam sobie, że rzeczywiście znajduję się w dawnym kinie. Podłogę wyrównano, i dzięki Bogu, bo inaczej niezliczone regały z zakurzonymi tomami zsunęłyby się na wielką ścianę. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu książek w jednym miejscu.

„Niesamowite, co?”

Wildey jest na tyłach – czyli na dawnym przodzie – sali kinowej, gdzie stoją podniszczone meble. Przywołuje mnie gestem, żebym usiadła na drewnianym krześle. On tymczasem siedzi na kanapie dokładnie naprzeciw mnie, splata palce, nachyla się, cały poważny.

„Znalazłem tę księgarnię w zeszłym roku. Można by tu oglądać towar całymi dniami. W każdym razie to najspokojniejsze miejsce w mieście, jakie znam”.

„I przy okazji lodowate. Już chyba na dworze jest cieplej”.

„Taką przestrzeń pewnie trudno ogrzać”.

„No to czego chcesz? Mam na dzisiaj plany”.

„Plany, co? Spotykasz się z kimś wyjątkowym? Przyjdzie w czerwonych portkach?”

„Spotykam się z przyjaciółką”.

„Babski wypad na miasto”.

„Tylko kolacja, nie żeby to była twoja sprawa”.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Fajna ta księgarnia, ale jestem umówiona z Tammy za niecałe pół godziny, a nie mam pojęcia, jak będzie z parkowaniem w centrum (pewnie obłąd). Ciężko dziś pracowałam, zasłużyłam sobie na wolny wieczór.

„No więc...?”

„Jestem pod ścianą, Wzorowa Studentko. Nie mówię, że się dla mnie nie napracowałaś. Ale nie robisz tego, o co prosiliśmy. Potrzebujemy, żebyś dała nam tego faceta w czerwonych portkach”.

„Nie proszę mnie o nic takiego. Powiedziałaś, cytuję: idź poszukać jakichś dilerów”.

„Nie pierdol, Sarie. To było tylko dlatego, że mówiłaś, że żadnych dilerów nie znasz. A ja wiedziałem, że kłamiesz, bo w zeszłym tygodniu jednego wiozłaś samochodem! Miałaś się trochę spocić, a potem go wydać. Nic więcej. A nie odwalać dodatkową robotę”.

„Słuchaj, mów sobie, co chcesz. I tak nie podam ci jego nazwiska”.

Gdy tylko wymykają mi się te słowa, Wildey robi wielkie oczy. Na jego twarzy pojawia się uśmiech. Wszystko jedno. Dość mam tej szarady i nie ma powodu, żeby dłużej w to grać. Mówiłam poważnie. Niech mi przystawią pistolet do głowy, nóż do gardła, nieważne, nie będę kapusiem. Już nie.

„Czyli jest jakiś »on«”.

„Oboje wiemy, że jest”.

„Od tego powinniśmy byli zacząć półtora tygodnia temu”.

„Mówię serio. Nieważne, co mi zrobisz, nie załatwię tak przyjaciela”.

„Jak dobry to przyjaciel? Myślisz, że on nie załatwiłby ciebie tak samo, żeby ratować skórę? Cholera, w sumie już cię załatwił. Co za człowiek pozwala niewinnej przyjaciółce wziąć winę na siebie?”

„Muszę już iść”.

„Może nie wyraziłem się jasno. To koniec. Jutro rano moja porucznik chce mieć kogoś w kajdankach. Albo ciebie, albo twojego przyjaciela. Bo jak nie, zapłacę głową. Stracę robotę”.

„W takim razie przyjdź mnie aresztować jutro rano. Wiesz, gdzie mieszkam. Coś jeszcze?”

Willey przez jakiś czas przechadza się wśród regałów, ale żadne tytuły książek nie rzucają mu się w oczy; wszystkie wyglądają jak zbitki przypadkowych liter. Na przodzie sklepu właściciel, Greg, częstuje go irlandzką whisky, ale Willey odmawia. Rzadko pije, i nie pora, żeby teraz weszło mu to w nawyk.

Kaz nie groziła mu zwolnieniem, ale Willey wie, że jego robota wisi na włosku. Nie traci się dwóch informatorów w tydzień. Cholera, nie traci się żadnego. No i może Kaz ma rację. Może pozwolił tej studentce sobą pogrywać. Ale to taka szkoda. Szkoda jej przyszłości, szkoda jej talentu. Dlaczego ta dziewczyna go do tego zmusza?

Willey wsiada do samochodu i jedzie do Fishtown, by rozpocząć kolejną długą noc poszukiwania ludzi, którzy być może już nie żyją.

## **7 GRUDNIA**

Tammy wie, że jestem weganką, więc proponuje, żebyśmy spotkały się w Grayne, nowym lokalu przy Washington Square. (Cała Tammy. Tak jak zawsze mówiłaś: zadęcie ma większe niż kieszeń). No więc Grayne: wszystko z lokalnych hodowli, ekologiczne, i nie pozwolą ci o tym zapomnieć. Każda cena kończy się kropką – znak charakterystyczny knajpy z klasą. Choć skoro liczą sobie dziewiętnaście dolarów za talerz fasoli, ja użyłabym wykrzykników.

W każdym razie Tammy cieszy się z wypadu na miasto, więc ja też. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby miała na twarzy tyle tapety, i ciągle rozgląda się po sali, jakby lada chwila miał do nas dołączyć ważniejszy gość. Jej wzrok nie zatrzymuje się ani na chwilę. Patrząc na nią z uśmiechem, usiłuję ją uspokoić siłą swojego spojrzenia.

„No... wreszcie...”

„Prawda? Totalny obłąd! Ale cieszę się, że wczoraj do mnie zadzwoniłaś. Nawet jeśli tylko dlatego, że potrzebowałaś alibi”.

„Próbowałam cię złapać już od jakiegoś czasu”.

„Wiem, wiem...”

„Tammy, wyglądasz obłądnie”.

„O rany, dzięki. Tewuo, teraz używam imienia Tamara”.

U Tammy tewuo = tak w ogóle. Tammy masakruje język, odkąd byliśmy w dziewiątej klasie. Szok, że jeszcze ją rozumiem.

„Tamara? Serio?”

„Wiesz, Tammy brzmi... no nie wiem, licealnie. To już chyba za nami, no nie?”

Pamiętasz, kiedy poznałam Tammy – przepraszam, Ta-MAAA-rę – w pierwszej klasie szkoły średniej? Wtedy kazała do siebie mówić „T.”. Ja zaczęłam na nią wołać „T.T.”, czego nienawidziła (potajemnie uwielbiała). To z kolei przerodziło się w „Double T.”. Ale kiedy zaczęła chodzić ze swoim pierwszym chłopakiem, Double T. umarła, a narodziła się Tammy. Całe szczęście, że nie kazała tego pisać z „i” na końcu. Kiedy wymyśla się na nowo, to zawsze z powodu faceta.

„Dobra, no to kim on jest?”

„Co?”

„Daj spokój, nie ściemniaj”.

Tammy szeroko się uśmiecha. Nie umiemy się okłamywać.

„No więc dobra, jest starszy. Wiesz, dużo starszy”.

„Skandal! Ile ma, dwadzieścia pięć lat?”

„Niezupełnie”.

Tammy udaje nieśmiałą, ale wyciągam z niej szczegóły niczym wytrawny zawodowiec. Jak się okazuje, moja najlepsza kumpela chodzi z pedofilem. Gość ma czterdzieści KURWA trzy lata! Nie jest żonaty (podobno). Przynajmniej ona przysięga, że nie.



„Czterdzieści kurwa trzy!”

„Ma na imię Peter”.

Mówi to z dumą, jak o marce, której produkty warto posiadać. Wow, to audi. Och, to kitchenaid. Ach, to peter!

„Czy ten Peter ma jakieś nazwisko?”

„Ma, ale chyba nie powinnam mówić. Jeszcze nie. Jest trochę znany w mieście. Ja nigdy o nim nie słyszałam... Boże, nie powtarzaj mu tego. Ale chwilowo on chce zachować dyskrecję”.

„Wow, wspaniale, Tammy. Jak to jest chodzić z facetem, który stoi nad grobem?”

„Spierdalaj”.

Ale mówi to z uśmiechem.

„Możesz korzystać z jego zniżki emeryckiej?”

„Serio: Spier. Da. Laj. A ty, święta Serafino? Z kim się teraz rycasz?”

Aż mnie nosi, żeby opowiedzieć jej o dwóch facetach, z którymi kręcę jednocześnie: policjancie z antynarkotykowego i uniwersyteckim dilerze. Obaj starsi. (Piona, sister!) Piszą do mnie, normalnie, cały czas, spokoju mi nie dają. Strasznie zazdrośni jeden o drugiego. Ten starszy, policjant, umiera z ciekawości, kim jest jego młodszy rywal... a mój rączy diler chce, żeby to policyjne ciacho przestało mi zawracać głowę. I co ja biedna mam zrobić? Przecież z żadnego nie zrezygnuję...

Studiuję menu.

„W sumie z nikim”.

„Oho! W sumie z nikim to znaczy, że z kimś, ty mała zdziro. Gadaj”.

Z niezręcznej sytuacji wybawia mnie swoim przybyciem kelner – kawał stuprocentowej organicznej wołowiny z fryzurą fair trade. Ślini się do Tammy, a moje zamówienie ryżu jaśminowego za 12! dolarów i fasoli pinto za 19! dolarów prawie do niego nie dociera. Tammy natomiast je słyszy.

„Ej, co za artystyczną głodówkę mi tu odstawiasz? Musimy spróbować dań głównych. W komentarzach na Eater i Foobooz wszyscy się nimi zachwycają”.

„Taka już ze mnie dziewczyna od ryżu i fasoli. No i tak całkiem bez związku: w przyszłym miesiącu muszę zapłacić czesne”.

„Daj spokój, kretynko, ja stawiam”.

„Ty? Jakim cudem?”

„Mam nową pracę i jestem przy kasie. Więc zamawiaj, co chcesz”.

Jestem skonsternowana – Tammy ma pracę? Taką z zarobkami? Ale rzeczywiście zamawia o! błędnie! dekadenski! zestaw wegańskich dań, a do tego butelkę białego wina, która kosztuje mniej więcej tyle co porządne opony do mojej hondy civic. Zapewnia mnie, że mam się nie przejmować. Pan Organiczny sprawdza nam dowody, ale nasze dowody są super. Poza tym wyraźnie leci na Tammy. Nie sprawdza ich tak na serio, pewnie tylko chciał obczaić jej dane.

Tammy znowu odwraca się do mnie.

„Dobra, opowiedz mi o nim. I nawet nie próbuj zaprzeczać, bo widzę, że jest jakiś on”.

Przychodzi wino, zostaje otwarte i nalane, następuje stuknięcie kieliszkami, a od pierwszego łyka kręci mi się w głowie. Myślę sobie: powiem jej. Przyznam się tu i teraz. Muszę komuś powiedzieć. Muszę wiedzieć, że nie oszalałam...

„Jest... skomplikowany”.

„Jak oni wszyscy”.

„Nie, poważnie. W zasadzie to nawet nie jest żaden on, nieważne”.

Tamara Pleece wypija trochę organicznego wina i cieszy się tym uczuciem, gdy łyk uderza jej do głowy. Ostatnio pije sporo wina. Jej przyjaciółce Sarie wino też zdecydowanie się przyda. Jak i parę innych rzeczy.

Dobra, naprawdę: Tammy wie, jak ciężko pracuje jej przyjaciółka. Sarie Holland, najbardziej pracowita dupa świata. Taka była w szkole Świętej Antonii, a pewnie już w łonie matki. Nigdy nie szła na skróty, nigdy nie oszukiwała. Właśnie tym zwróciła uwagę Tamary – warto mieć ogarniętą przyjaciółkę, która pociągnie cię za sobą. Tammy wie, że chyba nie przetrwałyby Świętej A. bez pomocy Sarie.

Ale dziś przy kolacji, słysząc, jak przyjaciółka zamartwia się chesnym i zamawia jebany ryż z fasolą, miała ochotę krzyknąć: *Nie musisz tego robić. Nie musisz tak ciężko pracować.*

Dobra, szczerze mówiąc, w Tamarze walczą dwa pragnienia: pragnienie pomocy, bycia tą przyjaciółką, która rozwiązuje problemy, oraz pragnienie wygadania się. Chryste, jak ona by chciała nareszcie komuś powiedzieć – komuś, kto znał ją przed wrzeźnieniem i mógłby ją sprowadzić na ziemię, może nawet zaserwować stare dobre „co ci, kurwa, strzeliło do głowy”... Nie, tego nie. Tego Tamara by nie zniosła. Nie od Sarie, najlepszej przyjaciółki od pierwszego dnia pierwszej klasy katolickiej szkoły średniej dla dziewcząt pod wezwaniem Świętej Antonii. W tej chwili życie jest za dobre, żeby ktoś wylał na nie kubek zimnej wody.

No i ciekawe, co pomyślałaby Sarie. Tammy bała się jej powiedzieć, ale jednocześnie bardzo chciała. Wypiła na wzmocnienie łyk cudownego wina i tu, przy stole, wymyśliła strategię. Bezpieczną metodę podrzucenia pomysłu i sprawdzenia reakcji przyjaciółki.

- Ciągle pracujesz na kampusie?

- Tak, w biurze kwestora. A co, też szukasz roboty? Nie wiem, czy mają jeszcze coś wolnego, ale mogę...

- Nie, hehe. Nie. Myślałam o robocie dla ciebie.

- Dla mnie? Jakiej?

- Uśmiejesz się, ale słyszałam o czymś takim, trochę się zastanawiałam i pomyślałam, że mogłybyśmy spróbować razem.

- Chcesz, żebyśmy zostały zabójczyniami do wynajęcia. Podoba mi się. Możemy wyciągnąć mundurki od Świętej A. Założę się, że nasi klienci będą zachwyceni.

- Ale z ciebie kretynka.

- To przez to wino. Próbuję oszacować koszt każdego łyka.

Tamara się uśmiecha, ale w myślach kalkuluje. Znowu gadka o kasie. Może Sarie daje jej subtelny sygnał, żeby się wreszcie wygadała.

- Słyszałaś o Amoroso.com?

Spojrzenie bez wyrazu oznacza, że nie. Ale potem Sarie mruży oczy. Tak jest. Pewnie słyszałaś. Może widziałaś billboardy albo głupkowate teksty w internecie...

- Zaraz - mówi Sarie. - Chodzi ci o tę włoską piekarnię? Tę, co robi bułki do cheesesteaków?

Tamara walczy z pokusą parsknięcia śmiechem - a potem i tak parska. Osoby przy sąsiednich stolikach obracają się w jej stronę. Wie, że bez względu na to, co mają napisane w dowodach, bez względu na to, jak są ubrane, właśnie zde-maskowała się jako nastolatka. Pieką ją policzki.

- Nie - mówi, w końcu się opanowując. - Nie o piekarnię.

Tamara Pleece wyjaśnia, że Amoroso.com to serwis internetowy, dzięki któremu bogaci *papas* poznają młodsze *bellas*. (Ta cała stylistyka włoskiego romansu jest tam obłudnie podkreślona, co pierwotnie rzeczywiście wkurzało Tamarę, bo sama jest ćwierćkrwi makaroniarzem). To nie ma absolutnie nic wspólnego z prostytutką. W ogóle. Chodzi o to, mówi Tamara, że parę razy w miesiącu spotykasz się ze swoim *papa* - może idziecie do kina, na luksusowy obiad albo po prostu tulicie się na kanapie i oglądacie film na Blu-rayu, ale żadnego seksu, przysięgam na Boga, tu nie chodzi o seks, tylko o towarzystwo. W zamian twój *papa* troszczy się o ciebie, kupuje ci podręczniki, płaci chesne albo daje kasę na nowe ciuchy, tego typu sprawy. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz, wszystko jest superprzyjazne, legalne, no i wiesz, to zawsze lepsze niż robota w uczelnianej księgowości czy co ty tam robisz...

Sarie przygląda jej się cały czas, chłonie każde słowo, aż wreszcie Tamarze Pleece kończy się wątek i zapada milczenie. Tamara czeka na reakcję przyjaciółki, ale po jej zimnym, martwym spojrzeniu widzi, że nie tylko nie jest to praca, jaką wzięłaby pod uwagę, ale obraża ją sama propozy-

cja, więc gdy tylko Sarie coś powie, ona rzuci: „Mam cię! Ha ha, przez chwilę się nabrałaś, co? Szkoda, że się nie widziałaś, i...”

- Dobrze - odzywa się Sarie. - Od jak dawna ten Peter jest twoim klientem?

No więc moja najlepsza kumpela się kurwi.

Chciałabym móc to powiedzieć w jakiś grzeczniejszy sposób, Mamo, ale właśnie tak się sprawy mają. Już wiem, dlaczego unika mnie od Halloween, bo pewnie właśnie wtedy zaczęła wymieniać cukierki na psikusy – nie, przepraszam: „przysługi” na podręczniki, kieszonkowe i chuj wie co. A może jej alfons wymaga, żeby stale miała wolny telefon, na wypadek gdyby był napalony i zachciało mu się trochę „towarzystwa”.

Dlaczego wydawało mi się, że mogę jej powiedzieć o swoim problemie? Przecież to jest Tammy Pleece. Nic się nie zmienia. Choć pomyślałam sobie, że może choć raz to ja w niej znajdę oparcie, zamiast odwrotnie.

Reszta upiornie drogiego obiadu upływa w megakrępującej atmosferze. Długie chwile milczenia przeplatane moimi wypadami do łazienki, żeby sprawdzić jedną z dwóch komórek i przeczytać wiadomości od D., które ignoruję. Tymczasem Tammy ma ciężkiego focha. Robi taką minę, jakbym wydzierała się na nią przez pół godziny i wyzywała od kurew. Czego nie zrobiłam. Ale też jej nie przyklasnę. Tammy chce, żebym pochwaliła coś, czego pochwalić nie mogę.

Choć z drugiej strony kim ja jestem, żeby ją oceniać? Zostałam kapusiem brygady antynarkotykowej. Ona przynajmniej wybrała przestępczą profesję o długiej i bogatej historii.

Niezręcznie jest aż do końca, do podania rachunku, który zgarnia Tammy, wsuwa kartę kredytową do pudełka z recyklowanego kartonu i osusza ostatni łyk konkretnie drogiego wina. Pękam dopiero na ulicy, po wyjściu z knajpy. Nie potrzebuję więcej wrogów. Nie chcę, żeby kolejna rzecz ciążyła mi na sumieniu.

„Wiesz co, bardzo chciałabym go poznać”.

Tammy po raz pierwszy od dobrych czterdziestu pięciu minut promienieje.

„Poważnie? Chciałabyś?”

„Poważnie. To na pewno świetny facet”.

„Wiem, że pewnie musisz wracać do domu do nauki, ale...”

„Ale co?”

„No dobra, to zabrzmiałoby trochę dziwnie, ale... chcesz go poznać teraz?”

## **SOCIETY HILL TOWERS**

W głębi duszy Ringo wie, że to naprawdę kiepski pomysł, ten cały wieczorek towarzyski. Ale dumny Powracający Obywatel czasem musi się trochę odprężyć przy wódce z lodem i nacieszyć towarzystwem pięknych pań ze swojej dawnej dzielnicy, no nie?

To nie są kurwy, uprzedził go przed przybyciem jego stary kumpel i współnik. „Pamiętaj o tym. To przyjazne dziewczyny, wszystko tu jest na legalu. Więc niech nie przyjdzie ci do głowy prosić o lodzika za stówkę”. Że niby Ringo wpadnie tam z rolką studolarówek w jednej kieszeni i słoikiem viagry w drugiej? Chciał sobie po prostu gołnąć kolejkę albo

trzy, ciesząc się widokiem, zanim dziś wieczorem pójdą z Frankensteinem na kolejną robotę złap-zamęcz-zabij w punkcie przyjmowania szcurków, zakończoną kąpielą w „pułapce na homary”.

Ringo kręci się w kącie, koło wieży stereo. Musi sobie przypomnieć, jakie to uczucie być na prawdziwej imprezie. Wygląda na to, że jego szef też już zapomniał, jak to jest, bo z czyjegoś iPoda leci wiązanka najbardziej przygnębiających kawałków Franka Sinatry. Poważnie. Playlista składa się z trzech najsmutniejszych albumów Franka - *In the Wee Small Hours*, *No One Cares* i *All Alone*. Jasne, nic tak nie dodaje człowiekowi ochoty... żeby się pociąć. Po chwili D'Argenio dostrzega go, pozdrawia ruchem głowy i rusza ku niemu przez salę.

To może być potwornie krępująca chwila. Dużo czasu minęło, wiele było między nimi złej krwi. El Jefe zapewnił Ringo, że wszystko będzie dobrze, że nikt do nikogo nie ma kwasu, że D'Argenio osobiście go zaprosił... ale jednak. Ringo myśli tylko o tamtym dniu, kiedy siedział w drewnianej ławie sądu federalnego na rogu Szóstej i Market Street i wskazał palcem tego uśmiechniętego faceta, który teraz idzie w jego stronę przez pokój.

Jest tylko jeden sposób na rozładowanie takiej sytuacji. Sprawdzony środek awaryjny. Mianowicie: kobiety.

- Dobra, muszę wreszcie wiedzieć - mówi Ringo. - Co to znaczy „przyjazne dziewczyny”? Nie mam pojęcia, jak to rozumieć. Nie wiem, jak się zachować.

- No... to jest taka usługa.

- Czyli kurwy.

- Właśnie nie. To nie kurwy. To towarzyszki.

- Znaczą dupy do towarzystwa?

- Nie, tępaku, wszystko na legalu. Chryste panie, za długo tkwiłeś w tym Kansas.



Ringo reaguje z opóźnieniem. Ma wspomnienie sprzed dwudziestu lat, kiedy jakiś federalny tłumaczył mu, że program ochrony świadków jest stuprocentowo pewny, bo między nim a ludźmi, którzy chcieliby zrobić mu krzywdę, stanie cały rząd Stanów Zjednoczonych. A potem wspomnienie sprzed nieco ponad dekady, kiedy Ringo patrzył na zawalające się wieże World Trade Center i myślał: Aha, oto jak rząd Stanów Zjednoczonych wszystkich broni. Więc może nie powinien być zdziwiony, że jego były/obecny szef cały czas znał jego adres.

- Owszem - mówi z uśmiechem D'Argenio. - Wiedziałem.

- Od jak dawna?

- Słuchaj, kurwiu - odpowiada dawny szef / obecny partner Ringa w interesach z szerokim uśmiechem na twarzy. - Gdybym chciał, żeby twoje tłuste dupsko trafiło do piachu, nie żyłbyś, jeszcze zanim wynaleźli internet.

No to zaskoczenie, myśli Ringo, podczas gdy D'Argenio wraca na właściwą imprezę.

Ringo trochę popija stoliczną, trochę się gapi, trochę podsłuchuje. Chryste, jego dawny szef / obecny partner w interesach tyle razy powtarzał ludziom, że przechodzi na pełen legal, że powinien zamówić olbrzymi banner ze słowem LEGAL wypisanym wielkimi czerwonymi literami. Na imprezie jest mnóstwo ludzi nieznanymi Ringowi. To nowi partnerzy w interesach, wyjaśnia D'Argenio. Tacy, których podnieca perspektywa robienia biznesu z byłym (nawróconym!) gangsterem. Mniejsza z tym. Ringo dalej kręci się po sali, rozgląda się za tamtymi przyjaznymi dziewczynami. Na razie ich nie widać. Dziewki można odróżnić od groupies. Ringo pyta D'Argenia, o co chodzi. D'Argenio każe mu się odprężyć, mówi, że niedługo przyjdą. Dwie przyjazne dziewczyny. Spodobają ci się. Wszyscy tu są przyjaźni.

Kiedy na imprezę wchodzi dwie nastolatki, Ringo uświadamia sobie, że D'Argeniowi kompletnie odbiło.

Już po przestąpieniu progu sali widzę z przerażeniem, że jestem niedostatecznie wystrojona. Cholera, w moich dżinsach i lśniącej czarnej bluzce byłam niedostatecznie wystrojona nawet w Grayne. To nie jest jakiś tam niezobowiązujący spęd bogatych ludzi w średnim wieku, ale spotkanie towarzyskie pełną gębą. Łapię Tammy za nadgarstek.

„Co to za ludzie?”

„Znajomi Petera. Słuchaj, zaraz wracam. Weź sobie drinka”.

„O nie. Tak szybko mnie nie porzucisz”.

Double T / Tammy / Tamara przewraca oczami i uśmiecha się nieśmiało.

„Nie porzucam cię, tylko idę się przywitać z Peterem”.

„Wiadomo. Jasne. Rób, co chcesz”.

Tammy puszcza mi całusa.

Wołam za nią:

„Porzucasz mnie!”

Tą samą ręką, którą puściła całusa, pokazuje mi środkowy palec.

Tkwię tak przez kilka niezręcznych chwil, które wydają się trwać kilka niezręcznych dekad, a potem odzywa się jedna z moich dwóch komórek. Oczywiście. Nie chcę ryzykować sprawdzania ich w sali

pełnej obcych ludzi – zwłaszcza jeśli to znowu jednorazówka Wildeya. Jak może wyglądać osoba z dwoma telefonami, jeśli nie jak dealer narkotyków? To dość eleganckie towarzystwo, natychmiast wyrzuciliby mnie na ulicę. Może nawet bez użycia windy. Dlatego bardzo delikatnie trącam tyłkiem uchylone drzwi i wycofuję się, chyba do jakiejś ciemnej sypialni. Szybko zerkam przez ramię – olbrzymia komoda, puste łóżko, ale poza tym pusto – i zaczynam grzebać w torbie.

Bzyczenie dobiega z mojego oficjalnego telefonu. Okazuje się, że to tata pyta, o której będę w domu. Kurwa! Zapomniałam wysłać mu esemesa. Piszę:

„Jeszcze jestem z Tammy. Nie posiedzę długo”.

Tata odpowiada po pięciu sekundach:

„Nie masz w tym tygodniu sesji?”

Błagam. Piszę:

„Tato, tyle się dzisiaj uczyłam, że oczy mi krwawią”.

„Dam ci znać, gdyby jakiś twój dawny chłopak znowu próbował wybić nam okno”.

„HAHA”.

„Poważnie, nie wracaj za późno. Jedź ostrożnie”.

„Dobra”.

Wsuwam telefon z powrotem do torby, obracam się, a potem opieram o drzwi, żeby chwilę odetchnąć. Tylko chwilę. Co ja tu w ogóle

robię? Coś Tammy wynagradzam? Chyba tak. Więc to właśnie zrobię. Przywitam się z jej obleśnym starszym chłopakiem / zbokiem / panem Pięćdziesiąt Twarzy NIE MA KURWA MOWY, a potem spadam. Tata ma rację. Przecież w tym tygodniu jest sesja. Ciężko dzisiaj pracowałam, ale wcale nie czuję się przygotowana. Poza tym jutro rano mogą mnie aresztować, więc chyba powinnam się dobrze wyspać...

„Hej. Naprawdę musisz tego spróbować”.

Głos – choć spokojny i głęboki – sprawia, że serce o mało nie wyskakuje mi z piersi.

„O ja pierdołę!”

Robię chwiejny krok naprzód i widzę faceta, którego jeszcze przed chwilą zasłaniała masywna szafa. Siedzi przy biurku z mnóstwem różnokolorowych proszków na blacie i wygląda jak dzieciak, który postanowił spróbować każdego rodzaju żelków w torebce. Obok proszków leżą notes i ołówek. Facet odsuwa się na parę centymetrów i uśmiecha się do mnie szeroko.

„Hej”.

„Przepraszam! Ja tylko szukałam spokojnego miejsca, żeby zadzwonić...”

Gość wygląda jak hipster z Main Line. Drogie ciuchy – czyściusięńki niebieski sweter naciągnięty na świeżo wyprasowaną koszulę na guziki, marszczone stare spodnie khaki. Niedbała czupryna, starannie przystrzyżona broda, okulary, serdeczny uśmiech, niespokojne zachowanie. Jest jak częściowo zaścielone łóżko.

„Chodź tutaj. Poważnie mówię, powinnaś tego spróbować”.

„Czego?”

Koleś wyraźnie urządził tu sobie prywatną imprezę. Przywołuje mnie ruchem ręki.

„Gwiazdka przyszła wcześniej. Chodź, spróbuj prezentu”.

On ma na myśli narkotyki, Mamo. Właściwie powiedział do mnie: chodź, SPRÓBUJ MOICH NARKOTYKÓW. Wiesz, tych rozłożonych na całym blacie biurka, jakby ktoś przewrócił słoik z żelkami. Nigdy dotąd nikt nie proponował mi ich tak bezpośrednio.

Normalnie wymaszerowałabym z pokoju, a potem przez całą drogę windą uśmiechałabym się pod nosem, cała w wypiekach i oburzona. Ale taka byłam dwa tygodnie temu. Nowa ja ma w głowie cząstkę Wildeya i ta cząstka myśli sobie:

O w mordę! To się nazywa w chuj prochów. Skąd gość je skołował? Jak mogę to wykorzystać?

Szczerze mówiąc, to nie jest nawet świadoma decyzja – trochę to straszne, jeśli się zastanowić. Czuję się tak, jakbym opuściła własne ciało. Sunę do biurka, zsuwam torbę z ramienia, przysiadam na skraju stojącego najbliżej dużego łóżka i uśmiecham się do ćpunka, który rozłożył sobie na blacie pół apteki.

„Dobra, łykam haczyk. Co tam masz, Imprezowiczu?”

Imprezowicz się uśmiecha, ukazując zęby przypominające perfekcyjne białe nagrobki. Takie zęby to albo owoc doskonałych genów,

albo niezwyklej dbałości. Cholerny farciarz. Ja świadomie rzadko się uśmiecham ze względu na swoje zbyt duże zęby.

„W zasadzie co tylko ci przyjdzie do głowy”.

„Mów, co masz”.

„Dobra... słuchaj, taka sprawa... Nie chcę być niegrzeczny, ale czy ty aby jesteś w legalnym wieku?”

Nachylam się i mówię scenicznym szeptem:

„Narkotyki dla nikogo nie są legalne!”

Po czym cmokam językiem i strzelam do niego z palca jak z pistoletu. Na co on znowu tylko się uśmiecha swoim pieprzonym doskonałym uśmiechem.

„Nie, poważnie. Bo wyglądasz na dziecko. Ile masz lat?”

„Dwadzieścia jeden”.

„A ja jestem Hunter S.Thompson. Może znasz mojego współlnika, doktora Gonzo? Pokaż dowodzik”.

„Ty mi pokaż swój”.

„Panie przodem”.

„Czy ty naprawdę chcesz mnie wylegitymować, zanim pozwolisz mi spróbować swoich nielegalnych farmaceutycznych przyjemności?”

Imprezowicz odchyła się na krześle i uśmiecha.

„Prawo jest tak cudownie elastyczne, czyż nie? No już, młoda, pokazuj”.

Nie bardzo wiem, co teraz zrobić. Dokument mam naprawdę dobry – pofarciło nam się z Tammy, kiedy trafiłyśmy na gościa, który we wrześniu obsługiwał pierwszoroczników z programu dla najlepszych studentów. Nie tylko był na ostatnim roku projektowania graficznego u Drexela, ale latem skończył bezpłatny staż w wydziale komunikacji, więc miał dostęp do szablonów, aparatów i wszystkiego, co potrzebne, żeby perfekcyjnie podrobić prawo jazdy. (Chyba uznał, że jednak za ciężką pracę przez całe lato należy mu się trochę forsy). Za pięćset dolarów mógł nawet zmienić twoje faktyczne dane w wydziale komunikacji, tak że gdyby pracownik monopolowego zeskanował twój dowód, i tak wszystko byłoby w porządku. Nie miałam takiej kasy, Tammy też. Ale jakimś cudem namówiła go, żeby zrobił to za darmo – dla nas obu. Nie miałam jaj wypróbować dokumentu w monopolowym, ale założę się, że właśnie dlatego Wildey dalej myśli, że mam dwadzieścia jeden lat.

Tak czy inaczej Imprezowicz nie dysponuje przecież przenośnym czytnikiem. Ale co będzie, jeśli dokument ma jakąś widoczną wadę, a on jest szpiclem? Podanie mu dokumentu mogłoby się okazać strasznym błędem.

Na szczęście Imprezowicz cofa dłoń. Może pilno mu wrócić do swojej kolekcji proszków, a może tylko tak mnie wkręcał/podrywał.

„Dobra, spoko. Ale jak potem się z tobą umówię i wyjdzie, że masz z siedemnaście lat, to będzie druzgocący cios dla mojej duszy”.

„Postaram się, żeby twoja dusza wyszła z tego bez szwanku”.

Przysuwam się nieco bliżej.

„No więc co tam masz, Imprezowiczu?”

„Ja lubię wszystkiego po trochu. Bo wiesz, jestem testerem”.

„Że kim?”

„Sprawdzam nowy towar, przyznaję każdej pigułce ocenę w skali od jednego do dziesięciu i dodaję różne komentarze. Albo przeprowadzam testy, żeby się upewnić, że to nie jakieś gówno. Lepsze to niż zwykła praca. Z kim przyszłaś?”

„Z przyjaciółką. Chodzi z... Peterem?”

„No proszę! Czyli jesteście prawie rodziną. Ja pracuję z Peterem. To co, chcesz mi pomóc w badaniach rynku?”

W duchu aż piszczę, ale moja twarz wyraża potworne rozczarowanie (mam nadzieję).

„Słuchaj, strasznie bym chciała, ale weszłam tu tylko na moment. Nie mogę zostać”.

„Widziałem, że miałaś zmartwioną minę, kiedy przed chwilą do kogoś pisałaś. Pałące sprawy?”

„Ktoś na mnie czeka w domu”.

„Ktoś wyjątkowy?”

„Aha, coś w tym stylu”.

„Moja strata, chociaż jesteś nieletnia. Ale zaczekaj chwilkę”.



Odwraca się do mnie tyłem i już po kilku sekundach wręcza mi torebkę strunową pełną najróżniejszych proszków. Totalny kryminał na wynos.

„A teraz daj telefon”.

„Po co?”

„To jest część dilu”.

Waham się, ale potem podaję mu prawdziwą komórkę. Widział, jak jej używałam. Co mam zrobić, dać mu tanią jednorazówkę? Wprowadza numer, a wtedy iPhone na biurku ożywa refrenem *Walk on the Wild Side* Lou Reeda. *Doo, doo-doo, doo, doo-doo-doo doo, doo-doo...*

„Masz mój numer. Gdyby zachciało ci się tego spróbować, w towarzystwie tego wyjątkowego kogoś albo i nie, daj znać”.

„Dobra”.

Uśmiecham się. On się nachyla. Rzucam mu zdezorientowane spojrzenie. On wzdycha.

„Nie zapomniałaś o czymś?”

„O czym?”

„Na przykład o swoim imieniu? Żebym wiedział, jak się do ciebie zwracać inaczej niż: urocza licealistko, która wpadła do tej sypialni w sobotni wieczór”.

„Nie jestem licealistką”.

„Zgadując wiek kobiety, zawsze celuję trochę niżej”.

„Dzięki, Imprezowiczu. A tak w ogóle to jak ty się nazywasz?”

Uśmiecha się szeroko, tak że jego broda wydaje się jeszcze pełniejsza.

„Imprezowicz”.

„No to mnie możesz nazywać Joan”.

„Smacznego, Joan”.

Nie wychodzę od razu. Kręcę się po imprezie jeszcze przez jakiś czas. Może nie jestem jeszcze gotowa, żeby ta przerwa w nauce dobiegła końca. Poznaję niesławnego Petera. Trochę dupek. Taksuje wzrokiem mój biust, uznaje, że to, czym dysponuję, nie wymaga dalszego oglądu, i wraca spojrzeniem do biustu Tammy. Martwię się o moją przyjaciółkę. Modlę się do jednego kieliszka białego wina. Myślę o proszkach na biurku w sypialni. Myślę o Imprezowiczu. Mam teraz jego numer w iPhone. On ani na moment nie wychodzi z pokoju. Idę sobie.

TI 137: Hej nie śpisz?

WILDEY: No proszę kto to się odezwał

TI 137: Możemy się spotkać jutro rano?

WILDEY: już jest jutro rano

WILDEY: prawie

TI 137: Możesz czy nie? Mam dla ciebie coś dużego

WILDEY: dość wymówek

TI 137: poważnie to cię zainteresuje

WILDEY: Ja też mówię poważnie

TI 137: może o 10 gdzieś tutaj? Muszę się wymknąć

WILDEY: dobrze, powiedz gdzie

WILDEY: tylko nie leć ze mną w chuja

TI 137: obiecuję, że nie

Kiedy Sarie wraca do domu, Marty leży skulony na kanapie. Tata już się poddał - za dużo piw go pokonało - ale Marty zszedł tu godzinę temu, żeby pełnić wartę. Kanapa w salonie stoi tyłem do drzwi, więc Sarie go nie widzi. Marty słucha, jak siostra zamyka drzwi na klucz, wzdycha, ściąga kurtkę, przewiesza ją przez fotel, a potem idzie do kuchni. Zapala się światło. Marty uświadamia sobie, że siostra na moment zapomniała o telefonach. Musi działać natychmiast. Sarie rzadko spuszcza komórkę z oczu, a on jest przekonany, że znajdzie tam jakieś wskazówki. Zwłaszcza w tej taniej.

Marty odnajduje w sobie kota, podkrada się do kurtki siostry, sięga do kieszeni, zaczyna macać. W tej jest iPhone. Kurde. Sprawdza drugą kieszeń, znajduje tanią komórkę, otwiera klapkę. Słabe światło ekranu jest niczym megawatowy reflektor oświetlający jego twarz i cały ciemny salon. Marty osłania telefon, a potem wybiera ikonkę wiadomości tekstowych. Naciska.

O w mordę.

Oczy mało nie wychodzą mu z orbit. Nie spodziewał się, że Sarie zapomni skasować wiadomości. Do tej pory zawsze wymazywała je, zanim zdążył zajrzeć na tę komórkę. Ale oto jest: autentyczna korespondencja.

może o 10 gdzieś tutaj? Muszę się wymknąć  
dobrze, powiedz gdzie  
tylko nie leć ze mną w chuja  
obiecuję, że nie

Marty przez chwilę trzyma telefon w palcach, a potem przypomina sobie, że nie ma dużo czasu. Sarie pewnie robi sobie kawę lub herbatę przed dalszą nocną nauką. Marty wyciąga iPoda, włącza aparat, celuje... cholera, zaraz! Zapomniał wyłączyć dźwięk. Wyłącza. Potem robi dwa zdjęcia

esemesowej korespondencji. Ledwo zdążyła wsunąć tanią komórkę z powrotem do kieszeni kurtki i się odwrócić, gdy Sarie wychodzi z kuchni.

- Marty? Dlaczego jeszcze nie śpisz?
- Niewiele brakowało. Marty udaje, że ziewa.
- Nie mogłem zasnąć.
- Jezu, chłopie, już po północy.
- Ty też nie śpisz.
- Ale ja nie mam dwunastu lat.
- A ja nie mam w tym tygodniu sesji.
- Rany, brzmisz jak tata. Idź do łóżka.

Marty idzie na górę do swojego pokoju, ale nie zasypia. Jest zbyt zajęty myśleniem o tym, co będzie jutro rano, o dziesiątej. Coś dużego.

## **8 GRUDNIA**

Ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się zobaczyć rano, to D. siedzący przy stole w kuchni naprzeciwko Marty'ego.

„Cześć”.

Starannie uczesany (na ile jest w stanie), z koszulą schowaną w spodnie, które chyba nawet niedawno były prane. Jasnooki. Uśmiechnięty. Chłopak idealny, gdyby tylko rzeczywiście był: a) idealny i b) moim chłopakiem.

Kilka razy mrugam, żeby się upewnić, że na pewno już się obudziłam i to nie jest jakiś paranoiczny sen. Ale niestety to rzeczywistość, a ja akurat mam na sobie swój najbardziej workowaty T-shirt i spodnie od pizamy. Włosy sterczą mi na wszystkie strony. Tymczasem Marty ma ponurą minę, jakby chciał zapytać, dlaczego ten obcy koleś pojawił się u nas na śniadaniu z samego rana.

„No... cześć”.

Bezgłośnie szepczę:

„Co-ty-tu-kurwa-robisz-gadaj-szybko”.

Tata przesuwa kielbaski po patelni, usiłując ich nie przypalić. Chyba mu się nie udało – obudziły mnie dym i swąd tłuszczu. Odwraca się z szerokim uśmiechem, jakby to był ot, zwykły niedzielny poranek z jakimiś kolesiami przy stole.

„Sarie Canary! Smażę mięsko dla chłopaków, ale tobie mogę zrobić owsiankę”.

„Naprawdę nie trzeba. Niech kielbaski wezmą sobie Sarie i Marty”.

Marty rzuca D. piorunujące spojrzenie.

„Nie wiedziałeś, że ona jest weganką?”

D. kiwa głową, przyjmując do siebie tę myśl.

„Nie wiedziałem”.

Staram się, by sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

„No... nie spodziewałam się ciebie rano, D. Myślałam, że umówiliśmy się na później”.

D. sięga do kieszeni kurtki przewieszanej przez oparcie krzesła i wyjmuje książkę w miękkiej oprawie. Pokazuje mi okładkę. Jest cała czarna z wyjątkiem tytułu *Nagi lunch*, który wyłania się z ciemności, jakby był trójwymiarowy.

„Przyniosłem ci to”.

„Mam już swój egzemplarz”.

D. rzuca mi błagalne spojrzenie: współpracuj ze mną!

„Wiem, ale jak ci mówiłem, tu są moje notatki. Może ci się przydadzą przed egzaminem u Chaykina. I to wcale nie oszustwo, bo wolno ci rozmawiać o książce z innymi studentami, a my to właśnie robimy”.

„Aha”.

Marty sięga po książkę.

„Nagie co? O czym to jest?”

„Moment, wodzu...”

D. próbuje cofnąć książkę, ale Marty jest za szybki. Jest też trochę niezdarzy. Książka wyślizguje mu się z rąk, odbija od stołu, a potem otwarta ląduje na podłodze. Spomiędzy kartek wyfruwa mnóstwo banknotów studenckich, które rozlatują się po całej kuchni. Marty wybałusza oczy. D. opada szczęką. Tata, z patelnią pełną kiełbasek, również patrzy na pieniądze rozsypane po podłodze.

„Sporo forsy. Mam nadzieję, że nie planujecie przekupić profesora”.

„O kurde, przepraszam!”

D. zrywa się z krzesła i zaczyna zgarniać banknoty. Tata i Marty patrzą na mnie, ale ja jestem skupiona na D.

„Zapomniałem, że je tam włożyłem. Wiszę za chesne...”

„Płacisz chesne gotówką?”

„Ha ha, zwykle nie, ale tata ma firmę, w której płaci się gotówką, więc pomyślał, że tak będzie łatwiej, skoro już jestem spóźniony i w ogóle”.

Nie trzeba dodawać, że od tej pory przy śniadaniu jest trochę dziwnie. Jak się okazuje, D. po prostu zapukał do drzwi z samego rana. Tata, który zasnął na kanapie, powlókł się do drzwi i, zaskoczony, zobaczył na progu tajemniczego faceta swojej córki. Po prawdopodobnie dość surrealistycznej rozmowie, w której D. zapewnił, że to nie on w piątek rzucił butelką w nasz dom, tata zaprosił go na śniadanie. Co, musisz przyznać, jest typowym zagranem w stylu Kevina Hollanda. Trzymaj wrogów blisko siebie i tak dalej. Czekaj, aż z niezrozumiałych powieści beatników wysypie się forsa z handlu narkotykami.

Bardzo chciałabym zostać i delektować się tą niezręczną atmosferą, ale za jakieś dwadzieścia minut jestem umówiona z Wildeyem.

„Słuchaj, chciałeś, żeby cię podwieźć na pociąg, no nie?”

Kopię D. pod stołem, zanim zdąży spytać: serio chciałem?

W samochodzie wreszcie możemy rozmawiać swobodnie. Oddaje mi pożyczone dwa tysiące dolarów, w samych studolarówkach. Dziękuję mu oschle i ruszam w stronę stacji.

„Nie rozumiem, dlaczego tak się na mnie wściekasz”.

„Co ty tu robisz?”

„Jesteś pierwszą osobą, jaką znam, która nie chce zwrotu długu”.

„Mogłeś z tym poczekać do jutra”.

„Fakt, ale jest coś jeszcze”.

„Co?”

D. bawi się gałką schowka. Niech Bóg ma mnie w opiece, jeśli teraz wyciągnie kasetę. Nieco przyśpieszam, niezbyt subtelnie sugerując, że mam mało czasu.

„Słuchaj, nie śpię od dwóch dni, bo cały czas rozmyślam. Zły jestem, że wplątałem cię w to wszystko, i cały czas się zastanawiałem, jak cię z tego wyciągnąć. A potem mnie olśniło. Nie wierzę, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy”.

Unoszę brwi. I...?

„Chcę, żebyś poznała Chuckiego”.

„Chuckiego, tego brutalnego dilera narkotyków?”

„On wcale nie jest brutalny. Kto ci tak powiedział? To biznesmen. Chryste, chyba ma nawet wnuki. Słuchaj, jak go poznasz, to zrozumiesz. I pomoże nam uwolnić cię od tego policjanta”.

„Co konkretnie zrozumiałem?”

„Po prostu musisz go poznać. Wtedy będziesz wiedziała, o co mi chodzi. Umówię spotkanie”.

Nie ma to jak ratunek w ostatniej chwili.



## **ROCKLEDGE, PENSYLWANIA**

Szare niebo jest ciężkie od śniegu. W prognozach podają, że to będzie tylko łagodny opad, a nie śnieżycą, przed którą ludzie szturmują sklepy spożywcze po zapasy żywności, ale Wildey wcale nie jest taki pewien. Wygląda, jakby miało konkretnie przywalić. Siedzi w jednym ze swoich samochodów na zimnym parkingu pączkarni, nie gasi silnika, starając się nie zmarznąć. Nie uznaje kawy, ale potrzebna mu kofeina, więc powoli popija colę light. Co bynajmniej nie pomaga mu się ogrzać, ale mniejsza z tym. Taki to właśnie będzie ranek. Wildey wątpi, żeby Wzorowa Studentka stawiała opór, ale na pewno będzie płakać. Czyli tydzień zacznie się do dupy. Wildey sączy colę, usiłując przygotować się wewnętrznie do zadania, które ma przed sobą. Wzorowa Studentka pojawia się punktualnie i siada na fotelu pasażera.

- Dziwne, że chciałaś się spotkać tutaj, na swoim podwórku - mówi Wildey. - Ale to, że jesteś u siebie, jeszcze nie znaczy, że nie mogę cię aresztować.

- Nie aresztujesz mnie.

Wildey unosi brwi. Czyżby? Jesteś tego pewna?

- Powiem więcej. Jak usłyszysz, co odkryłam, będziesz chciał mnie pocałować.

Wildey patrzy na nią, nie za bardzo wiedząc, jak na to zareagować.

- Może nawet zaproponujecie mi pracę - dodaje rozpromieniona dziewczyna.

- Zaczniecie wreszcie gadać?

- Mogę wam dać Chuckiego Morfinę.

Wildey mruży oczy.

- Jaki w tym haczyk?

- Żadnego.

- Czyli wreszcie wydasz mi swojego szemranego przyjaciela.

- Owszem, mam przyjaciela, który mi pomaga, ale on nie jest twoim źródłem, tylko moim. Nie tkniesz go, taki jest układ. Ja nawiążę kontakt w twoim imieniu. Pomogę ci zgarnąć Chuckiego.

Willey pyta Sarie, jak zamierza to zrobić, a ona piorunuje go wzrokiem, jakby rozmawiała z pieprzonym debilem.

- Pójdę do niego, kupię narkotyki i to wszystko nagram. A są jakieś inne sposoby?

- Skąd wiesz, że będzie przy tobie mówił o interesach?

- Nie martw się, dam radę. Ale to nie wszystko. Wpadłam na coś jeszcze. Coś dużego.

- Czekaj. Mnie w tej chwili nie interesuje nikt inny. Skupmy się na Chuckiem Morfinie.

- Więc nie zależy ci na butelce musztardy?

Willey wreszcie pozwala sobie na uśmiech.

- Dziewczyno, przecież wiesz, że nic mnie tak nie kręci jak butelki musztardy.

- Jeśli mam rację, załatwię ci największą, jaką w życiu widziałeś.

Willey musi przyznać, że nie takiego przebiegu poranka się spodziewał. Nie będzie kłamał: jeżeli choć połowa z tego okaże się prawdą, czeka go dosłownie klęska urodzaju. Ale jak on to sprzeda Kaz? Szefowa uparła się, żeby w niedzielę rano mieć kogoś w kajdankach. Willey opiera się wygodnie w fotelu i wie, że tego pożałuje, wie, zanim jeszcze zakończy westchnienie.

- Opowiedz mi o tej musztardzie.

- Opowiem. Ale daj mi czterdzieści osiem godzin.

No i jest. Haczyk.

- Litości, dobijasz mnie tym odwlekaniem terminu! Wykładowcy też ci pozwalają na takie numery?

- Wiesz, że jestem w tym dobra. Po prostu potrzebuję czasu, żeby to zrobić, jak należy.

Willey obraca się do Sarie i rzuca jej długie, wnikliwe policyjne spojrzenie. Nic w jej oczach nie sugeruje, że dziewczyna sobie z nim pogrywa. Jest wręcz podniecona. Patrzcie ją, jak się wkręciła w śledztwo. Willey zna tę minę. Wyciąga rękę w kierunku ramienia Sarie, a ona się wzdryga.

- Co robisz?

Jej nagły ruch teraz z kolei peszy jego. Czy rzeczywiście coś zrobił? Chciał ją tylko uspokoić, stworzyć nić zaufania, jak ze wszystkimi swoimi informatorami. Z każdym, z kim stara się nawiązać kontakt. To normalne ludzkie zachowanie, no nie? Cofa rękę i kładzie ją na kolanach.

- Dobrze, Wzorowa Studentko.

- Co dobrze?

- Porozmawiajmy o tym, jak się nosi podsłuch.

# Morfina

## **8 GRUDNIA (później)**

Dziś była niespodziewana śnieżycą. Siedem centymetrów śniegu na godzinę. Nikt tego nie przewidział. Byłabyś tą śnieżycą zachwycona, Mamo, zwłaszcza że jest niedziela i nikogo nie ma na dworze. Tata z Martym oglądają na górze mecz Eagles–Lions, który chyba jest szalony, bo tata dużo krzyczy. Zerkam na telewizor za każdym razem, kiedy wchodzę do kuchni zrobić sobie herbatę. Personel musi stale usuwać śnieg z linii na boisku, żeby zawodnicy widzieli, co robią. Jakiś komentator mówi, że Detroit ma przewagę ze względu na białe stroje, ale drugi odpowiada, że nie wolno lekceważyć Eaglesów na własnym terenie. Jak wiesz, nie jestem wielką fanką futbolu, ale ten mecz chyba fajnie by się oglądało. (Chociaż im więcej piwa pije tata, tym staje się głośniejszy; nawet Marty jest poirytowany). Bardzo chętnie zrobiłabym sobie wolne popołudnie, ale mam dużo do roboty. Dużo do obmyślenia.

Torebka proszków, które dał mi Imprezowicz, jest pełna jaskrawych kolorów i obłych kształtów. D. byłby pewnie zachwycony. Wciąż nie pojmuję, co jest takiego pociągającego w łykaniu w gruncie rzeczy lekarstw. Dziewczyny w liceum miały mnóstwo różnych proszków i często mi je proponowały. Patrzyły na mnie jak na wariatkę, kiedy odmawiałam. Wszyscy je brali – nie byłam fair wobec samej siebie, jeśli ja ich nie używałam, bla bla bla. Wiesz, co mnie powstrzymywało?

Ty, Mamo.

Wiem, że kiedy byłaś jeszcze Laurą Gutierrez, byłaś uzależniona. Inaczej nie przyszedłabym na świat. Z powodu nałogu trafiłaś do kliniki taty w San Diego, to okropne doświadczenie jakimś cudem was do siebie zbliżyło i nagle z tego wszystkiego wzięłam się ja. (A potem oczywiście Marty). Więc powinnam być wdzięczna narkotykom, prawda? Niech żyją narkotyki, dzięki nim kręci się świat!

Ale chyba to właśnie Twój nałóg w końcu Cię zabił. Pomyślałam o tym, kiedy po raz pierwszy widziałam, jak miałaś atak. Kiedy doroślałam, bez przerwy słuchałam o niebezpieczeństwach przedawkowania i to wyglądało dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam: ciało wykręcone w nienaturalny sposób, gałki oczne przewracające się w oczodołach, żyły pęczniejące tak bardzo, jakby miały eksplodować. Nagle Ciebie nie było. Zastępowała Cię jakaś obca istota, która opętała Twoje ciało.

Wiem, że nie przedawkowałaś. To był guz mózgu. Ale czasem nie mogę pozbyć się myśli, że zapłaciłaś za jakiś wcześniejszy grzech.

Nasze rozmowy o narkotykach przy stole – odkąd miałam dwanaście lat, a Marty pięć (i z początku nic nie rozumiał) – były dziwne. Tata opowiadał te swoje straszne historie, ale słyszeć było, że trochę tęskni za tymi niby złymi dawnymi czasami. Postępowałam źle i nigdy nie powinnaś próbować narkotyków na własną rękę, Sarie, bla bla bla... Ale jednocześnie brzmiało to dość fajnie, nie będę kłamać.

Natomiast Twoje historie były, kurczę, jak żywcem wyjęte z Edgara Allana Poe'go. Nic, tylko mrok, brak kontroli i ciągle przerażenie. Tak bardzo się nakręcałaś, że zaczynałaś mówić po hiszpańsku (z czego ja z Martym ciągle się nabijaliśmy, czasem bezlitośnie: *Ay! Dios Mío!*). Tata słuchał Twoich opowieści z zaciśniętą szczęką, wyraźnie wkurzony, że znowu je słyszy. Same podłe wspomnienia, rozumiem.

Ale wracaliście do tych historii regularnie, zwłaszcza kiedy Marty podrosł. Zawsze uważałam, że sprytne jest to wasze dwutorowe podejście. I podziałało. Nigdy nie wzięłam nawet adderallu.

Ale patrząc teraz na te proszki... siłą rzeczy się zastanawiam. Może pomogłyby mi się skupić. Bądź co bądź, prowadzę podwójne życie. Może pomogłyby mi poukładać sobie wszystko w głowie.

Nie. Ciągłe nie mogę. Strach dalej działa.

Powinnaś być dumna, Mamo. Chyba dzieci rzeczywiście wyrastają na przeciwieństwa swoich rodziców.

## **SIEDZIBA NFU-CS**

Rozmowa nie jest taka trudna, jak Wildey przypuszczał.

Jest nieskończenie trudniejsza.

Kaz ma tak wściekły wzrok, jakby Wildey dopuścił się zdrady stanu. Dlaczego nie przyprowadził dziewczyny w kajdankach? Myślał, że Kaz żartuje?

- Nie, Szefowo, wcale tak nie myślałem - odpowiada Wildey. - Ale musisz mnie wysłuchać. Zamykając ją teraz, niewiele zyskujemy. Przecież ona ma nam tylko dać dojście do swojego chłopaka, a ten równie dobrze może sobie znaleźć prawnika i przeciągnąć sprawę do Nowego Roku. Albo dłużej.

Kaz przygląda mu się uważnie.

- Mów dalej.

- Ale jeśli wyślemy ją tam z podsłuchem, przeskoczymy wszystkie etapy pośrednie i dojdziemy wprost do Chuckiego. Jak go nagramy, to po nim.

- Wszystko zależy od tej twojej dziewczyny - odpowiada porucznik. - Średnio mi to brzmi.

- Daj jej czas, którego potrzebuje. Z tego będzie grube żniwo.

- Oby. W porządku, do monitorowania zostaną przydzieleni Sepanic i Streicher. Kiedy ona to zrobi?

- Wyśle mi esemesa, jak tylko będzie wiedziała.

## **9 GRUDNIA**

Zdaję egzamin z psychologii, łatwiejszy z czterech w tym tygodniu – bezmyślne wypisywanie definicji, test wielokrotnego wyboru, łatwe i krótkie pytania otwarte. Całe szczęście, bo po południu muszę jechać do centrum na randkę z Imprezowiczem.

Tak, Mamo, dla researchu. Nic więcej, przysięgam. To facet po trzydziestce, więc dla Tammy pewnie gówniarz, ale dla mnie jest trochę za stary.

Najpierw zaprosiłam go na kawę, ale powiedział: chrzanić to, chodźmy się napić, przetestujemy ten twój ewidentnie fałszywy dowodzik. Więc zgodziłam się na drinka. zaproponował bar na szczycie hotelu Bellevue. Kiedy przychodzę, już tam jest, siedzi na niedużej wyściełanej ławie pod oknem. Ma garnitur bez krawata i wygląda znacznie spokojniej niż w sobotni wieczór.

„Trafiłaś bez problemu?”

„Ładne miejsce”.

„Uwielbiam widok stąd. Kiedy zmruży się oczy, prawie widać miasto takie, jakie było sto lat temu. Zdziwiłem się, że zadzwoniłaś. Nie masz z kim iść na bal maturalny?”

Trochę drażni się ze mną w tym duchu, zamawiamy drinki (chardonnay dla mnie, stoliczna z martini i dwiema oliwkami dla niego) i owszem, zostaję wylegitymowana, ale dowód wytrzymuje kontrolę, mimo że Imprezowicz namawia kelnera, żeby sprawdził go jeszcze raz. Nie, poważnie, niech pan sprawdzi datę. Stukamy się kieliszkami.

„Będę szczerą”.

Imprezowicz sączy drinka i unosi brwi, jakby chciał spytać: tak?

„Niespecjalnie mnie kręcą te całe piguły...”

„Ale jak ktoś proponuje ci narkotyki za friko, to czemu ich nie wziąć, opchnąć znajomym i zarobić parę groszy? Spoko, rozumiem to”.

„Nie w tym rzecz. Byłam po prostu... ciekawa”.

„A ja jestem ciekaw, dlaczego piękna młoda kobieta taka jak ty chciała się spotkać z takim starym obdartusem jak ja”.

„Właśnie, ty mi w końcu nie pokazałaś dowodu”.

„Ano nie pokazałam”.

Znowu odsłania te swoje idealne zęby.

„Dobra, to napięcie mnie zaraz wykończy. Po co się spotkaliśmy?”

Wtedy sprzedaję mu tekst, nad którym pracowałam przez całą noc, zamiast uczyć się do egzaminu z psychologii. Mówię, że się domyślam, czym zarabia na życie (o rany, odpowiada, co mnie zdradzi-



ło, te wszystkie prochy na biurku?), i że wcale go nie oceniam, każdemu jego porno. Ale chcę dowiedzieć się więcej.

„Więcej”.

„Tak”.

„Dlaczego?”

Bo pracuję nad referatem o handlu narkotykami w Filadelfii i chcę mieć coś, czego nie będzie miał żaden inny uczestnik mojego programu studiów. A mianowicie? Raport terenowy, odpowiadam.

Sączę wino, podczas gdy on trawi tę informację. Jest zimne i chyba od razu uderza mi do głowy. Nie mam pojęcia, czy gość łyknie bajkę o referacie. Ale niby dlaczego mogłabym się tym interesować? Na papierze jestem idealną uczestniczką programu dla wyróżniających się studentów. I w pewnym sensie mówię prawdę. Rzeczywiście robię research. Tyle że niezupełnie do referatu.

„Oczywiście nie użyłabym twojego nazwiska. Byłbyś zupełnie anonimowy”.

Po długim łyku, którym Imprezowicz całkiem opróżnia drinka, gestem wzywa kelnera.

„A co jeśli... i wcale cię nie oceniam, gdyby to była prawda, ale co jeśli jesteś policyjnym szpiclem, a ja wygadam ci się o mojej robocie?”

Czuję w trzewiach, że to właśnie ten moment, kiedy naprawdę muszę sprzedać mu swoją wersję. Musi mi uwierzyć – inaczej dopijemy

drinka, poklepie mnie po głowie (albo po tyłku) i pośle do domu jak małą dziewczynkę.

„Myślisz, że jestem szpiclem?”

„Nie jest to niemożliwe. Może kręcą cię piguły, dałaś się złapać i teraz twoim jedynym wyjściem jest znalezienie jakiegoś dilerka. To się ciągle zdarza. Zwłaszcza w tym zwariowanym mieście. Czy właśnie tak z tobą było?”

„Nie kręcą mnie piguły. I nikt nigdy mnie nie aresztował”.

„Zamówię sobie jeszcze jedną stoliczną. Ale one łatwo wchodzi! A ty?”

No i już: straciłam go. Mimo że absolutnie nie mógł być na sto procent pewien, że jestem informatorką. Może po prostu wyczytał mi to z twarzy. Może jestem w tym kiepska.

„Słuchaj, to wszystko źle wyszło. Przepraszam, że zmarnowałam twój czas. Pójdę już”.

Wstaję, żeby wyjść. Kładzie mi rękę na ramieniu.

„Ej, nie uciekaj. Wypijmy jeszcze po jednym. Ja ciągle nie jestem gotów wyjść z powrotem na mróz, a ty?”

Wypijamy jeszcze po jednym. Kiedy kelner przynosi drugie wino, dopijam resztę pierwszego (czyli pół kieliszka) jednym haustem, ale już czuję, że zaczyna mi szumieć w głowie. Jutro egzamin z historii dwudziestego wieku, wieloczęściowa kobyła z zimnej wojny i czerwonej paniki, a nie czuję się ani trochę przygotowana. Mówię sobie,

że będę grzeczna i wypiję jeszcze jedno wino, żeby nie wkurzyć uprzejmego brodatego dilera.

„Jedno ci powiem: kultura policyjna w tym mieście jest równo zjebana”.

„Nie jesteś stąd?”

„Powiedzmy, że bywam w wielu miastach. A Filadelfia to coś wyjątkowego, mówię ci. Wiesz, jaki jest niezbędny element każdego kwitnącego biznesu narkotykowego? Współpracująca policja”.

„Chcesz powiedzieć, że gliniarze są umoczeni”.

„Przecież muszą być, nie? Tylko tak może to działać. Jeśli nie są wprost skorumpowani, to służą pod kimś, kto jest. A nawet jak nie, to realizują politykę ustaloną na najwyższym szczeblu i niemającą nic wspólnego z zapobieganiem przestępczości”.

„Dość cyniczny punkt widzenia, Imprezowiczu”.

„Rzekłbym, że trafny. Ale dobra, nawet jak w to nie wierzysz, dobrze się przyjrzyj policji w tym mieście. Wiesz, ilu funkcjonariuszy zwolnił komendant, odkąd objął stanowisko pięć lat temu?”

„Nie mam pojęcia”.

„Stu trzydziestu czterech. Dobrze przetrzaw tę liczbę. A teraz pomyśl, że dzięki arbitrażowi związku zawodowego policjantów połowa z nich wróciła na służbę. Nie, żeby się skarżył. Ci umoczeni są zdesperowani i łatwo ich kontrolować. Dla ludzi w moim fachu to dobrodziejstwo”.

„No to jak, Imprezowiczu, dużo masz policjantów w kieszeni?”

Uśmiecha się.

„A co, chcesz mi jakiegoś buchnąć?”

Odpowiadam uśmiechem, sącząc wino, choć niezbyt mi smakuje.

„Dobra, to jak wytłumaczysz te wszystkie aresztowania związane z narkotykami, o których czytam, odkąd zaczęłam pracę nad referatem? Policja jednak nie siedzi z założonymi rękami”.

„Mówisz o tych drobnych nalotach i sesyjkach fotograficznych z paczkami marihuany na rozkładanych stolikach? Czytasz nie te artykuły, co trzeba. Poczytaj lepiej o serii włamań do domów w ostatnim miesiącu”.

„Włamań? Dlaczego?”

„A szczególną uwagę zwróć na szum w komentarzach. To tam ludzie się wyżywają”.

„Mogę to zapisać?”

„Po co? Nie mówię ci nic, czego sama nie znajdziesz”.

„Aha, dobra”.

„I przyjrzyj się jeszcze tym wszystkim zaginięciom ostatnio. Ludzie nie znikają z ulic tak bez powodu. To najprawdopodobniej tajni informatorzy, co pokazuje daremność dochodzeń antynarkotykowych na poziomie miejskim”.

„Dlaczego?”

„Biorąc pod uwagę, w jakim tempie znikają szpicle w Filadelfii, jestem w szoku, że ktokolwiek zgadza się zostać kimś takim”.

Kiedy studentka wychodzi, facet, którego nazwała Imprezowiczem, zamawia jeszcze jedną stoliczną i prosi o menu lunchowe. Nie jest tak stary, jak pozwolił myśleć „Joan”, ale żyje już na tyle długo, żeby wiedzieć, że ludzie nie pojawiają się w czymś życiu tak bez powodu. Ma nadzieję, że w tym przypadku domyślił się właściwej przyczyny i powiedział dziewczynie to, co potrzebowała usłyszeć. Potem zamawia podsmażaną pensylwańską palie jeziorową z migdałami, fasolką, brązowym masłem i kaparami. Nuci *Stir It Up* i czeka. Boże, jak on kocha swoją robotę.

**Internetowa konwersacja w prywatnym chatroomie w Big Bust V: The West Coast Connection (CultureWerks Games, 2013), 9.12.2013, godz. 22.31**

cicoPIKE: coś się kroi w tym tygodniu? odpocząłbym od sesji

chUKeeMORPHine: na pewno coś się załatwi brachu

ciscoPIKE: w nowej miejscówce?

chUKeeMORPHine: aha dobra wpadnij we wtorek wieczór

ciscoPIKE: może być. mogę przyjść z kimś?

chUKeeMORPHine: spoko, byle miała cycki

ciscoPIKE: haha ma

ciscoPIKE: git

chUKeeMORPHine: czekaj

chUKeeMORPHine: jak się nazywa

ciscoPIKE: po co ci

chUKeeMORPHine: Wiesz, że lubię prowadzić listę gości

ciscoPIKE: a, dobra

chUKeeMORPHine: I muszę wiedzieć, komu wysłać kartki na święta

ciscoPIKE: haha

chUKeeMORPHine: No więc...?

ciscoPIKE: nazywa się Sarie Holland koleżanka z zajęć urocza dziewczyna

chUKeeMORPHine: Następna wzorowa studentka? No to chętnie ją poznam. Ma atrakcyjną matkę?

ciscoPIKE: haha

chUKeeMORPHine: nara brachu  
ciscoPIKE: nara

**Internetowa konwersacja w prywatnym chatroomie w Big Bust V: The West Coast Connection (CultureWerks Games, 2013), 9.12.2013, godz. 22.37**

chUKeeMORPHine: Siema keef  
KeithBurns06: Cześć  
chUKeeMORPHine: chyba mamy mały problem  
KeithBurns06: to znaczy?  
ChUKeeMORPHine: pamiętasz plotki że jakąś laskę zgarnęli niedaleko nas przed Świętem Dziękczynienia?  
KeithBurns06: no?  
chUKeeMORPHine: coś czuję że wpadnie z wizytą we wtorek wieczorem. Będzie potrzebny sprzęt i więcej chłopaków  
KeithBurns06: dobra  
chUKeeMORPHine: uderz do tych źródeł co zawsze i sprawdź co mówią na ulicy, czy to ktoś kim mamy się przejmować. Nazywa się  
chUKeeMORPHine: Sarie Holland  
KeithBurns06: zrobi się  
chUKeeMORPHine: zresztą jak dupę rozbierzemy to będzie wiadomo czy sprzedała się psom.

**Zapis wymiany wiadomości SMS między tajnym informatorem nr 137 a Andrew Pikiem, 9.12.2013, godz. 22.49**

PIKE: Hej nie śpisz?  
TI 137: Nie  
PIKE: Umówione. Wtorek o 21  
TI 137: Super  
PIKE: zobaczysz, nie ma się czym martwić, naprawimy to  
TI 137: ok  
TI 137: idę się uczyć  
PIKE: ok  
PIKE: myślę o tobie  
TI 137: ja też

**Nowe wycinki wklejone do odręcznego „dziennika kryminalnego” TI 137**

Zdaniem policji mężczyzna sfingował porwanie, żeby przykryć nieudaną transakcję narkotykową (9.12.2013)

Policja bada włamanie w Newbold (9.12.2013)

Prokuratura okręgowa oddała 12 spraw związanych ze skompromitowanymi policjantami (7.12.2013)

Policja poszukuje 2 podejrzanych w związku z włamaniem w pñ.wsch. Filadelfii (5.12.2013)

Były policjant skazany za uprzedzenie krewnego o badaniu narkotykowym (4.12.2013)

Raport: 2 ofiary, 3 rannych w nocnych strzelaninach (2.12.2013)

Rozpoczynają się mowy końcowe w procesie skorumpowanych policjantów w Filadelfii (2.12.2013)

Ofiara włamania w pñ. Filadelfii opowiada o przemocy, pobiciu (2.12.2013)

## **NABRZEŻE**

### **PONIEDZIAŁEK, 9 GRUDNIA**

Jeśli chodzi o miejsca do pozbywania się trupów, „pułapka na homary” to całkiem sprytna koncepcja.

Najlepsza, jaką Ringo widział od dawna (nie, żeby na wygwizdowie w Kansas miał okazję pozbywać się trupów, ale wcześniej, w dawnych czasach). Kiedy jedzie się na południe Delaware Avenue – jasne, Ringo wie, że teraz nazywa się Columbus Boulevard, ale w jego sercu to zawsze będzie Delaware Avenue – widać tylko hipermarkety, fast foody, ośrodek prawa jazdy, klub ze striptizem, halę związkową i tak dalej. Nie widać natomiast gnijących pirsów, które znajdują się za nimi. Milion lat temu dziadek Ringa pracował na tych pomostach jako doker, dźwigał skrzynie z ananasami, worki cukru, ciężkie części pociągów i cokolwiek jeszcze przyplęnęło rzeką. Filadelfia była miastem portowym, a te pirsy wykarmiały tysiące rodzin mieszkających w okolicznych dzielnicach. Teraz jednak albo zapadły się do rzeki, albo sterczą nad zimną wodą, jakby rozglądały się i pytały: *co myśmy takiego, kurwa, zrobiły?* Niektóre są odgrozione i czekają na ewentualne zagospodarowanie.

Jak na przykład ten odgrodzony pirs numer 63.

W czasach dziadka Ringa była tu bocznicą Baltimore & Ohio Railway. Teraz został tylko rozsypujący się pomost, na którym kiedyś pociągi podjeżdżały do załadunku na sam skraj rzeki. Metalowe tory już dawno rozebrano, ale torowisko w zasadzie zostało, tylko że teraz opanowały je chwasty, drzewa, śmiecie i dzikie koty. Ale z Delaware Avenue tego wszystkiego nie widać. Widok na rzekę zasłania wielki sklep – jeden z tych, które w tym roku urządziły zbiórkę pieniędzy na świąteczne rachunki pracowników, bo są zbyt skąpe, żeby płacić im przyzwoitą pensję. No i pewnie, teoretycznie jest tam jakaś ochrona, ale kiedy ochrona zarabia niewiele powyżej płacy minimalnej, dosyć łatwo sprawić, żeby nagle zaczęła pracować dla ciebie.

Ringo i Frankenstein zatrzymują białego vana na miejscu parkingowym jak najdalej od sklepu, po czym ładują sztywniaka do sklepowego wózka. Lepsze to niż ciągnąć go na pirs po ziemi. Przeciskają go przez dziurę w ogrodzeniu – zrobił ją ktoś inny, nie oni – i wynoszą na torowisko. Od rzeki wieje konkretnym mrozem. Ringo żałuje, że nie włożył na siebie dodatkowej warstwy. Nawet biedny Frankenstein chyba dygocze, choć Ringowi wydawało się, że skubaniec w ogóle nic nie czuje.

– Jak myślisz, ile ich tam jest?

– W jakim sensie? – odpowiada Frankenstein.

– Ile trupów. Straciłem rachubę. Plus jeszcze ten, którego przywiozła Lisa i Ptaku. Zastanawiam się, ile martwych ciał pod nami pływa.

– Człowieku, po co ty mnie o to pytasz? Po co zadajesz takie pytania?

Ringo patrzy między deskami w ciemną wodę. *Halo, ręka do góry, ilu was tam z kawałkami betonu przywiązanego do kostek? No już, nie wstydzić się, wiem, że ręce macie wolne.*



Rzecz w tym, że faktycznie się zastanawia. Zastanawia się, ile ciał trzeba jeszcze władować do rzeki, zanim będzie po wszystkim. Ile szcurów może być w ogóle w jednym mieście? Ile grosza można zarobić?

Jest taki moment, kiedy Frankenstein wygląda, jakby chciał po prostu wyjąć spluwę. Wyjąć, wycelować w twarz Ringa i pociągnąć za spust jak gdyby nigdy nic, tylko po to, żeby go uciszyć. Ale potem się otrząsa, przypomina sobie swoją sytuację, zarobek, szefa.

- Chodź, spierdalamy - mówi.

- Już idę.

Kiedy Frankenstein odwraca się tyłem, Ringo wyjmuje ze skarpety krótkolufowy rewolwer i chowa go pod torami, ponieważ może przydać się później. No bo gdy ktoś tak brzydki jebie cię wzrokiem, trzeba sobie zapewnić opcje samoobrony.

## **FOX CHASE**

### **WTOREK, 10 GRUDNIA**

Jest ósma rano i śnieg sypie wielkimi, mokrymi płatkami. Marty dostał mejlowe powiadomienie dwie i pół godziny temu, jeszcze zanim zaczęło padać: wszystkie szkoły publiczne i parafialne są dziś zamknięte. To super wiadomość. Oznacza, że nikt nie musi wychodzić z domu, czyli nikomu nie stanie się nic złego. Może nawet tata pozwoli im upiec ciasteczka i włączyć jakiś film.

A jednak nie. Sarie już wzięła prysznic i właśnie się ubiera.

- Dokąd idziesz? Zajęcia odwołane.

- Niestety jakimś cudem sesja trwa dalej - odpowiada Sarie, przepychając się obok brata.

Marty zerka na ulicę z okna w swoim pokoju. Szybko robi się nieciekawie, a honda civic niespecjalnie nadaje się do

jeżdżenia w śniegu. Teraz od nowa zaczął się martwić. Przez parę minut bawi się w Diggicie, a potem z dołu słyszy kłótnię. Schodzi po schodach, przysiada w połowie i słucha.

- Jak nie pójdę, to obleję historię!

- Zadzwoń do twojego wykładowcy. Daj mi jego numer.

- Nie jego, tylko jej. Ale poważnie, tato, nic mi nie będzie.

Umiem jeździć w śniegu, nie to co mama. Będę jechała na dwójce, a na wzniesieniach wrzucę jedynekę.

- W wiadomościach mówią, żeby ludzie nie wyjeżdżali na drogi bez pilnej potrzeby. Uwierz, twoja wykładowczyni zrozumie. Pewnie właśnie odwołuje egzamin. Sprawdziłaś mejla?

- Jezu, tato, czy ty naprawdę jesteś jedynym ojcem na świecie, który próbuje namówić córkę, żeby nie podchodziła do egzaminu?

- Nigdzie nie pójdziesz w taką pogodę.

- Muszę.

- Nie, nie musisz.

- Nie jestem taka jak ty, tato. Ja umiem, kurwa, jeździć samochodem!

Kilka sekund później drzwi trzaskają, jakby ktoś wystrzelił ze śrutówki. Marty słyszy, że ojciec kilka razy powtarza pod nosem słowo na „k”. Ale zanim zdąży wrócić do salonu, Marty jak najciszej wbiega z powrotem po schodach na górę i dopada do okna w swoim pokoju w samą porę, by zobaczyć odjeżdżającą Sarie. Opony zostawiają w śniegu idealnie symetryczne ślady. Siostra jest dobrym kierowcą, ale nie tym martwi się Marty. Tylko resztą Filadelfii.

Ma w pamięci coś, co powiedział tato. *Sprawdziłaś mejla?* Sarie wyszła, zanim zdążyła to zrobić. Wobec tego Marty wraca na dół, przemyka się obok taty (który piekli się w kuchni, szcękając naczyniami), a potem schodzi do biurka siostry w piwnicy i otwiera jej laptopa. Program pocztowy

wy uruchamia się, nie żądając hasła. I rzeczywiście, w skrzynce jest mejl od profesor Calkins, wykładowczyni historii. Najdziwniejsze, że sprzed dwóch godzin. Marty go otwiera.

O kurczę. Profesor Calkins odwołała egzamin, napisała, żeby wszyscy uważali na siebie, i obiecała, że wkrótce poda nowy termin. Więc dokąd się wybiera Sarie?

Od czasu umieszczenia w samochodzie siostry chip lokalizujący w ogóle nie zadziałał, ale Marty próbuje uruchomić go jeszcze raz. Nie chce martwić taty, chyba że będzie pewien, że coś jest nie tak.

## **10 GRUDNIA**

Życie z kłamstwem w sprawie egzaminu oznacza konieczność udawania, że faktycznie się na niego zgłosiłam. Siedzę w bibliotece nad tanim, zmaltretowanym egzemplarzem *Nagiego lunchu* od D. i próbuję ogarnąć tę książkę. Jego nagryzmolone notatki niezbyt pomagają. Po pierwsze ledwo mogę je przeczytać, bo D. ma gówniany charakter pisma. Ale to także kwestia fabuły (jeśli można ją tak nazwać). Cały czas odrywam się myślami od tekstu i wyglądam przez okno. Śnieg naprawdę ostro daje. Co będzie, jeśli utknę w bibliotece na kampusie?

Tata przysłała mi esemesa. Ignoruję go, bo teoretycznie jestem w trakcie dwugodzinnego egzaminu. Odpisuję godzinę później, że idę z grupą studentów z mojego programu uczyć się do jutrzejszego egzaminu z filozofii. Pyta, czy wrócę do domu na obiad. Odpowiadam, że dam mu znać. (Wiem, że nie wrócę). Śnieg dalej pada, a ja dalej brnę przez książkę. Pamiętam taki tekst z wersji filmowej:

„To klątwa rodzinna, od pokoleń. Lee zawsze byli zboczeńcami”.

W książce jest też fragment, który D. podkreślił dwukrotnie:

„Widziałeś kiedyś gorącego kopa, synu? Załatwiliśmy raz gościa w Filadelfii. Założyliśmy w jego pokoju lustro weneckie i kazaliśmy sobie płacić dziesiątkę za wstęp. Nie zdążył nawet wyciągnąć igły. Żaden nie zdąży, jak szpryca jest w porządku”.

No i muszę przyznać, że ten kawałek o gadającej dupie jest dosyć zabawny.

Potem, dziesięć do piętnastu centymetrów śniegu później, wreszcie nadchodzi pora, żeby wyjść. Czeka mnie pracowity wieczór.

Mimo szalejącej śnieżycy jakimś cudem docieram żywa do NFU-CS, gdzie mają mi podpiąć kabel. Wildey prowadzi mnie do swojej klasy/gabinetu. Muszę się powstrzymać, żeby nie zapytać, czy jego dupa gada.

Jak wszystko do tej pory, sprawa ma inny przebieg, niż się spodziewałam. Po pierwsze nie ma żadnego kabla.

„Jak to nie ma kabla?”

„Za dużo oglądasz seriali, Wzorowa Studentko”.

Wildey podnosi coś z biurka i pokazuje mi maleńki czarny krążek, nie większy od dziesięciocentówki, który trzyma w dwóch mięsistych palcach. Teraz rozumiem, dlaczego prosił, żebym włożyła bluzkę na guziki, najlepiej ciemne, plastikowe. Myślałam, że w niej łatwiej będzie przykleić mi kabel do tułowia.

„Chodź. Muszę ci to przyszyć do bluzki”.

„Zaraz. Nie macie kogoś, kto zajmowałby się tym na poważnie? Jakiegoś technika?”

„Jesteśmy małym zespołem”.

„Czy ty w ogóle umiesz przyszywać guziki?”

„Jestem kawalerem. Umiem”.

Następuje potwornie niezręczny moment, w którym zastanawiam się, co będzie łatwiejsze / mniej creepy: czy zdjąć bluzkę, żeby Wildey mógł przyszyć pluskwę, czy pozwolić, żeby operował igłą bardzo blisko mojej klatki piersiowej. Pierwsze zdecydowanie za bardzo pachnie striptizem, więc wybieram to drugie.

Przyszywając pluskwę do bluzki, Wildey zauważa, że dziewczyna dygocze – to szybki, gorączkowy dreszcz, na który zwrócił uwagę dopiero teraz, kiedy jego ręce znalazły się zaledwie centymetry od jej ciała. Ona drży jak koliber.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Mam dużo do zrobienia. Jest sesja, a teraz jeszcze to...

- Spróbuj się odprężyć.

- Nic mi nie jest! Po prostu mam dużo zajęć i nie za bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz!

Kiedy dziewczyna wypluwa te słowa, Wildey niemal słyszy, jak chodzi w niej coraz szybciej wewnętrzny silnik spaliny.

- Dawniej wykonywałem dużo tajniackiej roboty – mówi. – Zakupy kontrolowane, tego typu sprawy. Na początku też się denerwowałem. Ale potem kumpel opowiedział mi o opróżnianiu wiadra.

- Wiadra?

- Tak, wiadra. Tego, które nosimy ze sobą, pełnego naszych zmartwień, wątpliwości i obaw. Całego gówna. Więc kumpel mi poradził, żebym przed każdą tajną akcją próbował sobie wyobrazić, że biorę to wiadro w ręce. Trzeba policzyć do trzech, jak najwolniej. A potem je opróżnić.

- Opróżnić wyimaginowane wiadro.

- Wiem, wiem, brzmi jak jakiś new age, ale uwierz, Wzowska Studentko, to cholera działa. I nie martw się. Wiadro szybko samo napełni się z powrotem. Ale przez następne dziesięć, piętnaście minut, może nawet przez godzinę, będzie puste. Będziesz nietykalna.

Willey kończy przyszywać pluskwę, a potem wreszcie zerka na Sarie. Dziewczyna ma minę, jakby chciała zapytać: co ty pierdolisz? Ale zabawna sprawa - to jej drżenie na całym ciele nie jest już takie silne. Jakby jej układ nerwowy wrzucił niższy bieg.

- No i już. Gotowe.

- Czekaj.

- Co?

- Ten guzik nie pasuje.

- Jak to?

- No popatrz! Każdy półgłówek pozna, że się różnią.

- Nikt ci nie będzie patrzył na guziki. Nie za bardzo... no... ma ci je co rozsadzić.

- Dupek.

Willey unosi dłonie, jakby mówił: sama pytałaś.

- Trzeba było powiedzieć, co planujesz. Dobrałabym coś lepszego. Kurde, Willey... od razu zauważą. I zorientują się, co tam robię.

- No proszę, sama dolewasz wody do wiadra.

- Pieprzyć twoje wiadro! Muszę wrócić do domu po sweter albo coś.

- Nic z tego. Nie ma czasu. Spotykasz się ze swoim, no, łącznikiem za jakieś piętnaście minut. Poza tym pluskwy nie może przykryć druga warstwa ubrania. Chcę wszystko słyszeć.

Przepraszam Wildeya i chcę wyjść, a on pyta dokąd. Mówię, że do damskiej toalety. Która okazuje się męską, o czym świadczy rząd pisuarów na ścianie. Wszystko jedno. Wystarczy szybki rzut oka w zaparowane lustro, żeby potwierdzić moje obawy. Guzik jest ze dwa rozmiary większy od pozostałych i w innym odcieniu czerni.

Po powrocie do klasy/gabinetu pytam Wildeya, czego ode mnie oczekuje. Odchyła się na krześle, splata wielkie dłonie za głową i uśmiecha się.

„Opróżnij wiadro”.

„Będzie puste, dobra? Przestań już z tym wiadrem. Co potem?”

„Potem spraw, żeby kontakt twojego chłopaka zaczął mówić przy tobie o interesach”.

„Coś czuję, że wcześniej wyprowadzą mnie z pokoju”.

„No to zacznij się kleić do chłopaka”.

„Co? Mówisz poważnie?”

„Udawaj, że masz w dupie, o czym gadają. Interesuje cię tylko twój chłopak. Myślisz o byciu z nim sam na sam. Albo może on ci imponuje. O właśnie. Uwielbiasz oxy i imponuje ci, że twój facet to taki gościu”.

„No nie wiem. Może jednak spróbuję po mojemu”.

„Po twojemu, co? Dobra, Wzorowa Studentko. Niech będzie po twojemu. Byleby gadali”.

„Dobrze”.

„Jeszcze coś: dam ci pieniądze. Kup trochę towaru, jak ci się uda. Jeśli nadarzy się okazja”.

„Chcesz, żebym kupiła narkotyki?”

„Tak. Ja ci dam pieniądze, a narkotyki oddasz mi później. Tak to działa”.

„Świetnie”.

„Broń też kup, jak się da”.

„Co?!”

„Dobra, żartuję. Chociaż gdyby temat się pojawił...”

„Dlaczego miałabym kupić broń?”

„Gdyby dolepić Chuckiemu zarzut posiadania broni, byłoby mi z nim znacznie łatwiej”.

„Jasne. Broń. Narkotyki. Coś jeszcze? Mam sprawdzić, czy nie sprzeda mi atomówki w walizce? I może trochę rycyny?”

„Broń byłaby naprawdę super”.

Potem on się śmieje, ja mu mówię, żeby spierdalał, a wtedy on śmieje się jeszcze bardziej.



## **FOX CHASE**

**WTOREK, 10 GRUDNIA**

Po trzech smutnych piwach Kevin Holland doznaje olśnienia, że jeśli chodzi o pierworodną, kompletnie daje ciała.

Chce zadzwonić do Laury w Meksyku (choć wie, że jej tam nie ma, to łatwiej udawać, że jest) i przyznać się, że uprawia ojcostwo na autopilocie, z założeniem, że wszystko w porządku. To Sarie miała być tą opanowaną, ona zawsze była opanowana. Ba, kiedy zaczęła studiować na Uniwersytecie Świętego Judy, traktowała to jak liceum: przyjść na zajęcia, jechać prosto do domu, odrobić lekcje, wykonać prace domowe, położyć się spać, powtórzyć proces. To wszystko Kevinowi wydawało się złym podejściem. Choć brzmi to kuriozalnie, zaczął się kłócić z Sarie o to, żeby dłużej zostawała na kampusie, podczas gdy ona wolała wracać do domu. Czy po prostu się dąsała, że nie poszła na Uniwersytet Kalifornijski? Kto wie.

A teraz przegina w drugą stronę, spędza całe dni poza domem, robiąc Bóg wie co (z tym całym Drew - oczywiście to musiał, kurwa, być ten podejrzany chłopak!), i oczywiście, ha ha, to z ciebie jest pośmiewisko, tato. Bo przecież swoim rodzicom robiłeś to samo, prawda? No, jak to je-eeeeest? - wyje jego wewnętrzny Bob Dylan.

No, Laura, przysięgam na Boga, dosyć tego chrzanienia.

Kiedy Sarie wróci do domu, Kevin poważnie z nią porozmawia. O tym, że jeśli teraz spieprzy sobie oceny, przenosiny na Uniwersytet Kalifornijski będą jeszcze trudniejsze. No tak, będzie musiał zepsuć niespodziankę (ta praca w Los Angeles nie jest jeszcze pewna, ale dobrze się to zapowiada). Ale może ta perspektywa pomoże jej się otrząsnąć. Kevin otwiera następną puszkę yuenglinga, przysiada na kanapie i przerzuca kanały w oczekiwaniu, aż córka przyśle mu esemesa, o której wróci do domu.

Zasypia, zanim ona zdąży to zrobić.

## **10 GRUDNIA (później)**

W samochodzie D. znowu przegląda kasety w moim schowku, bo mówi, że potrzebujemy odpowiedniej imprezowej muzyki. Ja nie myślę o imprezowaniu. Myślę o niepasującym guziku w bluzce, który przesyła do Wildeya wszystko, co mówimy. Kiedy podjechałam po D., a on rzucił się na fotel pasażera, przyłożyłam mu palec do ust i szeroko otworzyłam oczy. Ale on źle to zrozumiał i pocałował mnie w czubek palca. Cofnęłam rękę i pokręciłam głową. Zapytał: No co? Wtedy podałam mu karteczkę, którą wcześniej przygotowałam: NIE MÓW NIC, CO NIE POWINNO SIĘ NAGRAĆ. Popatrzył na karteczkę, potem na mnie, potem na karteczkę, a potem z wytrzeszczonymi oczami gorączkowo złapał się za pierś, co chyba miało być uniwersalnym gestem oznaczającym: o kurwa, masz podsłuch? Nic nie powiedziałam, wyrwałam mu kartkę z ręki, zmięłam w kulkę i wepchnęłam głęboko do kieszeni dzinsów.

No więc moja lista rzeczy do zrobienia na dziś:

1. Sprawić, żeby Chuckie gadał o interesach.
2. Kupić oxy.
3. Kupić broń.
4. Przygotować się do egzaminu z filozofii na 8.30.

Willey jedzie oblodzoną Broad Street za hondą civic, ostrożnie zachowując dystans kilku samochodów. Między kampusem a ratuszem z sześć razy traci ją z oczu. No dobra, może się przyznać: śledzenie autem nie należy do jego mocnych stron. Nauczył się jeździć dopiero jako dwudziestopięciolatek; tam, gdzie się wychował, nie potrzebował

samochodu, chyba że robiłeś w branży. Pięć lat później wciąż czuje się zielony jako kierowca.

Przy czym nie musi śledzić Wzorowej Studentki aż tak dokładnie, ma przecież adres. Ale co będzie, jeśli to zasadzka? I ktoś napadnie na nią między kampusem a punktem docelowym?

Zabawne, że Wzorowa Studentka wciąż nie chce potwierdzić istnienia chłopaka – mimo że ten siedzi obok niej na fotelu pasażera. Wildey słucha ich rozmowy, chociaż niewiele rozumie.

*Twój ojciec ma odjechany gust muzyczny.*

*No.*

*O kurna, ma Jima Carrolla. Catholic Boy.*

*Tak?*

*Those are people who died, who died, all my friends, they died.*

*...*

*Wszystko w porządku, Sarie?*

*Aha. Po prostu mam dużo na głowie. Egzamin jutro o wpół do dziewiątej.*

*U kogo?*

*U Curnrowa.*

*O kurde. Ale wiesz co? Nie zawsze, ale czasami Curnrow robi taki jeden myk, żeby sprawdzić, kto uważa. Koniecznie przejrzyj wszystkie pytania, zanim na któreś odpowiesz. Możesz znaleźć coś w stylu: „Jeśli nie napisaliście jeszcze ani słowa, odpowiedzcie wyłącznie na ostatnie pytanie i oddajcie egzamin. Miłych wakacji!”.*

W takich chwilach Wildey cieszy się, że nie zawracał sobie głowy studiami. Wygląda na to, że tam nieźle jebią ludziom w głowach.

*A, zaparkuj gdzieś przy Front Street, niedaleko autostrady. Chuckie mówi, że przy jego ulicy nie da się znaleźć wol-*

*nego miejsca.*

*Dobra.*

*...all my friends, and they died...*

Cholera. To znaczy, że Wildey będzie musiał ich śledzić niezauważony przez pięć przecznic.

Ale to nic, bo tym razem ma wsparcie - z NFU-CS zostali wypożyczeni przez szefową Streicher i Sepanic, dwuosobowy zespół obserwacyjny. Już czekają w nieoznakowanym wanie na skraju Dickinson Square Park, tylko dwie przecznice od docelowego budynku. Słyszą wszystko to, co Wildey. Gdyby coś poszło nie tak, będą mogli wezwać posiłki, kiedy Wildey wkroczy do środka.

Wzorowa Studentka staje pod wiaduktem autostrady na bezpłatnym parkingu pobliskiego kina. Dobrze, że po południu ktoś go odśnieżył, gdy przestało padać. Wildey parkuje na przeciwległym końcu i obserwuje ich. To jedna z tych powoli zmieniających się okolic - stara gwardia mówi o niej South Philly, natomiast hipsterscy gentryfikatorzy wolą nazywać ją Pennsport. Tu, wzdłuż Pierwszej i Drugiej Ulicy, widać ten postęp. Malutkie, ciasno zabudowane kwartały są przystrojone świątecznymi lampkami, sreberkami i ozdobami. Wystarczy się jednak zapuścić kilka przecznic dalej na zachód, a sytuacja diametralnie się zmienia. W Filadelfii między poszczególnymi okolicami rysują się ostre granice. Może ich nie widać, ale zdecydowanie je czuć. Cel znajduje się przy Vernon Street 527. To mały ceglany szeregowiec w pół drogi między dwiema przecznicami.

Przygotuj się, Chuckie. Idziemy po ciebie.

Parkuję hondę i słyszę ryk autostrady nad nami. Jest straszny mróz, a na ziemi leży dużo śniegu i lodu. Wystarczy jeden niewłaściwy krok na gołoledzi i można się natychmiast wywalić. Biorę D. pod rękę, żeby utrzymać równowagę. (No dobrze, nie tylko po to). Idzie-

my na zachód Vernon Street. Ładna okolica, dużo lampek i ozdób. Potem w kieszeni zaczyna mi wibrować telefon. Ten prawdziwy. To pewnie tata. Ale kiedy wyjmuję komórkę, widzę, że to esemes od Imprezowicza. Jego treść mrozi mi krew w żyłach:

„Morfina wie”.

Co, do cholery? Skąd on w ogóle zna Chuckiego Morfinę, a tym bardziej skąd wie, co on (rzekomo) wie? O kurna...

„Od kogo to?”

„Od nikogo”.

„To ten glina, prawda? Nie chcę wpadać w paranoję, ale będziemy musieli się zająć tą jego sprawą bardzo ostroż...”

„Zamknij się, to od Tammy. Czeka”.

Skąd Imprezowicz w ogóle wie, gdzie jestem? Skąd zna Chuckiego Morfinę? Tym będę się martwić później. Na razie skupiam się na tym, co sama wiem: Imprezowicz jest zamieszany w lokalny biznes narkotykowy. Zna mnie. Jakimś cudem wie, dokąd idę. Co oznacza, że wie rzeczy, których nie wiem ja.

„Chodź”.

„Sekundę”.

Odpisuję: Co wie?

D. praktycznie szarpie mnie za ramię.

„Poważnie, Sarie, nie chcę się spóźnić”.

Przechodzimy przez Drugą Ulicę, mijając narożny bar Dugan's Den, który jest tu dzisiaj jedynym miejscem dającym znaki życia. Mam mniej więcej trzy przecznice na podjęcie decyzji. Jeśli zostawię podsłuch, a Chuckie go znajdzie, oboje będziemy mieli przesrane. A jeśli go zdejmę, wszystko będzie na nic. Oglądam się za siebie. Wildey gdzieś tam jest, śledzi nas. Mogłabym w tej chwili oderwać się od D. i pobiec do niego, żeby mnie stąd zabrał...

No i co wtedy, geniuszko? Jaki byłby twój następny ruch? Patrzyłabyś, jak aresztują D., a potem musiałabyś przeciwko niemu zeznać? Teraz masz szansę wszystko naprawić.

Dlatego postanawiam zostawić guzik tam, gdzie jest. Mimo że wyraźnie nie pasuje. Wildey, obyś miał, kurwa, rację.

Imprezowicz, lepiej odpisz szybko. Co wie Morfina?

Docieramy pod numer 527 – trochę nora, przynajmniej w porównaniu z innymi domami w sąsiedztwie. Marmurowe schodki są poplamione i obłupane, blaszane wykończenie na szczycie domu zarzewiałe i złuszczone, a szyby chyba zaparowane. Muszę powiedzieć, że to spory krok wstecz w porównaniu z poprzednią miejscówką Chuckiego. Co wydaje się niepokojące. Dlaczego urządził tu imprezę? Jakby na komendę znów wibruje mój prawdziwy telefon. Patrzę na wiadomość:

„Sprawdzi, czy masz podsłuch”.

Mężczyzna, którego Sarie Holland nazywa Imprezowiczem, kładzie komórkę na barze i zamawia następnego budweisera. W tym lokalu nie mają nic z kija, co go rozczarowuje, zostaje więc przy butelkowych. Nie licząc kilku współczes-

nich proporców Eaglesów i Phillies pod sufitem, wszystko tu wygląda, jakby zastygło w czasie. Poza tym zupełnie jak mówi Hope Holliday w *Garsonierze*: nuda. Farba jest nudna, podłoga nudna, winyl na stołkach nudny, rozmowa nudna, pomruk telewizora nudny. Jedyne, co tutaj lśni, to blat baru, wypolerowany na wysoki połysk przez miliony łokci opierających się o niego od czasów wielkiego kryzysu. Mężczyzna jest tym wszystkim zachwycony. Dziękuje barmance, Sherry, za budweisera, pociąga długi łyk, a potem zerka na telefon. Nie ma odpowiedzi.

Co on właściwie robi? Dlaczego to go w ogóle obchodzi?

Chyba łatwo mógłby to wytłumaczyć swoim przełożonym. Sprawdza tropy, bada miejscowy grunt, popycha jednych, żeby zobaczyć, jak zareagują drudzy. Sieje ferment. Uświadamia sobie jednak, że jest w tym pewna głębsza prawda, do której nie przyznałby się przed przełożonymi.

Polubił tę dziewczynę. Nie chce, żeby skończyła z kulką w głowie na dnie jakiegoś wąwozu.

Więc kiedy jej nazwisko pojawiło się w chatroomie w *Big Bust V* (Chryste, aż dziw, ilu dilerów otwarcie tam rozmawia, jakby oni pierwsi wpadli na ten dowcip), zaczął się zmagać z decyzją. Mocno się zmagać. Aż w końcu uznał, że świat bez Sarie Holland byłby znacznie nudniejszy.

Zamawia jeszcze jednego budweisera i żartuje sobie z Sherry, pyta, czy mają tu jakieś menu. Sherry odpowiada, że zobaczy, co da się zrobić.

„Sieeeeemasz! D-Train!”

Widząc go, od razu się przekonuję, że D. nie żartował. Chuckie Morfina rzeczywiście ma w sobie coś bardzo dziwnego i znajomego.

Okazuje się mocno starszym kolesiem (co najmniej po pięćdziesiątce) z przylizanymi do tyłu włosami, ubranym w garnitur. Stoi pośrodku pustego salonu otoczony czterema szorstkimi starszymi facetami, którzy mogliby odgrywać bardzo różne role. Gdyby włożyć im kaski na głowy, byłiby budowlańcami. Gdyby ubrać ich w niebieskie koszule, byłiby policjantami. Ale teraz mają na sobie skórzane kurtki, wysokie buty i dżinsy, więc wyglądają jak harleyowcy. I to nie tacy chętni do imprezowania.

Dziwne jest jednak to, że Chuckie wygląda taaaak zajebiście znajomo...

„A to musi być urocza Sarie! Tak się cieszę, że wreszcie cię poznałem”.

„Cześć”.

D. szturcha mnie łokciem i się uśmiecha.

„I co? Kojarzysz tę twarz?”

Wpatruję się w D., spojrzeniem błagam go o pomoc, no bo fakt, gość wygląda znajomo, ale zupełnie nie potrafię go skojarzyć. Nie mam jednak czasu na spekulacje, bo Chuckie lekceważąco macha ręką, a potem przykłada palec wskazujący do ust. D. zdezorientowany mruga oczami.

„Najpierw porządne przywitanie, bracie”.

Harleyowiec z długimi, skunksowatymi włosami wychodzi naprzód, w rękach trzyma mały czarny gadżet. Czuję ścisnięcie w żołądku. Imprezowicz miał rację. Będą szukać aparatury podsłuchowej. A za



kilka sekund gadżet zacznie wyć, kiedy zbliży się do mojego fałszywego, za dużego, niedopasowanego guzika.

Wildey dyszy zimnym powietrzem, siedzi jak na szpilkach, czeka, aż Wzorowa Studentka coś powie. *Czy nie wygląda znajomo?* – zapytał jej chłopak. A potem... nic. Czyli zaraz – czyżby Wzorowa Studentka jednak знаła tego faceta?

No już, niech ktoś wreszcie coś powie albo zrobi.

Mogę zrobić już tylko jedno: opróżnić wiadro, jak nauczył mnie Wildey... a potem napełnić je z powrotem kapką wariactwa.

Chuckie musiał widzieć, że się wzdrygnęłam, bo próbuje mnie uspokoić, mówi, że wszystko potrwa tylko chwilę, ale rozumiesz, gość taki jak ja musi być ostrożny. Odnajduję w sobie podnieconego szczeniaczka.

„Zupełnie jak na filmach! Zajebicie!”

„To tylko tak na wszelki wypadek. Sama rozumiesz”.

„Czekajcie, czekajcie! Dokładnie wiem, co mam robić”.

Uśmiecham się, robię krok do tyłu i zaczynam rozpinać bluzkę.

Praktycznie wszystkie oczy – D. również – są teraz wpatrzone we mnie w osłupieniu. Nie wierzą, że to robię. Szczerze mówiąc, ja też nie wierzę.

„Sarie, co ty...”

„Zaufaj mi, wielkoludzie. Wiem, co robię”.

„Upiłaś się?”

Jeden guzik, dwa, a gdy docieram do trzeciego, tej niepasującej pluskwy, figlarnie obracam się na pięcie.

Słysząc szelest materiału, głośny szmer, jakby ktoś szorował o mikrofon szczotką, a kilka sekund później głucho pyknięcie.

- Nie - mówi Wildey na mrozie.

Podsłuch się urwał.

Ujebała podsłuch!

Dlaczego?

*Zaufaj mi, wielkoludzie. Wiem, co robię.*

To było skierowane do niego, prawda?

Kurwa. Co ona wyrabia? Wildey jest na rogu Piątej i Vernon, kręci się w pobliżu opuszczonego salonu piękności. Patrzy na niego z tuzin wyblakłych na słońcu portretów Marilyn Monroe wyciętych z czasopism o modzie. Kurwa, musi się przyjrzeć z bliska. Streicher i Sepanic meldują się niemal natychmiast, żeby powiedzieć Wildeyowi to, co sam już wie. Podsłuch zdechł.

Rozgniatam pluskwę obcasem niczym kleszcza. Trochę się zataczam, jak głupiutka dziewczyna, która wypła wódkę z martini albo i trzy, i śmieję się, żeby zagłuszyć chrzęst. Wydaje mi się, że ten chrzęst niesie się echem po pustym pokoju. Oni jednak są zbyt zajęci gapieniem się na mój stanik, żeby zwrócić na to uwagę. Mam nadzieję. Chuckie Morfina patrzy mi w oczy.

„Nie powiem, żeby nie podobało mi się przedstawienie, ale i tak cię sprawdzimy. To nie wygląda tak jak na filmach, skarbie”.

„Chuckie, chłopie, nie musisz tego robić, Sarie jest w porządku”.

„Totalnie nie jestem odrutowana! No, może oprócz fiszbinów...”

D. gapi się na mnie, jakbym oszalała. Bo może oszalałam – stoję w samym staniku, z rozgniecioną policyjną pluskwą pod obcasem, i żartuję sobie z bossem narkotykowym.

„Sprawdź ich, Keith”.

Keith, ten niby-harleyowiec ze skręconymi włosami skunksa, sprawdza nas swoim urządzeniem, z jakiegoś dziwnego powodu zatrzymując się dłużej przy moich cyckach. Kiedy jest po wszystkim, D. schyla się, żeby podnieść moją bluzkę z podłogi, a oddając ją, rzuca mi zdezorientowane spojrzenie.

„Proszę”.

(Jego oczy mówią: co to, kurwa, było?)

„Dzięki”.

(Moje oczy mówią: zaufaj mi).

Ostatecznie Keith nie znajduje nic interesującego, nie zauważa nawet pękniętego guzika na podłodze. Chuckie kiwa głową.

„Okej, Keith, dobra robota, idźcie z Dropem na zewnątrz i sprawdźcie, czy dziewczyna nie ma starszego brata czekającego gdzieś na dworze”.

D. jest urażony.

„Chuckie, chłopie, serio? Nie musisz tego robić”.

Im dłużej przyglądam się twarzy pana Morfiny, tym bardziej rozjaśnia mi się w mózgu. On wygląda znajomo i to powoli mnie wykańcza. Tak bardzo znajomo. Ale skąd go kojarzę? Może gdybym miała

więcej czasu, sama bym na to wpadła. Ale zamiast tego rozwiązanie podsuwa sam Chuckie Morfina.

„I co, zdawałaś już egzamin u mojego brata?”

Wildey znajduje się ze trzy domy od numeru 527, kiedy drzwi się otwierają i wytacza się przez nie dwóch karków w skórzanych kurtkach. Ulica jest wąska. Nie ma dokąd uciec. Gdyby teraz ruszył biegiem, dopadliby go. Jest tego pewien. Może tylko pozostać w roli tajniaka, udawać zwykłego ziomka z rogu, który ubrany w bluzę z kapturem idzie sobie ulicą. Rzuca spojrzenie harleyowcom: *Ja tu tylko idę*. Oni gapią się na niego: *I lepiej się nie zatrzymuj*. Ruszają za nim i nieoficjalnie eskortują go aż do Szóstej Ulicy, gdzie Wildey skręca w prawo. Cholera, Sarie, dlaczego zniszczyłaś podsłuch? Masz kłopoty? Czy coś ci już zrobili?

*Zaufaj mi, wielkoludzie.*

D. uśmiecha się jak obłąkany.

„Widzisz? Mówiłem ci, że jak go poznasz, to zrozumiesz!”

I teraz rozumiem.

„Chuckie Morfina” to w rzeczywistości Charles Chaykin... brat profesora Edwarda Chaykina, mojego wykładowcy literatury. I wykładowcy D. dwa lata temu. Chuckie to ten „łajdacki brat japiszon”, o którym profesor Chaykin wspomina na zajęciach, ilekroć zaczyna nawijać o antymaterialistycznych poetach pokolenia beatników z lat pięćdziesiątych (jego osobistych bohaterach). To ma sens i jednocześnie go nie ma. Czuję się tak, jakby cały mój świat przechylił się o kilka stopni w lewo.

„Chodźcie na tył, dzieciaki. Pomówimy o tym waszym małym problemie z policją”.

Chuckie prowadzi nas w głąb domu w towarzystwie dwóch harleyowców. Po drodze D., cały podniecony, opowiada, że aż go nosiło, żeby mi wreszcie powiedzieć. Wszystko zaczęło się na imprezie świątecznej dla uczestników programu dla wyróżniających się studentów, którą Chaykin (profesor, nie boss) urządził po sesji u siebie w domu w Mount Airy. (Ja pewnie też otrzymam zaproszenie na taką imprezę w piątek po egzaminie z literatury – to znaczy pod warunkiem, że dzisiaj nie zabije mnie jego brat). Pod koniec wieczoru, kiedy już prawie wszyscy wyszli, profesor Chaykin poczęstował D. dżointem. D. skorzystał z propozycji. Potem sprawy same się potoczyły i wkrótce zaczął kupować od profesora towar dla siebie, dla znajomych, i wreszcie, na imprezie latem, Chaykin przedstawił D. swojemu dostawcy – własnemu bratu.

Łapię D. za ramię.

„Mówiłeś, że nikt nie zna prawdziwego nazwiska Chuckiego Morfiny”.

D. patrzy na mnie zmieszany, ale trochę dumny z siebie.

„Chroniłem cię”.

We trójkę siedzimy przy rozkładanym stole w kuchni. Dwaj harleyowcy zajmują stanowiska przy drzwiach oraz tylnym wyjściu, zapewne prowadzącym na malutkie podwórko.

„Wiem, ciaśniutko, ale co zrobić?”

„Chuckie, myślałem, że to jest impreza...”

„Pan tu mieszka, panie Chaykin?”

„Proszę, skarbie, mów mi Chuckie. Pan Chaykin to był mój ojciec, ale ten jebany stary sadysta na szczęście już leży w ziemi. A tego domu obecnie nie zamieszkuje nikt. Więc chwilowo mamy go tylko dla siebie. I nie, panie P., nie jestem w imprezowym nastroju”.

„Chuckie robi w nieruchomościach. To dlatego...”

Chuckie patrzy na D. i unosi brew.

„Strasznie lubisz się bawić w narratora, co, D.? Co jeszcze powiedziałeś swojej dziewczynie, hmmm?”

„Nic, stary! Przecież wiesz”.

„On mi nic nie powiedział, proszę pana”.

„Co mam zrobić, żebyś zaczęła mówić mi na ty? Zdjąć koszulę i krawat, zachowywać się swobodniej? Uwierz, nie chciałabyś tego oglądać. Byłem gruby i obwisły, już kiedy ty przychodziłaś na świat”.

Następuje krępująca chwila ciszy, nasze spojrzenia biegają to w jedną, to w drugą stronę. Spojrzenie Chuckiego biega w przyśpieszonym tempie, jakby próbował ogarnąć wzrokiem nas oboje, zeskanować nam mózgi, przeanalizować nas.

„Dobrze, Serafino Holland, mój chłopak tutaj powiada, że jesteś w porządku. No ale dziwna sprawa... Może rzucisz trochę światła na parę kwestii. Doszły nas słuchy, że dwudziestego siódmego listopada niedaleko Pat's Steaks przymknęli jakąś ładną młodą Latynoskę, która potem zaczęła pracować dla Filadelfijskiej Komendy Policji, i...”

„Ja nie...”

„Proszę, skarbie, nie przerywaj mi, to niegrzeczne. Wiem, że współpracujesz z policją. Powiedział mi kolega wysoki, przystojny i upalony. Ale na razie sprzedawałaś im wszystkich, tylko nie mnie”.

D. robi się czerwony, nie chce na mnie spojrzeć. Sukinsyn. Powiedział Chuckiemu/Chaykinowi, że jestem informatorką! Dlaczego?

„D.? Co, do cholery?”

D. wreszcie ma zawstydzoną minę.

„Słuchaj, Chuckie nam pomoże, przecież ci mówiłem. To znaczy, że musimy być z nim zupełnie szczerzy, jeśli chodzi o...”

„Ty gnoju!”

„Sarie, poważnie, tylko tak możemy...”

Chuckie kilka razy stuka w stół wielkim złotym pierścieniem.

„Dzieci, kłócić możecie się później. Teraz chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym gliniarzu, jak mu tam, *Łajldi*...”

„*Łildi*”.

„Proszę?”

„Wildey tak wymawia swoje nazwisko”.

„Ach, dziękuję, skarbie. To zawsze ważne, żeby znać prawidłową wymowę nazwisk ludzi, którzy chcą cię postawić przed sądem. Czy wiesz, że moje nazwisko należy wymawiać *SZEJ-kin*, jak Shakin’

Stevens? Wszyscy ciągle wymawiają przez cz, chuj mnie wtedy strzela. To dlatego posługuję się pseudonimem, rzeczywiście dość głupkowatym. Wymyśliłem go w Cabo w osiemdziesiątym dziewiątym... ale to już zupełnie inna historia. Wracając do *Łildeja*... Wiesz? Odkąd zwróciłaś mi uwagę, już pamiętam. *Łildi* tak się na mnie napalił, że staje mu jak King Kong, gdy tylko o mnie pomyśli, dlatego nie daje ci spokoju, zgadza się?”

„Bardzo interesują go pana interesy, tak”.

„A ty powiedziałaś mu o nich jak najmniej, mam rację?”

„Nic mu nie powiedziała!”

„Ej, chłoptaś! Stul, kurwa, pysk i daj dziewczynie mówić”.

Przełykam ślinę i opróżniam wiadro. To już nie czas na wariactwo. Teraz trzeba je napełnić stuprocentową szczerością.

„On ma rację. Nic nie powiedziałam. Współpracuję z Wildeyem, ale biorę na cel innych dilerów. Robię to, żeby chronić D.”.

Kiedy D. to słyszy, patrzy się na mnie takim wzrokiem, jakby po raz pierwszy ktoś mu to uświadomił.

„No to się upewnijmy”.

I wtedy pojawiają się narzędzia.

Wildey poleca, żeby Streicher i Sepanic zostali na swoich pozycjach. Wzorowa Studentka kazała sobie zaufać, więc on jej zaufa. Chwilowo. Co nie znaczy, że nie może przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Ciekawa cecha tego kawałka South Philly jest taka, że między przecznicami biegną wąskie



zaułki. Wildey znajduje taki odbijający od Szóstej. Betonowa ścieżka jest wypukła, zapewne po to, żeby deszcz zmywał kurz i brud, ale najwidoczniej nie padało tutaj od pięćdziesięciu lat. Droga jest zasypana potłuczonym szkłem, strzykawkami, petami i zniszczonymi plastikowymi zabawkami. Wildey omija je, jak może, a potem skręca za róg... wprost do rozwalającej się drewnianej furtki z grubą kłódką na zawiasie.

Skunksowaty harleyowiec, który stoi za mną, łapie mnie za włosy i szarpie do tyłu. Coś zimnego i ostrego dotyka mojego karku tuż pod lewym uchem. Drugi harleyowiec łapie za włosy D. i szarpie go w tył, tyle że on nie ma noża, szpikulca do lodu czy co to tam jest. Zamiast tego trzyma w ręku młotek. Nadgarstek lekko obrócił, tak by mógł w każdej chwili podnieść rękę i solidnie grzmotnąć.

D. tego nie widzi. Jest zbyt zajęty dyskusją z Chuckiem.

„Chuckie... ja pierdolę... co jest? Mówiłeś, że nam pomożesz!”

„D., mój drogi przyjacielu, bardzo byłbym wdzięczny, gdybyś do końca tej rozmowy stulił, kurwa, pysk. Panno Holland, szczerze przepraszam za to przedstawienie, ale to jest biznes, a niestety biznes czasem trzeba prowadzić w ten sposób”.

„Nie musi nam pan grozić!”

„Wszyscy zawsze tak mówią. Ale prawda jest taka, że muszę, skarbie. Naprawdę muszę. Tak jak ty uznałaś, że musisz odstawić przede mną ten głupi striptiz, z daremną nadzieją, że w ten sposób zdobędziesz zaufanie. Ale widzisz, nie pokazałaś mi tylko swojego jędrnego biuściku. Pokazałaś znacznie więcej. Pokazałaś, że nie je-

steś niewinnym dziewczęciem, za które ma cię D. I to mnie martwi. Więc może mi powiesz, co tutaj robisz, panno Holland?”

Przełykam ślinę, usiłuję zachować spokój.

„Tak jak mówił D., przyszedliśmy po pomoc”.

Chuckie Morfina kiwa głową. Palce, które trzymają mnie za włosy, mocniej się zaciskają, żebym nie mogła się ruszyć, a potem czuję ukłucie z boku szyi. Gwałtownie wciągam powietrze, bo moja skóra przetwarza ten fakt o sekundę szybciej niż moja świadomość. Zostałam dźgnięta. Ten facet dźgnął mnie w szyję. D. szarpie się na krzesło.

„Chuckie, ty skurwysynu!”

Krew ścieka mi po szyi i do obojczyka. Instykt każe odkręcić głowę, ale nie mogę. Jestem trzymana za włosy w żelaznym uścisku. Chuckie nachyla się, patrzy mi w oczy.

„Jeszcze raz mi skłamiesz, a wejdzie do końca”.

W tym momencie, Mamo, dociera do mnie, że nic już nie będzie takie jak kiedyś, że ja nie będę już nigdy taka jak kiedyś. Odkąd zostałam (tak jakby) aresztowana, udawałam, po prostu odgrywałam rolę, mówiłam sobie, że to wszystko przejściowe. Że mogę wrócić do tego, co było dawniej. Ale teraz już nie ma powrotu. Chyba wiedziałam to już od pewnego czasu. Dlatego napełniam wiadro Wildeya paroma litrami kompletnej wyjebki, jedyne, co mi zostało, a potem daję nura.

Chociaż jakaś ręka trzyma mnie za włosy i ktoś przykłada mi do gardła ostry przedmiot, mrużę oczy i trochę się pochylam. Tylko

o centymetr, ale chcę mu pokazać, że się nie boję.

„Boisz się, że po ciebie przyjdą, prawda, Chuckie?”

Jego idealnie opanowana mina trochę rzędzie.

„Boję się? Kogo?”

„Na pewno słyszałeś o gangach narkotykowych rozbijanych przez oddziały uderzeniowe. I zastanawiasz się, czy jestem psem zwiadowczym, który przyszedł cię obwąchać i wystawić na atak”.

Chaykin się śmieje.

„Och, D., gdzieś ty ją znalazł? Przepiękna jest! Czekaj, nie opowiadaj. Przecież kazałem ci stulić pysk. Dobrze, panno Niezwykła... nie wierzę, że naprawdę zmusiłaś mnie, żebym zadał to pytanie... ale czy jesteś psem zwiadowczym?”

„Nie”.

„Ale jesteś tajną informatorką Filadelfijskiej Komendy Policji”.

„Już nie”.

Śmieje się, ale ten śmiech szybko grzęźnie mu w gardle.

„Że co proszę?”

„Bo teraz pracuję dla ciebie”.

Skowyt śmiechu, który wyrывa się Chuckiemu z gardła, wypełnia całą kuchnię i zaskakuje nas wszystkich, nawet facetów z nożami, a to już zły znak. Przez moment zastanawiam się, co ja najlepszego

odpierdalam. Nie mam tajnej broni, nie mam żadnego asa w rękawie. Idę na żywioł. Śmiech wreszcie milknie, a wtedy Chuckie mówi cicho, prawie jakby mamrotał sam do siebie:

„Pracujesz dla mnie, no proszę”.

Nie zwracaj uwagi na palący ból w kolanach, mówi sobie Wildey, gdy ląduje po drugiej stronie furtki i usiłuje być jak najciszej. Bo wiesz, że będzie bolało. Niczego nie zyskasz narzekaniem. Przykuca, porusza się zmrożonym zaułkiem jak najszybciej, odlicza tyły domów, szukając tego z numerem 527. Twoje kolana gównem znaczą. Dotrzeć do niej, za dbać o jej bezpieczeństwo... teraz tylko to się liczy.

Moje spojrzenie nie ucieka na bok. Nie mrugam. Mówię, co mogę mu zaoferować.

„Ktoś agresywnie wchodzi na twój rynek. Zrobiłam trochę researchu i jestem bliska odkrycia tożsamości tych ludzi. Poza tym mam wiedzę o ruchach antynarkotykowej jednostki terenowej, która cię namierza. Mogę pomóc ci jej unikać”.

„A może po prostu powiesz mi wszystko, co wiesz, dziewczynko, a ja się zastanowię, czy wypuszczę was stąd żywych”.

„Daj mi pięć tysięcy dolarów w gotówce, a za trzy dni wszystko ci wyłożę”.

„Nieźle z ciebie ziółko, co?”

„To niewielka cena za wartościowe informacje”.

„Dlaczego kasy na chesne nie wyciągasz od policji?”

„Bo już dla niej nie pracuję. Teraz pracuję dla ciebie”.

„Ciągłe to powtarzasz, ale skąd ta nagła zmiana stron? Może ma coś wspólnego z moim kolegą Keithem i ostrym przedmiotem, który przyłożył ci do szyi?”

Przypominam sobie radę D., że najlepsze kłamstwa buduje się wokół ziarna prawdy.

„Słuchaj, policja nie daje mi żyć od tygodni. Jest zupełnie niekompetentna i zdezorientowana. I nie potrafi mnie ochronić. Wiesz, ilu tajnych informatorów zginęło przez ostatni miesiąc?”

Chuckie patrzy na zbira za moimi plecami, potem na zbira z młotkiem, a potem na D.

„Dobrze, możesz się już odezwać. Czy twoja dziewczyna wciska mi kit?”

D. kręci głową.

„Nie, Chuckie. Dlatego ją do ciebie przyprowadziłem”.

Chuckie patrzy na mnie.

„I co konkretnie kupię sobie za pięć tysięcy dolarów i trzy dni czasu?”

To jest ten moment, kiedy muszę Chuckiemu Morfinie rzucić coś konkretnego.

„Zabójstwa tajnych informatorów to efekt skoordynowanego wysiłku ważnego gracza, który próbuje zdominować lokalny rynek, a oddział antynarkotkowy nie ma pojęcia, jak on to robi. Ja mam wyjąt-

kową możliwość zidentyfikowania przywódcy tej grupy i dostarczenia ci go razem ze szczegółami jego przedsięwzięcia”.

„Co ty powiesz”.

„Mogę także przekazywać ci informacje prosto z biura porucznik Katriny Mahoney”.

„Tej niedoszłej ruskiej carycy antynarkotykowej?”

„Mój opiekun bezpośrednio jej podlega”.

Chuckie układa usta w kółko i gwizdże.

Nadchodzi kluczowa chwila. Albo mi uwierzy, albo przekonam się, jakie to uczucie, kiedy skunksowaty harleyowiec wbija ci nóż w szyję.

Wreszcie, po upływie małej wieczności...

„No dobrze. Jeśli dasz mi to wszystko, to umowa stoi. Z jednym warunkiem z mojej strony”.

„Jakim?”

„Nasz przyjaciel D. zostanie tu z nami. Wiesz, żeby zachęcić cię do wywiązania się z obietnicy”.

„Nie. Nie możemy tak zrobić...”

D. obraca głowę w moją stronę. Na ile może.

„Nie, Sarie, to jest świetny pomysł. Ja tu zostanę, a ty... pójdziesz robić swoje. Poważnie. Nic mi nie będzie”.

Spojrzeniem próbuje mnie przekonać, ale na jego twarzy maluje się przerażenie. Chaykin odchyła się na krześle.

„Właśnie, nic mu nie będzie. Pogramy w *Big Bust V*. Będzie impreza”.

„Przecież D. ma sesję!”

Chaykin ostentacyjnie obraca się na krześle, tak by zatrzymać się naprzeciw D. Wyciąga ramiona w błagalnym geście.

„Powiedz mi, czy w tej konkretnej chwili przejmujesz się swoją sesją?”

„Nie”.

Chuckie zerka w moją stronę.

„Widzisz? Nie przejmuje się sesją. Coś jeszcze?”

Nie mam wyboru, muszę mu ulec w tej kwestii. Ale nie mogę wyjść stąd z niczym.

„Twój sposób działania polega na tym, żeby stale być w ruchu, co rozsądne. Więc zakładam, że nie zabawisz pod tym adresem zbyt długo”.

„Rzeczywiście, lubię być w ruchu. Nie chcę, żeby mech porósł mi stopy. Albo wyrósł mi pod stopami. Albo cokolwiek”.

„Więc jak cię znajdę?”

„Dam ci numer bezpiecznej komórki”.

„Nie. Chcę adres”.

„Chcesz, żebym zdradził adres policyjnej informatorce?”

„Ile razy mam powtarzać? Nie jestem już informatorką. Właśnie to rzuciłam”.

„Jakim zaufaniem do ciebie mnie to napawa! Słuchaj, zostawię tu swojego człowieka, więc wróć, jak będziesz gotowa. Moi chłopcy dadzą mi znać, że jesteś. Dobrze? Dobrze. Super. Keith, przyniesiesz jej plaster?”

Dziura w mojej szyi nie jest zbyt głęboka i szwy nie będą potrzebne. To taka rana, co ma człowieka zajebiście wystraszyć. Myję się mokrymi kawałkami papieru toaletowego w ciasnej łazience. Nie ma kosza na śmieci, więc odkładam zakrwawione kulki na bok umywalki. Chyba mogę je po prostu spuścić w kiblu, tak jak praktycznie spuściłam swoją przyszłość. Oglądam szyję w lustrze, a moje odbicie patrzy na mnie, jakby chciało zapytać: Co ty odpierdalasz? Oszalałaś? Wciąż wyobrażam sobie moje wiadro napełnione dzielnym wariacstwem, ale czuję, że ulatuje ono w szybkim tempie.

Kończę, wrzucam obleśny zwitek do sedesu, naciskam dźwignię, słyszę głucho brzęknięcie i szcęk zerwanego łańcucha. Świetnie. A wydawałoby się, że boss narkotykowy zadba o działający kibiel, no wiesz, na wypadek nalotu.

Ktoś nieśmiało stuka do drzwi. Kurde. Zamykam deskę klozetową, przyciskam więcej papieru toaletowego do szyi, a potem otwieram. To D. Wślizguje się do łazienki obok mnie.

„Nic ci nie jest?”



„Nic. Ale nie chcę cię tu zostawiać”.

„Słuchaj, to wszystko było dlatego, że Chuckie cię nie zna. Kurde, sam nie wiem, czy cię znam”.

Mówiąc to, uśmiecha się, ale to nerwowy uśmiech. Potem kontuuje:

„Mogę zdać egzaminy za tydzień, wszystko jedno, wystarczy, że napiszę mejla do wykładowców. I nic mi się nie stanie. On mi nic nie zrobi”.

„Czy zwróciłeś może uwagę na gościa za tobą? Tego z młotkiem?”

D. lekceważy moje słowa.

„Powiedz mi tylko, że jesteś w stanie spełnić swoje obietnice. Że nie wciskałaś mu kupy bzdur. Bo Chuckie, tak jak jego brat, nie ma cierpliwości do bzdur. Obojgu nam zrobi krzywdę”.

„To, co mam, jest autentyczne. Wrócę po ciebie, D.”.

„Nic mi nie będzie. Naprawdę”.

Bierze mnie za rękę. Tę, w której nie trzymam zwitka zakrwawionych kawałków papieru. Potem rzuca mi taki tysiącwatowy uśmiech, w którym jest coś psotnego, i ściska moją dłoń.

„Po prostu mi żal, że muszę czekać aż do piątku, żeby cię znowu zobaczyć”.

„A jak nie?”

„Jak nie co?”

„Jak już się nie zobaczymy. Wiesz, nigdy”.

Jasny uśmiech nieco gaśnie i w oczach D. widzę błysk szczerego niepokoju.

Kiedy nachyla się do mnie, nie wiem, czy chce mnie znowu pocałować. Czuję jego oddech na swoim policzku. Ale nigdy się tego nie dowiem, bo nagle otwierają się drzwi, stoi w nich Młotkowy, piorunuje nas spojrzeniem i mówi, że muszę już iść.

Bez ostrzeżenia gasną światła; koniec imprezy. Co oznacza, że albo to była najkrótsza impreza w historii południowej Filadelfii, albo właśnie stało się coś strasznego. Wildey wraca zaułkiem, znowu przeskakuje furtkę (nie myśl o kolanach, nie myśl o kolanach) i wraca na róg Szóstej i Vernon w samą porę, by zobaczyć, że pod numer 527 podjeżdża czarny SUV. Prędko wsiada do niego mężczyzna w średnim wieku ubrany w płaszcz (jest zbyt daleko, żeby dostrzec szczegóły) oraz dwóch krzepkich harleyowców. Nie ma Sarii, nie ma jej chłopaka. Kiedy Wildey podnosi telefon do ucha, SUV już odjeżdża. Wildey łączy się z duetem Streicher-Sepanic i podaje model oraz numer rejestracyjny auta. Każe śledzić ten wóz bez względu na wszystko. Nie zgubcie go. Gdy tylko SUV skręca za róg, Wildey rusza pędem po ulicy do drzwi frontowych. Błagam, Boże, nie rób mi tego. Właśnie ma wyłamać drzwi, kiedy dzwonią S&S – nadal śledzą samochód, który w tej chwili jedzie Dickinson Street. Ale zasuważąc Piątą, zauważyli informatorkę Wildeya idącą Tasker Street na wschód.

- Samą?
- Z tego, co widzieliśmy.
- Dzięki, Streicher.
- Jestem Sepanic.

- Przepraszam. Ciągłe mi się mylicie.

- Bardzo śmieszne, Dzikus.

Streicher jest kobietą. Sepanic to facet.

Ale Dzikus wcale nie próbuje być dowcipny. Zdekoncentrowała go mieszanka ulgi i gniewu, która krąży po jego układzie nerwowym. Ulgi, że nie będzie musiał wyważać drzwi, żeby zastać w środku swoją informatorkę zamordowaną. Ale także gniewu, że nie zadzwoniła do niego, gdy tylko wyszła z domu. Co ona sobie myślała? Co tu się, do cholery, dzieje? Ten chudy gnojek w czerwonych portkach pewnie zaśmiewa się teraz do rozpuku.

Kolana Wildeya wyją z bólu, kiedy zapieprza z powrotem po Vernon Street, skręca w Piątą, a potem biegnie Tasker z nadzieją, że dogoni ją w porę. Ale albo Wzorowa Studentka też biegnie, albo te jej długie nogi poniosły ją już daleko, bo nie ma po niej ani śladu. Wysyła esemesa na jej jednorazówkę, ale do czasu powrotu do auta nie dostaje odpowiedzi. Jeśli po prostu pojechałaś do domu, Serafino Holland, to nic mnie nie obchodzi, wpadnę tam i cię aresztuję. A potem pogadam sobie z twoim tatkiem o tym, co porabiałaś przez ostatnie tygodnie.

Po kilku minutach jazdy autostradą I-95 dostaje od niej wiadomość:

SPOTKAJMY SIĘ W STOSACH

Stosy - czyli ta księgarnia w Port Richmond. Wildey pędzi I-95 i dociera tam w siedem minut. Sklep jest jednak chwilowo zamknięty, a kartka informuje potencjalnych klientów, że właściciel poszedł na wieczorną mszę, ale niedługo wróci.

Wildey znajduje Wzorową Studentkę na tyłach, na małym błotnistym płacie ziemi między sklepem a autostradą. Siedzi na plastikowej skrzynce po mleku. Wzdryga się, gdy on

wychodzi zza rogu, ale uspokaja się, kiedy nawiązują kontakt wzrokowy.

- Myślałam, że będzie otwarte.

- Dużo cieplej byłoby w twoim samochodzie, gdzie miałaś na mnie czekać.

Ale Wildey wie, że to nie pora, żeby jej dowalać. Sarie ma szeroko otwarte oczy i minę kogoś, kogo o mało nie potracił samochód, więc chwilowo cieszy się drobnymi przyjemnościami, takimi jak oddychanie.

- Prosiłam, żebyś mi zaufał - mówi. - Słyszałeś to, prawda?

- Zaufanie ma swoje granice, Sarie. A w tej chwili zaufanie między nami zaczyna się wyczerpywać. Co to, kurwa, było? Dlaczego zniszczyłaś pluskwę? Która tak w ogóle jest zajebicie droga, możesz mi wierzyć.

- Tewuo - mruczy dziewczyna.

- Co?

- Nic. Chuckie Morfina miał skaner. Musiałam myśleć szybko. Okazuje się, że żadnej imprezy nie było. Czekał na mnie, bo wpadł w paranoję, myślał, że jestem kretem. Musiałam się pozbyć pluskwy.

Wildey wydmuchuje powietrze nosem, przez co wygląda jak byk puszczający parę z nozdrzy.

- Pewnie już jej nie masz, co?

Wzorowa Studentka rzuca mu spojrzenie mówiące: no a jak myślisz?

- Nie. Ale mam to.

Z kieszeni kurtki wyciąga worek oxy. Znacznie większy, niż można było kupić za te pięćset dolarów od Wildeya.

- O kurde.

- Teraz pracuję dla niego.

Wildey promienieje.

- Mógłbym cię pocałować. To znaczy wciąż jestem wkurzony za tę pluskwę, ale to jest dobra robota. Naprawdę dobra.

Wzorowa Studentka tylko się na niego gapi, może nie wie, co powiedzieć, albo jest zbита z tropu tym tekstem o całowaniu. Skąd mu się to w ogóle wzięło?

- Opowiadaj o wszystkim, co się wydarzyło - prosi Wildey.  
- I to naprawdę o wszystkim. Zaczynając od prawdziwego nazwiska Chuckiego.

- Nazywa się Charles Chaykin. Na co dzień pracuje w nieruchomościach. Jest bratem mojego wykładowcy literatury.

- Co?

Podaję Wildeyowi skróconą wersję wydarzeń w domu Chuckiego. Nie mówię, że Chuckie wie, że jestem informatorką. Nie wspominam o naszym układzie. Nie ujawniam, że w tej chwili D. jest właściwie zakładnikiem. Zamiast tego mówię wszystko, czego się dowiedziałam.

Prawie wszystko.

- Chaykin ustawia się w pustych domach, zanim trafią na rynek. Dlatego zawsze jesteście w tyle. Może korzystać z danego adresu przez tydzień, a może tylko przez parę godzin. Obraca wieloma nieruchomościami, prawie wyłącznie w South Philly, blisko rzeki. Głównie w Queens Village i Pennsport.

- Skąd wiesz?

- Po prostu sprawdziłam w internecie.

- Dobrze, dobrze. Ale czekaj, skoro cały czas jest w ruchu, to jak pozostaje w kontakcie ze swoimi dilerami?

- Przez jakąś grę komputerową, *Big Bust V*. Tam są chat-roomy, do których można zapraszać poszczególnych graczy.

Chuckie zostawia tam wiadomości dla całej siatki swoich podwładnych.

Wildey kiwa głową. Cwany skubaniec. Czytał o dilerach, którzy kontaktują się w ten sposób przez internet. Są praktycznie nie do namierzenia, chyba że jakimś cudem uda się przyjść z nakazem do międzynarodowej korporacji odpowiadającej za daną grę.

- Ale teraz przemieszczą się częściej niż kiedykolwiek, sra w gacie z paranoi, bo podobno dilerów obrabia jakiś gang policjantów.

- On ci to powiedział?

- Tak, ale tylko potwierdził to, co wyczytałam.

Wildey patrzy na nią z ukosa.

- Jak to: co wyczytałaś? W gazetach nie ma nic na ten temat.

- Chcesz mi powiedzieć, że to nieprawda? Poczytaj komentarze pod artykułami. Ludzie o niczym innym nie mówią. Więc...?

- Tak, to prawda.

- A ilu informatorów zniknęło przez ostatnie dwa miesiące?

Wildey nie potrafi nawet spojrzeć jej w oczy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie przyszło ci do głowy, że może warto się ze mną podzielić taką informacją? No wiesz: *uważaj na bandę płatnych zabójców, którzy mogą po ciebie przyjść?*

- A ty byś mi powiedziała, gdyby nasze role się odwróciły?

- Gdyby nasze role się odwróciły, nie wylądowałabym w tym bagnie.

- Nie wypuściłabyś mnie. Kogo ty chcesz nabrać, Wzoro-wa Studentko? Jesteś bardziej praworządna niż ja.

Po I-95 pędzą auta. Wiatr staje się zimniejszy z każdą chwilą.

- Wiesz, kto to robi? - pyta Wzorowa Studentka.

- Tak między nami?

Znowu patrzy na niego, jakby mówiła: „no a jak myślisz?”. Niby komu miałyby wygadać? Wildey zмага się z tym, co teraz powiedzieć. Nie powinien się odezwać ani słowem i dobrze o tym wie. Ale przestał mieć wrażenie, że rozmawia z informatorką. To jest właśnie najdziwniejsze. Teraz czuje się tak, jakby rozmawiał z koleżanką z pracy.

- Szefowa myśli, że mamy szczura we własnej jednostce.

- No po prostu zajebicie. Wiedziałam! Wystarczy coś przeczytać o informatorach, żeby się zorientować, że takie rzeczy dzieją się ciągle. Nikt nie umie dotrzymać tajemnicy. Żadnej. Nigdy!

- Hej, spokojnie. Ty jesteś chroniona bardziej niż ktokolwiek.

- Niby dlaczego?

- Bo Kaz nigdy oficjalnie nie wprowadziła cię do systemu. Słuchaj, wiesz od początku, że nie na tobie nam zależało, tylko na twoim chłopaku. A właściwie to nawet nie na nim. Chcieliśmy mieć go w ręku dostatecznie długo, żeby dotrzeć do Chuckiego, Chaykina, czy jak on tam się, kurwa, nazywa. A teraz dzięki tobie mamy go na celowniku.

- Więc jestem wolna?

Wildey patrzy na nią, przez moment śmiertelnie poważnie, a potem się uśmiecha.

- Dobry żart.

Siedzą w milczeniu, patrząc na przejeżdżające samochody. Ludzie jadą do centrum albo do Northeast i dalej, do hrabstwa Bucks. Ludzie bez większych zmartwień niż to, jakie żarcie zamówić dziś wieczorem i jaki film włączyć na Netflixie. Ludzie, którzy przemykają obok tutejszych osiedli, nie mając zielonego pojęcia, co się w nich dzieje. A nawet

jeśli mają pojęcie, to ich to wali, bo nie muszą tutaj mieszkać.

- Chyba mogę to dla ciebie rozszyfrować - mówi cicho Sarie Holland.

- Co rozszyfrować?

- To, co się tu dzieje. Kto zabija informatorów, kto obrabia dilerów. Wszystko.

- Byłoby super - mówi Wildey. - Wtajemniczysz mnie?

- Powiedziałam, że mogę to rozszyfrować. Ale potrzebuję więcej czasu. Daj mi czterdzieści osiem godzin.

- Ty i te twoje terminy. Kiedyś wpakujesz się przez nie w poważne kłopoty.

## **11 GRUDNIA**

Przegapiłam dziś egzamin. Cały przespałam.

Mam to gdzieś.

Zadzwoił do mnie mój kierownik z biura kwestora i zostawił wiadomość głosową o tym, że na koncie jednej z organizacji studenckich jest jakaś nieprawidłowość. Czy mogłabym oddzwonić albo jak najszybciej przyjść do biura...

(Te dwa tysiące dolarów, w samych setkach, nadal znajdują się w moim plecaku. Razem z pięcioma tysiącami od Chuckiego Morfiny).

Mam to gdzieś.

Tata jest wkurzony i nawet Marty dziwnie na mnie patrzy.

To też muszę teraz mieć gdzieś.



Bo D. jest zakładnikiem i właściwie tylko ja jestem w stanie go uratować. Nie mogę powiedzieć o tym Wildeyowi, bo wiem, że spieprzą sprawę, a nie wolno mi narażać życia D. Najpierw muszę dostarczyć Chuckiemu trochę brudów na temat oddziałów uderzeniowych i uwolnić D.

Więc pieprzyć egzaminy.

Potrzebuję informacji.

A w tej całej grze tylko jeden człowiek wie więcej niż ja.

Ostatnio bawili się z klasą; Imprezowicz uznał, że tym razem powinni się trochę upodlić. McGillin's Old Ale House to najdłużej bez przerwy funkcjonujący bar w Filadelfii, założony w 1860 roku zaledwie dwie przecznice od ratusza, a mimo to działający przez całą prohibicję, jakby nie dotarła tam wiadomość o osiemnastej poprawce. Tego typu lokale trzeba podziwiać. Imprezowicz ceni takie kawałki tego miasta - miejsca zbyt uparte, żeby umrzeć.

Wewnątrz knajpa wygląda tak, jakby ktoś zarzygał ją Bożym Narodzeniem - nic, tylko sreberka, lampki, pulchne Mikołaje i renifery. Imprezowicz prawie czuje nostalgię. Mimo że zawsze i wszędzie przybywa z wyprzedzeniem, Serafina Holland uprzedziła go i czeka przy stole. Imprezowicz kiwa głową, przyjmuje od kelnera laminowane menu, a potem zajmuje miejsce naprzeciwko dziewczyny. Zanim jeszcze zdąży usiąść, ona nachyla się i otwiera ogień.

- Skąd wiedziałeś, że Chuckie Morfina będzie szukał podsłuchu? Skąd w ogóle znasz Chuckiego Morfinę? Myślałam, że pracujesz dla chłopaka Tammy!

- Nie, bezpieczniej powiedzieć, że jestem freelancerem. Moja praca polega na tym, żeby wiedzieć, co w trawie pisz-

czy.

- Więc znasz Chuckiego?

- Rzeczywiście, jestem zaznajomiony z panem Chaykinem i jego działalnością.

Jezu, mruczy dziewczyna. Imprezowicz przegląda jadłospis, decyduje się na kanapkę z rostbefem z dodatkową porcją chrzanu. A, i piwo. Dzbanek firmowego ale.

- Możesz mi powiedzieć, jaki on jest? Bo od paru godzin dla niego pracuję.

- Bardzo zły pomysł. To bynajmniej nie jest miły człowiek. Mogłaś mi powiedzieć, że szukasz roboty. Dałbym ci kilka wskazówek.

- Nie to chcę usłyszeć.

- A co? Prowadzisz tyle równoległych żyć, że już chyba sama nie nadążasz, co?

- Jak to? Przecież mnie nie znasz.

- Wiem o tobie wszystko, Serafino Holland.

Jej twarz sztywnieje.

- Od początku nie wyglądałaś mi na Joan.

- Ty nie jesteś dilerem. Jesteś jakimś gliną, nie? Z DEA albo coś?

- Poprzestańmy na „albo coś”.

- Powiesz mi, jak się nazywasz? To nawet nie musi być prawdziwe imię. Po prostu chcę wiedzieć, jak się do ciebie zwracać.

- Podoba mi się to, które mi nadałaś. Imprezowicz. Wychoďte na rozrywkowego człowieka.

- To co jeszcze o mnie wiesz?

Imprezowicz się uśmiecha.

- Wiem, że jesteś siedemnastoletnią wzorową studentką, której matka, Laura, w zeszłym roku zmarła, co pokrzyżowało ci plany studiowania na Uniwersytecie Kalifornijskim. Twój ojciec, Kevin, jest terapeutą uzależnień, i to być może

tłumaczy, dlaczego przez całe życie wzorowo się prowadzi-  
łaś... co z jakiejś przyczyny zmieniło się dwa tygodnie temu.

- Ja pierdołę.

- Wybacz. Spodobałaś mi się, więc cię sprawdziłem. Je-  
stem bardzo dobry w sprawdzaniu ludzi. A dowodzik masz  
naprawdę niezły, ale nie perfekcyjny. Więc uważaj.

- Błagam, nie aresztuj mnie. Mam sesję.

Imprezowicz się śmieje.

- Zabawne. Naprawdę zabawne.

- Cieszę się, że dostarczam ci trochę radości.

- Serafino, posłuchaj mnie. To życie nie jest dla ciebie. Idź  
do domu. Porozmawiaj z ojcem, powiedz, że bardzo chcesz  
jechać do Los Angeles. Załatwi ci to, wiem, że tak. Jeszcze  
nie jest za późno.

- Jest. Woda sięga mi pod nos i zaraz utonę.

- Co by ci pomogło?

- Kulka w łeb.

- Pytam poważnie.

- Dobrze. W porządku. - Dziewczyna milknie i przygryza  
wargę... ale zaraz potem wystrzeliwuje z siebie słowa, zara-  
zem cicho i z podnieceniem: - Nie znasz może kogoś, kto  
porywa tajnych informatorów w całym mieście? - Zupełnie  
jakby go chciała zaszokować albo oszołomić.

Ale Imprezowicz uśmiecha się od ucha do ucha.

- Cholera, to akurat łatwe. Peter D'Argenio. Facet twojej  
przyjaciółki. Choć rozumiem, że ich związek jest raczej in-  
ternetowy...

- Zaraz, co? Czy ty aby dla niego nie pracujesz?

- Jak już mówiłem, jestem freelancerem. Ale tak się skła-  
da, że akurat wczoraj nasze drogi się rozeszły. Nie mogłem  
dłużej pracować z takim człowiekiem.

- Dlaczego?

- Bo dowiedziałem się, że zdejmuje informatorów. To już po prostu nieładne. Poza tym w bardzo głupi sposób dekonspiruje cały interes.

Dziewczyna wygląda, jakby dostała w głowę. To niemal urocze. Zupełnie jakby nie wiedziała, co teraz powiedzieć, chociaż Imprezowicz potrafi przewidzieć jej następne słowa: *Dlaczego mi to mówisz?* I proszę bardzo:

- Dlaczego mi to mówisz?
- Bo wiem, że postąpisz właściwie.

## **11 GRUDNIA (później)**

Resztę popołudnia spędzam, włócząc się po mieście, usiłując poukładać sobie wszystko w głowie. Zdaję sobie sprawę, że powinnam była natychmiast wrócić do domu i zacząć to spisywać, ale wiedziałam, że czekałby na mnie tata, a nie chciałam się z nim użerać. Muszę wcześniej trochę pomyśleć. W mieście zajebiście zimno, chociaż świeci słońce. Ludzie ciągle na mnie wpadają, co mnie wkurza. A może to moja wina, mojego niezdecydowania. Jestem taka zagubiona, że sama nie wiem, dokąd idę. Czy pobiec z tym do Wildeya? Czy do Chuckiego, żeby on się tym zajął? Nie, nic nie zrobię. Nic, zanim trochę nie pomyślę...

Kiedy wreszcie docieram do domu, tata jest wściekły. Rzuca się na mnie, gdy tylko przekraczam próg. Mówię mu, że w tej chwili nie mogę, że mam za dużo na głowie. On na to, że czego nie mogę, rozmawiać z własnym ojcem?

„Nie teraz”.

„A jak mam ci do powiedzenia coś ważnego?”

„Mam to gdzieś! Możesz mi przez chwilę nie zawracać głowy?”

„Sarie, co się z tobą dzieje? Kiedy przestałaś umieć ze mną rozmawiać?”

„Aha, więc teraz to ty chcesz rozmawiać? Wiesz co, tato? Trochę za późno”.

„Co to ma znaczyć?”

„Idź weź sobie następne piwo. Ja się muszę uczyć”.

Trzaskam drzwiami, schodzę na dół do biurka i płaczę.

## **12 GRUDNIA (wcześnie)**

Oto, co wiem:

1. W jednostce antynarkotykowej Wildeya jest kret.
2. Ktoś porywa (i pewnie zabija) tajnych informatorów.
3. Ktoś robi naloty na meliny narkotykowe, udając policję. Prawdopodobnie wykorzystując informacje wyciągnięte na torturach od tajnych informatorów.
4. Jeśli wierzyć Imprezowiczowi, stoi za tym Peter D'Argenio.

(Czy można wierzyć Imprezowiczowi? Dlaczego mi to powiedział? Co może zyskać? Czy to rozgoryczony dawny podwładny, który ma w tym jakiś interes? Agent DEA? Ktoś jeszcze inny?)

5. To wszystko oznacza, że D'Argenio próbuje wkroczyć na rynek narkotykowy i współpracuje z kretem z jednostki Wildeya.

Co muszę ustalić:

1. Nazwisko kreta.
2. Motywacja Imprezowicza.

Nie poznam odpowiedzi, siedząc w piwnicy

Chociaż jest późno, piszę esemesa do Tammy

Potem do Wildeya

## **FOX CHASE**

### ***CZWARTEK, 12 GRUDNIA***

Facet w radiu powiedział, że dziś będzie najzimniejszy jak dotąd dzień roku. Marty wie tyle, że i w domu jest dosyć chłodno. Tata nie odzywa się przez cały ranek, a kiedy w kuchni pojawia się Sarie, to tylko na półtorej sekundy – mniej więcej tyle czasu potrzebuje, żeby przejść przez pomieszczenie i bez słowa zatrzasnąć za sobą drzwi. Co dziwne, bo Marty wie, że Sarie nie ma dziś egzaminu (przynajmniej według odręcznie napisanego planu przypiętego do lodówki magnesem z Portsmouth w New Hampshire). Dokąd idzie? Marty pyta ojca, czy coś się stało; ten odpowiada, żeby się nie martwił, żeby się pośpieszył i przygotował do wyjścia do szkoły. To odpowiedź, do której Marty już przywykł.

Przed wyjściem schodzi do piwnicy i sprawdza biurko siostry. Może jednak Sarie ma dziś egzamin – albo uczy się z kolegami? Po całym blacie są rozrzucone książki i papiery. Dużo niebieskich zeszytów egzaminacyjnych, w większości pustych. Sarie musi je kosić garściami. Marty jeden otwiera, pusty, jak mu się wydaje, i zastanawia się nieśmiało, czy sam go nie powinien zakosić (mógłby narysować w środku jakiś komiks, żeby zaskoczyć siostrę), ale w środku jednak coś jest.

Oto, co wiem:

1. W jednostce antynarkotkowej Wildeya jest kret.
2. Ktoś porywa (i pewnie zabija) tajnych informatorów.
3. Ktoś robi naloty na meliny narkotykowe, udając policję. Prawdopodobnie wykorzystując informacje wyciągnięte na torturach od tajnych informatorów.

Marty ledwo ma czas zrozumieć, co czyta, bo z góry krzyczy tata, wkurzony, że chłopak spóźni się do szkoły.

# Łoś i wiewiórka

## **PORT RICHMOND**

**CZWARTEK, 12 GRUDNIA**

To przerażające, jak Wzorowa Studentka wszystko mu wykłada.

Ma kartonową teczkę pełną wycinków z gazet i odręcznych notatek (zapisanych jej nienagannie równym charakterem pisma). Niektóre fragmenty są nawet zaznaczone zakreślaczem. Mija chwila, zanim Wildey to wszystko przetrawi, a kiedy już pojmuje, o co chodzi, zarzuca Sarie pytaniami, próbując znaleźć jakieś luki w jej rozumowaniu. Dziewczyna odpowiada, posiłkując się wycinkami i notatkami, a gdy czegoś jej brakuje, powołuje się na „źródło zbliżone do organizacji”.

- Będziesz mi musiała powiedzieć więcej o tym źródle - stwierdza Wildey. - Bo to bardzo duży kawałek całej układanki.

- Nie - odpowiada Sarie. - Ty chronisz swoje źródła, a ja swoje.

- Nie mogę iść do Szefowej z tekstem typu „musisz mi zaufać”.

- Widzisz, do tego właśnie dążę.

Dopiero kiedy dziewczyna powtarza wszystko Wildeyowi po raz drugi, dociera do niego pełnia konsekwencji tego, co mówi. To wprost nie do pomyślenia. Największa zdrada.

- Albo ty sprzedałeś własnych informatorów...

Wildey rzuca Sarie surowe spojrzenie.

- No kurwa, przecież wiesz, że to ostatnie, co bym zrobił...

- ...albo zrobiła to ona.



Ona, czyli porucznik Katrina Mahoney. Szefowa NFU-CS. Nieoficjalna filadelfijska caryca antynarkotykowa.

- Nie. Niemożliwe.

- Mam nadzieję, że nie. Ale jest sposób, żebyś to sprawdził.

Wzorowa Studentka mówi Wildeyowi, co to za sposób. To duży, śmiały, może nawet szalony krok. Ale nawet Wildey musi przyznać, że jedyny możliwy.

Wraca kelnerka, żeby spytać, czy dalej nie chcą kawy. Oboje milczą, zbyt pochłonięci własnymi myślami. Kelnerka poddaje się i odchodzi, szurając.

- Nie musisz tego robić - mówi Wildey po długiej chwili.

- Owszem, muszę - odpowiada dziewczyna. - Wiesz, że muszę.

Tak, on też to wie.

Dziś wyjątkowo Szefowa powinna mieć dzień wolny, ale Wildey dzwoni do niej na komórkę. Odbiera po pierwszym dzwonku. Wildey proponuje spotkanie w tamtym Grey Lodge, ale Kaz odpowiada, że nie może się ruszyć z domu.

- Sprawa jest nie na telefon.

Kaz wzdycha.

- Dobra, no to przyjeźdź, kurwa, do mnie.

## **SPRING GARDEN**

Kiedy przyjeżdża Wildey, porucznik robi pierożki z kapustą i jajkiem. W całym holu wali siarką i gotowanym potem, więc sąsiedzi muszą być zachwyceni. Kaz mieszka w jednej z tych olbrzymich rezydencji z ciemnego brunatnego piaskowca, które podzielono na mieszkania. Jej mieszkanie znajduje się na parterze, z tyłu. Wildey puka do drzwi. Słyszy, jak Szefowa krzyczy: „wejść”, więc otwiera sobie i rusza długim, ciasnym korytarzem do wąskiej kuchni. Dziwny

układ, ale tak to jest, kiedy jedną rezydencję poszatkują na dziesięć lokali.

Dziwnie też widzieć Kaz przy blacie kuchennym, w dżinsach, T-shircie z długim rękawem i dekoltem w szpic, boso, z przedramionami nakrapianymi białą mąką.

- Ładnie pachnie - mówi Wildey.

- To pierożki - odpowiada Kaz. - Na rodzinny obiad w weekend.

- O, spotykasz się z rodziną?

- Przyjeżdża paru kuzynów, to wszystko.

- Tylko paru?

Kaz patrzy na niego, jakby zastanawiała się, czy coś mu wyjawić, a potem wraca do ugniatania ciasta, które wydaje się nie mieścić w jej dłoniach.

- Moje panięskie nazwisko to Fieuchevsky - mówi, jakby to wszystko tłumaczyło.

Ale po chwili Wildey je rozpoznaje. To nazwisko rosyjskiej rodziny gangsterów, która z dziesięć lat temu prowadziła wielką wojnę z włoską mafią. W najgorętszym okresie Wildey był jeszcze w akademii. Przy okazji wyjaśnia się, dlaczego Kaz zachowała nazwisko byłego męża. Mahoney to porządne policyjne nazwisko. Fieuchevsky jakby mniej.

Kaz obraca się i widzi, że do Wildeya dotarło.

- No więc właśnie, część mojej rodziny jest w te święta zajęta gdzie indziej. Tylko obmyję ręce z mąki i możemy rozmawiać. Chcesz piwa albo coś?

- Dzięki, nie trzeba.

- Usiądź w salonie.

Który okazuje się dużym pudłem. Duże okna, zabezpieczone stalowymi prętami, wychodzą na mały ganek i betonowe patio. Schody prowadzą do piwnicy, gdzie musi się znajdować sypialnia. Nie mają poręczy - jest tylko prostokątne wycięcie w podłodze i drewniane stopnie w dół. Wil-

dey domyśla się, że to kolejny przykład kreatywnej aranżacji przestrzeni. Ładnie i w ogóle, a okolica naprawdę super, ale nie zamieniłby swojego sponiewieranego szeregowca na ten lokal, nigdy w życiu.

- Mam sygnał od jeden trzy siedem - mówi Wildey.
- Co, znowu chce przedłużyć termin?
- To ci się nie spodoba.
- Nic mi się ostatnio nie podoba.

Wildey wyklada jej sprawę. Wzorowa Studentka znalazła coś szalonego.

- Chyba namierzyła naszego kreta. Jej przyjaciółka chodzi z Małym Pete'em D'Argenio, a Mały Pete chwali się przejęciem kontroli nad handlem dragami w mieście.

- Makaroniarze lubią się przechwalać - stwierdza Kaz.

- Ale ten przechwala się policyjną ochroną. Jakby był nieetykalny. A potem jeszcze opowiada, że żaden donosiciel nic mu nie robi. Że jak ktoś go sypnie, to chodzi z datą ważności wypisaną na czole.

- Trochę naciągane.

- To nie wszystko, ale opowiem ci później. Przyjechałem, bo nie ma czasu. Nasza jeden trzy siedem jest zaproszona na imprezę, którą urządza dzisiaj Mały Pete. A kiedy on pije, to się chwali. Dziewczyna chce iść z podsłuchem i nagrać trochę tych przechwałek.

- Dlaczego ona to robi?

- Chce mieć wreszcie spokój. Nie wyda swojego chłopaka, więc szuka mi kogoś innego.

- Jesteś gotów zrezygnować z Chuckiego Morfyny?

- Nie. Absolutnie. Ale jeśli jeden trzy siedem da mi na tacy gangstera, który właśnie rozkręca narkotykowe imperium i ma do tego wtykę w naszej komendzie, to wiesz, uznam, że jesteśmy kwita.

- Chryste Panie. - Kaz wzdycha. - Myślałam, że mamy to już z głowy. Musi chodzić o jeden z pozostałych NFU. No nie? Powiem ci, co zrobisz. Niech dziewczyna nagra, jak Mały Pete gada o policjancie, który go chroni. Pete'a właściwie mam w dupie, ale chcę wiedzieć, kto tak ochoczo nas sprzedał. I jak Boga kocham, jeśli to będzie ktoś z naszej jednostki, to potraktuję mu jaja tarką do sera i wrzucę to na YouTube'a.

Rany, myśli Wildey. Ty rzeczywiście jesteś z Fieuchevskych.

- Więc mam twój akcept?

- Tak. Ale nikomu ani słowa. To zostaje między nami.

- Zrozumiano.

- Zaopiekujesz się nią sam?

- To tylko impreza. Chyba nic jej nie będzie.

Rembrandt „Rem” Mahoney nienawidzi jebanych pierożków. To jedna z rzeczy, za którymi nie tęskni. (Jest wiele innych). Smród tego gówna z kapustą i jajkiem niemalże czuje aż tutaj, w Northeast. Wystarczy usłyszeć, jak ona o nich mówi, a Remowi w nosie pojawia się tamten obrzydliwy fetor. Ale i tak słucha.

I nie może przestać.

Mówi sobie, że to się zaczęło, bo się o nią martwił. Poważnie. No dobrze, i tęsknił za nią. Zazwyczaj była nieznośną komunistyczną psycholką, ale gdy się odprężyła - najczęściej dzięki kolejce tej ukraińskiej wody ognistej albo i pięciu - nie było drugiej takiej jak ona. Żaden narkotyk, żaden haj, żadna bitka, żaden występ nie mógł się równać. Dziesięć lat później Rem ciągle potrafi przywołać smak jej ust z wódczaną nutą.

Całą obserwację zaczął skromnie. W zasadzie po prostu chciał mieć oko na Katrinę, żeby się upewnić, że nie wpaku-

je się w jakieś kłopoty. Zachowała jego nazwisko, więc miał obowiązek pilnować, by nie zmieszała go z błotem. Wprowadziła się do tego domu przy Green Street, wybrała mieszkanie na tyłach, więc przejazdy ulicą odpadały. Pewnej nocy, kiedy zaprawił się w małym barze sportowym na rogu Dwunastej i Green Street, zrobił coś głupiego, ale zmieniającego życie. Przeskoczył przez dwumetrowy płot, polazł, zataczając się, do ciasnego zaułka i zakradł się do patia na tyłach jej mieszkania. Paliło się światło. O rany. Była w domu. Tamtej nocy Rem stał się... no dobrze, musi przyznać... trochę zbokiem. Ale tylko na punkcie swojej byłej! Żadnych cywili.

Najpierw tylko zaglądał przez jej okna, próbował podsłuchiwać rozmowy, tego typu rzeczy. Powoli sytuacja eskalowała. Zanim zdążył to sam sobie wyperswadować, zaczął się włamywać do piwnicy – właściciel nieruchomości wykroił z niej kawałek na sypialnię mieszkania powyżej, czyli tego Katriny. Budowlańcy nie najlepiej się spisali; płyta kartonowo-gipsowa była dosyć cienka. W pozostałej części piwnicy mieścił się zakurzony schowek cuchnący surowymi grzybami. Rem łatwo jednak mógł się tam wślizgnąć, przylgnąć do lichej ścianki i słuchać, jak Katrina oddycha. Albo rozmawia przez telefon – to zawsze były krótkie, szorstkie rozmowy. Bał się / wyczekiwał dnia, w którym sprowadzi sobie do domu kochanka. Wcześniej czy później to się musiało stać. Jego eks to szatańskie nasienie, ale wciąż go kręciła.

Rem nie mógł spędzać całych dni w piwnicy byłej żony. Jego ubranie zaczęło dziwnie pachnieć. Wybrał się więc do sklepu ze sprzętem policyjnym po podstawowy zestaw do nasłuchu. Kiedy wiedział, że Katrina jest na służbie, wywiercił małą dziurkę w tanim karton-gipsie. Reszta była już łatwa i potoczyła się sama. Po założeniu pluskwy w piwnicy przyszła kolej na pluskwę w salonie, potem w łazience (do-

bra, Rem już przyznał, że jest zboczeńcem, wielkie rzeczy, idźmy dalej), a potem w samochodzie. Potem... no dobra, zgoda, tu Rem Mahoney przekroczył pewną granicę... w jej biurze. Potem podłączył się pod jej komórkę. Oczywiście nie za pośrednictwem komendy policji, ale przez znajomego federalnego. Zasugerował mu, że była żona chyba trzyma się ze swoją rosyjską mafijną rodziną nieco bliżej, niż mówi.

O dziwo skutek jest taki, że teraz Rem ma wrażenie, że poznał swoją eks lepiej, niż kiedy byli małżeństwem.

Poznał też tożsamości praktycznie wszystkich z jej dwustu szpicli. Musiał przyznać, że obrała sprytną strategię. No i to zupełnie w stylu Katriny, że na obejmujący całe miasto kryzys związany ze szpiclami zareagowała... czym? Zwerbowaniem kolejnych. Szpicli wężących w najważniejszych sprawach, szpicli mających zadbać o to, by jej zespół był na bieżąco. I by nie miał słabych punktów.

No więc kim jest ta TI 137? Rem na pewno mógłby się włamać wieczorem do mieszkania Katriny, kiedy będzie brała prysznic, i sam wygrzebać nazwisko, ale czas to pieniądz. Zresztą założyłby się, że jest ktoś, kto już teraz zna tożsamość tej wtyki.

**Zapis rozmowy telefonicznej między kapitanem Rembrandtem „Remem” Mahoneyem a Peterem D’Argenio**

MAHONEY: To ja.

D’ARGENIO: Cześć.

MAHONEY: Jesteś sam?

D’ARGENIO: Tak.

MAHONEY: Nieprawda. Jesteś z tą studentką, którą pukasz.

D’ARGENIO: O czym ty... zaraz, zaraz, skąd o tym wiesz?

MAHONEY: Ja wiem dużo. Na przykład, że kłapiesz ozorem przy laskach, żeby im zaimponować. Chryste, ty tępy zjebie, przecież to dzięki temu przydupiłem cię w dziewięćdziesiątym szóstym. Myślałem, że w szkole życia czegoś się nauczyłeś.

D’ARGENIO: Stary, weź zwolnij i wytłumacz, o czym ty pierdolisz.

MAHONEY: Nie, nie, teraz nie ma czasu na tłumaczenie. Zaraz całe twoje gówno wyjdzie na jaw, więc stul pysk i lepiej ty mi się wytłumacz. Co to za studentka?

D'ARGENIO: Chcesz jej nazwisko? Po co?

MAHONEY: Tak, kurwa, chcę jej nazwisko. I paru innych też. Wszystkich, przed którymi szpanujesz.

D'ARGENIO: Stary, ja się przed nikim nie popisuję.

MAHONEY: Kurwa mać, dawaj to nazwisko, od czegoś musimy zacząć.

D'ARGENIO: Jezu... dobra, nie żeby to miało znaczenie, bo nikomu nie mówię o naszych interesach, ale nazywa się Tamara Pleece.

MAHONEY: Przeliteruj.

D'ARGENIO: Imię czy nazwisko?

MAHONEY: Oba.

D'ARGENIO: T-A-M-A-R... Nie wiem, czy przez jedno R, czy dwa.

MAHONEY: Nieważne. Nazwisko?

D'ARGENIO: Chyba P-L-E-E-C-E.

MAHONEY: Poznałeś jakieś jej koleżanki?

D'ARGENIO: Tak, parę.

MAHONEY: Studentki, nie?

D'ARGENIO: Niektóre. A co?

MAHONEY: Podaj mi jakieś nazwiska. Wszystkie, które pamiętasz. Mogą być nawet imiona. Wszystko jedno.

D'ARGENIO: Nie wiem. Jak wychodzimy, to nie zwracam uwagi. Tammy zna pół miasta.

MAHONEY: (*wzdycha*) Naprawdę masz ochotę, żeby taki był twój koniec, bo nie chcesz podać paru nazwisk?

D'ARGENIO: Szkoda, że nie szanujesz mnie na tyle, żeby powiedzieć, o co ci, kurwa, chodzi.

MAHONEY: Jedna z psiapsiółek twojej panny jest szpiclem. Próbuje ustalić, która.

D'ARGENIO: O w dupę.

MAHONEY: Właśnie. Obaj będziemy w dupie, jak jej nie znajdziemy.

D'ARGENIO: Kurna, chyba wiem, która. Ta, co ciągle o coś pyta.

MAHONEY: Co?!

D'ARGENIO: Nie rób w gacie, Mahoney, nic nie powiedziałem. Ale poznała, kim jestem, więc wypytywała o moje życie. Ja do niej: co, referat piszesz? A ona, że owszem. To było w sumie miłe.

MAHONEY: Ty głupi fiucie. Co jej powiedziałeś?

D'ARGENIO: Nic o naszych interesach, jak Boga Kocham!

MAHONEY: (*wzdycha*)

D'ARGENIO: Jak Boga kocham, Mahoney, ani słowa.

MAHONEY: Jak ona się nazywa? Ta ciekawska.

D'ARGENIO: Sally.

MAHONEY: Sally i co dalej?

D'ARGENIO: (*długa pauza*) Nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć.

MAHONEY: Nieważne. Zadzwoń za dwadzieścia minut.

Mahoney sięga po najlepsze źródło na świecie: Facebook.

Poważnie, aż dziwne, ilu ludzi wieszka w cyberprzestrzeni nedorzecznie obciążające ich rzeczy. Gdyby miał Faceboka w latach dziewięćdziesiątych, podwoiłby liczbę aresztowań, bez problemu. Łotry nie potrafią sobie odmówić przechwałek, a media społecznościowe dają im ku temu okazję.

Poza tym oszałamiająco łatwo dotrzeć do osób związanych z danym sprawcą.

Dlatego wyszukanie Tamary Pleece z Filadelfii daje natychmiastowy rezultat – witaj, blond ślicznotko – razem z kręgiem jej znajomych. Mały Pete miał rację: laska zna, kurwa, pół miasta. Mahoney przewija i przewija, ale nie trafia na żadną Sally. Zastrany Pete. Może nie ma jej na Facebooku, ale to mało prawdopodobne. Raczej makaroniarzowi pojebało się imię. Sully? Może dziewczyna ma na nazwisko Sullivan? Nie, nazwiskami posługują się tylko faceci. Sally, Molly, Mary, Marie...

Wreszcie widzi: Sarie Holland. Na tyle blisko, żeby to było obiecujące.

Kliku-klik i Rem już jest na jej profilu. Którego nie aktualizowała od grudnia zeszłego roku. Potem jest dużo wpisów z kondolencjami, na żaden nie odpowiedziała. Wychodzi na to, że zmarła jej matka. Smutna historia.

Ale nie to jest na jej stronie najciekawsze. Jest tam cała seria wypełnionych bluzgami hejterskich wpisów autorstwa niejakiego Ryana Koolhaasa, a wszystkie obracają się wokół



jednego tematu: SARIE HOLLAND TO KONFIDENCKA KURWA.

„Ta podstępna suka przyszła do mnie po parę tabsów, a potem zanim się obejrzałem, aresztowali mnie i wyjebali z uczelni! Nie ufajcie tej zimnej piździe! Odpracowuje jakieś własne gównno i sypie, kogo się da”.

No i proszę bardzo.

Witaj, zagadkowa tajna informatorko.

MAHONEY: Znalazłem dziewczynę.

D'ARGENIO: Tak?

MAHONEY: Będziesz się musiał nią zająć.

D'ARGENIO: *(długa pauza)* Dlaczego ja?

MAHONEY: Bo wygląda na to, że przyjdzie z tą twoją Tammy na imprezę, którą dzisiaj urządzasz. Nawiasem mówiąc, stary, czuję się urażony. Nie zaprosiłeś mnie.

D'ARGENIO: Kurwa.

MAHONEY: Dlatego odwołasz imprezę i urządzisz mniejszą, bardziej kameralną. Ja tymczasem sprawdzę, czy moja eks nie ma w zanadrzu jeszcze jakichś niespodzianek.

D'ARGENIO: Kurwa. Dobra. Dam ci znać.

MAHONEY: Koniecznie.

Nazwiska Rema Mahoneya i Petera „Małego Pete'a” D'Argenio łączono w mediach dziesiątki razy. I nie bez powodu: to właśnie Rem przyskrzynył Pete'a w swawolnych latach dziewięćdziesiątych – w epoce, o której teraz mówi „stare dobre czasy”. No bo nie ukrywajmy, jego miasto schodzi na psy.

Dlatego Mahoney umówił się na boku z Włochami, którzy zamierzali wrócić z przytupem. Lepsi już makaroniarze niż cała reszta przyjezdnych pojebów – z meksykańskimi kartełami na czele. Trzeba by przywrócić trochę porządku w tym zwariowanym mieście. Zostawić ćpunów tylko w Pill Hill i Badlands, a resztą niech kieruje mafia... tak żeby Mahoney mógł kierować nią. W Filadelfii egzekwowanie prawa

polega nie tyle na rozbijaniu gangów, co na ograniczaniu ich wpływów. Żadnego porządnego obywatela nie obchodzi, co się dzieje poza jego częścią miasta. W Killadelfii życie jest ciężkie. Nie podoba ci się? To, kurwa, nie ćpaj. Nie handluj dragami. Wtedy nic ci nie będzie. Rodzina Mahoneya ma długą historię konszachtów z rodzinami mafijnymi. To ludzie chciwi, głupi i łatwo ich kontrolować. A Mahoney wie, że właśnie on jest tym gliniarzem, który może nad nimi zapanować i przywrócić porządek w mieście. Pod warunkiem, że ta studentka nie wpierdoli mu się w paradę.

To nie będzie nic wielkiego. Przecież w tym mieście bez przerwy giną tajni informatorzy.

## **12 GRUDNIA (później)**

Mam mało czasu na pisanie, Mamo, ale powiem Ci tyle:

Wszystko zależy od tego, co stanie się dzisiaj. I mam wrażenie, że wszystko wokół mnie wybucha. Tata ze mną nie rozmawia (i chyba mu się nie dziwię). Marty patrzy na mnie, jakbym była córką Diabła.

No i jeszcze ten esemes, który właśnie dostałam. Numeru nie kojarzę, ale wiem, że to od Imprezowicza:

„Cokolwiek robisz... nie rób tego”.

Człowiek od razu nabiera pewności siebie, co nie?

Ale nie mogę zrezygnować z dzisiejszego wieczoru. Jaki mam wybór? Zbyt ciężko pracowałam, żeby to ustawić.

Życz mi szczęścia.

# Jeszcze mnie nie pokonali

## **NABRZEŻE**

**CZWARTEK, 12 GRUDNIA**

Ringo spędza całe popołudnie na szykowaniu punktu przyjmowania szczurów: rozwiesza nowe plastikowe płachty, zamiata betonową podłogę, sprawdza, czy przemysłowy odpływ jest drożny. Praca idzie szybko, więc Ringo ma dość czasu na rozmyślania: kim jest gość, którego się spodziewają? Zwykle on i Frankenstein (albo Ptaku i Lisa) zgarniają szczury wprost z ulicy. Szczerze mówiąc, to najlepsza część zabawy. Ale Mały Pete powiedział, że nie, masz tam zaczekać, szczura sam ci przywiozę.

No i wygląda na to, że Frankenstein ma dzisiaj wolne, co także skłania Ringa do rozważań: czyżby chłopina zdradził? Czy to on będzie tym niespodziewanym gościem?

Ringo rozmyśla i zamiata, rozmyśla i zamiata.

Wieczór przychodzi szybciej, niżbym chciała.

Nie chcę popełnić błędu i niedostatecznie się wystroić (znowu), więc wyciągam czarną sukienkę koktajlową, w której byłam dwa miesiące temu na przyjęciu dla uczestników naszego programu studiów. (Mamo, naprawdę byłabyś nią zachwycona). Nie do końca nadaje się na tę porę roku, ale co za różnica – w parę sekund przejdę z nagrzanego samochodu do aż za ciepłego mieszkania.

Rzecz w tym, że nie mogę się ubrać w domu, bo tata zacząłby zadawać pytania. Dlatego idę do jedyne go ciepłego i w miarę bezpiecznego miejsca, jakie przyszło mi do głowy: toalety najbliższego sklepu Wawa.

Tym razem, dzięki Bogu, nie mam podsłuchu ukrytego w ubraniu. Wildeyowi udało się skołować długopis z nadajnikiem radiowym. (Normalnie Jason Bourne). Jeśli zacznę podejrzewać, że ktoś będzie szukał podsłuchu, znacznie łatwiej pozbyć się długopisu, niż odebrać kawałek sukienki – no i jest to dużo mniej podejrzane. Nie, żeby Wildey się ucieszył, gdybym wyrzuciła jego wypasioną szpiegowską zabawkę. Wtedy wszystko poszłoby na marne.

Cel dzisiejszej misji: imprezować z Peterem D'Argenio tak długo, aż rozluźni się na tyle, żeby zaczął się przechwalać swoim narkotykowym biznesem. Kurczę, przecież już wszystko wypaplał Tammy, więc mam nadzieję, że dziś będzie w chętnym nastroju – bo Wildey cały czas będzie słuchał.

**Zapis wymiany wiadomości SMS między tajnym informatorem nr 137 a Tamarą Pleece, 12.12.2013, godz. 19.47.**

PLEECE: Szybka zmiana planów! Peter chce nam pokazać nowe miejsce na klub nocny nad którym się zastanawia

PLEECE: Możemy się spotkać tam?

PLEECE: będzie mega

TI 137: dobra gdzie?

PLEECE: super trzymaj adres

Wyciągam długopis z torebki i mówię do niego jak do mikrofonu w telewizji. Mamo, muszę przyznać: czuję się zajebiście cool.

„Dobra, właśnie dostałam esa od Tammy. Zmiana miejscówki. Jadę do budynku na rogu Columbus Boulevard i Race Street, pod samym mostem Franklina. To jedyny budynek w tej okolicy, nie licząc hotelu. Przyjąłeś? Kazałeś mi cały czas gadać, stale cię informować, no to masz. Osłaniasz mnie, partnerze?”

Willey nie odbiera tego komunikatu; na minutę przed wysłaniem wiadomości z telefonu Tammy Pleece kapitan Rem Mahoney zdalnie wyłączył transmisję od TI 137 i zastąpił ją własną. To komicznie proste. Mając dostęp do komputera i danych swojej byłej, Mahoney może zrobić w zasadzie wszystko.

Teraz Willey słyszy tylko cichy dźwięk silnika i myśli, że to honda civic jego informatorki w drodze do Society Hill Towers na małą domówkę.

Znajduję miejsce naprzeciwko budynku niedaleko Race Street Pier, po drugiej stronie ulicy. W ciągu kilku sekund z wejścia wyskakuje jakiś parkingowy, przebiega przez ulicę, uskakując przed samochodami, i macha do mnie rękami jak mapet. O co teraz chodzi? Chowam jednorazówkę pod fotel, a potem po raz ostatni odzywam się do długopisu.

„No to idę. Życz mi szczęścia, Willey”.

Spuszczam szybę w tej samej chwili, kiedy parkingowy dochodzi do mojego auta.

„Pani Holland? Znajomi są w środku, czekają na panią. Zaparkuję pani samochód. Lepiej nie zostawiać go tutaj bez opieki”.

Przyznam, że nie mam ochoty oddawać kluczyków, ale co mogę zrobić?

„Dobra, może pan zaparkować moją brykę, ale ostrożnie. Dziewczyna jest temperamentna”.

Willey, nadażasz? Słyszałeś, co mu powiedziałam?

Willey nie ma pojęcia, co mu powiedziała.

Peter, obleśny stary facet Tammy, otwiera drzwi z szerokim uśmiechem na twarzy.

„Cześć, skarbie, wejdź!”

Wystarczył krótki trucht przez ulicę i już się trzęsę. Od rzeki naprawdę mocno ciągnie mrozem.

Rozglądam się po wnętrzu, które w ogóle nie przypomina potencjalnej miejscówki na klub nocny. Wygląda jak wielka piwnica – zakurzona, wilgotna i ciemna. Mimo rozmiarów sprawia dziwnie klaustrofobiczne wrażenie. Drzwi zatraskują się za mną. Wzdrygam się, co przynajmniej na moment powstrzymuje dreszcze. W kącie stoi przypakowany koleś po pięćdziesiątce, trzyma rękę na ręce, jakby próbował na ciężkim kacu wysłuchać długiego kazania. Ma na sobie wojskową kurtkę i czarne rękawiczki. D'Argenio zamyka drzwi wejściowe, niesie się echem głuchy chrzęst zatraskiwanych zasuw. O nie. Nie jest dobrze.

„Ej, gdzie Tammy?”

D'Argenio się uśmiecha.

„Jesteśmy tylko ty i ja, skarbie. No, ty, ja i jeszcze Ringo. Uznałem, że potrzebujemy trochę czasu, żeby lepiej się poznać. Ty wiesz wszystko o moich interesach, a ja mało wiem o twoich”.

Nie, nie, nie...

„Przepraszam, muszę już iść...”

„Przecież dopiero przyszłaś. Chcesz się czegoś napić? Ringo, daj jej drinka”.

Wielkolud w kącie uśmiecha się pod nosem.

„Lepiej odpuśćmy sobie drinki, chyba że chcesz, żebym pobiegł kupić sześciopak”.

D'Argenio z uśmiechem kręci głową.

„Tak. Moja wina. Powinienem wcześniej coś powiedzieć. Mniejsza z tym”.

Wildey, błagam, obyś to słyszał i właśnie śpieszył mi na ratunek.

„Ja naprawdę muszę iść”.

Robię krok w bok, zastanawiając się, czy zdołam obieć D'Argenia i dopaść do drzwi szybciej niż on. Potem uświadamiam sobie, że to na nic, bo klucz do zamka znajduje się w jego kieszeni.

„Ups”.

D'Agregnio naśladuje mój ruch w bok i zastępuje mi drogę.

„Sally, musimy pomówić”.

Oblech chce mi grozić, a nawet nie wie, jak mam na imię.

„Zejdź mi, kurwa, z drogi albo zacznę krzyczeć”.

D'Argenio szczyrzy się od ucha do ucha, ale uśmiech znika, gdy tylko wyciąga ręce w kierunku mojej sukienki. Uchylam się, wydaję z siebie najbardziej przeszywający krzyk, na jaki mnie stać, i wypro-

wadam cios na oślepa, który jakimś cudem trafia D'Argenia w bok twarzy. Nikt nie jest tym bardziej zaskoczony niż ja. Oczy mu łzawią i przez moment jest oszołomiony, jakby pytał sam siebie: czy ta suka naprawdę właśnie to zrobiła? Ale wielkolud w rękawiczkach jest szybki i po ułamku sekundy trzyma moją rękę jak w imadle.

D'Argenio kręci głową z uśmiechem.

„Przecież tylko rozmawialiśmy. A ty zaczynasz drzeć się i bić. Drzyj się, ile wlezie, Sally. Ściany i sufit są dźwiękoszczelne. Zadbalem o to. Zresztą nawet gdyby ktoś cię usłyszał, nic by nie zrobił. Nie jesteś pierwszym szpiclem, którego tu zaprosiliśmy”.

Gdy tylko z jego ust pada słowo „szpicel”, wiem, że mam przerąbane.

„Wildey! Jestem w budynku na rogu Columbus i Race! Zamknął drzwi na klucz!”

Usiłuję się wyrwać, ale wielkolud napiera całym ciężarem. Prędeż popchnęłabym głaz.

D'Argenio, śmiejąc się pod nosem, wyjmuje z kieszeni czarny pistolet. Żołądek podchodzi mi do gardła.

„Wildey, hę? To twój opiekun? No to koniecznie musi nas usłyszeć”.

Robi krok do tyłu, przykłada dłoń do ust, w jednej całej czas trzymając broń, i ryczy:

„Posterunkowy Wildey! Przyjdź szybko! Dziewczyna cię potrzebuje! Wildey! Ogłuchłeś czy co? Wyważ drzwi!”



Milknie na chwilę i przykładła dłoń do ucha, jakby bacznie nasłuchiwała.

„No proszę. Chyba faktycznie nas nie słyszy”.

Potem zwraca się do tego głazu za mną:

„Dobrze ją trzymaj”.

Rękę mam wykręconą za plecami tak mocno, że brakuje mi tchu. Ból jest piorunujący. D'Argenio chowa pistolet za spodnie, a potem delikatnie dotyka mojego brzucha po obu stronach, jakby chciał uspokoić dzikie zwierzę.

„A teraz poszukamy podsłuchu”.

Co, do chuja? Wildey słyszy tylko silnik. No już, Wzorowa Studentko, mów coś do mnie. Kazałem ci prowadzić stały komentarz, nawet jak utkniesz w korku. Zwłaszcza jak utkniesz w korku. Droga do Towers nie powinna tyle trwać.

Nie mów, że znowu rozwaliłaś podsłuch. Wildey sprawdza sprzęt, ale pluskwa działa i nadaje bezbłędnie.

Transmisję z długopisu TI 137 odbiera jednak Rem Mahoney, i na Boga, tym, co słyszy, jest zarazem zniesmaczony i podniecony. (Może jednak na punkcie innych ludzi też jest zbokiem). Jak daleko zamierza się posunąć ten szalony makaroniarz?

D'Argenio podnosi mi sukienkę do kolan, potem do ud. Mimowolnie się wzdrygam. Wielkolud jeszcze mocniej wykręca mi rękę, powodując kolejny silny wstrząs. D'Argenio ogląda moje nogi, kiwa głową z obleśnym uznaniem, po czym unosi sukienkę jeszcze wyżej. O Boże. Tylko nie to. Tylko, kurwa, nie to.

„Hm. W sumie myślałem, że to będzie taki oldskulowy kabel przyklejony do brzucha. Ale pewnie przy dzisiejszej technologii można takie gówno ukryć wszędzie. Trzeba będzie zrobić rewizję osobistą jak na lotnisku. Z przeszukaniem otworów ciała i tak dalej”.

Skurwiel leniwie krąży wzrokiem po moim ciele, od spinki we włosach po palce u stóp, a ja nic na to nie mogę poradzić.

„Czyli chyba jednak będzie impreza, co nie, Ringo?”

Mówię szybko, z nadzieją, że to tylko groźba, że jeśli mu powiem, gdzie mam podsłuch, to przestanie.

„Jest w torebce! To długopis!”

Sukienka opada. D’Argenio uśmiecha się pod nosem, podnosi torebkę z ziemi i otwiera. Znajduje mojego iPhone’a, ogląda go, pyta, czy to ten nowy 5C czy jak mu tam, ale ja jestem zbyt sparaliżowana strachem, żeby odpowiedzieć. Wzrusza ramionami, robi kilka kroków i wrzuca mój telefon do plastikowego kubła z wodą. Potem wypowiada najstraszniejsze słowa, jakie w życiu słyszałam:

„Już ci nie będzie potrzebny”.

Ostentacyjnie po kolei wrzuca zawartość mojej torebki – gumę, eyeliner, puderniczkę, podpaski – do wiadra z wodą, aż w końcu wyciąga długopis. Wymachuje nim jak czarodziejską różdżką.

„Po drugiej stronie nikt nie nasłuchuje, kochanie. Gliny cię sprzedały”.

Wsuwa długopis do kieszeni własnej marynarki i poklepuje. Może uznał, że spyli go w komisie. Po chwili namysłu znowu sięga w kie-

runku mojej talii. Próbuję się wywinąć.

„Co robisz?”

D'Argenio milczy i ponawia czynność.

„Przestań!”

„Co? Nie wiesz, dlaczego tu jesteś? Tammy mówiła, że mądra z ciebie dziewczyna. Na pewno już się domyśliłaś”.

„Nic nie wiem”.

„A czy ja o coś pytam?”

„Błagam, przestań, nie wiem, o co ci chodzi”.

D'Argenio opuszcza ręce, wzdycha, uśmiecha się.

„Mieliśmy takiego faceta... to było z piętnaście, może dwadzieścia lat temu, jak dopiero zaczynałem. No więc gość okazał się kretem, wielkim, kurwa, kapusiem, więc ściągnęliśmy go w takie miejsce jak to tutaj. Tylko że wtedy wyglądało to inaczej. Trochę bardziej, hm, bezpośrednio. Facet wchodzi i od razu się orientuje, co jest grane, ale już za późno. Łapie go czterech gości, po jednym za każdą kończynę, a piąty odrąbuje mu stopę. Tak jest. Bach”.

D'Argenio uderza kantem prawej dłoni o otwartą lewą.

„Facet nie wierzy. Jakby wylądował na planie horroru albo coś. Jeden z naszych daje mu opaskę uciskową i rzuca go w kąt. Gość jest w szoku i tak dalej. Wszyscy tylko się na niego gapią, a on po chwili zaczyna gapić się na nich i zastanawia się, co teraz. Bo przecież coś musi być, nie? Albo jakieś pytania, albo znowu siekiera w ruch. Ale

naszych pięciu nic nie robi. Nic nie mówią, nic nie robią. Tylko się gapią na biednego skurczybyka, a jego to doprowadza do szału. Ciągle krwawi, wie, że nie wyjdzie stamtąd żywy, i nic na to nie poradzi. Zaczyna śpiewać. O wszystkim, co wygadał federalnym, o każdym popełnionym grzechu, o tym, ile razy walił konia. Najskuteczniejsze przesłuchanie, jakie w życiu widziałem. Zgadza się, byłem jednym z tych pięciu gości. Ale nie tym z siekierą. Trochę mnie to obrzydziło, mówiąc szczerze. Ale nauczyłem się wtedy ważnej rzeczy: wystarczy wysłać właściwy sygnał, a nie trzeba już nawet nic mówić. Rozumiesz, co mam na myśli?”

- Puść ją, Richie. Ja się nią zajmę.

Ringo nie ma pojęcia, co chce teraz zrobić Mały Pete. Wiadomo, że przed tym numerem nie było próby kostiumowej, no ale kurwa mać, Ringo nie wiedział, że tu chodzi nie tyle o wyciągnięcie informacji, ile o to, żeby Mały Pete sobie poużywał. Jeśli zrobi się z tego gwałt... to nie ma mowy, wielkie dzięki. Można ją zabić, proszę bardzo, na tym polega ta gra, a skoro mała przyszła z jakimś podsłuchem, to znaczy, że bierze w niej udział. Ale po co ją najpierw torturować? To bez sensu.

Oswobodzona dziewczyna próbuje uciekać, ale D'Argenio chwyta ją w ramiona.

- No chodź. Będzie fajnie.

Ringo nie jest wrażliwcem. On i przemoc to przyjaciele od lat. Nie ma takiej kości, której by komus nie złamał i której jemu by nie złamano. Dwa razy miał pękniętą szczękę, raz czaszkę i podniebienie. Był postrzelony w policzek i w ucho. Zwichnął oba nadgarstki, kostkę, obojczyk, prawe kolano. Stracił całą garść stałych zębów. Miał mnóstwo urazów nóg i obrażeń wewnętrznych. Niezliczone blizny, sińce i stłuczenia. Ale to nic przy szkodach, jakie wyrządził innym. Pierw-

szy raz zabił kogoś dla pieniędzy, kiedy miał trzynaście lat, a potem robił to jeszcze wielokrotnie. Ale to...

- Z całym szacunkiem - mówi - ale czy naprawdę chcemy to robić?

- Z całym szacunkiem, Ringo, stul, kurwa, pysk.

Konfidentka patrzy na D'Argenio.

- Tammy naprawdę cię lubi. Cały czas o tobie mówi.

- Tak? I chyba właśnie w tym problem - odpowiada Mały Pete, prowadząc ją w tył, aż dziewczyna uderza o metalowy wspornik. - Za dużo gada, za mało myśli.

- Nazywa cię swoim Małym Pete'em.

Szef mruga oczami.

- Że co?

- Tak na ciebie mówią, prawda? Mały Pete? Tammy wszystko mi opowiedziała.

- O czym?

- Jaki jesteś mały.

Uch, myśli Ringo. Jeśli ta dziewczyna chce szybko umrzeć, to jest na dobrej drodze. Mimo to trochę go zaskakuje, kiedy jego szef mówi:

- Załatw ją, Richie.

## **SOCIETY HILL TOWERS**

Willey maszeruje prosto do recepcji. Jest w cywilu (i jest czarny), więc ochroniarz mierzy go wzrokiem spod zmrużonych powiek, dopóki nie dowiaduje się, że mężczyzna przyszedł na imprezę na dwudziestym dziewiątym piętrze. Wtedy robi się jeszcze bardziej podejrzliwy. Na dwudziestym dziewiątym nie ma żadnej imprezy, proszę pana, ma pan błędną informację. Willey pyta, czy pod budynkiem jest garaż - spodziewa się znajomej. Ochroniarz wskazuje klatkę schodową, zadowolony, że może się go pozbyć. Willey schodzi.

Niczego nie znajdzie. Honda civic tajnej informatorki nr 137 została przestawiona w inne miejsce wiele przecnic stąd, a kluczyki wylądowały w pobliskiej studzience ściekowej.

Kiedy trzeba kogoś ubić, Ringo nie jest zwolennikiem przeciągania sprawy. Żadnych bzdetów typu „ostatnie słowo?”. Jeśli w to wszystko dodatkowo nie wchodzi tortury i nie trzeba uprawiać gierk psychologicznych, najlepiej załatwić sprawę bez wstępów i ostrzeżeń.

Oczywiście D'Argenio zjebał element zaskoczenia tym swoim durnym „załatw ją, Richie”. Kretyn pierdolony. Dziewczyna, teraz zaalarmowana, wykręca się, obraca i robi parę kroków do tyłu, sprawdzając swoje opcje. Których nie ma wiele. Jest za to uzbrojona w cenną wiedzę. Może i D'Argenio posiada broń, ale sam wie (i ona wie), że nie użyje jej tak po prostu. Wolał, żeby to jego najemnik czynił honory, żeby samemu nie ubrudzić sobie rąk krwią. Brawo, szefie.

- Ani kroku dalej, głupia suko - mówi D'Argenio. - Richie, no już!

Ringo dostrzega daremność wysiłku, ale i tak robi krok naprzód, bardziej z powinności niż czegokolwiek innego. Jak można się było spodziewać, dziewczyna cofa się dalej i warczy:

- Nie zbliżaj się do mnie!

D'Argeniowi pęczniejają żyły na szyi.

- Na co czekasz?

Ringo patrzy na niego, jakby mówił: jaja se, kurwa, robisz? Dziewczyna robi następny krok do tyłu, zbliża się do ściany. D'Argenio niecierpliwie dwa razy macha pistoletem. Tam. Zabij ją.

Ringo wzdycha.

- Daj mi tego glocka.
- Nie. Spluwa odpada. To za proste. Chcę, żebyś kurwie łeb ukreślił, a ja będę się patrzył.
- Przecież wiesz, że mi oczy wydrapie.
- Małej dziewczynki się boisz?
- Pierdol się! - krzyczy tamta.
- Właśnie... szczerze mówiąc, faktycznie się pierdol - mówi Ringo. - To nie ty zostawisz na niej ślady DNA. Ze spluwą będzie dużo łatwiej.

Teraz to D'Argenio wzdycha i kręci głową. Kładzie dłoń na kolbie glocka.

- Dobra. Pośpiesz się i załatw to wreszcie.

Ringo z ulgą robi krok naprzód, żeby wziąć gnata, ale zaskakuje go głośny trzask. Mija chwila, zanim do niego dociera. Dziewczyna wcale nie wycofywała się ze strachu. Przesuwała się krok po kroku w stronę przedmiotu, który najbardziej w całym pomieszczeniu nadawał się na broń: drewnianego mopa. Tego samego mopa, którym parę godzin temu Ringo mył podłogę. Dziewczyna jest wysoka i tyczkowata, ale szybka; rączka mopa strzela D'Argenia w twarz. Ten zasłania się dłońmi i zatacza w bok, ale nie w tym kierunku, który przewidział Ringo, co zmusza go do obiegnięcia szefa. Ale kiedy to robi, mała wycina następny numer: wyciąga spinkę do włosów. Zajebicie ostrą i przyciśniętą do żyły szyjnej szefa. Stoi teraz za D'Argeniem, a bez spinki jej włosy są długie, potargane i dzikie. Wygląda, jakby była zdolna do wszystkiego. Czubek spinki zagłębia się w szyi D'Argenia. Z maleńkiej dziurki kipi krew.

- Jak któryś z was się ruszy - mówi dziewczyna - to wejdzie do końca.

- Richie - warczy D'Argenio przez zaciśnięte zęby. - Ty zjebie!

Ringo uważnie obserwuje Dziką Konfidentkę. Dziewczyna komunikuje swój następny ruch, ale on nic na to nie może poradzić. Wprawilby w ruch reakcję łańcuchową, która dla wszystkich źle by się skończyła.

Zgodnie z przewidywaniami dziewczyna wyciąga rękę, wyszarpuje glocka zza spodni D'Argenia, wali go tą spluwą w kark, a potem popycha na Ringa, który jest gotowy go złapać. D'Argenio odtrąca go na bok, przyciska palce do krwawiącej szyi, a wolną rękę do głowy, która właśnie zaczęła go boleć.

Teraz glock znajduje się w jej rękach, wycelowany w nich obu. Drży, ale dziewczyna trzyma go mocno.

- Ty - mówi. - Richie.
- Przyjaciele nazywają mnie Ringo.
- Nie wkurwiał mnie!

Ringo już unosi otwarte dłonie.

- Wyluzuj, skarbie.  
- Zajeb ją! - woła D'Argenio. Bełkocze. Nieźle go zdzieliła. Może rozmaściła mu o czaszkę trochę mózgu. Może wyjdzie mu to na dobre.

- Włóż rękę do kieszeni szefa, wyjmij klucze i mi je rzuć.
- Już nie żyjesz, ty kurwo!

Ringo patrzy na D'Argenia, szukając wskazówki, co robić, a jednocześnie stara się zachować kamienną twarz. Jebany Mały Pete. Gdyby się, kurwa, zachował jak normalny człowiek i podszedł z bronią do Ringa albo nawet spotkał się z nim w pół drogi, nie doszłoby do tego wszystkiego.

- Dawaj klucze.

To zawsze można poznać po oczach i Ringo poznaje: zdecydowanie dziewczyna jest gotowa pociągnąć za spust. Nie dlatego, że jest zimnokrwistą morderczynią, nic w tym stylu. Jest wystraszonym, rannym zwierzęciem. Jeśli musi tylko pociągnąć za spust, żeby przeżyć, to na bank pociągnie.



- Daj mi klucze, Pete - mówi Ringo.

- Nie. Nie ma chuja.

- Albo mi je dasz, albo zdzieję cię przez łeb i sam je wezmę z twojej kieszeni. Dawaj. To właściwy krok.

Ringo ma nadzieję, że z kolei z jego oczu D'Argenio umie wyczytać, że mówi poważnie. D'Argenio mruczy pod nosem, że kurwa nie wierzy. Sięga do kieszeni i oddaje Ringowi klucze.

- Gotowa? - pyta Ringo dziewczynę.

Ta kiwa głową. Ringo rzuca jej klucze od dołu. Dziewczyna łapie je prawą ręką. Pewnie kiedy była mała, tatuś rzucał z nią piłkę gdzieś na podwórku za domem. Brawo, tatku. Być może właśnie chwilowo uratowałeś córkę przed paskudną śmiercią w punkcie przyjmowania szcurów.

- Pod ścianę - rozkazuje dziewczyna. Strach w jej oczach częściowo zastąpiła nadzieja.

- Czy ty w ogóle wiesz, jak tego używać? - pyta D'Argenio.

- Chcesz się przekonać?

Potem dziewczyna rusza do wyjścia, patrzy na nich, patrzy na drzwi i przekręca klucz.

D'Argenio uśmiecha się pogardliwie.

- Pięciu, kurwa, minut nie przeżyjesz na ulicy, jak roześlę wiadomość!

Dziewczyna otwiera zamek, a potem ogląda się na Pete'a.

- Czy ty się naprawdę prosisz, żebym cię zabiła?

Ringo nic nie poradzi. Zaczyna się śmiać. Głośno, z brzucha. D'Argenio jest tak wściekły, że Ringo wprost czuje żar bijący od jego skóry. Drzwi się zatrząskują. Jebany Mały Pete. Zupełnie jak za starych podłych czasów. Ringo tak bardzo się śmieje, że nie słyszy, że D'Argenio podnosi mopa. Zwraca uwagę dopiero wtedy, gdy łamie go o kolano i rusza na niego.

Mamo, jestem pieprzonym jełopem. Rozgrywali mnie. Cały czas mnie rozgrywali.

Tylko dwie osoby wiedziały, że mam podsłuch: porucznik Mahoney i posterunkowy Wildey. Nie było posiłków, nie było wsparcia technicznego, nic. Tylko tych dwoje. Więc albo wysłali mnie na śmierć, albo zlekceważyli moje wołanie o pomoc. Obie rzeczy są niewybaczalne. Nie mogę już ufać policji.

D'Argenio miał rację. Gliny mnie sprzedały.

Dlatego teraz biegnę Drugą Ulicą w temperaturze minus siedmiu stopni, ubrana tylko w nylonową sukienkę koktajlową na cienkich ramiączkach. Wiatr smaga mnie włosami po twarzy i piecze w policzki. Stopy potwornie mnie bolą, ale nie śmiem zdjąć szpilek. Nie mam dokąd uciekać, tylko na południe, na południe Drugą Ulicą, do małego szeregowca przy Vernon Street – to moja jedyna nadzieja.

Rem Mahoney nie może uwierzyć, co tam się odjebało.

Jeździł sobie spokojnie ulicami swojej dzielnicy, Mayfair, słuchając, jak dwóch makaroniarzy torturuje bezczelną studenteczkę. Słyszał panikę w jej głosie, co czyniło audycję jeszcze bardziej podniecającą. Przyciszył transmisję, mijając dawny dom matki (z szacunku, niech cię Bóg błogosławi, Rosemarie), ale gdy znowu pogłośnił, coś się zmieniło; role się odwróciły.

*Daj mi klucze, Pete.*

*Nie. Nie ma chuja.*

Mahoney o mały włos nie rozbija się o sznur samochodów zaparkowanych przy Robbins Avenue, kiedy słucha, jak ta smarkata konfidentka przechytrza dwóch zatwardziałych gangsterów i spierdala w ciemną noc.

Daje gazu na Harbison Avenue, kieruje się w stronę I-95, dzwoni do Frankensteina, lawirując wśród wolno jadących samochodów, i ciągle nie może w to uwierzyć.

Na dole nie ma hondy civic. Ba, hondy civic nie ma w całej okolicy Society Hill Towers. W każdym razie nie takiej, jaką jeździ jego informatorka. Czy ktoś ją przechwycił po drodze? Jeśli tak, kiedy to się stało? I jak?

Dobrze wiesz jak, Benjaminie Franklinie Wildeyu. Po prostu boisz się o tym myśleć, a co dopiero powiedzieć to na głos. Prawda? Zgodziłeś się na ten numer tylko dlatego, że kompletnie nie wierzyłeś, że może być umoczona. Myślałeś, że w ten sposób ujawnisz jakiś inny przeciek, wymusisz na kimś ruch...

Wybacz mi, Wzorowa Studentko. Proszę, wybacz mi...

Po nie wiem ilu przecznicach na mrozie, z torebką przyciśniętą do biodra, dopadam do małej mety narkotykowej Chuckiego Morfiny. Nie pali się światło; jest spora szansa, że już opuścili to miejsce. Będę pukać do drzwi, nikt mi nie otworzy i zamarznię tutaj na śmierć.

Ale Chuckie obiecał... więc pukam, najpierw nieśmiało, a potem walę jak najmocniej. Wszystko jedno; ręce mam tak przemarznięte, że aż palą.

Ku mojemu zdziwieniu ktoś otwiera. To Keith, ten zbir harleyowiec, który zrobił mi dziurę w szyi. Tylko że teraz skórzaną kurtkę zamienił na puchową parkę i tatusiowate džinsy.

„O, to ty”.

„M-muszę zobaczyć się z Ch-Chuckiem”.

Zęby klekoczą mi jak klawisze pianina. Nie wiem, czy hiperwentyluję dlatego, że otarłam się o śmierć, czy z powodu tego marszu. Tak czy inaczej jestem przemarznięta i wyglądam koszmarnie. Keith, z tymi swoimi włosami skunksa, tylko się na mnie gapi, nie może się zdecydować. Robię krok naprzód, chcę poczuć choć trochę ciepła ze środka.

„Błagam, z-zajebicie zimno”.

„Chuckiego tu nie ma”.

„Będzie chciał usłyszeć, co mam do powiedzenia”.

Keith waha się jeszcze z dziesięć lat, aż wreszcie mówi „no dobra” i usuwa się z drogi. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie cieszyłam z wejścia do domu, nawet jeśli ten dom należy do bossa narkotycznego. Jest nieogrzewany, ale ja czuję się jak w samym środku pieca do pizzy. Rozcieram dłonie, torebkę trzymam wetkniętą pod pachę, a tymczasem Keith dzwoni do Chuckiego.

„Aha... No, właśnie to robię... Aha... Właśnie teraz... No... Na pewno? Bo mówi, że ma dla ciebie coś ważnego... Dobra... Jasne”.

Keith patrzy na mnie znużonym wzrokiem.

„Chuckie mówi, że o cokolwiek chodzi, możesz powiedzieć to mnie”.

„Nie. Nie taka była umowa. Mam mu powiedzieć bezpośrednio”.

„Nie przyjedzie tutaj, a ja cię do niego nie zabiorę”.

„I najpierw chcę zobaczyć D.”.

Keith wzdycha, co mnie wkurza. Jakbym sprawiała mu kłopot. Jakie inne pilne sprawy może tutaj mieć, siedząc w ciemnym, pustym, nieogrzewanym domu w samym, kurwa, środku South Philly?

„Nigdzie nie pójde, dopóki go nie zobaczę. I możesz to powiedzieć swojemu szefowi”.

Keith opuszcza ramiona, jakby był najbardziej wykorzystywanym sługusem w historii gangów narkotykowych. Ale ma też zimny błysk w oku.

„Chcesz zobaczyć chłopaka? Zabiorę cię do niego”.

„Świetnie”.

„Chodź za mną”.

„Jak to, on jest tutaj?”

Schodzę za Keithem po drewnianych schodach do piwnicy, ale w brzuchu rośnie mi zimna, twarda bryła lodu. Częstka mojego umysłu zaczyna rozumieć, co zaraz zobaczę – ale druga nie chce w to uwierzyć. Ta, która krzyczy do mnie: ZŁY RUCH ZŁY RUCH ZŁY RUCH. Sięgam do torebki i wyjmuję matowoczarny pistolet, który zabrałam Peterowi D'Argeniowi.

Harleyowiec Keith sięga do kieszeni parki po nasączoną chloroformem szmatę w torebce strunowej. Już jej dziś użył, ale powinna wystarczyć na drugi raz. Jak nie, to wszystko jedno, po prostu skręci dziewczynie kark.

Ale chce, żeby zobaczyła tę kupkę w kącie piwnicy przykrytą brezentem. Podobno jest bystra, więc pewnie domyśli się, co jest pod spodem, zanim Keith będzie musiał unieść

róg. A kiedy dozna szoku, on potraktuje ją szmatą, uśpi, a potem załatwi, jak zarządził Chuckie Morfina. Później, w nocy, zostanie już tylko robota w cemencie, dwa w cenie jednego.

Po kilku stopniach już to widzę, pośrodku piwnicy: niebieską płachtę, która przykrywa jakiś ludzki kształt. O Boże, niech to będzie tylko moja wyobraźnia. Obok znajdują się kawałki betonu z fundamentów, zapewne odkruszone, żeby odsłonić ziemię pod spodem. Worek zaprawy, pojemnik do mieszania i kielnia. Błagam, niech to nie będzie to, co myślę...

Celuję z glocka w Keitha, który znajduje się kilka stopni pode mną.

„Co jest pod tą płachtą?”

Keith się zatrzymuje, obraca, podnosi wzrok, widzi broń, uśmiecha się.

„Może lepiej to odłóż, skarbie”.

„Mów, co tam jest”.

„No nie wiem. A jak myślisz?”

„Mów albo zaraz cię zastrzelę, przysięgam na Boga!”

Keith podnosi ręce. W prawej ma plastikową torebkę z jakimś zwinętym materiałem. Jego plan powoli staje się jasny. Chryste, on nawet nie zamierza tego ukrywać.

„Chyba nie myślałaś, że Chuckie pozwoli wam żyć, co? Bawił się z wami dwojgiem, liczył na jakieś informacje. Ale od początku nie było opcji, żebyście uszli z życiem. Wiesz o tym, prawda?”

„To twoja ostatnia szansa”.

„Jedno ci powiem. Twój chłopak poszedł dla ciebie na całość. Błagał, prosił, obiecywał, że będzie to odpracowywał latami, byleśmy puścili cię wolno. Kiedy to nie wypaliło, próbował zwiać. I właśnie w ten sposób skończył tutaj”.

„Nie”.

„Tak. A teraz to samo spotka ciebie”.

Mówiąc to, Keith rzuca się po schodach w moją stronę.

Pociągam za spust. Słuchać pstryknięcie, ale nic się nie dzieje. Kurwa! Nie, nie, nie, to nie może być prawda.

Zataczam się do tyłu. Uderzam tyłkiem o drewnianą krawędź stopnia. Keith biegnie po schodach tak ciężko, że aż się trzęsą. Właśnie ma mnie złapać za ręce, kiedy krzyczę i znowu pociągam za spust. Tym razem rozlega się głośny huk. Nawet nie celowałam, ale twarz Keitha eksploduje.

Jego ciało leci w tył, spada ze schodów.

Czekam, aż będę pewna, że już się nie ruszy. Potem się dźwigam, chwytając za poręcz. Drzę tak bardzo, jakbym była o krok od opuszczenia własnego ciała, a moja dusza miała wystrzelić jak dziecko z karuzeli. Jakimś cudem zmuszam swoje nogi do współpracy. Krok w dół. Krok w dół. Krok w dół. Robię krok nad ciałem Keitha i podchodzę do płachty. Dół obok niej nie ma sześciu stóp głębokości, ale wystarczy, by stać się grobem. Kiedy przykucam, ze zdziwieniem stwierdzam, że matowoczarny pistolet wciąż się znajduje w mojej

dłoni. Wyciągam drugą rękę. Powierzchnia brezentu jest szorstka i zimna.

Płaczę, jeszcze zanim unoszę i odciągam krawędź.

- Musimy porozmawiać.
- Jak operacja? Gdzie jeden trzy siedem?
- Właśnie o tym musimy porozmawiać.
- Wypluj to z siebie, Wildey.
- Czyli mnie do tego zmusisz, co? Jaki jest twój cel, Szefowo? W ogóle jakiś masz?
- Czymś się naćpałeś? Gadaj z sensem.
- Wiedziały o niej tylko dwie osoby. Sama mi to powiedziałaś. A ja na pewno nikomu nie wygadałem. Więc zostajesz ty. To od początku byłaś ty.
- O kurwa... co się stało z dziewczyną?
- Jesteś skończona, Szefowo. Teraz zadzwonię do twojego byłego męża. Wiesz, tego, który pracuje w biurze spraw wewnętrznych.
- Mów, co się, kurwa, stało z dziewczyną!!!

Nie jestem już Sarie Holland.

Jestem tajną informatorką numer 137.

Tajna informatorka numer 137 idzie otępiała pokrytymi śniegiem i lodem ulicami South Philly. Nie pamięta, jak opuściła dom ani którą drogą poszła. Ulice zlewają się w jedną rozmazaną plamę. Nie powinna tu być. Powinna być na kampusie uniwersyteckim w słonecznej Kalifornii, a nie w dzielnicy, w której ludzie grzebią innych ludzi w piwnicach. W takiej dzielnicy nawet pogoda spiskuje przeciwko tobie: wąskie kwartały, przenikliwy wiatr, zepsute latarnie. Można się tu zgubić na zawsze. Nie ma ucieczki. Ukryć się można tylko na chwilę.



Dlatego TI 137 korzysta z pierwszego schronienia, które zauważa. Wchodzi do narożnego baru, Dugan's Den, tylko w połowie pełnego. Siada na stołku. Barmanką jest blondynka o kręconych włosach, pewnie młoda babcia, która wciąż się maluje tak, jakby trwały lata osiemdziesiąte. Może każe pokazać dowód i wyrzuci TI 137 z powrotem na mróz.

„Co dla ciebie, skarbie?”

TI 137 zamawia colę light. Barmanka kiwa głową i pyta, czy podać menu. TI 137 odmawia, nie wie nawet, jak zapłaci za napój. Nie ma torebki, telefonu, kluczyków od samochodu, dokumentów, niczego. Ale dobrze się schować przed chłodem, nawet na parę minut.

Wie jedno: nie może wrócić do domu. Bo śmierć, która za nią podąża, dotarłaby i tam, a ona nie może tego zrobić ojcu ani bratu. Więc co teraz? Jaki będzie twój ruch, szpiclu? Zadzwonisz na policję?

„Proszę bardzo, skarbie. Na pewno nie chcesz nic jeść?”

TI 137 kręci głową.

Nie komplikuje. Chłonie ciepło baru. Słucha piosenki grupy Dr. Dog, która łomocze w tle. Sący colę maleńkimi łykami, żeby starczyła na dłużej. Bo im wolniej będzie ją piła, tym dłużej będzie mogła siedzieć tutaj, wśród żywych. Faceci w barze trzymają się z daleka, jakby wystarczyło na nią popatrzeć, by wiedzieć, że jest zgubiona. Wszyscy faceci poza jednym.

„Cześć. Mogę się dosiąść?”

Stołek stęka, kiedy tamten wsuwa się na niego swoim ciężarem.

„Co za noc, no nie?”

TI 137 nie przyjrzała mu się dobrze w sali egzekucji. Tam był tylko dwunożnym uosobieniem krwawej śmierci – typowym zbirem, bandziorem, mięśniakiem. Ale teraz, gdy siedzi na stołku obok, a ona widzi go z profilu, dostrzega nos zakrzywiony jak u jastrzębia. Jego oczy są jednak łagodniejsze, niż zapamiętała. Może tak działa Śmierć. Chce cię trochę zaczarować, zanim porwie twoją duszę.

TI 137 wypija łyk coli i mówi cicho, spokojnie:

„Zabijesz mnie”.

To bardziej stwierdzenie niż pytanie.

„Czy ty się naprawdę prosisz, żebym cię zabił? Ha! Czy jak ty to powiedziałaś. Lepszego tekstu w życiu nie słyszałem! Co pijesz?”

TI 137 mu mówi. Mięśniak się krzywi, stwierdza, że tak nie można. Po nocy, jaką przeżyli, muszą się napić czegoś porządnego, najlepszego bourbona, jaki mają w takim lokalu. Tym bourbonem okazuje się wild turkey, bez lodu. Mięśniak zamawia dwa i podsuwa mi jednego.

„Jak mnie znalazłeś?”

„No cóż, wiem, że nie poleciałaś od razu na psy, bo jak już udusiłem Małego Pete’a, siedziałem tam dłuższą chwilę i czekałem, aż przyjadą”.

„Ty... go zabiłeś?”

„Długa historia. Nie. W sumie krótka. Był dupkiem. Jebać go. Wszystko jedno. Już z nim skończyłem. Wróćmy do ciebie. Kiedy się zorientowałem, że nie wezwałaś policji, stwierdziłem, że będziesz gdzieś tutaj. Więc zacząłem cię szukać”.

TI 137 milczy przez chwilę (i wypija jeszcze łyk), trawiąc tę informację. Coś jej się nie zgadza.

„Więc przeszukując South Philly na chybił trafił, przyszedłeś akurat do tego baru?”

„No... nie. Zobaczyłem, jak zasuwasz Drugą Ulicą, jakby ci się gacie paliły. Nie wiedziałem, jak cię zatrzymać, żebyś nie zaczęła krzyczeć i nie spanikowała, a potem weszłaś do tego domu na Vernon Street. Pomyślałem, że zapukam, ale wytoczyłaś się stamtąd jak zombi. Więc przyszedłem za tobą tutaj. Stwierdziłem, że w miejscu publicznym tak nie spanikujesz. A właśnie, dzięki, że w miejscu publicznym nie spanikowałaś”.

TI 137 wypija łyk coli light, alkohol ignoruje. Mięśniak obala swoje wild turkey, wzrusza ramionami, potem wypija jej i zamawia następną kolejkę. Reszta baru nie zwraca na nich uwagi. Pewnie wszyscy myślą, że to jakaś scena między ojcem i córką, a nikt się nie chce mieszać w taki syf.

„Skoro mnie nie zabijesz, to po co za mną poszedłeś?”

„Wyjaśnię za chwilę. Ale mogę najpierw o coś zapytać?”

„O co?”

„O twoje imię”.

Tajna informatorka nr 137 podaje mu swoje imię, prawdziwe imię, uznając, że co za różnica? I tak jest zdemaskowana. Mięśniak odpowiada swoim prawdziwym imieniem (Richie) oraz ksywą (Ringo) i jej pochodzeniem (ten nos). Ona mówi mięśniakowi, że wcale nie przypomina Beatlesa. Mięśniak chyba to docenia. Zgadniają się mówić sobie po imieniu. Richie zamawia jeszcze jedno wild turkey. TI 137 zamawia jeszcze jedną colę light i paczkę czipsów.

„Serafino... piękne imię, na marginesie... Dobra, powiem ci, czego się domyślam, a ty mnie w razie czego popraw. Ale jesteś szpiclem, prawda?”

„Wolę określenie kanarek”.

Richie pozwala sobie na uśmiezek.

„Dobrze, Panno Kanarek. Ale masz układ z policją, tak? Nie odpowiadaj, zakładam, że masz. Na to właśnie liczę. Bo wiesz, zabicia takiego gościa jak Mały Pete raczej mi nie wybaczą. Mam równo przejebane, a mój jedyny ratunek to immunitet. Więc mam nadzieję, że zaprowadzisz mnie do swojego gliniarza. Ja też chcę iść na układ. Może wstawisz się za mną, że ci pomogłem i w ogóle?”

TI 137 wie, że nie będzie żadnego „układu”. Wildey mnie wyruchał, zostawił na śmierć. Ale okolica jest wroga i zimna, więc przydałby jej się przyjaciel.

Śmierć może iść się jebać – TI 137 chce żyć.

Wróc: ja chcę żyć.

Chcę ukarać skurwieli, którzy zabili D.

Chcę zaszkodzić policji za to, co mi zrobiła.

Martwej mi się to nie uda.

Dopijam colę light i obracam się na stołku w stronę mojego nowego najlepszego przyjaciela.

„Jesteś głodny, Richie?”

„Jak wilk. Ale tu mają gówniane żarcie. Chodź, zaparkowałem niedaleko”.

- Mamy ich.

- Ich?

- Jest z nią Ringo. Mówiłem ci, kapitanie, że z tym zębem coś nie w porządku.

- Szlag by to.

Rem Mahoney już wie, że Ringo ich zdradził. Usłyszał na podsłuchu obrzydliwy trzask karku Pete'a D'Argenia, a potem kpiący szept do długopisu - *Halo, El Jefe! Składam wymówienie. Wesołych Świąt!* - aż w końcu i długopis pękł. Koniec transmisji.

Utrata D'Argenia to chujowa wiadomość, ale nie katastrofa. Zawsze są inni gangsterzy. Może Rem źle zrobił, wybierając klan D'Argeniów. Może Perelli byliby lepsi. Jebany Mały Pete; trzeba było latem zdać się na intuicję i postawić na Lisę. Wtedy Remowi wydawało się, że to rzadki przypadek, kiedy myśli głową, zamiast futem, ale teraz wychodzi na to, że penis był lepszym doradcą. Lisa to naprawdę zimna suka; Mahoney zawsze będzie kwestionował swój pociąg do takich babek. Sprawdzi się jako prawa ręka.

Ale nie, w tej chwili liczy się opanowanie sytuacji. W tej chwili w tym mieście żyją i oddychają dwie osoby, które

mogą wszystko wysadzić w powietrze. Rem musi dopilnować, żeby przestały oddychać.

- To jak, kapitanie?
- Zrób to.
- Będziemy musieli być troszkę zuchwali.
- Macie moją zgodę na zuchwałość.

Ringo upiera się przy Melrose Diner. Róg Passyunk i Snyder, duma! Nie ma drugiego takiego miejsca; Ringo uwielbia je, śnił o nim przez cały pobyt w Kansas. Pierwszy posiłek po powrocie zjadł właśnie tutaj i oblizał palce do czysta. Tyle wspaniałych wspomnień.

Teraz zamawia stek po chicagowsku z jajkami, smażonymi ziemniakami i serkiem wiejskim. Dziewczyna, Serafina, zaskakuje go, zamawiając jajka na bekonie z dodatkowym bekonem (z akcentem na bekon). A sprawiała wrażenie wegetarianki, co to się pilnuje z jedzeniem. Ale brawo, mała - wsuwaj bekon. Dodatkowo Ringo prosi kelnerkę, żeby donosiła kawę jak Beyoncé, czarną i gorącą. Serafina gapi się na niego.

- Coś ty powiedział?

Ale lekko się przy tym uśmiecha i Ringo już wie, że będzie dobrze. Przez chwilę go zmartwiła.

Zanim podadzą jedzenie, podsuwa małej swoją komórkę.

- Możesz ode mnie zadzwonić. Myślę, że będziemy tu bezpieczni, w miejscu publicznym, dopóki nie ustalimy punktu spotkania.

- Spotkania z kim? - pyta Serafina.

- Słuchaj, orientuję się, jak to wszystko działa. Nie wiem, kto był twoim opiekunem, ale całością rządzi ta ruska babka. Nie jestem głupi. Wiem, że to stąd mieliśmy wywiad.

- Więc to ty zabijałeś informatorów - stwierdza dziewczyna cicho.

- Tak. To znaczy nie. Nie tylko ja. Ja i trzy inne osoby. Ale podam je twojej rosyjskiej damie na srebrnym talerzu razem z całym brudem, jakiego będzie potrzebowała na byłego męża. Nigdy fiuta nie lubiłem.

Ringo przestaje mówić, kiedy przychodzi kawa. Ale patrzy na dziewczynę z uniesionymi brwiami, praktycznie krzyżąc: no i co ty na to?

- Jeśli to jest ten twój wspaniały plan, to oboje mamy przesrane. Ta rosyjska dama, jak ją nazywasz, jest umoczo-  
na. Mój opiekun też. Wysłali mnie do was na śmierć.

- Wątpię. Jak dla mnie ten numer zaaranżował jej mąż, ten z biura spraw wewnętrznych. Podobno zainstalował w jej mieszkaniu podsłuch i w cholerę kamer, jak w tym dziwnym filmie z Sharon Stone i tym Baldwinem, nie Alekiem, którymś z pozostałych.

Serafina mruga, zupełnie zdezorientowana.

- O czym ty mówisz?

Nie ma szans usłyszeć odpowiedzi Ringa. Bo już po chwili jest zbyt zajęta krzykiem.

Lisa i Frankenstein, w bluzach z kapturem i takich maskach, jakie nosi się przy zimnie albo podczas napadu na bank, wchodzą do knajpy w tej samej chwili, kiedy z kuchni wyjeżdżają zamówienia Ringa i TI 137. Oboje idą tak blisko za kelnerką, że Frankenstein mógłby wyciągnąć rękę i wziąć sobie z gorącego talerza kawałek bekonu. Dobrze pachnie ten bekon. Może jak już będzie po wszystkim, wpadną do podobnego lokalu.

Lisa zerka na niego, kiwa głową. Frankenstein odpowiada kiwnięciem. Lisa popycha kelnerkę do przodu. Taca i śniadania fruną w powietrzu. Frankenstein wyciąga z bluzy pistolety, celuje. Konfidentka przy stoliku widzi przewracającą się kelnerkę, broń; krzyczy. Ringo reaguje na jej krzyk.

Obraca się i tym samym płynnym ruchem odrzuca stół na bok. Lisa też już ma pistolety w rękach. Ringo rzuca się przed siebie, pewnie chcąc się przeczołgać przez biedną dziewczynę i uciec. Ale nie ma ucieczki. Są za blisko.

Otwierają ogień.



# Lot kanarka

## **POD MOSTEM BENA FRANKLINA CZWARTEK, 12 GRUDNIA**

- Dzikus.
- Szefowo.

Przez ostatnie dwie godziny Wildey jeździł po całym mieście szukając hondy civic, nasłuchując policyjnej częstotliwości i rozmyślając o palcu, który trzymał na guziku atomowym. Bo telefon do Rema Mahoneya rzeczywiście zakończyłby karierę Kaz. Choć Wildey wie, że przeciek pochodzi od niej, nie ma mocnych dowodów. Przed naciśnięciem guzika musiał być absolutnie pewien. I kiedy był daleko w Olney (mając nadzieję, że zauważy hondę gdzieś na kampusie), pojawiło się zgłoszenie: ktoś anonimowo doniósł o ciele ładowanym na pickupa pod mostem Franklina. To niedaleko Society Hill Towers. Wildey pędził Broad Street na złamanie karku.

Najwidoczniej jego wkrótce-już-była-przełożona też usłyszała to zgłoszenie i pomyślała o tym samym, bo stoi na obrzeżu, podczas gdy technicy badają miejsce zbrodni.

- Co się dzieje? - pyta Wildey, lawirując wśród tłumu. Policjanci, telewizja, gapie. Potem zniża głos do gorączkowego szeptu: - Powiedz, że jej tam nie ma.

- Nie ma. Chcę ci coś pokazać.

Wildey idzie za nią do budynku. Gdy tylko wchodzi do środka i widzi ten cały plastik i krew, żołądek podchodzi mu do gardła. Nie. Nie ona. Nie tutaj. Każdą powierzchnię pokrywa przezroczysta folia, jakby ktoś szykował się do malowania. Ale tu nie chodzi o remont; to sala egzekucji.

- Jezu Chryste.

- Żadnych ciał, tylko śladowe ilości krwi - mówi Kaz. - Nie znasz jej grupy krwi, prawda?

Wildey przyznaje, że nie zna.

- Ktoś coś słyszał? Krzyki i tak dalej?

- Nie. Ściany są za grube, ryk na moście za głośny. Doskonały punkt, żeby kogoś torturować i zabić, nie sądzisz? Chyba wreszcie trafiliśmy na miejsce, do którego zabierano naszych informatorów.

- Do którego ty ich wysyłałaś - warczy Wildey.

- Jestem raczej pewna, że twoja dziewczyna tu była.

- Skąd wiesz?

Kaz idzie w kąt pomieszczenia, gdzie technicy zapakowali wszystkie przedmioty nieprzybite do podłogi. Wildey rusza za nią. Kaz kuca, podnosi plastikową torbę, pokazuje Wildeyowi. Wewnątrz znajduje się długopis TI 137 z podsłuchem, przełamany na pół.

- O kurwa - mówi Wildey, patrząc przez ramię Kaz na pozostałe zapakowane przedmioty. Torebka. Pilnik. iPhone. Wszystkie rzeczy osobiste Sarie Holland.

- Wszystkie części układanki są tu - stwierdza Kaz. - Trzeba tylko poskładać je do kupy. Do tego czasu, posterunkowy Wildey, jest pan zwolniony z obowiązków. Proszę się nie oddalać.

## **FOX CHASE**

### **13 GRUDNIA**

Trudno powiedzieć, co robi Kevin Holland, ale nie można nazwać tego snem. Jego organizm przeszedł w tryb oszczędzania energii, podczas gdy on niewidzącym wzrokiem gapi się w sufit, czekając aż kawałek taniego plastiku wyda jakiś dźwięk. Głupi telefonie, zróbże coś.

Sen i tak jest niemożliwy. Laura zawsze żartowała, że kiedy człowiek zostaje rodzicem, pierwszą rzeczą, którą traci,

jest zdolność spokojnego snu... do końca życia. Odpoczynek nie wchodzi w grę, dopóki twoje dzieci nie znajdą się z tobą bezpiecznie pod jednym dachem, gdzie w każdej chwili możesz do nich zajrzeć. Siemasz, maluchu, tak tylko sprawdzam, czy jeszcze oddychasz. Sorry, taka praca. Nie przeszkadzaj sobie.

Kevin nie miał wiadomości od Sarie od 19.14, kiedy przysłała mu esemesa, że posiedzi w bibliotece na kampusie jeszcze parę godzin, żeby nadrobić przygotowania do ostatniego egzaminu przed przerwą świąteczną. W co Kevin niezbyt uwierzył. Wiedział, że jeden egzamin już dzisiaj przegapiła. (Zadzwoił zaniepokojony wykładowca). Czym jest jeszcze jeden? Ale trzeba umieć wybierać bitwy.

Teraz Kevin rozpaczliwie żałuje, że nie wybrał właśnie tej.

Wstaje z kanapy. Rozciąga chude ciało, usiłując złamać sobie grzbiet. (Ten odmawia). Znowu sprawdza komórkę. (Nic). Kiedy przestaje być za wcześnie na panikę? Jeszcze raz sprawdza telefon, sprawdza, czy przypadkiem nie wyciszył głosu. (Znowu nic). Potem robi coś, o co nigdy by się nie podejrzewał w takiej sytuacji: odmawia krótką modlitwę, mamrocze ją cicho, na wypadek gdyby aniołowie wymagały formy głosowej.

Laura, kochanie, jeśli jesteś tam na górze i mnie słuchasz, daj mi jakiś znak. Tak, wiem, że pewnie teraz się ze mnie śmiejesz, bo niepotrzebnie się martwię. Albo srogo się krzywisz, bo od ostatniej Gwiazdki jako ojciec jestem strasznym dupkiem. Ale tak czy inaczej daj mi znać. Strzel mnie w czoło, jak lubiłaś robić. Zajrzyj do naszej córeczki, dobra? Powiedz, że nic jej się nie stało.

Kevin człapie do kuchni, nalewa sobie szklanek wody prosto z kranu. Stary dobry Poncz z Schuylkill. Ma tak ściśnięty żołądek, że o mało nie wyrzuca wszystkiego z powrotem do zlewu. Trzeba było zjeść dziś obiad.

- Tato?

Na dźwięk głosu Marty'ego Kevin o mało nie robi w gacie. Dochodzi do siebie, zanim się odwróci.

- Cześć, stary.

- Czekasz na Sarie?

- Tak. Ale czemu ty jeszcze nie śpisz? Mam nadzieję, że nie chcesz przyłapać Świętego Mikołaja na gorącym uczynku. Bo to dopiero za parę tygodni.

Marty przewraca oczami. Kevin jest raczej pewien, że chłopak wie, jak to naprawdę jest z Mikołajem. Zwłaszcza po zeszłorocznych koszmarnych świętach.

- A dlaczego ty nie śpisz, tato?

- Czekam, aż Sarie wróci do domu.

- Aha. Mogę trochę gorącej czekolady?

- Jasne, stary. Jak dasz radę, przy okazji zrób mi kawę.

Kiedy Marty zajmuje się czajnikiem i dużym ceramicznym kubkiem z napisem LA JOLLA, Kevin znowu sprawdza telefon. Znowu kurwa nic. Po chwili zastanowienia wysyła kolejnego esemesa, w którym praktycznie błaga córkę: nieważne, o co chodzi, niech da znać, że nic jej nie jest. Mówi sobie, że jeśli to wszystko kara ze strony Sarie za to, jak zachowywał się przez ostatni rok, nie będzie się wściekał. Obiecuje, przysięga na Boga, na własne życie. Jasne, da jej do zrozumienia, jakie to okrutne, ale natychmiast jej wybaczy. Była była cała i zdrowa. Nie może jej stracić, nie teraz.

To tylko chwila, ale Kevin je wychwytuje - trochę podstępne spojrzenie syna. Jakby coś wiedział, ale nie chciał wsypać siostry. Godne uznania, ale jednak niewłaściwe.

- Martin.

- Co... tato? - Marty wie, że kiedy pada jego pełne imię, nigdy nie wróży to nic dobrego.

- Czy wiesz, gdzie jest Sarie? Nie będziesz miał kłopotów, obiecuję. Tylko powiedz mi prawdę.

- Nie wiem, tato.

Oczy Martina chyba nie kłamia. No więc dobrze. Może nie wie, gdzie jest teraz jego starsza siostra. Ale był taki moment, sekundę temu, kiedy na pewno coś ukrywał. Kevin mówi sobie, że musi do tego wrócić, skupić się na bieżącym zadaniu: natychmiastowym zlokalizowaniu Sarie.

- Nie oddzwania. I nie odpisuje. Może zgubiła komórkę.

- A Tammy?

Właściwie to Kevin myślał już o telefonie do Pleece'ów, no ale Chryste, jest już po północy. Późno, ale nie obrzydliwie późno. Mógłby zadzwonić później, gdyby zaszła taka potrzeba. Jest jednak ktoś, do kogo można zadzwonić już teraz. Ktoś, kto raczej nie śpi. Kevin przeszukuje spis kontaktów, aż znajduje właściwy, wybiera go. Dwa dzwonki później następuje połączenie.

- George, nie śpisz?

- Wiesz, że nnnigdy nie śpię. Co tam, złociutki?

George Ponus, kolega Kevina z liceum, jest policjantem. Nie takim prawdziwym policjantem, jak lubi mu złośliwie wytykać Kevin. Pracuje w administracji albo jakimś podobnym gównie i od piętnastu lat nie nosił broni. Ale może zdobyć policyjne odpowiedzi. Poza tym jest trochę pijusem i cierpi na bezsenność. Próbował spotkań AA, ale okazało się, że bardziej mu pasują porady towarzystwa w Grey Lodge albo starym Chickie's & Pete's.

Kev nie ocenia, nie próbuje go nawrócić; Kev i Ponus znają się już całe wieki. Jeśli ktoś ma szczęście, znajduje przyjaciela, który uratuje go od śmierci. I vice versa, czasami: niewypowiedziana umowa, że jasne, możesz na mnie liczyć. Keva i Ponusa łączy coś takiego, odkąd mieli po piętnaście lat i robili cholernie głupie rzeczy. Zabawne, że Kev polega na swoich najstarszych przyjaciółach, kiedy jego życie wy-

konało gwałtowny skręt w ciemność. Zabawne, że Kev nagle myśli o sobie „Kev”. Nie robił tego od dwudziestu lat.

Słyszy barowy gwar w tle. Gdzie to? W Grey Lodge czy Chickie’s? Obie knajpy w tym samym kwartale. Obie w zasięgu spaceru od domu Ponusów.

- Słuchaj, pomyślisz, że zwariowałem, ale...

Marty wyciąga rękę i naciska guzik KONIEC na telefonie.

- Marty, co to ma być?

- Nie, tato. Żadnej policji. Nie możemy.

Udaję martwą.

Moi niedoszli zabójcy śpieszyli się, rzucili moje ledwie dyszące ciało obok ciała Richiego na tył pickupa, a potem szybko nakryli nas wodoodpornym brezentem i odjechali z miejsca zdarzenia, zostawiając za sobą oszołomionych gości restauracji z nieprzeżutym jedzeniem w ustach.

Droga jest gwałtowna i wyboista. Bardzo staram się nie myśleć o trupie przyciśniętym do mojego lewego ramienia. Trupie, który nie lubił, gdy nazywali go Ringo. Trupie, który był moim ostatnim przyjacielem w tym mieście. Staram się nie rozpamiętywać tego, że zaledwie parę minut temu uśmiechał się, żartował ze mną, jadł, gadał o braciach Baldwinach.

Staram się wyprzeć myśl o trujących chemikaliach w beczkach na tyle samochodu, które cuchną jak najgorsza na świecie mieszanka amoniaku z winegretem.

Przede wszystkim jednak staram się wyprzeć to, że zostałam postrzelona i być może powoli wykrwawiam się na śmierć.

Ból w prawym bicepsie jest rozdzierający. Przysięgam, że czuję, jak kula wije się tam w środku coraz bliżej kości. A każdy wybój sprawia, że zbliża się jeszcze bardziej. Jakie to będzie uczucie, kiedy zakończy tę podróż?

Zagryzam dolną wargę i próbuję coś zrobić. Mianowicie: wykombinować, dokąd mogą nas wieźć. Płachta dwadzieścia pięć centymetrów nad moją twarzą gwałtownie łopocze na zimnym nocnym powietrzu. Opony pickupa wyją na asfalcie. To znaczy, że jesteśmy na jakiejś głównej szosie. Może I-95? To by mogło znaczyć, że jedziemy gdzieś do New Jersey, na przykład do Pine Barrens. Albo na północ aż do hrabstwa Bucks.

Zaczynają mną wstrząsać silne dreszcze, więc mówię sobie, że muszę się ogarnąć. Wystarczy jedno mimowolne stuknięcie łokciem o metalowe podłoże platformy, by tamci zjechali na pobocze i odsłoniли płachtę, żeby lepiej się przyjrzeć. A wtedy mogę nie mieć już tyle szczęścia z wstrzymywaniem oddechu. W knajpie bluznęło na mnie tyle krwi, że nie zawracali sobie głowy sprawdzaniem, ale teraz mogą to zrobić. Jeszcze jedna kulka i po mnie.

Mówię sobie: Skup się. Nasłuchuj wskazówek. Wykombinujesz jakieś wyjście. Jak zawsze.

Słyszę policyjne syreny. Odległe krzyki. Pomruk silników, koła na asfalcie. Przez moment mam pomysł, żeby wytknąć rękę spod brezentu i machać, wzywając pomocy. Ale co mi to da? Moi niedoszli zabójcy w kabinie pewnie zobaczą to dużo szybciej, niż jakiś kierowca na drodze.

Bez ostrzeżenia moje ciało mimowolnie się wzdryga, prawy łokieć uderza o metal z ogłuszającym brzękiem.

Czyżbym na sekundę zasnęła? Albo na dłużej? Czy oni usłyszeli ten dźwięk?

Opony szumią, płachta łopocze.

Zaciskam powieki i czekam.

Czekam...

Nic. Najwyraźniejsza wskazówka dobiega z wysokości półtora kilometra nad płachtą – to wysoki/niski ryk silnika odrzutowego, który przecina powietrze, a potem szybko ginie w oddali. Czyżbyśmy byli blisko lotniska? Jeśli uda mi się ustalić, dokąd jedziemy, jest szansa, że przygotuję się z wyprzedzeniem, a potem czmychnę, może ucieknę przed kulami...

Nie, to głupie. Ucieczka nie jest rozwiązaniem. Ale bezczynność też nie. Bo pewnie wyrzucą mnie gdzieś, gdzie nikt mnie nie znajdzie, nigdy. Czy jestem w stanie pokonać ich w walce? Błagam. Jestem chuda, okrwawiona, przerażona, przemarznięta i pewnie ciągle w szoku. Nie byłoby to uczciwe starcie.

Więc uciekać?

Mimo wszystko się bić?

Udawać martwą?

Zanim zdążę podjąć decyzję, piszczą hamulce i pickup powoli się zatrzymuje, dużo wcześniej, niż myślałam.

Drzwi auta skrzypią przy otwieraniu. Ktoś kaszle. Kołysze się zawieszenie. Ktoś – zakładam, że jeden z zabójców z knajpy – odwią-



zuje i unosi płachtę. Wciągam powietrze, zastanawiając się, czy robię coś takiego po raz ostatni. Mówię sercu: kurwa, zwolnij.

Wyciągają trupa Richiego. Chyba najpierw chcą się uporać z trudniejszą robotą. Jego ciało jest ciężkie, więc potrzeba obojga. Jeden z zabójców odpycha mnie na bok i muszę przygryźć język, żeby powstrzymać gwałtowny dreszcz, który lada moment eksploduje z mojego układu nerwowego i wstrząśnie całym ciałem. Czuję słodko-słony smak własnej krwi. O dziwo smakuje lepiej, niż powinna.

Dużo wcześniej, niżbym chciała, szorstkie dłonie łapią mnie za nogi. Ktoś chwyta mój lewy nadgarstek. Wstrzymuję oddech i pozwalam, żeby każdy mięsień mojego ciała zwiotczał. Moja sukienka fałduje się na plecach, kiedy ciągną mnie po prążkowanym metalu platformy. Błagam, nie wpatrujcie się za mocno w moje piersi. Błagam, nie zobaczcie, jak oddycham.

Naraz jestem nieważka, lecę w zimowym powietrzu, przewraca mi się w brzuchu, wszystko jest zawieszony, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy skacze się na bombę do basenu.

Ale potem uderzenie jest brutalne. To nie rzeka. To deptak. Drewniane deski. Kość ogonowa eksploduje bólem, a ja szybko wciągam powietrze. Czy jestem w stanie wstrzymać oddech dostatecznie długo, żeby odjechali, zadowoleni z roboty?

Znowu dudnienie po drewnianych deskach parę kroków ode mnie. Palą mnie płuca. Muszę oddychać, uciekać, krzyczeć, muszę COŚ. I nie mogę. Dopóki oni nie pójda.

A potem bez ostrzeżenia moim ciałem znowu wstrząsa dreszcz – i uderza moim łokciem o deski.

„O kurwa. Ta gówniara jeszcze żyje!”

„Nie sprawdziłaś?”

„A ty?”

„To dziewczyna. Myślałem, że ty sprawdzisz”.

„A co to ma do rzeczy?”

Natychmiast otwieram oczy. Pora na ten drugi plan – ten, w którym biegnę jak szalona. Przetaczam się, ale dopadają mnie, zanim zdążę wstać, więc atakuję, czym się da – łokciami, kolanami, pazurami i zębami. Jeden z zabójców, ciemnooka kobieta, śmieje się i mocno popycha mnie z powrotem na drewniane deski.

„Spokojnie, skarbie, spokojnie”.

Drugi, mężczyzna, wyciąga broń, a ta ciemnowłosa suka przykuca, żeby mnie przytrzymać. Jest znacznie silniejsza, niż na to wygląda. Nie mogę się ruszyć. Nawet gdybym mogła, nie mam dokąd uciec.

„Tym razem nie spudłuj, dobra, Frankie?”

„Spierdalaj”.

Dociera do mnie: to ostatnie słowo, jakie w życiu usłyszę.

- Jak to żadnej policji?

- Sami znajdziemy Sarie. Jak wezwiemy policję, wszystko trafi do jej kartoteki.

- Marty, jak Boga kocham, gadaj, co wiesz...

Kilka godzin temu chip śledzący wreszcie zaczął działać, jest kilka sygnałów. Bogu dzięki za media społecznościowe. Marty wie, gdzie jest jego siostra! Ma szansę uratować sytuację! Ale wie też, że musi to dobrze rozegrać, nie zdradzić za dużo.

- Dobrze, przepraszam, tato, ale Sarie kazała mi przysiąc, że dotrzymam tajemnicy. Pojechała na South Street. - Bo właśnie tam według chipa zaparkowała swoją hondę: na Czwartej Ulicy, niedaleko South.

- Jezu, kurwa... Wkładaj kurtkę i rękawiczki. Jedziemy po Sarie. Tobą zajmę się potem.

- Jak to jedziemy po Sarie? Przecież ty nie umiesz prowadzić.

Tata Marty'ego nigdy nie siedział za kierownicą, przynajmniej odkąd Marty żyje, ale najwidoczniej dziś jest wyjątek. A George Ponus jest dostatecznie pijany, żeby pożyczyć swemu kumplowi Kevinowi Hollandowi (za pośrednictwem nie do końca obudzonej żony) kluczyki do chevroleta cavalier z 2007 roku zaparkowanego na podjeździe przed sąsiednim domem. Pani Ponus nie ma przekonania, ale Kevin jej kadzi: muszę tylko odebrać córkę, tak strasznie wam jestem wdzięczny, zaraz oddamy samochód.

- Tato, jesteś pewien, że dasz radę?

- Zapiąłś pas?

- Tak.

Chevrolet rusza pędem po ulicy. Marty sprawdza iPoda. Chip informuje, że auto Sarie wciąż jest na Czwartej Ulicy.

Kiedy Frankie otwiera ogień, zbieram się w sobie, zmuszam się całą mocą: TYLKO KURWA NIE DRGNIJ. Jeśli mam umrzeć, to nie chcę umrzeć, drżąc.

Jednak kule mnie nie dosięgają. To dlatego, że lecą zza mnie – i nie ja jestem celem.

Patrzę, jak Frankie wykręca się, robi półobrót i pada.

A potem ciemnowłosa kobieta, która mnie trzyma, nagle szarpie głową, jej silne ciało mięknie i odlepia się ode mnie.

Droga do centrum zdaje się trwać wieczność, mimo że teraz, w nocy, prawie nie ma ruchu. Kevin i jego dwoje dzieci mieszkają tak daleko od śródmieścia, że już prawie podpadają pod sąsiednie hrabstwo. Trzeba się długo tłuc Rhawn Street, a potem jechać State Road – która już od roku jest placem budowy. Przerabiają I-95, znowu i znowu. Kevin dałby głowę, że to już co najmniej trzeci raz za jego życia. Znikają pasy. Rampy zjazdowe i wjazdowe zmieniają lokalizację. Ginią znajome punkty orientacyjne. Autostrada biegnie dalej.

Ile razy on to robił? Ile razy jechał dawną wersją I-95 do serca Filadelfii, szukając kłopotów? Teraz jest zupełnie inaczej. Chryste, ile rodzice przez niego wycierpieli.

Marty jako pierwszy zauważa hondę civic – na Czwartej Ulicy, w połowie drogi do skrzyżowania z South Street. Widok zimnego, pustego auta jest dla Kevina jak pierdolnięcie prosto w serce. To potwierdzenie, że Sarie nie mówiła mu prawdy. Co jeszcze było kłamstwem? Kevin znajduje miejsce do parkowania po drugiej stronie ulicy. Gdyby Marty był starszy, zostawiłby go w chevrolecie na czatach, na wypadek gdyby Sarie sama tu wróciła. Ale choć chłopak jest bystry, ma dopiero dwanaście lat. Nie ma mowy, żeby Kevin zostawił dwunastoletniego syna w samochodzie o jedną przecznicę od pijackiego chaosu South Street. Wielkie dzięki, i tak już daje dupy jako rodzic. *Wyjaśnijmy to sobie, pa-*

*nie Holland. Pańska córka zniknęła, więc porzucił pan syna na mrozie w zamkniętym aucie, a sam szukał jej, krążąc po barach?* Kevin wciąga rękawiczki, a potem każe Marty'emu zrobić to samo i iść za nim.

Chłopcu oczy wychodzą z orbit. Do tej pory widział South Street tylko za dnia. Wypadki na cheesesteaki, te sprawy. Ale nocą to zupełnie inna bajka. Gdzieś w ciemności wrzeszczy jakiś facet, a potem się śmieje. Gdzie indziej butelka rozbija się o ścianę. Ojciec Holland i jego syn mkną Czwartą Ulicą, ich kroki odbijają się echem od wystaw sklepów. Kevin unosi rękę i patrzy na zegarek; pięć minut do drugiej, magicznej godziny, o której wszystkie bary trzeba zamknąć na noc. Kurwa. Dużo terenu do sprawdzenia. Bary ciągną się od Front Street aż do Dziewiątej, a nawet Dziesiątej Ulicy. Saria pewnie zaparkowała na Czwartej, bo szła do któregoś w pobliżu.

- Jak myślisz, tato, gdzie ona jest?

- Szczerze, mały, nie mam kurwa pojęcia.

- Tato!

Marty nie cierpi, kiedy ojciec przeklina. Kevin zwykle nawet nie zdaje sobie sprawy, że to robi.

- Przepraszam. Chodź, idziemy w prawo. Trzymaj się mnie, dobra?

Kevin patrzy na szyldy, na tłum, na drukowane jadłospisy wywieszane na murach. To co, Kevinie Holland, w jakich barach gustuje twoja córka?

Systematyczna penetracja jakichś sześciu z nich skutkuje tylko spojrzeniami z ukosa. Facet w średnim wieku, łysy, z tatuażami na rękach i z dwunastoletnim synkiem? Jasne, to musi wyglądać trochę dziwnie.

Córkę Kevina łatwo zauważyć w tłumie, bo jest wyższa od większości dziewcząt w jej wieku. Wyższa od większości kobiet, w zasadzie. Długie czarne włosy często ma upięte,

żeby nie opadały na twarz, przyczepione srebrną spinką matki. Kevin w każdym barze rozgląda się wśród pijanych mas, szukając wysokiej dziewczyny, ciemnych włosów, srebrnej spinki. Ale tej nocy, gdy wypuściła się na miasto na wielką nieletnią popijawę, mogła je rozpuścić. Dlatego pośród gwaru nasłuchuje również jej głosu. Rodzice zawsze mają słuch wyczulony na głosy swoich dzieci.

A teraz South Street zamyka podwoje, wygnała już wszystkich maruderów, pijaków i samotnych facetów, którzy ciągle liczą, na próżno, że zarwą jakąś żywą istotę z pulsem. Jeśli córka Kevina tu była, już sobie poszła.

- Tato, po co Sarie by tu przyjeżdżała?

- Bo tak robią studenci. Studenci, którzy będą mieli szlaban aż do ostatniego roku studiów.

- Może wróciła do samochodu?

Kevin nie ma lepszego pomysłu, więc kiwa głową. Zawracają, człapią po chodniku, oddychają lodowatym powietrzem, liczą, że coś zauważą. Ale honda wciąż jest równie cicha, martwa i zimna, jak była. Pod wycieraczką furkocze bilet parkingowy, bo od rzeki Delaware, płynącej zaledwie parę przecznic stąd, wieje lodowaty wiatr. Więc skoro nie ma jej w barze, to gdzie jest? Czy ma koleżankę ze studiów, która gdzieś tutaj mieszka? Jeżeli tak, może Tammy o tym wie. Chyba jednak czas wykonać ten telefon...

- Tu jest naprawdę zimno.

- No wiem, wiem. Poczekaj chwilę.

Kevin sapie, tupie, stara się oczyścić myśli. Może pora wrócić do samochodu i rozkręcić grzanie. Przynajmniej wtedy mały nie zamarznie na śmierć, a Kevin mógłby krążyć po okolicy, wypatrując Sarie. Tylko że dlaczego miałyby włóczyć się po dworze w taką zimną noc? Nie. Byłaby wewnątrz, gdzie jest ciepło.

Chyba rzeczywiście trzeba zadzwonić do Tammy. Pieprzyć zamartwianie się, że obudzi jej rodziców. Oni mają dobrze – ich córka jest bezpieczna w domu. Odbiorą telefon od zaniepokojonego ojca paranoika, a potem wrócą do łóżka.

Kevin zerka na hondę po drugiej stronie ulicy i znowu tupie. Wydycha zimne powietrze, które wygląda jak dym.

- Tato... to co robimy?

Kevin rzuca Marty'emu kluczyki.

- Wsiadaj do auta, rozkręć ogrzewanie i zaczekaj na mnie. Muszę tylko coś sprawdzić.

Chłopcu nie trzeba powtarzać. Dosłownie dygocze, kiedy wsiada na fotel pasażera, bo z pewnością uznał, że tata jest zbyt zaferowany, żeby kazać mu usiąść z tyłu. Tymczasem Kevin rusza przez Czwartą Ulicę do hondy, rozglądając się na obie strony. Przykuca, zagląda do wozu, szuka... tropów. Czegoś nie w porządku. Czegokolwiek.

Ale wewnątrz hondy jest czyste i uporządkowane, tak samo jak wtedy, gdy dbała o nie Laura. Kevin wpatruje się uważniej, stara się jak diabli, żeby uruchomić analityczną część umysłu. Daj spokój, Sarie... nic? Żadnych notatek dla samej siebie? Ani nawet reklamówki ze sklepu, żeby wiedział, gdzie się podziewałaś przez ostatnie dwanaście godzin?

Otwiera hondę zapasowym pilotem, który zabrał z domu (całe szczęście, że o nim pamiętał, inaczej musiałby rozważyć włamanie do samochodu własnej córki) i siada za kierownicą. Nie musi nawet poprawiać fotela, bo jego dziewczyna jest niewiele niższa od niego. Szybka kontrola kieszonek, przegródek i skrytki nie wykazuje niczego. Na tylnym siedzeniu leży torba z ubraniem na zmianę. Pewnie Sarie chciała ładnie wyglądać na wieczorny wypad. Gdzie się przebrała? Pewnie u tego pieprzonego gówniarza – Drew. Kevin zerka na Marty'ego, który siedzi skulony na przednim siedzeniu chevroleta i ogrzewa dłonie przy wywietrznikach.

Trzeba dać sobie spokój, zamknąć auto i zadzwonić do Tammy. Bez przekonania obmacuje podłogę pod fotelem kierowcy, i oto jest.

Telefon komórkowy.

Tyle że to nie jest telefon Sarie. Na Gwiazdkę dostała przecież iPhone'a i uwielbia to urządzenie – nigdzie się bez niego nie rusza. Więc co to takiego? Kevin podnosi komórkę. Zwykły aparat z klapką. Plastikowy, bez bajeranckiego ekranu dotykowego. Takie coś można dostać za dwadzieścia dolarów w pierwszym lepszym sklepie.

Kevin oczywiście otwiera telefon. Nie ma połączeń i tylko dwa esemesy:

Daj znać jak dojedziesz do towers

I odpowiedź:

ok

I... nic więcej. Cały telefon został wyczyszczony – albo kupiony tylko dla tych esemesów. Co, kurwa? To komórka Sarie czy może jakiegoś jej znajomego, który zgubił ją w samochodzie?

Tylko w jeden sposób można się przekonać. Kevin odpisuje:

hej

Czeka.

Żadnej odpowiedzi.

Stuka w klawiaturę:

jesteś tam?

Kevin czeka, myśląc o tym, że być może adresat tej wiadomości jest z Sarie właśnie w tej chwili, więc ten pieprzo-



ny rodzicielski minikoszmar mógłby się skończyć w kilka sekund. Odpisz, kimkolwiek jesteś. Proszę.

Nie ma esemesa z odpowiedzią; tym razem komórka dzwoni. Kevin mało nie wypuszcza jej z rąk, otwierając klapkę, by odebrać.

- Halo? Kto mówi?

Słysząc sapanie, prawie westchnienie... a potem rytmiczny sygnał.

- Kto mówi, kurwa?! - krzyczy Kevin, choć połączenie już zostało przerwane.

Czuje, że musi się na czymś wyżyć, ręce dosłownie mu drżą. Wybiera klakson hondy, wali w niego płaską dłonią. TRRRU! Marty obserwuje wszystko z chevroleta z lekko spanikowaną miną.

Willey jest na skraju Badlands, jedzie w kamiennej ciszy, kiedy na jego telefon przychodzi wiadomość. Patrzy na ekran i nie może uwierzyć. To od Wzorowej Studentki.

hej

Zjeżdża na chodnik, strasząc jakichś śpiących narkomanów. Już ma odpisać, kiedy przychodzi kolejny esemes:

jesteś tam?

To go powstrzymuje. Nie brzmi jak Wzorowa Studentka. Raczej jak ktoś, kto znalazł jej jednorazówkę i bada teren. Więc zamiast odpisywać, Willey wybiera numer. Kłuje go w sercu, gdy odzywa się szorstki męski głos. „Halo? Kto mówi?” Niech to szlag. Przerywa połączenie.

Najróżniejsze koszmarne myśli przelatują mu przez głowę. Ten, kto porwał Sarie, ma jednorazówkę. Może ten sam człowiek - albo ci sami ludzie - szukają również jego i to była próba skłonienia Wildeya podstępem, żeby wyjawiał

swoje położenie. Niech to diabli, jeśli Kaz rzeczywiście jest zamieszana w ten spis, to wiedzą, że on jedzie do domu, więc ktoś może tam na niego czekać.

Willey siedzi w samochodzie, słucha, jak w górze El dudni po szynach, i zastanawia się, co robić. Może Wzorowa Studentka wciąż gdzieś tam jest i czeka, aż on ją uratuje. Może da się dobić targu: jego życie w zamian za życie dziewczyny. Willey znowu włącza policyjne radio i natychmiast docierają do niego gorączkowe komunikaty o masakrze w Melrose Diner – są doniesienia o dwóch ofiarach, jeden mężczyzna, biały, po pięćdziesiątce, jedna kobieta, osiemnaście albo dziewiętnaście lat, Latynoska.

Do diabła z amnestią. Jak Kevin znajdzie tego faceta w słuchawce – bo wie, że to na pewno facet – to go, kurwa, roznieś na strzępy.

Sarie też się doigrała.

Kevin wraca do swojego auta, ale najpierw na bilecie parkingowym pod wycieraczką zostawia odręczną wiadomość:

Sarie tu ojciec. Zadzwoń jak tylko to zobaczysz.

Jeżdżą po okolicy. Pod mostem Bena Franklina musiało być jakieś przestępstwo. Przed trzypiętrowym budynkiem migają koguty, wszędzie taśma, wozy transmisyjne blokują ulice.

Nie panikuj. To nie ona. To nie ma z nią nic wspólnego. To, że twoja córka gdzieś wsiąkła, a ty widzisz policję, nie znaczy jeszcze, że coś jej się stało...

Nie ma wyboru, trzeba wracać do domu. Mogliby tak jeździć po ulicach do rana, ale prawdopodobieństwo wypatrzenia Sarie jest praktycznie zerowe. Jej samochodu też nie będzie obserwował przez całą noc. Może gdyby był sam, ale nie z biednym Martym na tym zimnie. Nie, najlepiej wrócić

do siebie, położyć małego do łóżka, a potem czekać już przy dwóch telefonach – własnym i tym tanim szajście z auta Sarie. Dzisiaj o śnie nie ma mowy.

Chryste, ależ Ringo się cieszy, że ukrył pod torami ten krótkolufowy rewolwer.

Bo kiedy Sarie Canary wiała się i darła wniebogłosy – to zawsze dobry numer – on ciągnął swoje drżące, przeciekające, rozjebane zwłoki po torowisku, czuł, jak krew tryska mu z paru dziur, ale się tym nie przejmował. Liczyło się tylko dotarcie do gnata. I wyciągnięcie go z kryjówki. Przewrót na plecy. Wykonanie jednego brzuszka, tak jest, zupełnie jak w woju, i wycelowanie w cokolwiek z odległości jakiegoś pół metra. Bam bam bam bam. Ciała wykręcają się w ciemności, osuwają się na tory. Ringowi chce się rzygać od nadmiaru ruchu. Pa, pa, Frankenstein. Dobranoc, Liso Liso. Dziewczyna jeszcze jeden raz krzyczy z przerażenia. Tułów Ringa opada z powrotem na torowisko, on sam mamrocze „ech, szlag by to” i traci przytomność.

Kiedy budzi się kilka minut (godzin? dni? lat?) później, dziewczyna klęczy nad nim i płacze. Trzyma się za prawe ramię, całe we krwi.

- Cześć – odzywa się Ringo.

- Omójboże – mówi dziewczyna i łzy przestają płynąć. – Ty żyjesz.

- Myślałaś, że ty jedna umiesz udawać trupa? Ech, szlag by to.

- Zadzwońię po karetkę...

- Naprawdę kiepski pomysł, skarbie – odpowiada Ringo. – Zapomnij o mnie na moment. Co z tobą? Jak tam ręka?

- Postrzelili mnie – mówi cicho dziewczyna.

- Witaj w klubie. Chodź tu, obejrzę.

Jednak po tym, jak już Ringo uważnie się przyjrzy i wytrze trochę krwi – dziewczyna wzdryga się, jakby dotykał ją rozgrzanym żelazem – komunikuje jej z radością, że kula tylko otarła skórę. Krwawi, ale to nic poważnego.

- Nie postrzelili mnie? – pyta niemal rozczarowana.

- Jak chcesz mieć się czym chwalić, to po dzisiejszym będzie tego chyba aż nadto. – Ringo kaszle. To boli. – Ech, szlag by to.

Oboje patrzą, jak ciemna rzeka spływa do zatoki, żeby gdzieś tam wreszcie rozlać się do oceanu. Ringo ma ochotę przeczołgać się przez krawędź pirsu i popłynąć razem z nią. Po chwili chłód wnikałby głęboko, a on nic by już nie czuł. Z drugiej strony pewnie wyrzuciłoby go na brzeg w Delaware, a zawsze kurewsko nie cierpiał tego miejsca.

Poza tym zostaje jeszcze dziewczyna, która wygląda na totalnie, absolutnie zagubioną. Ringo ją rozumie. Był w jej sytuacji. Do diabła, chyba i teraz w niej jest.

- Nie możesz po prostu wrócić do domu albo coś w tym stylu?

- Chyba nie.

- Masz niedokończone sprawy, co?

Dziewczyna kiwa głową.

- Wiesz, który glina cię w to wpakował? Ten opiekun, o którym mówiłaś?

Przygryza wargę, zastanawia się. Ale owszem. Wie.

- To dobrze. Czyli masz cel w życiu, a wtedy, skarbie, możesz zrobić wszystko. Wiesz, jaki jest twój cel? Idź i zrób mu coś jeszcze gorszego. Dużo gorszego. W tej chwili masz po swojej stronie element zaskoczenia. Myślą, że nie żyjesz. To nie będzie trwało wiecznie, ale jak będziesz sprytna, masz przynajmniej dzień. Wykorzystaj go.

- Dobrze.

- Za parę godzin wyjdzie słońce. Lepiej się zbieraj. Nie brałbym tego pickupa. Pewnie tak nas znaleźli, przez GPS czy inne gówno. Wiesz jak trafić tam, gdzie potrzebujesz?

- Chyba tak.

- To dobrze.

- A ty?

- Ja? Będę zdrowy jak koń.

- Akurat. Postrzelili cię z pięćset razy.

Ringo uśmiecha się i głaszcze po wydatnym brzuchu.

- Owszem, ale mam dobrą izolację.

W rzeczywistości nie ma pojęcia, jak poważnie go urządzili. Czuje drętwienie w wielu różnych miejscach, które nie powinny być drętwe. Wszystko jedno. Potem się tym zajmie. Czuje się dziwnie wolny, jakby już tyle razy fiknął z paszczy śmierci, że może przejść na zawodowstwo. Gdyby kostucha teraz po niego przyszła, uznałyby, że to całkiem fair.

- Wiesz - mówi - chyba powinniśmy stąd spadać.

- Chcę coś dla ciebie zrobić - stwierdza nagle dziewczyna.

Ringo, tak podziurawiony, że kiedy się uśmiecha, zęby ma umazane krwią, pyta:

- Tak?

- Pewien człowiek zabił mojego przyjaciela. To diler z głupią ksywą. Chuckie Morfina. Ma łódź w Penn's Landing. Jeśli chcesz się wydostać z miasta, to chyba niezła metoda.

Czasem, myśli Ringo, prezenty przychodzą z niespodziewanej strony. Teraz i on ma cel w życiu. Uśmiecha się.

- A ten Chuckie Morfina to twardej?

- Nie taki jak ty.

Ringo myśli. To wcale nie jest taki zły pomysł. Ale potem odzywa się w nim jakaś uśpiona nutka rycerskości.

- A ty? Nie chciałabyś też uciec łodzią?

- Nie, Richie - odpowiada dziewczyna. - Mam sprawy na łądzie.

Ściągam z ciemnowłosej zabójczynie czarną bluzę z kapturem. Cieszę się, że zginęła od strzału w głowę - dzięki temu bluza pozostała właściwie nietknięta. Owszem, to ubranie martwej kobiety, ale jest potwornie zimno.

Zaledwie parę godzin temu za żadne skarby nie zbliżyłabym się do trupa, a co dopiero go dotknęła. Ale teraz nic mnie już nie przerazi. Nic nie przerazi mnie do końca życia.

Zabieram też jej buty. Trochę ciasne - kobieta miała krótsze i szersze stopy niż ja - ale nie szkodzi. Dzięki uciskowi pozostanę czujna i nie będzie mi się chciało spać.

Richie zajmie się Chuckiem.

A ja zajmę się policją.

W drodze powrotnej Kevin co minutę zerka na twarz syna. Widzi, że w głowie chłopca kłębią się poważne myśli. A może to tylko zmartwienie. Albo brak snu. Jest... która, piętnaście po drugiej w nocy? Ulice opustoszały, a chevrolet cavalier właśnie zajeżdża na miejsce przed ich domem, kiedy Marty wreszcie odwraca się do ojca, z taką miną, jakby miał się rozpłakać.

- Muszę ci coś pokazać, tato. Obiecuj, że nie będziesz zły.

Mówi to w sposób, który jego ojcu mrozi krew w żyłach. Kevin pyta, prawie krzyżąc, o czym on mówi, o co kurwa chodzi. Marty odpowiada, że nie może powiedzieć.

- Muszę ci pokazać.

Kiedy prowadzi ojca do pracowni w piwnicy, mózg Kevina naprawdę zaczyna z nim pogrywać. Co takiego mógłby mu pokazać jego dwunastoletni syn? I dlaczego nie mógł tego zrobić wcześniej? Na przykład kiedy przeszukiwali porzucony samochód jego starszej siostry? Marty prowadzi ojca do biurka Sarie i wyciąga stos niebieskich zeszytów egzaminacyjnych. Takich, które wykładowcy rozdają na sprawdzianach. Jest ich co najmniej sześć.

- Co to?

- Otwórz. Nie powinienem o nich wiedzieć i Sarie nie wie, że wiem. Ale może pomogą.

Kevin powtarza „co to?”, ale teraz mamrocze to pytanie bardziej sam do siebie, wyjmując zeszyty ze strunowej torbki. Rozkłada je w wachlarz. Wszystkie są datowane i sprawiają wrażenie, jakby były wypchane innymi kartkami.

- Co to jest, u diabła? - pyta znowu Kevin, ale Marty nalega, żeby po prostu zaczął czytać.

Pierwszy zeszyt nosi daty 27.11-30.11. Kevin w myślach sprawdza kalendarz. Czy to nie dzień przed Świętem Dziękczynienia? Kiedy on był w San Diego? Kiedy leciał w nocy, żeby z samego rana móc się zobaczyć z dziećmi? Tak, to ma sens. Marty nocował wtedy u swojego kolegi Ethana, a Sarie poszła na imprezę na kampusie i obiecała, że przez całą noc nie wypije więcej niż dwa piwa. Rano odebrała go z lotniska; wyglądała na zmęczoną, ale Kevin też.

Kevin otwiera zeszyt na pierwszej stronie, zapisanej równym, idealnym charakterem pisma Sarie. Pierwsze zdanie:

Cześć, Mamo. Wczoraj wieczorem mnie aresztowali. (Tak jakby).

Kevin patrzy na Marty'ego.

- Co to jest? Wiedziałaś o tym?

- O czym?

- O tym, że ją aresztowali!
- Nie miałem pojęcia.

Kevin wpatruje się w twarz syna. Może Marty mówi prawdę. Może wiedział o ukrytych zeszytach, ale nie znał ich treści.

Przez moment Kevin jest zupełnie zagubiony. Chce natychmiast przyswoić zawartość zeszytów i odkryć, jak dokładnie postąpić z problemem córki. Tylko że nawet nie wie, co to za problem. Wyciąga ze stosu ostatni zeszyt, ten bez daty końcowej (11.12-). Otwiera go na przypadkowej stronie pod koniec.

No więc moja lista rzeczy do zrobienia na dziś:

1. Sprawić, żeby Chuckie gadał o interesach.
2. Kupić oxy.
3. Kupić broń.
4. Przygotować się do egzaminu z filozofii na 8.30.

Te słowa w ogóle nie mają sensu. Oxy, broń? Ten kawałek o egzaminie z filozofii - to brzmi jak jego córka. Ten o jakimś „Chuckiem” i „interesach” - już mniej. Sarie to wzorowa studentka, najbardziej sumienna osoba, jaką Kevin zna. Nigdy nie oddała pracy po terminie, nigdy nie zadowolila się oceną gorszą niż piątka z minusem. Jest zupełnym przeciwieństwem tego zdrańca, jakim Kevin był w liceum.

Ale te teksty o prochach i o broni... Kurwa mać, o broni? Brzmią jak słowa kosmity, który opanował ciało jego córki. A jednak nie ma wątpliwości, że napisała je staranna ręka Sarie. Zaledwie kilka godzin temu jego mała dziewczynka pojechała w miasto, żeby kupić narkotyki i broń palną.

Od kogo? Dlaczego? Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?

Kevin kartkuje zeszyty z nadzieją, że z tej lawiny notatek i wycinków artykułów prasowych (FEDERALNI: 2 POLI-CJANCI Z FILADELFINI OKRADLI TAJNEGO INFORMATORA



I DILERÓW NARKOTYKÓW, 18 SKARG NA POLICJANTA Z ANTYNARKOTYKOWEGO) oraz gryzmołów na serwetkach wyłoni się jakiś sens. Dostrzega znajome imię: Tammy. No jasne, że ona musiała być w to zamieszana.

Wybiera numer jej komórki.

Komórka Tammy nie dzwoni, ponieważ jest zatopiona w rzece Delaware razem z ciałem Petera „Małego Pete’a” D’Arzenia. Tammy Pleece będzie musiała podjąć decyzję, ale na razie jest zbyt pijana, by o czymkolwiek sensownie decydować. Dlatego przez chwilę patrzy ponad miastem. Z jej punktu widokowego na którymś z górnych pięter jednego z wieżowców Society Hill Towers wszystko wydaje się spokojne. Zbyt spokojne. Jak w trupiarni.

*Po prostu tam poczekaj, powiedział jej. Zadzwońię.*

To było wiele godzin temu.

Gdzie on się może podziewać? Czy powinna tak po prostu siedzieć i czekać?

Bez komórki?

Robi więc sobie kolejnego drinka. W mieszkaniu jest dużo drogiej rosyjskiej wódki, dużo świeżo wyciskanego soku pomarańczowego. Tammy dodaje lód i miesza oba składniki, proporcje dobierając do smaku. Wypija łyk i stwierdza, że wódki wlała zdecydowanie za dużo. Alkohol jest tak ostry, że prawie bołą ją zęby. Raz Peter zrobił jej brudne martini, co teoretycznie brzmiało fajnie, ale o mało nie puściła pawia. Właśnie dolewa soku pomarańczowego, kiedy otwierają się drzwi. To jeden z pracowników Petera – facet, którego Tammy stale przy nim widuje. Ale teraz ma na sobie uniform parkingowego.

- Musisz się zbierać.

- Chyba nie dam rady prowadzić.

- To idź pieszo.

- Ty gnoju! Wylecisz za to z roboty.
- Tak? Powodzenia. A teraz zjeżdżaj.
- Chcę mój telefon.
- Odpuść sobie telefon. Po prostu idź do domu.

Odpuść sobie telefon? O co mu chodzi? Cała ta noc jest dziwna. Mieli imprezować. A potem ni z tego, ni z owego Peter pożyczka od niej komórkę, „tylko na chwilę, mała”, a zaraz potem znika. Z jej telefonem! Nieco później dzwoni na numer stacjonarny w mieszkaniu i mówi, że dziś impreza odwołana, bo musi się zająć jakąś sprawą, ale ma tam czekać, a on do niej zadzwoni.

- Chcę rozmawiać z Peterem.
- Słuchaj, z Peterem już nikt nigdy nie porozmawia. Zapomnij, że znałaś Petera. To nie jest twój świat. Spierdalaj. Do. Domu.

Może i Tammy jest pijana, ale wreszcie do niej dociera. Boże, naprawdę do niej dociera.

O Boże... Sarie.

## **FOX CHASE**

- George - mówi Kevin - to znowu ja.
- Co tam, brachu? Tylko nie mów, że skasowałeś mi brykę... No, przecież żartuję. Znalazłeś Sarie?
- Kogo znasz z antynarkotykowej?
- Co? Ty chyba znasz więcej tych gości niż ja.
- Szukam konkretnego gliniarza. Bena Wildeya. Na sesji terapeutycznej wynikła pewna sprawa. Ważna. Znasz go?
- Nie. Może mi powiedz, o co chodzi. Bo nie bardzo gadasz z sensem.
- To poufne.
- Jasne, bo dzielenie się z tobą osobistymi informacjami o jakimś glinie wcale nie łamie zasad poufności?

- George, wszystko ci powiem, chłopie, ale czas leci. Muszę znaleźć kogoś, kto go zna.

Cisza na linii. Kevin słyszy cichy odgłos przełykania, który oznacza, że George wznowił picie. Facet twierdzi, że pije, żeby zasnąć, tylko że i tak nigdy nie zasypia.

- Gdzie on pracuje? W której jednostce?

- W jakimś Narcotics Field Unit-Central South. NFU-CS. Co to takiego?

- Cholera, Kev.

- Ponus, nie rób mi tego. Nie prosiłbym, gdyby to nie było takie ważne.

## **SOUTH PHILLY**

Wildey miga odznaką, ale niewiele mu to daje oprócz podstawowych informacji, które zna już z pasma policyjnego. Para zamaskowanych zabójców, z których jeden mógł być kobietą, strzeliła kilkakrotnie do starszego białego faceta i dziewczyny - która w zależności od świadka była albo jego córką, albo panienką do towarzystwa. Najdziwniejsze, że zabójcy zabrali ciała ze sobą, wrzucili je na tył czekającego pickupa (jutro w gazetach będzie nagłówek: **PODWÓJNE MORDERSTWO NA WYNOS**) i dopiero potem odjechali w noc.

Żeby pozbyć się ciała, przypuszcza Wildey.

Wzorowa Studentka była wielką fanką list „rzeczy do zrobienia”. Teraz Ben Wildey sporządza własną. Bardzo krótką i mało skomplikowaną:

1. Znaleźć jej ciało i zwrócić rodzinie.
2. Dopilnować, żeby Kaz Mahoney za to zapłaciła.

## **FOX CHASE**

Marty obserwuje ojca, który trzęsie się, wierci, chodzi i bluźni pod nosem w oczekiwaniu, że zadzwoni komórka.

Przez głowę chłopca przemyka masa pytań i Marty uświadamia sobie, że wkrótce może nie mieć okazji ich zadać. Zwłaszcza kiedy przyjaciel taty, George, oddzwoni.

Czasem trzeba zadać pytanie wprost i zobaczyć, jak adresat sobie z nim poradzi. Marty dotarł do poszlak – do immunitetu, do zdjęć glamour – które wygrzebał z plastikowych pojemników. Ale nie zna całej historii.

- Tato, czy mama była dilerką narkotyków?

Twarz jego ojca tężeje.

- Nie. Boże, Marty, nie. Nic w tym stylu. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ale w dziewięćdziesiątym piątym roku zeznawała przeciwko kartelowi.

- Skąd ty...? Jezu. Kurwa. Kurwa! Tak, zeznawała.

- Czyli była zamieszana w handel narkotykami.

- Nie z własnej woli. - Kevin wzdycha. - Słuchaj, Marty, to długa historia i nie pora teraz...

Marty traci nerwy.

- Wal się, tato! Nigdy nie jest pora, bo myślisz, że jestem za mały, żeby można było cokolwiek mi powiedzieć. Na przykład że mama miała nieuleczalnego guza mózgu! Kiedy postanowiliście z Sarie, że mi nie powiecie? Dlaczego czekaliście z tym, aż umrze?

- Nie chcieliśmy cię martwić.

- Gratuluję, tato. Nie martwiłem się. Dopóki nie umarła, a teraz martwię się cały czas. Martwię się, że czegoś mi nie mówicie. Że Sarie mi czegoś nie mówi. No i co dalej? Mam już dosyć takiego pieprzenia. Sam zacząłem szukać odpowiedzi. I znalazłem.

Tata wygląda tak, jakby miał się rozplakać albo eksplodować. Marty nie wie, co bardziej. Co za różnica? Przecież i tak nie zacznie teraz mówić prawdy. Marty przysięga, że jeśli kiedyś będzie miał dzieci – a to duży znak zapytania,

biorąc pod uwagę osiągnięcia jego rodziny – nigdy ich nie okłamię. Choćby chodziło o coś nie wiadomo jak trudnego. Usłyszą od niego tylko prawdę. Nie narazi ich na coś takiego. Nigdy.

– Twoja matka nie była dilerką – mówi cicho jego ojciec. – Ale była... była piękna. Jej rodzice, chociaż biedni, uciułali dosyć grosza, żeby zgłosić ją do paru konkursów piękności. Rodzina przez jakiś czas utrzymywała się na powierzchni dzięki jej występom. Ale potem Laura zaplątała się w coś, w co nie powinna, w jakieś interesy kartelu, i od tamtej pory coś na nią mieli, na całą rodzinę. Kartele takie są. Nie obchodzi ich, kogo wykorzystują albo krzywdzą. Jeśli na coś się przydasz, to cię wykorzystają. No więc zmusili ją do różnych rzeczy.

– Do robienia za muła?

Kevin mruga, zaskoczony, że słyszy to słowo z ust swojego dwunastoletniego syna. Ale właściwie nie powinien się dziwić.

– Tak, do robienia za muła. – I do jeszcze gorszych rzeczy. Wybacz mi, Lauro, on nigdy nie miał się o tym dowiedzieć. To chyba kara za Fikcję: w końcu rzeczywistość wdeptuje mi twarz w krawężnik Prawdy.

– Więc uratowałeś ją z kartelu? – pyta Marty, a Kevina kusi, żeby sprzedać mu jeszcze więcej Fikcji. Tak, synu, uratowałem twoją matkę z rąk diabolicznego kartelu, z bronią w ręku i nożem za pasem, przemyciłem ją przez granicę, a nad głowami świszczały nam kule. Ale zhańbiłby tym jej siłę.

– Uciekła i jakimś cudem dotarła do DEA. Poznałem ją w ośrodku, w którym pracowałem. Federalni chcieli, żeby była czysta, zanim zacznie zeznawać.

Marty natychmiast to wychwytuje.

– Brała narkotyki?

- Tak.

Ale potem Kevin mówi synowi, że chociaż jego matka urodziła się piękna, to kiedy przywieźli ją na leczenie, wyglądała jak zombi. Właśnie tego nikt nie rozumiał. Kurczę, Kev, ty farciarzu, trafiła ci się meksykańska królowa piękności. On nie zakochał się w jej wyglądzie. Zakochał się w jej sile. Laura potrafiła przetrwać wszystko.

- Byłem absolutnie oczarowany - mówi Kevin.

- Więc Sarie też nic nie będzie - stwierdza Marty i po raz pierwszy w to wierzy.

## **SPRING GARDEN**

O rany, tragicznie wygląda ta moja była, myśli Rem Mahoney, pocierając dłonie i ją obserwując. Jest tu już od paru godzin - gdzie indziej mógłby się udać, kiedy wokół niego wybucha cały świat? Od Frankensteina i Lisy żadnych sygnałów o pozbyciu się ciał, wszędzie rozchodzą się wiadomości o tak zwanej Masakrze w Melrose Diner (ludzie, serio, dwie osoby to jeszcze nie masakra), Ptaku najwyraźniej dał nogę... Mahoney uznaje, że choć to szokujące, jego była żona być może jest jego ostatnią szansą.

Patrzcie na nią, jak wchodzi do mieszkania, powłócząc nogami. Włosy wyglądają, jakby od zeszłego weekendu nie widziały szamponu, worki pod oczami. Powinnaś się zdrzemnąć, kotku.

Ale nie, Katrina się nie zdrzemnie. Wypija kawę, od której zaczyna krążyć po domu jak tygrys w klatce. Usiłuje zrozumieć, gdzie się wszystko chrzani.

Może wejdę i ci wyjaśnię?

Minutę później Rem puka do jej tylnych drzwi. Była panikuje i wyciąga broń, więc on z uśmiechem zagląda przez okno i macha. Ta jej mina! Choćby tylko dla niej warto było sobie zadać tyle trudu. Kiedy Katrina wreszcie dochodzi do

siebie, ze znużeniem otwiera drzwi, żeby wpuścić go do środka.

- Ładne mieszkanie.

Nie, żeby nie krążył po nim już z tysiąc razy. Ale dziwnie wreszcie zostać zaproszonym. Dziwne jest również to, że Katrina siada na kanapie i wzdycha, jakby się go spodziewała.

- Zadzwoił do ciebie ten skurwiel Wildey, prawda? Jezu, nie marnował czasu.

Oho, to wręcz wyborne!

- Owszem, dzwoił. Odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę. O, tak.

- Nie wierz chujowi w ani jedno słowo. To on jest kretem w moim wydziale!

- No, akurat nie on.

- Co? Chyba nie wierzysz, że to moja robota! Rem, słuchaj, przecież mnie znasz, bez względu na wszystkie pojebane sprawy między nami, wiesz, że nigdy bym...

Rem się śmieje.

- Oj, Kaz, kochanie, szkoda, że się teraz nie widzisz. Z wielką przyjemnością odsłucham to później.

No dalej, słońce, dasz radę. Wykombinujesz, o co chodzi, prawda? Bo to żadna zabawa, jeśli Rem będzie jej musiał łopatologicznie wyjaśniać. Sądząc po minie Katriny, już do niej dociera. Wzrok biega po mieszkaniu, jakby miała, kurwa, rentgen w oczach i widziała wszystkie pluskwy, które on poumieszczał w ścianach. Tak jest. Teraz wszystko łapiesz.

Na ich weselu jakiś pieprzony ruski didżej zrobił taki głupi numer, że Kaz usiadła na krześle, a jemu kazał wejść na drugie. *Panie i panowie, dobrze się przyjrzyjcie, bo to ostatni raz, kiedy Rembrandt jest górą, ha, ha, ha* - a cała jej ru-

ska mafijna rodzina rżała ze śmiechu. No i kto jest teraz górą, moja panno młoda?

- Powiem ci, co teraz zrobimy.

Jak się okazuje, Kaz ma własną teorię na ten temat. Wyjmuje broń i celuje w byłego męża.

Włamuję się do domu Wildeya tuż po piątej rano. O tej godzinie okolica wygląda jak opuszczona.

Jeśli w ogóle chcę mieć szansę przeżyć i zadbać o to, by tata i Marty byli bezpieczni, potrzebuję dowodu. Musi być gdzieś w tym domu. Może to stopy forsy, może inny jednorazowy telefon, może jakieś dokumenty. Nie mam innego planu niż taki, że zgarnę to coś, pójdę z nim na stację El i zawiozę prosto do biura prokuratora okręgowego w Widener Building. W drodze tutaj, ubrana w cienką bluzę, tupiąc nogami w za ciasnych butach, przez moment rozważałam, czy nie wybrać się prosto do prokuratora i nie koczować w wejściu, jeśli to będzie konieczne. Ale czy bez dowodów naprawdę mogłabym liczyć na to, że obnażę wielki policyjny spisek?

Stąd właśnie konieczność włamania się do domu Wildeya.

To najładniejszy budynek w całym kwartale, ale to niewiele znaczy. Coś jak jeden zdrowy ząb u narkomana uzależnionego od mety. Większość domów zburzono i zostały po nich błotniste, zachwaszczone działki. Inne ciągle stoją, ale trzymają się tylko na słowo hono-ru, starą farbę i brud. Na bocznych ścianach budynków, które przetrwały, widać widmowe obrazy ich dawnych sąsiadów. Różowa farba tam, gdzie kiedyś była łazienka. Bładozielona tam, gdzie kuchnia. Potem zauważam dziwną cechę wolnostojących domów. Coś, co na ciągłej pierzei nie zwracałoby uwagi.



Samochodu Wildeya nie ma przed budynkiem ani nigdzie w okolicy. Na pewno Wildey krąży po mieście i mnie szuka, żeby przekonać się, że faktycznie nie żyję.

Mimo to raczej nie mam dużo czasu.

Z jego domem sąsiadują dwa budynki, ale oba wyraźnie są opuszczone. Wybieram ten po lewej. Idę przez pusty pokój dzienny i wchodzę po schodach do sypialni na tyłach, gdzie znajduję szafę. Kiedy otwieram drzwi, uderza mnie straszliwy smród; coś zdechło tutaj dawno temu. Wstrzymuję jednak oddech, przestępuję nad trupem (gołębia? wiewiórki?) i macam tył szafy. Płyta kartonowo-gipsowa. Kiedyś te domy były połączone drzwiami. Zamiast je zamurować, budowlancy po prostu umieścili tu płytę.

Którą teraz przebijam kopniakiem, używając do tego butów mojej niedoszłej zabójczyni.

Pokój po drugiej stronie – w domu Wildeya – jest ciasno wypełniony szafami na akta i plastikowymi skrzyniami pełnymi albumów. Jezu, co za chomik. To trochę utrudni poszukiwania dowodów. Nie mam pojęcia, ile zostało mi czasu, kiedy nagle po prawej stronie słyszę głos:

„Jezu Chryste!”

W drzwiach jest Wildey, w lekkim przysiadzie, i mierzy do mnie z broni.

Krzyczę i rzucam się z powrotem do szafy, w panice przeciskam się przez stare ubrania, ale nie dość szybko. Łapią mnie szorstkie ręce i wyciągają do tyłu.

Willey krzyczy w kółko „nic ci nie zrobię, nic ci nie zrobię!”, z nadzieją, że dziewczyna to zrozumie, zanim jakiś sąsiad wezwie policję. Wreszcie do niej dociera i przestaje się szarpać. Wracają do sypialni na tyłach, gdzie Willey trzyma cały stary szajs ojca. Opiera się na stosie skrzyń, a Sarie siada na jedynym wolnym kawałku podłogi, obejmuje ramionami kolana, patrzy w przestrzeń.

- Myślałam, że cię nie ma. Nie widziałam twojego samochodu.

- Używam wielu różnych samochodów. Jak tu się, u diabła, dostałaś?

Ale ona ignoruje to pytanie.

- Obiecałeś, że będziesz nasłuchiwał - mówi cicho. - Gdzie ty byłeś?

- Oboje zostaliśmy wrobieni. Moja porucznik... jest umoczona. Zapłaci mi za to, co zrobiła. A ty możesz mi w tym pomóc.

- Nie.

- Wiem, że przeżyłaś piekło, Sarie, ale posłuchaj, nie musimy się już bać.

- Nie o to mi chodziło. To nie przez porucznik Mahoney wyciekały informacje. Jej były mąż ją szpiegował. Założył podsłuch w jej mieszkaniu. Wiedział o wszystkich twoich informatorach. Podał ich nazwiska mafii, która wpycha się na rynek narkotykowy.

Willey zaczyna czuć w piersiach miazdzący ciężar.

- Jak to jej były mąż? Chcesz mi powiedzieć, że stoi za tym kapitan Rem Mahoney z pieprzonego biura spraw wewnętrznych?

- To on pociąga za sznurki, a Peter D'Argenio był jego prawą ręką. D'Argenio nie żyje. Ciała jego i wszystkich zaginionych informatorów znajdziesz na piersie numer sześćdziesiąt trzy, pod opuszczonymi torami.

Ciężar jest coraz większy, jak przy pieprzonym zawale, ale Wildey wie, że to co innego.

- Ja pierdolę - mówi, wstając. - Nie ruszaj się stąd. Obiecuj, że się nie ruszysz, dopóki nie wrócę!

Sarie nie odpowiada; opiera głowę na kolanach.

Gdy tylko zatrzasną się drzwi, znowu zaczynam płakać.

Nad sobą, nad Wildeyem, nad tatą, nad Martym, nad Tobą, nad całą pojebaną sytuacją.

Ale przede wszystkim oplakuję Drew - nazywał się Drew Pike i chyba byś go polubiła, Mamo. Wydawało nam się, że możemy się nawzajem uratować, ale nie doceniliśmy tego miasta i jego okrucieństwa.

Wildey mnie nie wystawił, ale to żadne pocieszenie. Bo niebezpieczeństwo nie minęło.

Został mi tylko jeden ruch, i na samą myśl o nim płaczę jeszcze bardziej.

Wildey wyważa drzwi kopniakiem - drewno wokół klamki idzie w drzazgi. Wchodzi z uniesioną bronią. Ale broń okazuje się niepotrzebna, bo porucznik już nie żyje, a jej zabójca, kapitan Rembrandt Mahoney, jest kompletnie pijany, zapłakany i mamrocze: „chciałem tylko zobaczyć, co zrobi... chciałem tylko zobaczyć, co zrobi... chciałem tylko zobaczyć...”. Siedzą razem na kanapie, Kaz ma głowę przechyloną na bok, Mahoney przywiera do niej, i wyglądają, jakby oglądali telewizję. W piersi porucznik są dwa otwory po kulach, a w prawym ramieniu Mahoneya - jeden.

Wildey zgłasza zajście i aresztuje Mahoneya.

Kiedy Wildey rano wraca do domu, znajduje dwie kartki. Jedna, wsunięta przez otwór na listy, jest od Kevina Hollanda:

Posterunkowy Wildey, proszę natychmiast się ze mną skontaktować. Numer telefonu poniżej. Chodzi o moją córkę. Jeśli się pan ze mną nie skontaktuje, ja będę zmuszony skontaktować się z pańskim zwierzchnikiem.

Z poważaniem  
Kevin Holland

Druga kartka leży tam, gdzie siedziała Sarie, jest przycięta rogami skrzyni z albumami.

Wildey,

musiałam wyjść. Niedługo zrozumiesz dlaczego. PROSZĘ:

1. Nie mów nikomu, że żyję.
2. Nie pozbywaj się jednorazówki z numerem, który znam.
3. Zniszcz tę kartkę po przeczytaniu.

Wyjaśnię później. Przepraszam, że w Ciebie wątpiłam. Aha, wzięłam jedną z Twoich jednorazówek i trochę ubrań. Jest zimno.

# Całkiem inny świat

## **PÓŁNOCNA FILADELFIA WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA**

Ta uroczystość żałobna to jedno wielkie sranie.

Fakt, jest ładna, a uniwersytet naprawdę się postarał (w maleńkiej kaplicy w podziemiach głównego gmachu pojawił się nawet chór). Ale Kevin Holland wie, że to jedno wielkie sranie, bo a) jego córka żyje, on to po prostu wie, i to wcale nie jest kolejna część Fikcji, oraz b) jego córka nie jest przestępczynią, chociaż tak ją przedstawiają.

„Oficjalna” wersja Filadelfijskiej Komendy Policji wygląda tak, że Serafina Holland została przyłapana na transportowaniu narkotyków dla swojego chłopaka, Andrew Pike’a, i zgodziła się pracować jako tajna informatorka, żeby uniknąć postawienia przed sądem. Holland zdefraudowała również dwa tysiące dolarów z biura kwestora, żeby pomóc Pike’owi w spłaceniu narkotykowego długu. Jednak diler Pike’a, agent nieruchomości Charles Chaykin, dowiedział się o tym, że Holland jest informatorką, i zlecił zabójstwo Pike’a, którego ciało znaleziono w dziupli w Pennsport w piątek, 13 grudnia. Holland zaginęła i jest uważana za zmarłą. Trwają intensywne poszukiwania Chaykina jako głównego podejrzanego.

Kevin wie, że ta historia to jedno wielkie sranie, bo czytał dzienniki córki.

Dlatego uroczystość upamiętniająca Sarie, choć wzruszająca, to po prostu element Fikcji.

Kevin rozgląda się po kaplicy. Jest tu Wildey, stoi ze spuszczoną głową, kiedy chór śpiewa *Ave Maria*. Są wszyscy wykładowcy Sarie, oczywiście z wyjątkiem profesora Chaykina, który szybko złożył wniosek o przeniesienie (i

z tego, co Kevin ostatnio słyszał, zaatakowali go nieznani sprawcy, więc obecnie znajduje się pod ochroną policji). Po lewej ręce ojca stoi Marty, którego siła i bystrość umysłu wciąż Kevina oszałamia. Po prawej jest Tammy, która ostatnio spędza w domu Hollandów dużo czasu. Może ma wyrzuty sumienia, może tęskni za przyjaciółką; tak czy inaczej Kevin cieszy się z jej obecności.

Po uroczystości idą z powrotem na parking. Podchodzi Wildey.

- Dzień dobry.
- Coś wiadomo? - pyta Kevin.
- Jeszcze nic.

Tamtego dnia, kiedy to wszystko się stało (w piątek trzynastego, a jakże) Wildey w końcu stawiał się osobiście w domu Kevina. Kevin miał ochotę wpierdolić skurwysynowi, kazać mu wytłumaczyć, co zrobił z Sarie i dlaczego, do kurwy nędzy, nie namówił jej, żeby powiedziała prawdę, zamiast brać wszystko na siebie... ale zachował spokój. Wildey, choć wyraził skruchę, przyszedł uzbrojony w „oficjalną” wersję filadelfijskiej policji. Z tą różnicą, że zamiast powtarzać tekst o „uważanej za zmarłą”, obstawał przy tym, że Sarie żyje i zostanie odnaleziona. On sam poświęci temu cały swój wysiłek.

- Gówno prawda - odparł Kevin.
- Panie Holland, nie umiem sobie wyobrazić, co pan teraz czuje, ale proszę mnie posłuchać. Pana córka to najmądrzejsza, najtwardsza, najbardziej zaradna osoba, jaką znam, i...
- Tak, wiem. Właśnie dlatego mówię, że gówno prawda.

A potem pokazał mu stos niebieskich zeszytów egzaminacyjnych.

- Co to? - zapytał cicho Wildey.
- Praktycznie wszystko - odpowiedział Kevin.

Po chwili osłupienia Wildey zaczął przepytować Kevina o to, jaka część śledztwa jest w tych zeszytach opisana. Kevin powiedział mu wystarczająco dużo, żeby policjant dał sobie spokój z wersją oficjalną.

- To, co panu powiem, musi pozostać między nami - powiedział.

Kevin odparł:

- To się jeszcze zobaczy.

Wildey pokręcił głową.

- Nie. Mówię poważnie. Panu też powinno na tym zależeć.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Kevin czuł się tak, jakby ktoś zdzielił go przez łeb młotem kowalskim. Sarie zniknęła, bo wiedziała, że musi zniknąć. Bądź co bądź, nie da się postawić przed sądem za morderstwo kogoś, kto zaginął i jest uważany za zmarłego.

- To szaleństwo... To jest, kurwa, szaleństwo!

Wildey powiedział, że oboje mieli palec na spuście. Nikt, od prokuratora okręgowego w górę, nie chciałby poznać prawdy o powiązaniach kapitana Rema Mahoneya ze zorganizowaną przestępczością - to byłby zabójczy cios dla miasta, którym i tak już wstrząsnęły dziesiątki policyjnych skandali. Taka bomba wysadziłaby w powietrze całą komen-dę. No a Kevin za cholerę nie chciał, by jego córkę sądzono za morderstwo; choć można argumentować, że działała w obronie własnej, to na glocku znajdowały się jej odciski palców, a ofiara była bezbronna.

- To gdzie ona teraz jest? Co teraz robi?

- Powiedziała, że chce zadośćuczynić za swoje grzechy - odrzekł Wildey. - I że będzie w kontakcie.

- Jezu...

- Jak już mówiłem, pańska córka to najmądrzejsza, naj-twardsza, najbardziej zaradna osoba, jaką znam.

To było jedenaście dni temu. A teraz Wildey mówi, że wciąż nie ma żadnej wiadomości. *Lauro, nasza córka gdzieś tam jest, sama, z tym straszliwym ciężarem na barkach, a ja nic kurwa nie mogę zrobić.*

- Wesołych świąt, posterunkowy Wildey.

- Nawzajem, chłopie.

## **FORT LAUDERDALE, SLIP F-18**

Ho ho ho!

To jest dopiero miejsce, w które Ringo powinien był trafić, kiedy skończył kiblować na wypiędziejewie w Kansas. Patrzcie na to słońce, które odbija się od nieskazitelnie białych jachtów! Patrzcie na tę całą kasę, która unosi się na krystalicznie czystej wodzie! Jasne, spierdalanie na Florydę to potworna klisza, no ale czasem klisze są nimi nie bez powodu. Floryda, chłopie, Słoneczny Stan, Kraina Dobrego Życia, z której przy okazji można dogodnie uciec z kraju. Zwłaszcza jeśli ma się własną łódź, jak ten tu skurwiel, Charles Chaykin.

*Wszyscy cię szukają, Chuck. Ale słuchaj uważnie: twój sekret jest bezpieczny. Bo nawet z paroma kulkami w ciele miałem dość pary, żeby pogadać sobie z twoim gamoniowatym braciszkiem. Nie sypnął cię tak od razu. Dopiero po paru minutach (i zębach). Aha, i nie martw się, że wygada się na policji. Szepnąłem mu co nieco na ucho i przekonałem, że to byłby naprawdę kiepski pomysł.*

Ringo i Charles, znany jako Chuckie Morfina, muszą spędzić trochę czasu sam na sam.

Nie zabije go od razu. To byłoby niemądre. Najpierw ktoś musi Ringa nauczyć prowadzić łódź tej wielkości. (A może łódź się pilotuje? Steruje? Koniecznie musi o to zapytać). No i rozsądniej będzie wyrzucić torturowane, umęczone zwłoki jak najdalej w głąb oceanu. Pal sześć „pułapkę na



homary”. Jeśli idzie o pozbywanie się trupów, nic nie pobije Atlantyku.

Ringo wchodzi na pokład łodzi, którą Chuckie ochrzcił NIEZŁY AGENT (NIERUCHOMOŚCI). Kurwa mać – kolesio- wi już za to należy się czapa.

W każdym razie wesołych świąt, Serafino Holland.

- Ho ho ho! - woła Ringo przez grzeczność.

## **FOX CHASE**

Do drzwi frontowych budynku MI6 puka zmutowany kana- rek.

Kanarek? Marty nie dodawał żadnych kanarków na tym poziomie. Myśli, czy nie wysłać paru zmutowanych owiec, żeby uporały się z tym ptasim problemem, ale potem coś mu świta. *O kurde. Niemożliwe...*

Jego awatar podchodzi do drzwi w samą porę, żeby zoba- czyć, jak kanarek odfruwa. Coś jednak zakopał na trawniku. Awatar Marty’ego to odgrzebuje.

Wiadomość zabezpieczona hasłem: pięć znaków. Marty zastanawia się przez chwilę, po czym uświadamia sobie, że jest tylko jedna możliwość. Wpisuje: T-I-1-3-7.

CZEŚĆ MARTY. KOCHAM CIĘ. WESOŁYCH ŚWIĄT

Marty chce krzyczeć z radości, ale boi się, że obudzi tatę i Tammy. Oboje już się położyli, więc sam musiał wystawić mleko i ciasteczka (choć dobrze wie, że to ściema), a po- tem pograł trochę w Diggita przed snem.

Po namyśle stwierdza: do diabła z tym. Biegnie podzielić się z tatą wiadomością. Przysięga, między nimi koniec ta- jemnic.

## **25 GRUDNIA**

Droga Mamo,

żałuję, że nie pytałam Cię więcej o Meksyk, kiedy żyłaś. Tutaj jest naprawdę pięknie.

Nie będę więcej do Ciebie pisać; mam nadzieję, że rozumiesz. Tu, gdzie teraz jestem, słowa na papierze są naprawdę niebezpieczne. (Spalę ten list zaraz po napisaniu, razem z całą resztą kartek, ale pomyślałam sobie, że mnie nie usłyszysz, jeśli tego nie zapiszę. To przecież taka nasza tradycja). Przez ostatnie tygodnie tyle się działo, a ja mogę Ci wszystko opowiedzieć tylko w skrócie:

Jestem bezpieczna, mam pracę zarobkową, jest mi ciepło i nie chodzę głodna. A co najważniejsze, wiem, że od tej pory tata i Marty będą bezpieczni.

Opiekuje się mną facet, którego wcześniej nazywałam Imprezowiczem. Kiedy skontaktowałam się z nim w tamten straszny dzień, wywiózł mnie z Filadelfii i znalazł mi pracę. Mówi, że jest pod dużym wrażeniem tego, jak szybko się przystosowałam. (Wreszcie wiem, jak się naprawdę nazywa, ale nie zaryzykuję zapisania tego, nawet raz). Nie, nie jest tajniakiem z policji ani nic takiego. Pracuje dla karteli, podróżuje, szuka okazji do interesów. Kartel, który go – to znaczy nas – zatrudnia, jest BARDZO zainteresowany Filadelfią. Nie wiem, jakim cudem wiedział o mnie, o mojej przeszłości, o Tobie, ale ponieważ okazało się, że i Ty pracowałaś dla kartelu, widzi w tym dobry omen. Ale przede wszystkim podoba mu się, jak działa mój mózg. Zostałam tak jakby jego protegowaną. W zamian za to Imprezowicz zadba o bezpieczeństwo taty i Marty'ego. Nikt ich nie ruszy, więc się nie martw.

Przez ostatnie dwa tygodnie nauczyłam się więcej niż przez trzynaście i pół roku nauki w szkołach. Czy to mówi coś o mnie, czy

o systemie edukacji? Czy może jedno i drugie? Czy wdałam się w Ciebie, czy w tatę? To się chyba dopiero okaże.

Mówiłam już, że jest mi ciepło? Już nigdy w życiu nie chcę marznąć. Moja krew chyba nie pasuje do Filadelfii. Jest we mnie więcej z Ciebie, niż myślałam.

(Zawsze chciałam wyjechać do Kalifornii. Kalifornia Dolna też się liczy, prawda?)

Pogodziłam się z tym, co zrobiłam, co muszę zrobić i kim jestem.

Jeśli spotkasz Drew, przeproś go ode mnie. Nie zasłużył na to, co go spotkało, i zawsze będę kochała go za to, że próbował mnie ratować.

Bez względu na to, co o mnie usłyszysz, bez względu na to, co zrobię, wiedz, że staram się postępować właściwie, tak jak nauczyliście mnie Ty i tata.

Kocham Cię

Serafina

## **BADLANDS**

### ***BOŻE NARODZENIE***

Porucznik Benjamin Franklin Wildey krąży po parszywych ulicach Badlands. Są ruchliwe, nawet w tę świętą noc. Nie, żeby teraz go to obchodziło. Jedzie zabrać ciocię M. na świąteczny obiad. Myślał, żeby coś upichcić w domu, ale do diabła z tym. Zabierze ją do dobrej restauracji. Dziś działa ich kilka dla ludzi takich jak oni, ludzi bez dużych rodzin.

Na ile to możliwe, Wildey chce się cieszyć tą świąteczną ciszą przed burzą.

Narcotics Field Unit-Central South nie istnieje. Przetrwiał niewiele ponad pół roku, a teraz zostanie wymazany z historii filadelfijskiej policji. Powstał w tajemnicy i w tajemnicy go pogrzebano, w płytkim grobie tuż za krainą Wszystko Jedno.

Ulice zostaną wkrótce zalane tonami meksykańskiej heroiny. Mniejsze etniczne gangi zostały albo wygnane, albo zmuszone do posłuszeństwa. Inaczej niż do tej pory będzie tylko jeden dostawca. Jeden kanał transportu. Ceny spadną, klienci ściągną tłumnie. Wtedy nastąpi zwarcie. Zacznie się wojna narkotykowa, jakiej to miasto jeszcze nie widziało.

Całe szczęście, że Wildey, szef całkiem nowej jawnej jednostki antynarkotykowej, ma w tej wojnie tajną broń.

Wibruje jego jednorazówka. Wreszcie przychodzi wiadomość, na którą czekał cały dzień. To jego informatorka; pisze, że na dobre dostała się do kartelu.

To będzie dobry nowy rok.

## PODZIĘKOWANIA

Inspiracją do powstania *Wtyczki* były dziesiątki materiałów o przestępczości w Filadelfii i w całym kraju, pragnę więc ukłonić się dziennikarzom pracującym na linii frontu. Są wśród nich: George Anastasia, Emily Babay, William Bender, Mensah M. Dean, Jeff Deeney, Jenny DeHuff, Daniel Denvir, Dana DiFilippo, Sabrina Rubin Erdely, Mark Fazlollah, David Gambacorta, Dan Geringer, Barbara Laker, Samantha Melamed, Jason Nark, Mike Newall, Jeremy Roebuck, Wendy Ruderman, David Simon, Joseph A. Slobodzian, Allison Steele, Sarah Stillman, Steve Volk, Aubrey Whelan, Sam Wood i Morgan Zalot. Nieocenionym źródłem był też film Matthew Cooke'a *Jak zarobić na dilerce?* z 2012 roku.

Szczególnie dziękuję Lou Boxerowi za pomoc w poszukiwaniach lokacji i lekturę wczesnej wersji książki. Dziękuję również dobrym ludziom z CultureWorks Greater Philadelphia za to, że zapewnili mi ciche miejsce do pisania.

Nic by się nie udało, gdyby nie zespół z Mulholland Books: Joshua Kendall, Wes Miller, Garrett McGrath, Reagan Arthur, Michael Pietsch, Pam Brown, Morgan Moroney, Kate MacAloney, Jayne Yaffe Kemp i Janet Byrne. Przekazuję też dziękczynnego skręta bandzie z Inkwella, zwłaszcza Davidowi Hale'owi Smithowi, Lizz Blaise, Alexis Hurley i Richardowi Pine'owi, a także Lindsay Williams i Shari Smiley z Gotham Group.

U swych podstaw *Wtyczka* jest historią rodzinną, a ja nie mógłbym napisać tej książki bez mojej rodziny. Moja żona, najlepsza przyjaciółka i pierwsza czytelniczka Meredith Swierczynski, sprawia, że to wszystko jest możliwe – nawet sobie nie wyobrażacie. Mój syn Parker i córka Sarah są dla mnie niekończącym się źródłem radości i natchnienia, więc

jestem dumny, że wreszcie napisałem taką powieść, której  
lektura nie wypaczy ich delikatnych umysłów. (Za bardzo).

## O AUTORZE

Duane Swierczynski jest autorem kilku thrillerów kryminalnych, w tym nagrodzonej Shamus Award serii o Charliem Hardiem (*Fun and Games, Hell and Gone, Point and Shoot*). Nad jej ekranizacją pracuje Sony Pictures Television. Jest scenarzystą serii komiksowej *Judge Dredd* dla IDW i *X* dla Dark Horse, a także wielu bestsellerowych komiksów Marvela, Dynamite i DC. Współpracował również z twórcą seriali z cyklu *CSI* Anthonym E. Zuikerem przy bestsellerowej trylogii *Level 26*. Mieszka w Filadelfii z żoną i dziećmi.

Fragmenty powieści Williama S. Burroughsa *Nagi lunch* w przekładzie Edwarda Ardena.

Fragment filmu Davida Cronenberga *Nagi lunch* w przekładzie Dominiki Kmieciak-Micali.

Fragmenty tekstów Boba Dylana *Jak to kobieta* (*Just Like a Woman*) i *Jak błądzący łach* (*Like a Rolling Stone*) w przekładzie Filipa Łobodzińskiego z antologii *Duszny kraj*.

## **Wtyczka**

Duane Swierczynski

*Przełład:* Rafał Lisowski

Original title: *Canary*

Copyright © 2015 by Duane Swierczynski

The moral rights of the author have been asserted.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

© Copyright for the Polish translation by Rafał Lisowski, 2018

© Copyright for this edition by Wydawnictwo RM, 2018

All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

*Redaktor prowadzący:* Irmina Wala-Pęgierska

*Redakcja:* Joanna Niczyj

*Korekta:* Mirosława Szymańska

*Nadzór graficzny:* Grażyna Jędrzejec

*Opracowanie graficzne okładki:* Studio GRAW

*Edytor wersji elektronicznej:* Tomasz Zajbt

*Opracowanie wersji elektronicznej:* Marcin Fabijański

*Weryfikacja wersji elektronicznej:* Justyna Mrowiec

ISBN 978-83-7773-645-6

ISBN 978-83-7773-938-9 (ePub)

ISBN 978-83-7773-939-6 (mobi)

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl